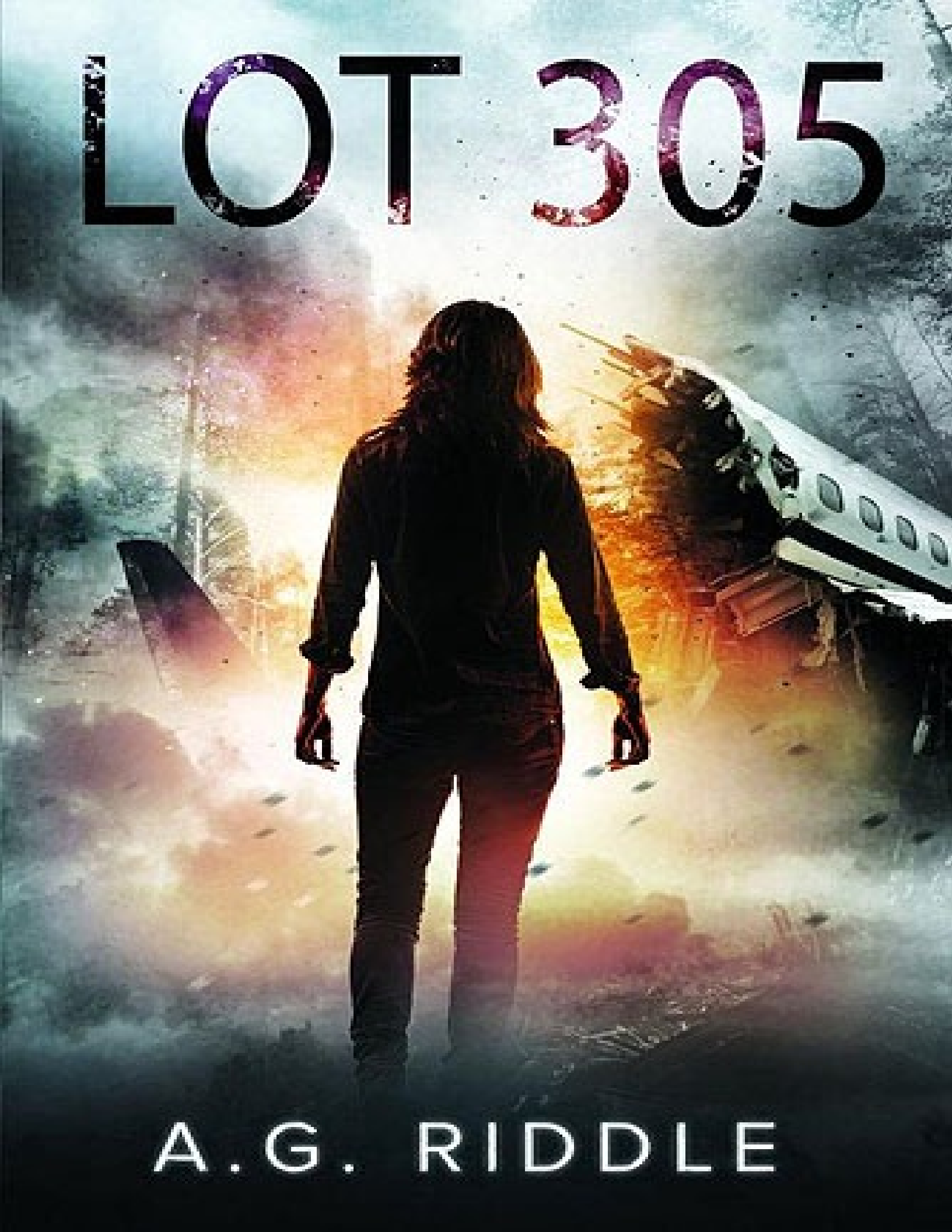


# LOT 305



A.G. RIDDLE

**A.G. Riddle**

# **Lot 305**

*Dla wszystkich wystarczająco upartych, by ośmielili się marzyć.*

# Część I: Ocaleni

# 1: Harper

Za godzinę samolot wylądjuje, a ja będę musiała podjąć decyzję, której mogę żałować przez resztę mojej ziemskiej egzystencji. Może mnie czekać chaos i ubóstwo. Albo wieczna szczęśliwość. Powiedziałabym, że szanse są pół na pół. Nie obawiam się tego. Właściwie nie myślę o tej decyzji.

Jak większość pisarzy prawie nigdzie nie bywam. Ani nie otrzymuję dużych honorariów. Latam klasą ekonomiczną i w dziewięciu przypadkach na dziesięć siedzę wciśnięta między podziębioną osobą, która kaszle w najmniej spodziewanym momencie, a żonatym facetem pytającym: „Jak to możliwe, że taka ślicznotka wciąż jest samotna?”. Przypuszczam, że linie lotnicze oznakowały mnie w swoim systemie: Nie skarży się, umieszcza ją w części dla nieudaczników.

Ale nie podczas tego lotu.

Mniej więcej sześć godzin temu wkroczyłam do magicznego świata, który istnieje krótko trzysta tysięcy metrów nad powierzchnią Ziemi: do pierwszej klasy lotu międzynarodowego. Do radosnej krainy, która pojawia się i znika jak alternatywna przestrzeń i ma swoje dziwne rytuały i obyczaje. Chłonę to wszystko ze świadomością, że być może przyglądam się temu po raz ostatni. Bilet kosztował chyba tyle, ile wynosi dwumiesięczny czynsz za moje mikroskopijne mieszkanko w Londynie. Wolałabym pieniądze, ale bilet był prezentem, a właściwie próbą manipulacji, jakiej dopuścił się pewien miliarder, który po naszym spotkaniu w Nowym Jorku oczekuje na decyzję. Nie myślę o tym teraz.

Lot z Nowego Jorku do Londynu trwa niespełna siedem godzin. Co piętnaście minut włączam ekran, by sprawdzić, gdzie znajduje się samolot, mentalnie próbując go zmusić, żeby się nie zatrzymywał, tylko leciał dalej, dopóki nie zabraknie paliwa. Może wcisnę stewardesie do ręki karteczkę z tekstem: Nie schodzić poniżej pułapu trzynastu tysięcy metrów albo samolot eksploduje!

– Ej, kogo mam zabić, żeby dostać dolewkę? I co się dzieje z internetem?

Kłopoty w rajach. Jak zdążyłam się zorientować, w pierwszej klasie, którą podróżuje dziesięcioro pasażerów, znalazło się dwóch malkontentów. Miejsce, gdzie siedzą, nazwałam korytarzem cynicznych komentarzy i złośliwości. Ci dwaj, odkąd tylko wystartowaliśmy, popijają alkohol i przerzucają się sarkastycznymi uwagami. Znam jednego z nich, tego, który domaga się drinka, i wiem, co go gryzie, bo ma to związek ze mną. Nazywa się Grayson Shaw, a ja robię, co w mojej mocy, by go unikać.

– Ej, mówię do ciebie – woła Grayson.

Chuda ciemnowłosa stewardesa z identyfikatorem, na którym widnieje imię „Jillian”, wychyla głowę z części kuchennej i uśmiecha się słabo.

– Kapitan nakazał zapięcie pasów i na razie podawanie napojów zostało wstrzymane, proszę pana...

– Na miłość boską, rzuć mi dwie minibutelecзки. Jesteś dwa metry ode mnie.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Jillian – odzywa się drugi malkontent. – Dwie minibutelecзки nie rozwiążą jego problemu.

– Dzięki, nieznany pasażerze z dwa A. Naprawdę wnikliwa uwaga.

Grayson podrywa się z miejsca, gdy samolotem wstrząsa kolejna fala turbulencji. Czuję, jak chwyta zagłówek mojego fotela, przesuając się naprzód. Długie jasne włosy opadają mu na twarz, dzięki czemu mnie nie widzi, co akurat mi odpowiada. Przystaje przed moim fotelem, przy wejściu do zaplecza kuchennego.

– Dobra, to nie takie trudne. Jesteś stewardesą i masz roznosić drinki. A teraz daj mi flaszki.

Profesjonalny uśmiech znika z ust Jillian. Sięga po coś, ale wtedy rozlega się dźwięk telefonu linii wewnętrznej i kobieta zmienia decyzję, podnosząc słuchawkę.

Grayson rozmasowuje skronie i odwraca się w bok. Odnajduje moje spojrzenie.

– Ty. Jezu, ten lot z każdą chwilą staje się coraz większym koszmarem.

Już ma rzucić się na mnie, ale pojawia się drugi malkontent i staje niebezpiecznie blisko Graysona. Jest przystojny, ma krótkie ciemne włosy, pociągłą twarz i zimne oczy. Grayson patrzy na niego przez chwilę, po czym przekrzywia głowę.

– Mogę w czymś pomóc?

– Właściwie to ja przyszedłem pomóc tobie.

Zwykle nie przepadam za popisami macho, ale muszę przyznać, że podoba mi się postawa bohatera z miejsca 2A.

Znowu dochodzi do turbulencji i oto co dzieje się później: rozlega się ogłuszający łomot. Czas zdaje się wydłużać. Malkontenci turlają się przede mną po podłodze, może się biją, nie potrafię tego określić.

Nastaje chaos. Stewardesy biegną tam i z powrotem, nawołując pasażerów, by zajęli miejsca i zapięli pasy. Z głośników dochodzi głos kapitana, ale nie wychwytyję słów.

Z ukrytych komór nad siedzeniami wypadają maski tlenowe, jedna zawisa w powietrzu przede mną, żółta okrągła plastikowa miseczka z płaskim dnem. Podskakuje i podryguje na przezroczystej plastikowej rurce jak piniata, tuż poza zasięgiem moich rąk.

Grayson zniknął – odszedł, nie wiem dokąd i nie obchodzi mnie to. Drugi malkontent wstaje, przytrzymuje się ściany i spogląda w głąb samolotu, lekko mrużąc oczy wodzi wzrokiem to w lewo, to w prawo, jakby coś kalkulował. W końcu siada obok mnie i mocno zaciąga pas bezpieczeństwa.

– Cześć.

– Cześć – odpowiadam, choć mój głos jest ledwie słyszalny w zamieszaniu, jakie nastąpiło.

– Słyszysz mnie?

Z jakiegoś powodu jego głos brzmi krystalicznie czysto. Ma amerykański akcent, a jego spokój kontrastuje z szalejącym dokoła pandemonium. Wydajemy się tkwić w przezroczystej bańce, podczas gdy świat na zewnątrz obraca się w gruzy, czas przyspiesza, aż może zakreślić się od tego w głowie.

– Tak – mówię, a mój głos dobiega jakby z daleka.

– Zapnij pas i włóż głowę między kolana. Spleć palce dłoni na potylicy. Nie patrz w górę.

– Dlaczego?

– Myślę, że zaraz się rozbijemy.

## 2: Nick

Żyję, ale bywało lepiej.

Boli mnie całe ciało. Lekki alkoholowy rausz został zastąpiony przez silne pulsowanie w głowie. Najbardziej boli mnie dolna część tułowia. Przed uderzeniem mocno zaciągnąłem na biodrach pas bezpieczeństwa w nadziei, że zdołam ochronić organy wewnętrzne. Udało się, choć chyba nie bez strat. Zaczynam rozpinąć pas, lecz po chwili przestaję.

Jest za cicho.

Światła pogasły, a przez okna wsącza się łagodna księżycowa poświata. Za mną słychać ciche jęki. Gdy startowaliśmy z lotniska JFK, na pokładzie samolotu było blisko dwieście pięćdziesiąt osób. Jeśli ktoś by ocalał, kabinę wypełniałyby głosy, może nawet krzyki. Cisza to zły znak.

Mój umysł wydaje się jasny i myślę, że jestem w stanie chodzić. Być może jestem jednym z nielicznych ocalałych we względnie przyzwoitej formie. Muszę pomóc innym. Po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy czuję się prawie normalnie, przepelnia mnie chęć działania. Czuję, że żyję.

Kobieta obok mnie wciąż się nie poruszyła. Siedzi skulona, z głową między nogami i dłońmi splecionymi na potylicy, jak jej poradziłem.

– Hej – mój głos brzmi ochryple.

Wciąż się nie rusza.

Wyciągam rękę i odgarniam jej jasne włosy. Obraca się lekko i spogląda na mnie przekrwionym okiem, po czym powoli dźwiga się do pionu, odsłaniając pociągłą twarz. Drugie oko też ma przekrwione. Od skroni aż do żuchwy ciągnie się długi siniak.

– W porządku?

Kiwa głową i przełyka ślinę.

– Chyba jestem cała.

Co dalej? Sprawdzić jej stan psychiczny?

– Jak masz na imię?

– Harper. Harper Lane.

– Pamiętasz datę swoich urodzin, Harper?

– Jedenastego grudnia. – Uśmiecha się lekko, nie podając roku.

Wszystko z nią w porządku. To dobrze. Wygląda na dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat, jest Brytyjką; teraz to sobie uświadomiłem. Zapewne wracała do domu.

– Zostań tu.

Moment próby. Odpinam pas bezpieczeństwa, wstaję i natychmiast zataczam się na ścianę. Samolot jest przechylony pod kątem trzydziestu stopni, jego dziób opada do dołu nieznacznie przekrzywiony w lewo. Opieram się o przepierzenie i czekam, aż ból osłabnie.

Odwracam głowę, bo po raz pierwszy mam okazję spojrzeć w głąb przejścia, i zastygam z przerażenia.

Samolot zniknął. Prawie cały. Została tylko część klasy pierwszej i biznes, za którą na tle postrzępionego otworu krzyżują się gałęzie drzew. Wokół krawędzi w rozbłyskach wyładowań elektrycznych widać ciemny las. Większość pasażerów znajdowała się w klasie ekonomicznej, po której nie został żaden ślad – są tylko drzewa i cisza. Reszta samolotu może leżeć wiele kilometrów stąd. Albo rozleciała się na milion kawałków. Dziwię się, że nas to nie spotkało.

Z drugiej strony ściany słyszę rytmiczne łomotanie. Zataczając się, obchodzę przegrodę oddzielającą

pierwszą klasę od galeryjki części kuchennej. To stewardesa Jillian dobija się do drzwi kokpitu.

– Nie otwierają – mówi na mój widok. Zanim zdołam odpowiedzieć, podchodzi do ściany, sięga po telefon i nasłuchuje przez chwilę, po czym stwierdza: – Głucho.

Chyba jest w szoku. Co w tej sytuacji jest priorytetem? Zerkam na iskry pojawiające się wokół pogniętego metalu.

– Jillian, czy istnieje niebezpieczeństwo pożaru?

– Pożaru?

– Tak, czy w tej części maszyny jest paliwo? – Pytanie wydaje się rozsądne, ale kto wie?

Jillian spogląda poza mnie zdezorientowana.

– Nie powinno dojść do pożaru, kapitan spuścił paliwo. A przynajmniej tak sędzę...

Mężczyzna w średnim wieku w pierwszej klasie unosi głowę.

– Pożar?

Ludzie wokół niego powtarzają to słowo półgłosem.

– Gdzie jesteśmy? – To wydaje mi się następnym logicznym pytaniem.

Jillian tylko patrzy, za to odzywa się Harper:

– Byliśmy nad Anglią. – Kiedy odnajduję jej wzrok, dodaje: – Obserwowałam... trasę lotu na monitorze.

To pierwsza dobra wiadomość, ale nie zastanawiam się nad nią długo. Słowo „pożar” wreszcie dociera do niewłaściwej osoby.

– Pożar! Pali się! Musimy się stąd wydostać! – ktoś krzyczy.

Ludzie zaczynają zrywać się z miejsc. W ciasnym przejściu tłoczy się około dwudziestu ogarniętych paniką pasażerów. Kilkorgu udaje się przebić i pobiec do postrzępionego otworu z tyłu, ale boją się wyskoczyć.

– Jesteśmy w pułapce! Pożar! Pali się! – mieszają się okrzyki i sytuacja robi się naprawdę groźna. Siwowłosa kobieta z klasy biznes traci równowagę i przewraca się. Inni ją tratują, przedzierając się na przód maszyny, gdzie Jillian i ja stoimy oniemiały. Krzyki kobiety nie spowalniają ludzi.

Ogarnięci paniką idą prosto na nas.

### 3: Nick

Jillian musi wziąć się w garść, żeby odeprzeć napływającą falę ludzi. Rozkłada szeroko ręce, ale głos ją zawodzi. Prawie jej nie słyszę pośród krzyków.

Staję więc w przejściu przed nią i donośnie, silniej i wyraźniej, niż się tego po sobie spodziewałem, wołam:

– Zatrzymajcie się! Ani kroku dalej! Krzywdzicie tę kobietę. Słuchajcie uważnie. Nie. Ma. Żadnego. Pożaru – cedzę słowa powoli i tłum się uspokaja. – Jasne? Nie ma pożaru. Nie ma zagrożenia. Odprężcie się.

Jeżeli nie liczyć kilku szturchnięć i drobnych przepychanek, sytuacja wydaje się opanowana. Wzrok wszystkich kieruje się na mnie.

– Gdzie jesteśmy? – pyta jakaś kobieta.

– W Anglii.

Te słowa są powtarzane szeptem, jakby przekazywano sobie jakąś tajemnicę.

Jillian wychodzi zza mnie i opiera się o fotel. W jednej chwili ocaleni zaczynają zarzucać mnie pytaniami jak dziennikarze w ostatnich sekundach konferencji prasowej w Białym Domu.

– Pomoc jest już w drodze – mówię. – Teraz najważniejsze to zachować spokój. Jeżeli zaczniecie wpadać w panikę, ktoś ucierpi, a jeśli zrobicie coś innym pasażerom, grozi wam surowa kara za uszkodzenie ciała, spowodowanie uszczerbku na zdrowiu, a może i zagrożenie czyjś życia. – Przerwywam i po chwili dodaję: – Media dowiedzą się, kto spowodował problemy po katastrofie, możecie się więc spodziewać, że pokażą was w porannych wiadomościach.

Groźba publicznego upokorzenia – największy lęk większości osób – najwyraźniej odnosi skutek. Krzyki cichną zastąpione podejrzliwymi spojrzeniami, czy współpasażerowie nie zadenuncjują kogoś jako prowodyrów bezmyślnej szarży do wyjścia.

– Jeżeli coś wam dolega, zostańcie na swoich miejscach. Jeżeli macie obrażenia wewnętrzne, nie powinniście się poruszać. To najgorsze, co można zrobić. Ekipa ratunkowa zbada was, gdy tylko tu dotrze, a potem zadecyduje, kiedy i jak zostanieie przeniesieni. – Wydaje mi się, że zabrzmiało to przekonująco.

– Gdzie kapitan? – pyta otyły mężczyzna w średnim wieku.

Na szczęście (lub nieszczęście) z moich ust wypływa kolejne kłamstwo:

– Koordynuje procedury z ekipą ratunkową.

Jillian rzuca mi pytające spojrzenie. Chyba chce się zorientować, czy to dobre wieści, czy raczej kłamstwo. Zastanawiam się, czy mogę liczyć na jej pomoc.

– Kim jesteś? – pyta ktoś.

– Tylko pasażerem, jak wy wszyscy. – Wygląda na to, że podpity palant z 2D niestety przeżył. Patrzy na mnie szklistym wzrokiem. – Nie zwracajcie uwagi na tego błazna.

Wzruszam ramionami.

– Oczywiście, że jestem pasażerem, bo niby kim miałbym być? A teraz posłuchajcie. Ci, którzy są w stanie chodzić, opuszczą tę maszynę, lecz zrobimy to powoli i spokojnie. Zajmijcie miejsca i czekajcie na wywołanie. Ta młoda dama – kiwam głową na Jillian – otworzy wyjście awaryjne, a kiedy was wywoła, macie robić to, co wam każe. Jeżeli na pokładzie jest lekarz, niech natychmiast zgłosi się do mnie.

Jillian otwiera drzwi wyjścia awaryjnego w przedniej części maszyny i słyszę szum pompującego się



automatycznie trapu ewakuacyjnego. Staję obok stewardesy i wyglądam na zewnątrz. Zjeżdżalnia zaczepia się o gałęzie drzew dokoła, ale ludzie powinni zsunąć się po niej na ziemię, dwa, może niecałe trzy metry poniżej. Dziób samolotu wciąż unosi się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Ta część samolotu jest przytrzymywana przez drzewa, ale wydaje się dość stabilna.

– Co teraz? – pyta cicho Jillian.

– Zaczniij od osób z tyłu. – Uznaję, że to zminimalizuje przechył.

Pięć minut później przy zjeżdżalni ustawia się kolejka i teraz widać, że wszyscy pasażerowie pierwszej klasy przeżyli, natomiast blisko połowa dwudziestoosobowej klasy biznes nie rusza się. W progu obok mnie przystaje kobieta o długich do ramion, czarnych włosach, na oko po czterdziestce.

– Pytał pan o lekarza? – Ma lekki akcent, chyba niemiecki.

– Tak.

– Skończyłam medycynę... ale nie prowadzę praktyki lekarskiej.

– Dziś pani będzie.

– No dobrze – mówi z wahaniem.

– Jillian da pani apteczkę. Chcę, żeby zbadała pani pozostałych pasażerów i udzieliła im pierwszej pomocy. Najpierw proszę się zająć tymi w najcięższym stanie, zagrażającym życiu, później dziećmi, następnie kobietami i dopiero potem mężczyznami.

Lekarka bez słowa rusza w głąb kabiny, towarzyszy jej Jillian. Ja obsługuję wyjście, pilnując odległości między kolejnymi osobami na zjeżdżalni, by ludzie nie wpadali na siebie. Ostatnia pasażerka dociera bezpiecznie na dół; starsza kobieta, której omal nie zdeptano. Jej stopy dotykają ziemi, a starszy mężczyzna, być może jej mąż, chwytą ją za rękę i pomaga jej wstać. Kiwa do mnie głową, a ja odpowiadam tym samym.

Z części kuchennej między klasą pierwszą i biznes dochodzi brzęk butelek i gniewny głos: to facet z 2D obsztorcowuje kogoś bezceremonialnie.

Robię krok w tył i widzę Harper stojącą naprzeciw tego faceta, na jej twarzy maluje się ból. Na przekrzywionym stoliku stoi tuzin minibuteleczek. Połowa jest pusta, a 2D odkręca nakrętkę butelki z ginem tanqueray.

– Nie pij tego – rzucam. – Możemy tego potrzebować do celów medycznych. Środki antyseptyczne mogą się skończyć, zanim zjawi się pomoc, i wtedy alkohol będzie nieoceniony.

– To prawda. Zamierzam go wykorzystać do zaspokojenia moich potrzeb medycznych.

– Mówię serio. Zostaw to i opuść maszynę.

Facet sięga po telefon pokładowy i rzuca do słuchawki:

– Nagroǳmy oklaskami Kapitana Katastrofę, faszystę, który chce zawłaszczyć dla siebie cały alkohol na pokładzie tego złomu! – Naśladuje ryk tłumu, po czym unosi buteleczkę do ust i opróżniwszy ją, ociera usta. – Coś ci powiem – mówi nieco bełkotliwie. – Pójdźmy na kompromis. Możesz sobie wziąć te buteleczki, gdy tylko wypiję ich zawartość.

Robię krok w jego stronę. Między nami staje Harper. Silna dłoń opadająca na moje ramię sprawia, że staję jak wryty. To lekarka.

– Skończyłam. Powinien pan to zobaczyć.

Coś w jej głosie sprawia, że budzi się we mnie niepokój. Spiorunowawszy wzrokiem faceta z 2D, odwracam się i wraz z Harper idę za lekarką.

Zatrzymuje się przy fotelu, na którym siedzi czarnoskóry pasażer w garniturze. Mężczyzna jest w średnim wieku. Opiera się o ścianę nieruchomy jak głaz, z twarzą pokrytą zaschniętą krwią.

– Ten człowiek zginął wskutek silnego uderzenia w głowę – wyjaśnia cicho lekarka. – Został pchnięty na fotel przed nim, a potem na ścianę kadłuba. Miał mocno zapięte pasy, ale fotele w tej części maszyny nie są rozstawione tak szeroko jak w pierwszej klasie. W chwili uderzenia samolotu o ziemię słabsi i wyżsi pasażerowie byli narażeni na silne szarpnięcia w przód i do tyłu, co sprawiło, że uderzali głową

o fotele znajdujące się przed nimi. Mamy trzy ofiary śmiertelne. To jedna z nich. – Wskazuje ręką na pozostałą część klasy biznes, gdzie na fotelach wciąż siedzi siedem osób. – Cztery żyją, lecz są nieprzytomne. Nie mam wobec nich optymistycznych prognoz. Jednej z tych osób wolałabym nie ruszać. Trzy są mocno poturbowane, ale może się wyliżą, jeśli przewieziemy je do szpitala.

– W porządku. Dzięki, pani doktor.

– Sabrino.

– Jestem Nick Stone.

Wymieniamy uścisk dłoni, po czym Jillian i Harper przedstawiają się sobie nawzajem.

– Chciałam ci to pokazać – mówi Sabrina – bo prawdopodobnie wszyscy odnieśliśmy jakieś obrażenia głowy. Dlatego najważniejsze jest, żeby wszyscy ocaleni utrzymywali ciśnienie w granicach normy. Każdy z nas może mieć bezobjawowy uraz głowy, co może doprowadzić do udaru lub krwawienia wewnątrzczaszkowego w przypadku nadmiernego wysiłku lub zdenerwowania.

– Dobrze wiedzieć.

Co teraz? Trzy kobiety patrzą na mnie wyczekująco, spodziewając się, że nimi pokieruję.

Pierwsza moja myśl dotyczy głównej części samolotu. Skoro klasa biznes tak mocno ucierpiała, to co się stało z ekonomiczną, gdzie fotele są ustawione jeszcze bliżej, a szarpnięcie w chwili przełamania się maszyny musiało być jeszcze silniejsze i o wiele bardziej zabójcze? Jeżeli w tylnej części maszyny ktoś przeżył, na pewno potrzebuje pomocy.

– Musimy znaleźć resztę samolotu.

Tępe spojrzenia.

Patrzę na Jillian.

– Czy możemy jakoś skontaktować się z tymi ludźmi?

Kręci głową przecząco i wygląda na zakłopotaną.

– Telefon pokładowy nie działa.

Telefon pokładowy.

– A co z komórkami? Znasz personel pokładowy obsługujący tamtą część samolotu? Znasz numery ich telefonów?

– Znam. – Jillian wyjmuje komórkę i ją włącza. – Brak sygnału.

Z moją komórką jest tak samo.

– Mieszkam w Heidelbergu – mówi Sabrina. – Może... nie, ja też nie mam sygnału.

– Ja mam telefon w innej sieci – odzywa się Harper, ale i ta sieć nie działa.

– W porządku – mówię. – Zamierzam ich poszukać.

– Idę z tobą – stwierdza Harper.

Jillian także zgłasza się na ochotnika, ale uznajemy, że powinna zostać z resztą pasażerów aż do nadejścia pomocy. Podczas gdy Harper zbiera rzeczy, które mogą nam się przydać, dostrzegam młodego Azjatę, nieco po dwudziestce, siedzącego w klasie biznes i pochylającego się nad jarzącym się ekranem laptopa, którego blask rozjaśnia wnętrze spowitej ciemnością kabiny.

– Hej.

Unosi wzrok, otaksowuje moją twarz, po czym wraca do stukania w klawisze.

– Musisz opuścić samolot.

– Dlaczego? – Nawet już nie unosi wzroku.

Zniżam głos i kucam, by spojrzeć mu w oczy.

– Na ziemi jest bezpieczniej. Samolot wydaje się stabilny, ale opiera się na drzewach, które w każdej chwili mogą popękać. Może nami rzucić o ziemię albo potoczmy się jak piłki po podłodze.

Wskakuję na rozerwany metal z tyłu za nim, gdzie raz po raz strzelają snopy iskier.

– Istnieje też niebezpieczeństwo pożaru. Nie wiemy tego na pewno, ale ryzyko jest spore.

– Nie ma żadnego zagrożenia – odpowiada, wciąż stukając w klawisze i nerwowo wodząc wzrokiem

z boku na bok. – Muszę to skończyć.

Coś mi mówi, że jego praca na zaliczenie może poczekać, ale obok mnie pojawia się Harper i podaje mi butelkę z wodą, uznaję więc, że nie ma sensu kłócić się z koleśm.

– Pamiętaj – mówi Sabrina – że każdy wysiłek może okazać się fatalny w skutkach. Może nie czujesz bólu, ale to nie znaczy, że twoje życie nie jest zagrożone.

– Jasne.

Oddalamy się, a Sabrina podchodzi do młodego Azjaty i odzywa się do niego po cichu. Zanim docieramy do wyjścia, oboje krzyczą na siebie. To nie jest relacja pacjent–lekarz. Wygląda na to, że się znają. Coś mi w tej scenie nie pasuje, ale nie mam teraz czasu, żeby się nad tym zastanowić.

U dołu trapu ewakuacyjnego troje ludzi leży zwiniętych w kłębek na ziemi czy też siedzi pod drzewem, trzymając się za głowę. Widziałem jednak ze dwadzieścia osób opuszczających kadłub samolotu. Gdzie się wszyscy podziali? Wpatruję się między drzewa.

Powoli zaczynam dostrzegać połyskujące światełka kołyszące się w głębi lasu – korowód ludzi kierujących się w ciemność, kilkoro z nich biegnie. Te światła to najwyraźniej aplikacje latarek w ich telefonach komórkowych.

– Dokąd oni idą? – rzucam w przestrzeń.

– Nie słyszysz? – odpowiada kobieta siedząca na ziemi tuż przy trapie, choć nie unosi głowy opartej o kolana.

Nieruchomieję i nasłuchuję. I wtedy moich uszu dochodzą krzyki z oddali. Wołanie ludzi wzywających pomocy.

## 4: Harper

Gęsty angielski las jest ciemny, rozjaśniony jedynie blaskiem rozmytego półksiężyca wiszącego na niebie i światełkami komórek jarzącymi się wśród drzew. Świdrujące mrok punkciki kołyszają się w dłoniach biegnących, ich migotanie jest zsynchronizowane z trzaskiem gałęzi i patyków pod stopami ludzi.

Moje nogi zdają się płonąć, podbrzusze i biodra przeszywają fale bólu, gdy stopami dotykam ziemi. W głowie pojawiają się niepokojące myśli – udar i wylew oraz ostrzeżenie lekarki, że każdy wysiłek może się okazać zgubny.

Muszę się zatrzymać. Wiem, że spowalnim Nicka. Bez słowa przystaję i opieram dłonie na kolanach, rozpaczliwie usiłując złapać oddech.

Nick gwałtownie przystaje obok mnie, ślizgając się na leśnym poszyciu.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam między kolejnymi oddechami. – Tylko trochę się zasapałam. Biegnij dalej. Dogonię cię.

– Lekarka powiedziała...

– Wiem. Nic mi nie jest.

– Kręci ci się w głowie?

– Nie. Naprawdę wszystko w porządku. – Spoglądam na Nicka. – Jeśli wyjdę z tego żywa, zamierzam sprawić sobie karnet na siłownię i ćwiczyć codziennie. I żadnego alkoholu, dopóki nie zdołam przebiec pięciu kilometrów bez zadyszki.

– Jeżeli ja przeżyję, to najpierw strzelę sobie kielicha.

– Racja. Najpierw coś na wzmocnienie, a potem na siłownię.

Nick patrzy na strumień migocących światełek, które przywodzą na myśl chmurę świetlików uganiających się między drzewami wokół czegoś, czego jeszcze nie widzę. Jego twarz przepełnia głębokie skupienie. Zastanawiam się, czym się zajmuje. Czymś takim? Rozwiązywaniem sytuacji kryzysowych? Na pewno potrafi instruować ludzi, co mają robić, i jest w tym przekonujący. W przeciwieństwie do mnie. Zastanawiam się, co jeszcze nas różni i czy w ogóle mamy ze sobą coś wspólnego.

– Już w porządku – mówię i truchtam dalej, nieco wolniej niż dotychczas.

Po kilku minutach wybiegamy z lasu na otwartą przestrzeń. Nic nie przygotowuje mnie na to, co tam widzę. Około dwudziestu osób zbitych w ciasną gromadkę stoi tuż za linią drzew, na brzegu jeziora, które ciągnie się aż po horyzont. Przeraza mnie to, co wyłania się z jeziora jakieś piętnaście metrów od brzegu – czarny postrzępiony otwór, który wygląda jak pysk ogromnej ryby. To otwarta przednia część głównej sekcji kadłuba, oderwana mniej więcej na wysokości skrzydeł. Widać stąd pierwszy rząd foteli, wszystkie są puste.

Ogon samolotu spoczywa na dnie jeziora. Co podtrzymuje środek wystający z wody? Koła? Silniki? Cokolwiek to jest, powoli się poddaje. Dolna krawędź rozerwanego kadłuba znajduje się pięć metrów nad wodą, ale stopniowo się obniża.

Jak na połowę listopada jest chłodno. W ciemnościach nocy widać mgiełkę oddechu wypływającą z moich ust. Woda musi być lodowata.

Jakiś ruch wewnątrz samolotu. Łysiejący mężczyzna podbiega wzdłuż przejścia i zatrzymuje się przy krawędzi rozłupanego kadłuba. Przytrzymuje się fotela i wygląda na zewnątrz; ma twarz białą

z przerażenia, próbuje zebrać się na odwagę, żeby skoczyć. Decyzję podejmuje za niego ogorzały młodzik, który wpada na niego z tyłu, więc obaj wylatują poza krawędź; drugi z mężczyzn na moment zahacza nogą o fragment poskręcane metalu. Facet koziołkuje, uderzając niezdarnie w wodę, ale nie wpada na swojego poprzednika. Przenoszę wzrok na powierzchnię jeziora i uświadamiam sobie, że dwie inne osoby zawzięcie płyną w stronę brzegu. Te, którym się to już udało, kulą się rozdygotane i przemoknięte do suchej nitki. Podchodzę bliżej, by na podstawie wymienianych gorączkowo komentarzy ustalić, co się wydarzyło.

Uderzyliśmy w wodę, przemieszczając się wstecz.

Ta siła – myślałem, że przelecę przez fotel.

Natknąłem się na troje ludzi. Wszyscy chyba nie żyją. Nie wiem. Nie poruszali się. Co miałem robić? Zastanawiam się, jak zimna jest woda i jak szybko człowiek może w niej umrzeć wskutek hipotermii.

Przy krawędzi otworu pojawia się mężczyzna w granatowej sportowej wiatrówce. Kuca nad wyrwą, przygotowując się do skoku, gdy nagle nad jeziorem niesie się grzmiący głos Nicka:

– Stój! Jeżeli skoczysz, pozwolisz umrzeć wszystkim, którzy zostali na pokładzie!

To brzmi dość dramatycznie, ale zwraca uwagę mężczyzn, również moją i osób na brzegu. Nick podchodzi do jeziora.

– Posłuchaj – woła. – Chcemy ci pomóc, ale reszta żywych ludzi na pokładzie też musi podejść do otworu.

Mężczyzna, około pięćdziesiątki i dość korpulentny, stoi zdezorientowany.

– Co?

– Skup się. Samolot tonie. Kiedy woda zacznie się wdzierać do ładowni poniżej, maszyna będzie zanurzać się szybciej. Ty i pozostali przytomni musicie znaleźć żywych, którzy nie mogą się poruszać o własnych siłach, i przenieść ich na skraj otworu. Zajmij się tym, a my zrobimy resztę. Zrozumiałeś?

Mężczyzna kiwa powoli głową, ale widzę, że jest w szoku. Nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Nick najwyraźniej też to sobie uświadamia. Mówi dalej, tym razem spokojniej i znacznie wolniej:

– Jak się nazywasz?

– Bill Murphy.

– W porządku, Bill. Musisz doprowadzić na skraj otworu wszystkich pozostałych przy życiu i tam zaczekacie. Wszyscy na skraj otworu i czekajcie. Zrozumiałeś? – Nick milknie, aby jego słowa dotarły do mężczyzny. – Bill, czy są tam jeszcze jacyś przytomni ludzie?

– Tak, chyba tak...

– Ilu?

– Nie wiem. Pięć osób. Może dziesięć. Nie wiem. Jest ciemno.

– Dobrze. Teraz idź i porozmawiaj z nimi. Powiedz, żeby pomogli ci przenieść pozostałych do krawędzi otworu, i niech tam zaczekają. Wszyscy idźcie nad krawędź otworu i czekajcie.

Bill odwraca się i znika w ciemnościach kabiny. Pochodzę do Nicka.

– Jaki jest plan?

– Wciąż nad nim pracuję – mówi półgłosem, wpatrując się w tłum.

Na brzegu jest teraz ze trzydzieści osób, pokrwawieni pasażerowie z dziobowej części samolotu i rozdygotani, przemoczeni rozbitkowie, którzy przepłynęli jezioro. Nick odwracając się do nich, podnosi głos:

– Czy ktoś wie, jak się robi sztuczne oddychanie?

Dwie dłonie unoszą się niepewnie.

– Świetnie. Stańcie tutaj. Możemy mieć tu za chwilę kilka osób, które nie oddychają. Postarajcie się im pomóc najlepiej jak potraficie. Jeżeli po pierwszej próbie nie uzyskacie akcji oddechowej, zajmijcie się kolejną osobą. – Przenosi wzrok na resztę grupy. – A teraz niech wystąpią wszyscy, którzy nie umieją

pływać.

Kolejne sprytne posunięcie. Nie zmusza nikogo, aby wystąpił, to mają być ochotnicy, ale jeżeli nie umiesz pływać, musisz się zgłosić. Przed szereg wychodzi sześć osób. Zastanawiam się, ile z nich naprawdę nie umie pływać. Rozdygotana kobieta na brzegu rzuca z przerażeniem w głosie:

– Nie mogę wrócić do wody. Umrę.

– Ja też – stwierdza rudowłosa mężczyzna obok niej.

– Musicie, błagam, tam został mój mąż – mówi łamiącym się głosem starsza kobieta w żółtym swetrze.

– To samobójstwo – kwituje długowłosa nastolatek w podkoszulku z napisem Sex Pistols.

Nick staje między grupą z dziobowej części samolotu a przemoczonymi rozbitkami, rozdzielając ich.

– Nie musicie wszyscy wracać do wody – mówi do potrafiących pływać. – Będziecie pomagać tym, którzy nie umieją pływać, i osuszać ludzi, którzy znajdą się na brzegu. – Kontynuuje pospiesznie, przerywając nieśmiało protesty: – Ale najpierw musicie czym prędzej wrócić do dziobowej części maszyny, żeby zabrać stamtąd wszystkie koce i kamizelki ratunkowe. Będą nam potrzebne, by ocalić pozostałych.

To dobry pomysł. W klasie biznes na jednego pasażera przypada naprawdę dużo koców. Będzie ich mnóstwo. Ale jaki konkretnie plan ma Nick?

– Ta przebieżka pomoże wam się rozgrzać i pobudzić krążenie krwi. – Klaszcze w dłonie. – Ruszajcie. Natychmiast. Sprowadźcie też ciemnowłosą kobietę imieniem Sabrina i stewardesę Jillian. Powiedzcie im, żeby wzięły apteczkę. Pamiętajcie, zabierzcie wszystkie koce i kamizelki ratunkowe.

Ci, którzy nie potrafią pływać, z niejakim wahaniem i niechętnie prowadzą przemoczonych ocalałych w głąb lasu. Cała reszta – dwadzieścia trzy osoby, łącznie ze mną i Nickiem – zostaje, odprowadzając ich wzrokiem. Na prawo od nas słyszę trzask w samolocie. Jego dolna krawędź znajduje się już tylko trzy metry nad wodą. Mogłabym przysiąc, że zanurza się coraz szybciej. Otyły mężczyzna z okropną raną na twarzy mówi:

– Nie uda nam się dopłynąć do samolotu i wrócić, holując kogoś stamtąd. Jest za zimno. Ledwie udało mi się dotrzeć tu samemu.

– To prawda – zgadza się Nick. – Ale nie będziemy przebywać w wodzie aż tak długo. I nie będziemy przepływać do samolotu i z powrotem.

Narasta chór protestów, potęgowany przez przyłączające się doń głosy:

Potopimy się.

Zaczekajmy na zawodowców...

Nie pisałem się na to...

– Musicie! – krzyczy Nick, uciszając tłum. – Musicie, jasne? Wszyscy musimy. Nie mamy wyboru. Posłuchajcie. Ktoś gdzieś kocha ludzi, którzy są na pokładzie tej maszyny. Ci ludzie to czyjś synowie. Czyjeś córki. To matki i ojcowie tak jak niektórzy z was. Mogą tam być także wasze dzieci. Może wasi rodzice czekają nieprzytomni i bezradni na waszą pomoc. Może właśnie teraz czyjaś matka spogląda w domu na swój telefon, zastanawiając się, czemu jej syn jeszcze nie dzwoni. Za godzinę zacznie się martwić, a jeśli nie dotrzemy do tych ludzi, nigdy więcej nie zobaczy swojego syna ani nie będzie miała okazji z nim porozmawiać, a to dlatego, że za bardzo baliśmy się wejść do wody, żeby go uratować. Nie mógłbym żyć, mając na sumieniu coś takiego, i wiem, że wy również. Każdy z was mógłby tam teraz siedzieć żywy, lecz nieprzytomny, mając w perspektywie utonięcie w lodowatej wodzie. A bez naszej pomocy ci ludzie utoną. Jeżeli im nie pomożemy, natychmiast umrą. To pewne. Nie pisaliśmy się na to, ale nie ma tu nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Jeżeli my nie ocalimy tych ludzi, nikt tego nie zrobi. Każda sekunda zwłoki może oznaczać śmierć kolejnej osoby. W tej części maszyny musi być około dwustu pasażerów i ich życie jest teraz w naszych rękach. Mam plan i potrzebuję waszej pomocy. Jeżeli chcecie siedzieć beczynnymi na brzegu i patrzeć, jak ci ludzie toną, stańcie z boku.

Nikt się nie rusza. Jeżeli nie liczyć słabego dźwięku osiadającego kadłuba, wokoło panuje głęboka cisza.

– Świetnie. Najpierw trzeba rozpalić ognisko. Kto ma zapalniczkę?

– Ja mam. – Mężczyzna w średnim wieku w bluzie z New York Giants podaje mu zapalniczkę.

– Dzięki. – Nick przyjmuje ją ze skinieniem głowy. – Dobrze, teraz rozejdźcie się po lesie i przynieście tyle chrustu, ile zdołacie unieść. Macie pół minuty. Zbierajcie tylko drewno, które leży na ziemi. Jazda. Pospieszcie się. – Odwraca się do mnie. – Zbierz trochę małych gałązek i patyków i je połam.

Wchodzimy za pozostałymi do lasu i po chwili wracamy z naręczami chrustu. Nick układa patyki na ziemi i pochyła się nad nimi. Pojawia się wąty płomyk. Dokładam przyniesione przeze mnie patyki, a gdy zjawiają się kolejni, z większymi i mniejszymi gałęziami i kawałkami drewna, ognisko szybko się powiększa. Boże, ciepło jest takie przyjemne. To nie wszystko. Oddziały ratunkowe powinny bez trudu zobaczyć blask ognia. Ognisko doprowadzi ich do nas. Ratownicy powinni odnaleźć kokpit, ale gdy reszta maszyny zatonie w jeziorze, trudniej będzie ją wypatrzeć.

– W porządku. Dobra robota – mówi Nick. – A oto jaki jest plan. Utworzymy dwa szeregi. Rozstawimy się na odległość wyciągniętej ręki, stąd aż do samolotu. Kiedy maszyna znajdzie się tuż nad poziomem tafli jeziora, wejdziemy do wody, podpłyniemy na pozycje i zaczniemy przekazywać sobie kolejnych ocalałych z rąk do rąk, aż do brzegu. Najważniejsza jest szybkość. Ludzie, których będziemy transportowali, będą mieć na sobie kamizelki ratunkowe, a więc znajdujący się na głębini bez trudu powinni przepchać ich do kolejnej osoby w szeregu. Wszyscy, którzy będą w wodzie głębszej niż do piersi, dostaną kamizelkę ratunkową, dzięki czemu utrzymają się na powierzchni bez wysiłku. Ważne: nie pozostawajcie w wodzie dłużej, niż dacie radę wytrzymać. Jeżeli będzie wam za zimno, jeżeli poczujecie, że tracicie czucie w kończynach, opuszczacie szereg i idziecie ogrzać się przy ognisku. Ogrzejcie się i wracajcie do szeregu. I jeszcze jedno. Jeżeli dobrze pływacie, jeżeli ktoś z was był ratownikiem albo pływa regularnie lub po prostu czuje, że jest w dobrej kondycji i potrafi wstrzymać oddech na dłuższą chwilę, niech teraz się zgłosi.

Przed szereg wychodzi trzech młodych mężczyzn, dwudziestoparolatków i trzydziestolatek.

Nick odwraca się do mnie.

– A ty?

– Tak. – Kiwam głową, czując suchość w ustach. – Ja też nieźle pływam – deklaruje trochę na wyrost.

Nick zabiera naszą czwórkę na stronę i mówi półgłosem:

– Pójdziemy pierwsi. Nie wkładajcie kamizelek ratunkowych, bo będą was spowalniać. Są dwa przejścia między fotelami. Rozdzielimy się na dwie grupy – dwu- i trzyosobową. – Wskazuje na najmłodszego chłopaka i na mnie. – Wy idziecie ze mną. Tył samolotu, część ogonowa jest już zapewne wypełniona wodą, wątpię, by była szczelna. Jeżeli to się potwierdzi, kiedy tam dotrzemy, linia wody stanie się naszym punktem startowym. Nie mamy szans na uratowanie nikogo poniżej tej granicy. Ruszamy wzdłuż przejścia i zaczniemy sprawdzać osoby w pierwszych suchych rzędach, musimy je zbadać i przekonać się, czy ktoś jeszcze żyje. Innymi słowy, czy mają tętno.

Przykłada dłoń do szyi.

– Dociśnijcie tutaj i poczekajcie. Jeżeli nie ma tętna, przechodźcie dalej. Jeśli wyczujecie tętno, uderzcie osobę otwartą dłonią w twarz, żeby ją ocucić. Jeśli nie będzie reakcji, wypnijcie nieprzytomną osobę z pasów bezpieczeństwa i przenieście, by podać ją kolejnemu ratownikowi w szeregu. Spróbujemy zorganizować szereg już na pokładzie samolotu. Najpierw zbadajcie dzieci, z oczywistych względów i dlatego, że są lżejsze, a poza tym kamizelka ratunkowa niemal na pewno pozwoli im utrzymać głowę nad powierzchnią wody. Jeżeli przejdziecie pięć rzędów i nie znajdziecie żadnego dzieciaka, wracajcie i zajmijcie się dorosłymi.

Nick wyznacza każdemu z nas poszczególne rzędy foteli w części pasażerskiej.

Wracają ludzie z kocami, rzucają swoje łupy przy ognisku i gromadzą się tam, by się ogrzać. Nick organizuje pomocników dla Jillian i lekarki, przywołując dwie osoby, które przyznały, że umieją robić resuscytację.

– Oni znają procedurę sztucznego oddychania – mówi do Sabriny. – Pomogą wam z ludźmi, których wydobędziemy z samolotu.

Odwraca się do Jillian.

– A ty umiesz robić sztuczne oddychanie?

– Odbyłam... szkolenie, ale nigdy...

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. Poradzisz sobie.

– Nie podoba mi się to. – Sabrina marszczy brwi, spoglądając na pokrwawionych rozbitków z naszej części maszyny. – Wysięk... każdy z tych ludzi mógł doznać poważnego urazu czaszki.

– Nie mamy wyboru. Musimy to zrobić. – Głos Nicka jest stanowczy, choć pozbawiony szorstkości. To mi się podoba.

Nick znów podbiega do brzegu jeziora i nawołuje Billa. Musi krzyknąć ponownie, dopiero wtedy korpulentny mężczyzna pojawia się przy krawędzi otworu; wygląda na roztrzęsionego i wyczerpanego. Dolna część maszyny zwiesza się teraz niecały metr nad taflą wody i ten widok wprawia mężczyznę w jeszcze większe zdenerwowanie. Patrzy na nas przerażony.

– Jest ich zbyt wielu. Nie zdołamy wydostać wszystkich.

– W porządku. Pomożemy ci, Bill. Musisz wyjąć spod foteli kamizelki ratunkowe i rozdać je ludziom, których przetransportowaliście na skraj otworu. Zrozumiałeś?

Bill rozgląda się dokoła.

– I co potem?

– Potem wyniesiemy tych ludzi i przekazemy ekipie ratunkowej. Najważniejsze, żebyś ty i wszyscy, którzy mogą ci w tym pomóc, zostali w samolocie. Zrozumiałeś?

Bill kiwa głową.

– Utworzymy szereg stąd aż do maszyny. Wkrótce do was dotrzemy, jasne? Bądźcie gotowi.

Nick przenosi uwagę na ludzi na brzegu. Organizuje szeregi, rozstawiając najsilniejsze osoby z przodu, jak najbliżej samolotu, najsłabsze pośrodku i kolejne silne osoby przy brzegu. Rozumiem tok jego rozumowania, lecz nie wpadłabym na to, nie tu, na chłodzie, pod presją, wiedząc, że przyjdzie nam być świadkami śmierci wielu ludzi. Rozdziela kolejnym osobom w szeregu kamizelki ratunkowe, na wypadek gdyby musiały zamienić się miejscami – to dobra innowacja pierwotnego planu.

Nastroje zaczynają się zmieniać. Ludzie wchodzą do wody. Ci, którzy nie umieją pływać, zbierają chrust i drewno, kręcąc się po lesie. Mężczyzna, postawny olbrzym po dwudziestce, w znoszonym oliwkowym płaszczu, sięga po kamizelkę ratunkową.

– Mogę dołączyć, jeżeli pozostanę blisko brzegu.

Kolejne dwie osoby występują z grupy, mówiąc to samo co on, i wkładają żółte kapoki.

W tym zamieszaniu czuję, że moje zdenerwowanie przybiera na sile. Faceci obok mnie, którzy świetnie pływają, przedstawiają mi się. Ściskam ich dłonie, ale bardzo trzęsie mi się ręka. Prawie nie mogę oderwać wzroku od osiadającego samolotu. W myślach odliczam kolejne sekundy, pozostali zresztą robią to samo. Umieję dobrze pływać, powtarzam sobie w myślach. Muszę dać dziś z siebie wszystko. Niemniej mimowolnie w głębi duszy zastanawiam się, jak szybko samolot pójdzie pod wodę, gdy dolna krawędź otworu obniży się do poziomu tafli jeziora. Czy okażę się dość silna, by wypłynąć z wnętrza maszyny i wydostać się na powierzchnię? I co się stanie z ciałami i rozmaitymi szczątkami wewnątrz maszyny? Mogę się założyć, że woda jest lodowata, że bardzo szybko złączą mi drętwieć kończyny. Jeśli maszyna wypełni się wodą, a ja wciąż będę w środku, mój los będzie przesądzony. Nie będę miała żadnych szans. Nie mogę jednak o tym myśleć – z prostego powodu: muszę pomóc tym ludziom. Nie



zniosłabym myśli, że nawet nie spróbowałam.

Nick odnajduje moje spojrzenie.

– Już czas.

## 5: Harper

Wydawałoby się, że na całą wieczność wszystko zamiera w ciszy. Patrzymy na ciemną sylwetkę samolotu nad spokojną taflą jeziora. Kadłub gwałtownie opada ku wodzie i zakłęcie, które wprawilo wszystkich w bezruch, pryska, a wzrok ludzi kieruje się na Nicka i na nas, ochotników umiejących dobrze pływać. Zapominam o bólu w podbrzuszu i ramionach, a także o tępym ćmieniu w twarzy. Czuję na sobie jedynie przerażone spojrzenia ponad trzydziściorga osób, które stoją na brzegu na tle buzującego ogniska. Ich oddechy tworzą w powietrzu białą mgiełkę przesłaniającą im usta i nosy. Żółte kamizelki ratunkowe zdają się jarzyć w gęstniejącej mgle jak światło latarni w zimową noc w Londynie.

I nagle biegnę do wody, podążając za Nickiem w stronę samolotu, który coraz bardziej osuwa się ku tafli jeziora. Trzej mężczyźni i kobieta stoją tam w przejściach między fotelami, wypatrując nas.

Woda wywołuje odrętwienie. Z każdym kolejnym krokiem w głąb jeziora coraz bardziej tracę czucie. Po przejściu trzech metrów jestem zanurzona w wodzie aż po klatkę piersiową. Zaciskam zęby i brnę dalej, poruszając ramionami, lodowata woda opryskuje mi włosy i twarz. Samolot wydaje się znajdować wiele kilometrów dalej, choć zapewne nie dzieli nas od niego więcej niż kilkanaście metrów. Mężczyźni oddalają się ode mnie, przyspieszam więc, by za nimi nadążyć.

Jeden z młodszych mężczyzn dociera do maszyny. Ostrożnie, omijając poskręcane fragmenty rozerwanego kadłuba, które dotykają wody, wspina się na jego dolną część, gdzie znajdują się bagaże. Odwraca się, by pomóc następnemu pływakowi i kolejnemu, aż wszyscy czterej mężczyźni przykucają w czarnej czeluści samolotu, która niemal dotyka już wody.

Docieram do otworu ostatnia i czeka tam na mnie wyciągnięta ręka Nicka. Jego palce zaciskają się na moim przedramieniu.

– Złap mnie za ramię drugą ręką.

Dwie sekundy później przykucam obok nich przemoczona do suchej nitki jak jeszcze nigdy w życiu, moim ciałem wstrząsają niepohamowane dreszcze, każdy z nich wywołuje fale bólu promieniującego z ramion i podbrzusza. Mam wrażenie, że zimno wyżera mnie od środka.

Czuję dłonie przesuwające się energicznie po moim ciele w górę i w dół. To Mike, dwudziestokilkulatek, z którym mam penetrować wyznaczoną część przedziału pasażerskiego, rozciera moje ramiona i plecy, próbując mnie osuszyć i ogrzać. Nie patrzę na niego. Mój wzrok przykuwa zielony podkoszulek z logo Boston Celtics. Jak to możliwe, że Mike nie umiera z zimna?

Nick nawołuje do osób na brzegu, nakazując im utworzenie szeregów. Wchodzą do wody, trzymając się za ręce. Białe punkciki światełek z kamizelek ratunkowych rozciągają się w łańcuchy, gdy mający je na sobie ludzie idą coraz dalej w głąb jeziora. W miarę jak oddalają się od ogniska, ich twarze rozpływają się w ciemnościach. Dwa rzędy światełek przywodzą mi na myśl pas startowy nocą wskazujący wrakowi tej maszyny drogę do ogniska, drogę do ocalenia. Możemy to zrobić, mówię sobie.

Mężczyźni w części pasażerskiej powyżej sięgają po nas i czuję dłonie chwytające mnie za ramiona i dźwigające w górę. Szeroko otwartymi oczami przyglądam się wystającym z podłogi bardzo blisko mnie ostrym jak brzytwa fragmentom poskręcane metalu.

Szok i ból po wejściu do wody mijają, zastanawiam się, czy to aby dobry znak. Ale wciąż czuję swoje ciało, wciąż nad nim panuję.

Przystaję na chwilę, żeby przyzwycząić wzrok do ciemności. Bo jest tu ciemno, ciemniej, niż sądziłam. Nie wiem, czy to za sprawą ludzi, ale mam wrażenie, że jest tu ciasno i duszno jak w starym tunelu kopalni. Słabe światło księżyca przesącza się przez maleńkie okienka i prowadzi nas jak blask

latarni ku wodnej otchłani na końcu przejścia. Ogon maszyny jest zalany, tak jak przewidywał Nick.

Znajdujący się tam ludzie już nie żyją. Nie możemy im pomóc, ale możemy ocalić innych.

Z powodu bólu spowodowanego kontuzjami odniesionymi podczas katastrofy i chłodu po przepłynięciu jeziora czuję, że narasta we mnie determinacja. Mogę to zrobić. Muszę. Próbuję przypomnieć sobie mowę Nicka, skupić się na jej zasadniczych punktach, powtórzyć je w myślach, by dodać sobie animuszu.

Jeżeli tam nie dotrzemy i nie uratujemy tych ludzi, nigdy nie ujrzą swoich ukochanych ani nie będą mogli z nimi porozmawiać.

Nikt inny po nich nie przyjdzie. My musimy to zrobić albo oni umrą.

Podłoga pod nami osiada coraz szybciej, pochylając się jak rampa prowadząca w mrok. U naszych stóp, w przejściach leżą ciała, warstwami, po dwie, trzy osoby. Kobiety, dzieci i kilku mężczyzn, w większości szczupli. Mniej więcej połowa z nich ma na sobie kamizelki ratunkowe. Niedobrze. Musi tu być ze trzydzieści osób. Moje oczy już przyzwyczyły się do ciemności i dostrzegam teraz więcej szczegółów wewnątrz samolotu. Jest tu jeden rząd w części biznesowej, wszystkie fotele są puste, potem ścianka działowa i dwie sekcje części ekonomicznej z trzema sektorami siedzeń po dwa fotele po bokach i pięć w środku. Przepatruję rzędy na wprost. Mój Boże. Wszędzie ludzie. Ponad setka. Nie damy rady. Ile mamy czasu? Minutę? Dwie? Gdy woda zacznie się wlewać do dolnej części kadłuba, maszyna szybko zatonie, osiągając punkt, w którym ciężar wody pociągnie samolot na dno. Nie zdołamy ocalić wszystkich. Może...

Głos Nicka przywołuje mnie do rzeczywistości. Jego twarz jest pozbawiona wyrazu, nie zdradza zaniepokojenia ani paniki. Mówi jak ojciec na biwaku, jest całkowicie spokojny i opanowany. Szybko rozdziela zadania dla Billa i siedmiorga innych osób pomagających wewnątrz samolotu. Na końcu każdego przejścia pozostają dwaj mężczyźni, przekazują ludzi w kamizelkach ratunkowych ratownikom tworzącym szereg w jeziorze poniżej. Pozostali przytomni mają pozbierać i nałożyć kamizelki tym spośród ewakuowanych, którzy ich jeszcze nie mają.

– W żadnym wypadku nie możecie opuścić tej maszyny. Potrzebujemy waszej pomocy. – Nick wskazuje na nieprzytomnych leżących w przejściach. – Oni was potrzebują. Bez was zginą. Rozumiecie?

Potaknięcia.

– Idźcie. Sprężajcie się.

Mike mnie wyprzedza, przeskakuje ponad ciałami, depcze je i miażdży. Ja robię niepewny krok i tracę równowagę, ale zaraz chwytam się oparcia fotela.

– Rusz się, Harper! Nie możesz się przejmować tym, że ich nadepniesz – woła Nick i zaczynam biec, lecz każdy krok to dla mnie ogromny wysiłek psychiczny.

Wreszcie czuję pod stopami wykładzinę i rzucam się naprzód. Mike sprawdza fotele po wewnętrznej stronie. Ja mam to zrobić od strony okna. Mike mija mnie z ciałem przerzuconym przez ramię, zanim udaje mi się dotrzeć do pierwszego rzędu siedzeń.

Woda obmywa mi stopy. Brnę naprzód i mogłabym przysiąc, że woda jest tu chłodniejsza. Spodziewałam się, że nachylenie będzie inne i że zalana będzie jedynie tylna część samolotu, ale mam wrażenie, iż wchodzę do basenu – z każdym krokiem poziom wody jest coraz wyższy. Od czego powinnam zacząć? Teraz woda sięga mi do pasa. Nad powierzchnią wystają już tylko głowy pasażerów. Czy oni jeszcze żyją? W moich myślach wciąż rozbrzmiewa echo słów Nicka, że wszyscy w wodzie już nie żyją. Ale oni mają głowy ponad powierzchnią. Ruszam naprzód, do ostatniego rzędu, gdzie pasażerowie mają wodę do szyi.

Podchodzę do nastolatka, ma sińce pod oczami, twarz opuchniętą i pokrytą zakrzepłą krwią. Wyciągam drżącą rękę, lecz cofam ją gwałtownie, gdy napotykam zimne, sztywne ciało. Stoję tam przez chwilę wstrząśnięta, a z moich ust wypływają obłoczeki pary.

– Harper, oni nie żyją! – woła Mike, wspinając się po stromiznie przejścia obok mnie z przerzuconym

przez ramię kolejnym ciałem. – Woda jest za zimna. Przejdź trzy rzędy dalej.

Przy otworze przełamanego kadłuba światło wydaje się oślepiające. Nick krzyczy i pokazuje coś ręką. Ciała są opuszczane do wody jedno po drugim, słychać kolejne pluśnięcia. To działa. Muszę się skupić. Oni na mnie liczą. Koncentracja.

Ciepło, ciepło równa się życie. Przykładam szybko dłoń do szyi kolejnego pasażera. Zimna.

Następny rząd. Nie mogę ich omijać. Nie mogę. Cztery rzędy dalej, gdzie woda sięga mi zaledwie kolan, moje palce napotykaają szyję cieplejszą od pozostałych. Naciskam, wyczuwam słaby puls i zerkam na bladego chłopaka w koszulce z napisem Manchester United. Potrząsam nim, krzyczę na niego i w końcu zmuszam się, by zdzielić go w twarz. Nic. Odpinam jego pas bezpieczeństwa, chwytam go za ramię i podnoszę z fotela. Przechył i dodatkowy ciężar to dla mnie prawdziwa katorgia, ale posuwam się naprzód, walcząc o każdy krok. Wreszcie docieram do kolejki i puszczam chłopaka, przekazując go w ręce kobiety i starszego mężczyzny. Zakładają mu na szyję żółtą kamizelkę ratunkową i pociągają za sznurek, żeby napełniła się automatycznie powietrzem.

Uratowałam temu chłopakowi życie. On przeżyje.

Ludzie są opuszczani do wody szybko, co kilka sekund. Nick patrzy na mnie i kiwa głową. Odwracam się i ruszam w głąb przejścia, przystając tylko, by przysiąc na jednym z wolnych miejsc, gdy mija mnie Mike.

Kiedy wchodzę do kolejnego przejścia, wyczuwam coś nowego: płynącą wodę obmywającą moje trampki i rozbryzującą się o moje kostki. Pokład pasażerski osiągnął poziom tafli jeziora. Ile mamy jeszcze czasu?

Biegnę do sąsiedniego przejścia, ale tam są same trupy. Zimne ciała, szyje, które tylko omiatam wzrokiem. Poruszam się rytmicznie, automatycznie: wyciągam rękę, dotykam skóry i przesuwam się dalej. Kilka sekund później odpinam sprzączkę pasa małej Hinduski w koszulce z logo Disney World. Potem jest blondynek w czarnym swetrze, którego dłoń muszę wyłuskać spomiędzy palców siedzącej obok niego kobiety, być może jego matki. Wynoszę jeszcze troje dzieci, a ramiona i nogi palą mnie żywym ogniem przy każdym kroku. Jestem skonana. Zastanawiam się, jak długo wytrzymam. Muszę.

Mike chwytą mnie za przedramię.

– To już wszystkie dzieci. Teraz dorośli. Ty ich wyszukujesz, ja wynoszę, dobra?

Jedną, drugą, trzecią osobę Mike przenosi do otworu w kadłubie. Za każdym razem, gdy odwracam się ku tylnej części maszyny, widzę nowe twarze wyłaniające się z wody – kolejny rząd foteli z pasażerami został właśnie pochłonięty przez wzbierającą i wdzierającą się do środka wodę. Toniemy i to szybko.

Mike brnie w moją stronę.

– Samolot idzie pod wodę. Odepnij pasy bezpieczeństwa wszystkim, którzy jeszcze żyją, i nałóż im kamizelki ratunkowe. To ich jedyna szansa.

Przebiegam od jednego rzędu do drugiego, wyciągam rękę i odpinam pasy. Muszę zanurzyć dłoń, by wyjąć kamizelki ratunkowe spod foteli; woda pod pierwszym siedzeniem wywołuje jeszcze większy wstrząs niż wtedy, gdy zaczęłam przez nią brnąć. Przy czwartym fotelu czuję, jak maszyna pode mną dygocze i przechyla się. Odgłos rozdzieranego metalu przenika wewnątrz kabiny, a lodowata woda zalewa mnie od stóp do głów. Skrzydła. Coś się dzieje. Muszę się skoncentrować. Wyciągam się, próbując rozpiąć czyjś pas bezpieczeństwa, ale nie mogę go dosięgnąć. Wkładam rękę do wody i wreszcie się udaje – ale kiedy się podnoszę, moja głowa pozostaje pod wodą.

Panika. Wybijam się w górę, rozpaczliwie usiłując wydostać się ponad powierzchnię, ale mi się to nie udaje.

Pośród ciemnych odmętów dostrzegam słabe światło: otwór. Pracuję rękami i nogami, próbując dopłynąć w stronę światła, lecz moja stopa o coś zahacza. Jestem uwięziona. Sięgam ręką za siebie, próbując się uwolnić, tyle że palce mam zdrętwiałe, bez czucia, jakbym na nich przysnęła. Próbuję

szarpnięciem uwolnić stopę, jednak nic z tego. Odwracam się do otworu, wymachując odrętwiałymi ramionami w nadziei, że ktoś mnie dostrzeże.

Obok przepływa ciało z żółtą kamizelką ratunkową na szyi i mnie zasłania. Patrzę, jak dryfuje w kierunku wąskiego światła i strzępiastego otworu, który z każdą sekundą staje się coraz mniejszy i coraz słabiej widoczny.

## 6: Nick

Tu na końcu, gdy jest już prawie po wszystkim, zaczynam rozumieć, co mogło się stać z tą częścią maszyny. Kiedy oderwała się od dzioba samolotu, wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni, lecąc ku ziemi. Wierzchołki drzew rosnących wokół jeziora spowolniły upadek i o powierzchnię wody rozbiła się część ogonowa. To zapewne uratowało wielu ludzi, gdyż impet uderzenia wtłoczył ich w fotele, zamiast wyrzucić do przodu, a następnie szarpnięciem w tył pogruchotać im kręgi szyjne. Ogon prawdopodobnie osiadł na dnie jeziora kilka sekund później i tam spoczywa, dwa silniki zwieszające się ze skrzydeł zachowały się jak punkt podparcia huśtawki, podtrzymując rozerwany kadłub nad wodą. Tak przypuszczam. Ale silniki, a może i całe skrzydła, odpadły lub wgięły się gołonie kół, na których utrzymywała się cała konstrukcja, tak czy owak to, co wypierało środek ku górze, połamało się lub odpadło i wszystko diabli wzięli. Do kadłuba wdziera się woda, ciężka jak beton, i ściąga go w głąb jeziora. Za kilka sekund maszyna zatonie.

– Wszyscy wychodzić! Ale już! – krzyczę.

Ostatni ocaleni, którzy pomagali nam wynosić ciała, dołączają do szeregu rozciągającego się od samolotu aż po brzeg, gdzie na piasku widać nierówne rzędy ludzkich sylwetek. W blasku ogniska migają niewyraźne plamy żółtych kamizelek ratunkowych wokół zakrwawionych, spuchniętych twarzy; jedni unoszą się na powierzchni, inni stoją w wodzie do kolan, ale wszyscy pracują resztkami sił. Ta gromada prawie nie przypomina ludzi, ale oni wszyscy są dziś prawdziwymi świętymi.

Facet w zielonej koszulce drużyny Celtics – chyba Mike – przechodzi obok mnie ze spuszczoną głową, rozdygotany. Chwytam go za ramię, przepatrując chaos wokół nas.

– Gdzie Harper?

Mike kaszle i ogląda się do tyłu.

– Chyba wydostała się na zewnątrz. – Pokazuje głową. – Tak, myślę, że się stamtąd zwinęła.

– W porządku. Upewnię się. Idź.

Popycham go, a on podchodzi do krawędzi maszyny i wskazuje do lodowatej wody. Spoglądam w otchłań, ale widzę tylko ciała z założonymi na szyje kamizelkami ratunkowymi, podpływające w moją stronę. Odwracam się, przechodzę w głąb przejścia i spoglądam na twarze stąd aż do ogniska, nie widzę jednak szczupłej kobiety z blond włosami i bez kamizelki ratunkowej.

Nie ma jej tam. Nie wydostała się z wraku.

Coś przepływa obok mnie – podejrzewam, że kamizelka ratunkowa. Struga wody chlusta mi twarz jak kubeł zimnej wody. Otrząsam się i ze skupieniem wpatruję się w ciemne przejście. Kolejne ciało przepływa obok mnie i wtedy dostrzegam postać, szczupłe ramiona unoszące się ponad krawędzią fotela. Szybko znikają pochłonięte przez czerń.

To musi być ona.

Daję nurka, chwytając się dłońmi siedzeń przede mną, i przedostaję się coraz dalej, mijając ciała i unoszące się w wodzie obiekty, których nie potrafię rozpoznać.

To ona. Dostrzegam jej posiniaczoną twarz. Chwytam wyciągniętą rękę, ale palce nie zaciskają się wokół mojej dłoni. Wydaje się martwa. Nieruchomieję. Unoszę się w wodzie i przez chwilę mam w głowie pustkę.

Jej ręka porusza się w przód i w tył, próbując mnie dosięgnąć. Ciągnę Harper ku sobie, lecz coś ją trzyma. Pokonuję ostatnie dzielące nas centymetry, obejmuję ją mocno ramionami, opieram stopy na fotelu i wybijam się z całej siły. Zupełnie jakby była przywiązana. Czuję dudnienie w piersiach, może z braku

tlenu, a może ze strachu.

Opuszczam się niżej, chwytam ją powyżej pasa i znów wybijam się z obu nóg najmocniej jak potrafię. I oto jesteśmy wolni, płyniemy w stronę otworu, lecz ona się nie porusza. Mam wrażenie, że zaraz eksplodują mi płuca, mocno obejmuję ją jednak ramieniem i przedzieram się obok kolejnych foteli ku wyjściu. Harper jest zupełnie bezwładna, jakbym trzymał w ramionach szmacianą lalkę. To nieprzyjemne uczucie, aż robi mi się od niego niedobrze, ale nie zatrzymuję się. Blask księżyca przenikający przez powierzchnię wody z wolna przybiera na sile, podczas gdy moje kończyny coraz bardziej drętwieją i ogarnia mnie coraz większa panika. Wypływamy na powierzchnię i łapczywie chwytam powietrze. Na chwilę wypuszczam ją z rąk. Chwytam ją, zanim znów pójdzie pod wodę, po czym zaczynam płynąć resztkami sił. Nie jestem w stanie utrzymać nas obojga nad wodą. Jestem wyczerpany. Próbuje nabrać powietrza, ale łykam głównie lodowatą wodę.

Słyszę głosy, nie wychwytyuję jednak słów. Trzymając mocno Harper, płynę do brzegu. Moje nogi odmawiają współpracy. Wiotczeję, coś mnie szarpie. Woda wlewa mi się do ust, zachłystuję się nią. Zamykam usta i oczy, próbując wytrzymać choćby chwilę dłużej.

Znów otwieram oczy i widzę tylko żółty kauczuk, kamizelkę ratunkową przesłaniającą mi twarz. Mrugam powiekami. Nade mną wisi rogalik księżyca, gwiazdy są jaśniejsze niż kiedykolwiek. I nagle na brzegu czyjeś ręce wyciągają mnie z wody, chwytając pod pachy. Głowa opada mi na bok i wykasłuję z siebie wodę, krztusząc się. Ktoś otula mnie kocem, czyjeś dłonie popychają w stronę ogniska. Ciepło mnie atakuje, jest nieprzyjemne, sprawia mi ból, wydaje się nie do zniesienia po dotkliwym zimnie. Fale gorąca przelewają się nade mną, przenikając przez skórę aż do szpiku kości, ale każda kolejna fala jest bardziej znośna od poprzedniej. Czuję, jakby oblepiały mnie warstwy ciepłego błota, palą ciało, ale nie jestem w stanie się ruszyć.

Mijają sekundy, a może godziny, tracę poczucie czasu. Ręce chwytają mnie i układają na wznak, słyszę odgłos oddalających się kroków, gdy ktoś wraca pospiesznie po kolejną osobę.

Przewracam się na bok i przepatruję teren. Harper leży na plecach po drugiej stronie ogniska. Obok kuca Sabrina, gorączkowo uwijając się przy jej nieruchomym ciele. Sabrina odnajduje mój wzrok. Widziałem już takie spojrzenie. Głowa opada mi na ziemię. Gwiazdy znów wypełniają przestrzeń przed moimi oczami, a potem wszystko spowija czerń.

## 7: Nick

Kiedy się budzę, jest wczesny ranek. Wciąż leżę przy ognisku, które zmalało o połowę od poprzedniej nocy. Wokół ogniska widzę ciała otulone kocami ułożone koncentrycznie pośród żółtych sflaczałych kamizelek ratunkowych, które wyglądają, jakby w nocy spadł deszcz wiotkich gumowych kaczuszek.

Odnoszę wrażenie, że przez ostatnie osiem godzin kręciłem się wewnątrz wielkiego elektrycznego miksera. Czuję ból, ale nie w jakimś jednym miejscu – pojawia się falami. Biorę kolejny oddech, ale pohamowuję się, próbując uniknąć ataku kaszlu. Rześkie, chłodne powietrze też sprawia mi ból. Wszystko mnie boli.

Gdy wczorajszej nocy ogrzałem się, odsunąłem się nieco od ognia, zostawiając najcieplejsze miejsce dla tych, którzy potrzebowali go bardziej. Powinniśmy rozpalić dwa ogniska, tu jest za zimno nawet dla mnie.

Słyszę chrzęst żwiru, szybkie, zdecydowane kroki i nagle pochyła się nade mną Sabrina, przyglądając mi się z uwagą.

– Jak się czujesz? – Akcent ma silniejszy niż poprzednio, słowa są bardziej urywane. A może tak brzmi głos Pani Doktor.

Opieram głowę o ziemię.

– Fantastycznie – mówię i kaszlę.

– Wątpię. Chcę, żebyś zrelacjonował mi szczegółowo swoje odczucia. Możesz mieć obrażenia wewnętrzne, których wczoraj nie zdołałam rozpoznać.

– Dobre wieści, pani doktor, wszystkie moje obrażenia są natury psychologicznej. – Podnoszę się do pozycji siedzącej, by zlustrować obóz. – Gdzie Harper?

– Tędy.

Mimowolnie wstrzymuję oddech, gdy Sabrina prowadzi mnie przez obóz do kręgu najbliższego ogniska. Harper leży tam na boku, jej drobne ciało jest zwrócone w stronę ognia, owinięte w dwa grube koce, złote włosy ma zmierzwiłone, w nieładzie. Nie porusza się.

– Ona żyje – mówi w końcu Sabrina. – Ale niewiele więcej mogę powiedzieć. Nie oddychała, gdy wyniesiono ją na brzeg. Przywróciłam czynności oddechowe, potem majaczyła. Mogła doznać trwałych uszkodzeń mózgu albo... Jak wspomniałam ubiegłej nocy, każdy długotrwały wysiłek mógł okazać się niebezpieczny dla zdrowia.

– Więc nie powinniśmy byli nic robić? Tylko patrzeć? Albo podpłynąć i powiedzieć, że bardzo nam przykro, ale lekarz zabronił nam się przemęczać?

– Nie to chodzi. Mówię, że jej ogólny, nie najlepszy stan fizyczny w połączeniu z nadmiernym wysiłkiem i niedoborem tlenu mógł doprowadzić do pogłębienia się wcześniej odniesionych obrażeń, co utrudniło postawienie dokładnej diagnozy.

– Jasne. Skoro tak mówisz...

Biorę głęboki oddech i rozcieram skronie, próbując złagodzić łupanie pod czaszką. Sabrina z pewnością ocalała zeszłej nocy dziesiątki ludzi i sądząc po jej wyglądzie, też nie dane jej było się przespać.

– Posłuchaj, czuję się fatalnie i dlatego mogę podważać decyzje podjęte ostatniej nocy.

– To wyłącznie moja wina. Znacznie wykroczyłam poza moje kompetencje.

– Jasne. Mogłaś... popracować trochę więcej przy łóżku chorego, jak w szpitalu.



- Nie pracuję w szpitalu.
- Domyśliłem się tego. Jakiej specjalności jesteś lekarzem?

Sabrina odwraca się i odchodzi od ogniska.

- Myślę, że powinieneś coś zjeść i odpocząć.
- Kanapka i drzemka. Brzmi kusząco.

Omiatając wzrokiem brzeg jeziora, nasłuchuję, ale niczego nie widzę ani nie słyszę.

- A więc gdzie kawaleria?
- Kawaleria?
- No wiesz, helikoptery, ekipy ratunkowe. Powinny tu już być.
- Nikogo nie widziałam.
- Żartujesz.
- Zapewniam, że nie.

Sabrina nie jest specjalistką od relacji międzyludzkich i chyba dlatego nie prowadzi praktyki zawodowej, cokolwiek to znaczy. Nie jest to jednak teraz największa zagadka.

Może ekipy ratunkowe obozują przy części dziobowej. Samolot rozbił się prawie dwanaście godzin temu, pomoc powinna już się zjawić. W chaosie ubiegłej nocy zostawiłem komórkę w kieszeni. Sprawdzam, ale wiem, że telefon jest głuchy.

- Zamierzam pójść do drugiej części maszyny, żeby znaleźć coś do jedzenia. Chcesz czegoś?

– Tak, poproszę półlitrową butelkę wody i pełen posiłek zawierający tysiąc kalorii, pięćdziesiąt procent węglowodanów, trzydzieści procent protein i dwadzieścia procent tłuszczów. Najlepiej nieprzetworzonych, z minimalną ilością dodatków.

- Świetnie.
- Jeżeli to ci pomoże, mogę dorzucić dalsze zalecenia.
- Niekoniecznie, mam wszystkie potrzebne informacje. Niedługo wrócę.

Brnę przez las ścieżką, którą wczoraj biegliśmy. Harper już wtedy miała zadyszkę. Powinienem być podjąć inną decyzję – nie miałem prawa jej prosić, żeby dołączyła do mnie i chłopaków w samolocie. Praktycznie bez namysłu spojrzałem na nią, gdy zwoływałem ochotników. Po mowie, jaką wygłosiłem, przymusem było nakłonienie jej na oczach wszystkich, aby nam pomogła. Cokolwiek się z nią stanie, będzie to moja wina. Brzemie spoczywające na moich barkach jest ogromne, jakbym dźwigał cały świat. Ten ciężar wbija mnie w ziemię.

W oddali przede mną słyszę krzyki. Dwadzieścia osób tłoczy się wokół szarej awaryjnej zjeżdżalni prowadzącej do drzwiczek tuż obok kokpitu.

- To nasze jedzenie!

Znam ten głos, to pijany palant z 2D. Pokrzykuje u dołu zjeżdżalni i rozpycha ludzi.

– Zapłaciliśmy za to. – Szturcha paluchem powietrze tuż przed nosem faceta stojącego naprzeciw niego. – W cenę biletu klasy biznes był wliczony catering. Jedzcie żarcie, jakie wam przysługuje za rejs w klasie ekonomicznej. Słyszałem, że ta część maszyny leży na dnie jeziora.

Nie zastanawiam się nad tym, co robię. Miło podejmować proste i łatwe decyzje. Bez słowa przeciskam się przez tłum.

- To ty – mówi 2D, parskając, zanim przywalam mu w twarz najsilniej jak potrafię.

Upada wprost na zjeżdżalnię, odbija się od niej i znów ląduje na sprężystej pochyłej powierzchni. Zaraz jednak zrywa się na nogi, rzuca na mnie i wyprowadza zamaszty cios, który mija cel o dobre pół metra. Trafiam go w twarz kolejnym krótkim prostym, który odrzuca go do tyłu tak, że odbiwszy się od zjeżdżalni, tym razem osuwa się na ziemię.

Każdy ruch sprawia mi ból, ale mój Boże, co za miłe uczucie. Po raz pierwszy przyłożyłem komuś, odkąd skończyłem dziesięć lat. Mam nadzieję, że już nigdy tego nie zrobię, ale było warto. Bez dwóch zdań. 2D, leżąc na ziemi, przeszywa mnie wzrokiem.

– Kiedy to się skończy, zostaniesz aresztowany i oskarżony o napaść!

– Naprawdę?

– Mam dwudziestu świadków!

– Czyżby?

Spoglądam na tłum, który tylko się uśmiecha; kilka osób kręci głową.

– Mam też dowód. – 2D wskazuje na pokrwawioną twarz.

– Dowód na co? Na to, że brałeś udział w katastrofie samolotu?

Odwracam się do Jillian; ma rozszerzone oczy.

– Ile jedzenia zostało?

– Trochę. Nie wiem dokładnie.

– Zaczynij je wynosić. Weź dwie osoby do pomocy.

Tłum rusza naprzód, ale unoszę rękę.

– Zaczekajcie. Powinniśmy zostać tu na dole. Samolot może być niestabilny. Niech Jillian wyniesie żywność, a potem podzielimy prowiant po równo, dobrze?

Kilka osób coś mruczy pod nosem, ale nikt nie protestuje głośniej. W końcu przyłożyłem już jednemu gościowi w twarz praktycznie bez powodu.

Z tyłu za mną Jillian wspina się po zjeżdżalni z pomocą dwóch mężczyzn. Budowa schodków wydaje się stratą czasu, skoro przecież niedługo zostaniemy uratowani, ale jeśli tego nie zrobimy, ktoś może poważnie ucierpieć. Podchodzę do tej trójki, by ustalić, co może nam się przydać, a mam na myśli wszystko, od bagażu po wózki do rozwożenia posiłków. Zgadza się, że to będzie dla nas kolejną priorytetową sprawą, gdy zaserwujemy wszystkim ocalałym śniadanie.

Co potem? Tłum wciąż tu jest, zbity jak ludzka masa na koncercie czekająca na rozpoczęcie występu. Potrzebujemy prawdziwej pomocy. Ocalenia.

– Czy ma ktoś działającą komórkę? – pytam.

Z tłumu dobiegają głosy:

*Nie, nie ma zasięgu.*

*Bateria padła.*

*Niestety, nie działa.*

*Nikt nie ma sygnału, pytałem.*

To dziwne. Nie, to niewiarygodne. Nikt spośród ponad dwustu pasażerów, którzy rozbili się w Anglii, nie ma czynnej komórki? Coś jest nie tak.

Tłum najwyraźniej podziela moje zdanie. Mężczyzna w tweedowej marynarce narzuconej na podkoszulek z logo *Doktora Who* i w dzinsach wychodzi przed szereg.

– Przecież to oczywiste, co się stało. – Przerzywa, czekając, aż zwróci na siebie uwagę pozostałych. – Zaczęło się. Trzecia wojna światowa. Odcięli nam łączność, całą elektronikę. Zaczęła się inwazja, dlatego nikt się nami nie interesuje. W obecnej chwili mają poważniejsze problemy niż nas ratować.

Rozlegają się stłumione pomruki i odgłosy zaniepokojenia. Niski łysy mężczyzna w czarnym swetrze i małych okrągłych okularkach nie zgadza się. Odzywa się powoli, z namysłem, jak profesor sztorcujący niezbyt lubianego ucznia:

– To ewidentny absurd. – Ma akcent ze wschodniego Maine.

– Czyżby? – odparowuje miłośnik *Doktora Who*. – A co pan o tym wie?

– Prawdę mówiąc, całkiem sporo. Pracowałem dla koncernu Northrop Grumman.

– No proszę!

– Gdyby faktycznie doszło do trzeciej wojny światowej, słyszelibyśmy wybuchy. Po niebie przelatowałyby samoloty. Zapewne z oddali słychać byłoby przetaczające się kolumny czołgów i transporterów opancerzonych. A zresztą wątpię, by trzecia wojna światowa zaczęła się akurat w Anglii.

– Może Anglię zostawiają sobie na koniec. To idealne miejsce przerzutowe do inwazji na kontynent europejski, co udowodniła historia.

– W rzeczy samej – przyznaje facet z Northrop Grumman. – I właśnie dlatego nikt jej nie podbił od prawie tysiąca lat.

– No więc może nie jest to klasyczna wojna. Większość ludzi spodziewa się, że następna będzie taka jak poprzednia, z czołgami i samolotami, od początku do końca, ale decydujące znaczenie ma właśnie technologia. Chcą nas przeczekać, żebyśmy zaczęli przymierać głodem, zanim dokonają inwazji. Zapewne załatwili nas serią impulsów elektromagnetycznych. To tłumaczy katastrofę... i nieczynne telefony.

– Wcale nie – mówi, przeciągając zgłoski, mężczyzna w czarnym swetrze. – Impuls elektromagnetyczny nie zniszczyłby naszych komórek, ale wyłączyłby wszystkie większe urządzenia elektroniczne. A ja widziałem w samolocie faceta z czynnym laptopem.

– Ma działający laptop? – woła ktoś.

Odzywa się kobieta w średnim wieku, w bluzie z logo NYU:

– W trakcie lotu wysiadł internet. Akurat przeglądałam mejle. To było jakąś godzinę, zanim się rozbiliśmy.

– To prawda – przyznaje stojący obok niej wysoki mężczyzna.

– Może wynikał problem z satelitami.

Facet z koncernu Northrop Grumman odwraca się do kobiety w bluzie z logo NYU.

– Owszem, awaria satelity mogłaby doprowadzić do katastrofy samolotu, ale nie wyjaśnia to wyłączenia komórek. Są połączone z naziemnymi wieżami, oczywiście poza telefonami satelitarnymi. Możemy z tego wyciągnąć taki wniosek, że wszystkie naziemne wieże przekaźnikowe w tej okolicy są wyłączone.

– Albo nie ma żadnych. Może wcale nie jesteśmy w Anglii.

To ciekawe, uznaję.

Kobieta w bluzie z logo NYU znów się odzywa:

– Na ekranie widać było odczyt, zgodnie z którym samolot powinien znajdować się nad Anglią. Widziałam to.

– Możliwe – zastanawia się mężczyzna z Northrop Grumman – że jeśli samolot miał usterkę, a cała zewnętrzna łączność została zerwana, odczyty mogły wskazywać, że znajdujemy się na pierwotnym kursie. Pozycja maszyny mogła zostać ustalona wyłącznie na podstawie czasu lotu.

– Wobec tego możemy być wszędzie! – rozlegają się przerażone głosy.

– Choćby na Grenlandii! Jest dostatecznie zimno.

– Na Islandii albo na którejś z wysepek u wybrzeży Anglii. Na ziemi niczyjej.

– Nigdy nas nie znajdą.

Podchodzi do mnie starsza kobieta.

– Co pan o tym sądzi?

Z niezrozumiałego powodu – może dlatego, że przywaliłem jednemu facetowi w twarz – spojrzenia wszystkich zwracają się w moją stronę.

– Myślę... że dowiemy się więcej, gdy tylko uda nam się wejść do kokpitu. Komputery lub, miejmy nadzieję, piloci, może nam powiedzą, gdzie jesteśmy. A sprzęt łączności pomoże nam skontaktować się z kimś, kto nas uratuje.

Wszystko sprowadza się do zamydlenia ludziom oczu, wmówienia im, że odpowiedź, której szukamy, jest na wyciągnięcie ręki, tuż za zamkniętymi drzwiami, ale udaje się. Tłum łagodnieje. Gdy prowiant zjeżdża po nadmuchiwanym rynnem, grupa się rozprasza. Ludzie odbierają swoje porcje żywności i ruszają nad jezioro, w kierunku ogniska i ciepłych koców.

– Nie uda się panu wejść do kokpitu.

Odwracam się, by ujrzeć niebezpiecznie blisko człowieka z Northrop Grumman.

– Czemu pan tak twierdzi?

– Drzwi są wzmocnione. Wszystkie drzwi kabiny pilotów po jedenastym wrześniu zostały specjalnie zabezpieczone, zwłaszcza w samolotach przeznaczonych na długie loty. Łatwiej dostalibyście się do Fort Knox.

– A co z oknami?

– Podobnie. Są w stanie wytrzymać każde uderzenie, nawet przy olbrzymiej prędkości.

Facet wciąż na mnie patrzy, wydaje się, że na coś czeka. Ma do powiedzenia dużo więcej. A co mi tam, myślę sobie.

– Co pan proponuje?

Podchodzi jeszcze bliżej i zniża głos do szeptu:

– Nie zdoła pan tam wejść, ale jeśli wewnątrz jest ktoś żywy, może stamtąd wyjść – i w tym cała nadzieja. Minęło zaledwie dwanaście godzin. Może jeden z pilotów tylko stracił przytomność. Gdybyśmy zdołali ich ocucić, mogliby otworzyć drzwi.

– To ma sens. Wobec tego naróbmy hałasu.

– Właśnie. A to, co teraz powiem, jest ważne, panie...

– Stone, Nick Stone. – Wyciągam rękę, a on potrząsa nią energicznie.

– Bob Ward. Musimy dopilnować, żebyśmy to my jako pierwsi lub ktoś, komu ufamy, weszli do kokpitu.

Ktoś, komu ufamy. Przed oczami pojawia mi się obraz trzech facetów, którzy zeszłej nocy weszli ze mną do rozbitego samolotu, i Harper. Zastanawiam się, jak ona się czuje. Ogarnia mnie dziwny niepokój.

– Dlaczego? – pytam, próbując się skupić.

– W kokpicie znajduje się kasetka z bronią. Jeżeli trafi w niewłaściwe ręce, ten obóz stanie się bardzo niebezpiecznym miejscem. – Spogląda na zjeżdżalnię, gdzie dołożyłem facetowi z 2D.

– Racja.

– To jak, zaczynamy?

Bob już człapie w stronę zjeżdżalni. Facet najwyraźniej świetnie się bawi. Z pomocą kilkorga pasażerów wchodzimy do samolotu, gdzie Jillian rozdziela jedzenie w niewielkiej części kuchennej tuż za kokpitem.

– Co z zapasami żywności? – pytam.

– To już resztki.

Mniej, niż się spodziewałem.

– Dobrze, dziś po południu pomyślimy, co dalej. Czy mogłabyś zanieść dwie porcje jedzenia nad jezioro, jedną dla pani doktor, a drugą dla Harper? I poprosić trzech facetów, którzy zeszłej nocy pomagali mi w przenoszeniu pasażerów z samolotu, żeby tu do mnie dołączyli?

– Jasne.

– A czy masz manifest pokładowy, listę załogi i pasażerów, gdzie mogą być wymienione nazwiska pilotów? Może gdybyśmy zaczęli nawoływać ich po nazwisku, to by pomogło.

Jillian podaje mi nazwiska pilotów i kilka spiętych zszywkami kartek; przeglądam je. Dostrzegam swoje nazwisko, a potem Harper Lane i mojego nemezis z 2D Graysona Shawa. Sabrina Schroeder, pasażerka z 11G w klasie biznes. Yul Tan, Azjata z laptopem, miejsce 10B. Spoglądam w głąb przejścia. Wciąż tam jest, stuka w klawisze laptopa, a blask ekranu rozjaśnia jego wychudzone oblicze. Albo laptop ma baterię o przedłużonej trwałości, albo gość zrobił sobie przerwę, co wydaje się mało prawdopodobne. Wygląda na podminowanego, spiętego. Coś jest z nim nie tak, ale nie potrafię określić co konkretnie.

– Gotowy, panie Stone? – pyta Bob.

– Tak. I proszę mi mówić Nick.

Nic. Próbowaliśmy narobić hałasu. Próbowaliśmy przebić się przez toaletę w pierwszej klasie. Zeszliśmy na ziemię, gdzie spoczywa dziób – zeszłej nocy osiadł jeszcze bardziej – i zajrzeliśmy do środka przez przednią szybę, w kilku miejscach, gdzie nie była za bardzo popękana. Są tam, trzech piloci, żaden z nich się nie rusza. Nie sposób stwierdzić, czy oddychają. Nasza piątka: Bob, trzech pływaków i ja, próbuję dostać się do kokpitu już od wielu godzin i czuję się wykończony.

– Muszę zrobić sobie przerwę, panowie – mówię. – Wracam nad jezioro. Zawiadomcie mnie, jeśli wam się uda.

– Możesz odpocząć tutaj, Nick – woła Bob, ale ja już schodzę po prowizorycznych stopniach i oddalam się, zanim ktokolwiek zdąży mnie zatrzymać. Prawda jest taka, że chcę zobaczyć Harper. Minęło już południe i nie potrafię o niej zapomnieć. Ignoruję nawoływanie Boba, znikając w gęstwinie lasu. Ten facet nie ma zwyczaju odpuszczać.

W drodze powrotnej nad jezioro zastanawiam się, dlaczego wciąż nie dotarły tu ekipy ratunkowe. Nawet gdybyśmy się rozbili w odległym zakątku Anglii, satelity musiałyby zobaczyć ogień, a helikoptery wychwyciłyby słup dymu. Uznaję, że zaczną się tym martwić nazajutrz. Zresztą i tak nic nie mogę na to poradzić. Skupię się na tych, którzy ocaleli. Ciepło, pożywienie i opieka medyczna mogą w wypadku niektórych zdecydować o życiu lub śmierci.

Na prawo ode mnie rozlega się trzask gałęzi. Odwracam się, by ujrzeć faceta z 2D, Graysona Shawa, który staje kilka metrów ode mnie, dzierżąc w dłoni ułamany konar wielkości kija baseballowego. Uśmiecha się, odsłaniając okrwawione zęby.

Jestem bezbronna, zbyt obolała, by uciekać, i zapewne nazbyt zmęczony, by walczyć. To powinno być interesujące.

## 8: Harper

Zeszłej nocy urodziłam nosorożca. Nie był to po prostu nosorożec, lecz samica w bliźniaczej ciąży. I z trzema rogami. Z mnóstwem rogów. Urodziłam spodziewającą się bliźniąt trzyrogą samicę nosorożca. W każdym razie takie odnoszę wrażenie.

Cieszę się, że oddycham, ale wciąż nie podoba mi się ból, jaki odczuwam przy każdym oddechu. Zamierzam poleżeć tutaj, dopóki nie przestanie mnie boleć. Ma to pozytywną stronę, bo przez ten czas trochę schudnę. Nie mam apetytu i nie potrafię sobie wyobrazić bólu, jaki może towarzyszyć jedzeniu.

Bez wątpienia wyjdę z tego wszystkiego szczuplejsza, zabawniejsza i w pełni uleczona; niczym Feniks powstający z popiołów, gotowy wzbić się ponad jeziorem przy wtórze rozdzierającego ciszę zewu wolności, wspaniały, zanim powrócę do swojego żalosego życia.

∞

Odwiedziła mnie pani doktor. Jest bardziej poważna niż zeszłej nocy. Oschła, cięta, dość nudna. Choć w kontakcie z pacjentami przydałoby się jej trochę luzu, wydaje się niegłupia. I zaordynowała mi leki. Nafaszerowała mnie jakimiś pigułkami, kiedy wczoraj wyniesiono mnie na brzeg. Nie pamiętam tego, ale ona mówi, że po tych lekach mogę mieć dziwne sny i zmacony umysł. (Zapomniałam wspomnieć o nosorożcu oraz wizji Feniksa, bo to nie wydawało mi się istotne z medycznego punktu widzenia).

Lekarka najbardziej przejmuję się moją nogą, na której mam paskudną ranę, bo nadziałam się na coś w samolocie. Zabandażowała ranę i chce obserwować proces gojenia.

Z wydarzeń ubiegłej nocy najlepiej pamiętam euforię towarzyszącą ratowaniu ludzi, a zwłaszcza dzieci, które sama wyniosłam. Potem pamiętam zimno, obejmujące mnie ramiona Nicka, a później film mi się urwał.

∞

Gdy się budzę, czuję się dużo gorzej. Leki musiały przestać działać. Nick podesłał mi jedzenie, ale nie byłam w stanie nic przełknąć, więc oddałam je komuś innemu. Muszę spać.

∞

Kilka minut temu zauważyłam dziecko przechodzące obok ogniska, Hinduskę w wieku około dwunastu lat, ubraną w podkoszulek z logo Disney World.

Poczułam się na tyle dobrze, że spróbowałam wstać i trochę się przespacerować. Prawa noga nieco niedomaga, przepełniając moje ciało ostrzami bólu przy każdym kroku, po chwili jednak jakoś sobie z tym radzę.

Za dnia nie jest bardzo zimno, ale gdy stoję, boli mnie o wiele bardziej, niż gdy leżę.

Co robić? Większość ludzi pozbijała się w gromadki nierozmawiające między sobą. Kilka osób znosi chrust i gałęzie z lasu, by dorzucać je do dogasającego ogniska. Zajęcie dobre jak każde inne.

Z głębi lasu słyszę znajomy głos. Ten, którego nie cierpię.

– Bez obawy, nie użyję tego – mówi Grayson typowym dla siebie protekcyjnalno-nienawistnym tonem. – Dołożę ci, kiedy nie będziesz się tego spodziewał.

– Teraz też się nie spodziewam. – Głos Nicka wydaje się spokojny.

Podchodzę bliżej, żeby zobaczyć ich obu. Nick wygląda na wyczerpanego. Ma ciemne sińce i worki pod oczami większe, niż pamiętam. Grayson trzyma w ręku gruby kij. Stoi odwrócony do mnie tyłem,

więc nie widzę jego twarzy.

Robię kolejny krok i pod moją stopą pęka gałązka. Unoszę wzrok, by ujrzeć, że obaj na mnie patrzą.

– Jezu, jesteś jak wirus – odzywa się Grayson. – Nie sposób się ciebie pozbyć.

Czeka, lecz się nie odzywam.

– Założę się, że to uwielbiasz. To najlepsze, co cię spotkało, no nie?

Nick patrzy na mnie, ignorując go.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. A ty?

– Też.

– Och, na miłość boską. Wybaczcie, ale muszę się teraz porzygać albo zaraz umrę. – Grayson przechodzi obok mnie. – Harper, powiedz swojemu chłopakowi, żeby spał naprawdę czujnie.

Kilka sekund później słyszę, jak wrzuca gałąź do ogniska. Nick staje przede mną; wydaje się poważny i spięty. Zastanawiam się, co się stało.

– Wczoraj przymusiłem cię do tego – mówi – żebyś weszła do samolotu.

– Wcale nie.

– Zrobiłem to. Gdyby coś ci się stało...

– Posłuchaj, gdybym musiała to zrobić raz jeszcze, nie wahałabym się, nawet gdybym nie obudziła się dziś rano zwinięta w kłębek przy ognisku. Wyciągnęłam z tego samolotu kilkoro dzieciaków. Warto było zaryzykować. Dla mnie to dużo znaczy.

Kiwa głową, wlepia wzrok w ziemię. Wciąż wydaje się poważny, ale widzę, że napięcie wypływa z niego jak strumień chłodnego powietrza.

– Gdzie cię boli? – pyta.

– Wszędzie. Boli mnie całe ciało.

Uśmiecha się do mnie, robi wydech i wybucha śmiechem.

– Mnie też.

Dzieli się ze mną informacjami, gdy wracamy w stronę ogniska, zbierając po drodze leżące na ziemi gałęzie.

Nie działa żaden telefon komórkowy, co jest dziwne, choć nie aż tak niezwykle na wiejskich rubieżach Anglii. Próbował dostać się do kokpitu, lecz bez powodzenia. Podejrzewa, że piloci nie żyją. Zajrzał do kokpitu i jest tam dość ciasno, podczas katastrofy to miejsce mogło się okazać zabójczą pułapką. Nieszczęśnicy.

Przy ognisku nalegam, by wziął jeden z moich koców, i po krótkich próbach protestu wreszcie się zgadza. Siedzimy pewien czas w milczeniu. Mam wielką ochotę zapytać go, czym się zajmuje, skąd pochodzi i w ogóle. Chcę wiedzieć, co lubi Nick Stone, gdy nie ratuje ocalałych z katastrofy samolotu, który rozbił się w lodowatych odmętach jeziora. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego. Sprawia wrażenie, jakby przybył na Ziemię z jakiegoś innego miejsca, gdzie nie występują zwyczajne ludzkie słabości i wady.

Już mam zadać pierwsze nieśmiałe pytanie, które kołacze mi się po głowie od kilku chwil, gdy ktoś podbiega do nas i niemal wpada na Nicka.

To Mike, facet w zielonej koszulce Celtics. Patrzy na Nicka i ciężko dysząc, mówi:

– Udało się... Weszliśmy.

## 9: Harper

Z wielkim trudem dotrzymuję kroku Nickowi i Mike'owi idącym przez las. Przy każdym kroku czuję, że robi się coraz chłodniej, a ból w mojej nodze się wzmaga.

Kiedy docieramy do dziobowej części maszyny, obaj wspinają się po bagażach i elementach samolotu tworzących prowizoryczne schodki. Nick przystaje na samym szczycie i wyciąga do mnie dłoń tak jak wtedy, gdy wchodziliśmy do samolotu na jeziorze.

Niezdarnie wspinam się na górę, a on chwyta mnie za rękę i wciąga do środka. Wpadam na niego, co powoduje kolejną falę bólu przeszywającego moje ciało. Ale warto. Naprawdę warto.

Dwaj pływacy, ich imiona i nazwiska mi umknęły, już tam są, a także ktoś, kogo nie znam, niski łysy facecik w czarnym swetrze. Patrzy przez szkła niedużych okrągłych okularków, obrzucając mnie sceptycznym spojrzeniem, jakby pytał, kto zaprosił dziewczynę do należącego wyłącznie do chłopców domku na drzewie.

– Harper, poznaj Boba Warda – mówi Nick. – Wyatta i Setha pamiętasz z wczorajszej nocy?

Wymieniamy uściski dłoni i skinienia głowy, po czym wszyscy odwracamy się w stronę pierwszego rzędu siedzeń. Spoczywa tam mężczyzna w mundurze pilota, z twarzą pokrytą skorupą zakrzepłej krwi.

Bob postępuje naprzód i klęka obok mężczyzny, dając równocześnie znak Nickowi.

– Dylanie, jest tu Nick Stone. – Jego oficjalny ton w innych okolicznościach mógłby wydawać się śmieszny. – Stara się zapanować nad sytuacją. Chciałbym, żebyś mu powiedział to, co przed chwilą powiedziałeś nam.

Pilot odwraca głowę, próbując odnaleźć Nicka wzrokiem. Twarz ma tak posiniaczoną i obrzmiałą, że ledwie widać białka jego oczu, ale zaczyna mówić głosem brzmiącym jak szept:

– W połowie drogi, gdzieś nad Atlantykiem, straciliśmy łączność.

Nick unosi rękę.

– Proszę zaczekać chwilę.

Co on zamierza? Przechodzi do klasy biznes i zatrzymuje się obok młodego Azjaty, który jak szalony stuk w klawisze laptopa. Po krótkiej wymianie zdań Azjata wstaje z fotela i podąża za Nickiem.

– Proszę mówić dalej – zwraca się do pilota Nick, lustrując wzrokiem komputerowca z laptopem.

– Jak wspomniałem, gdzieś nad Atlantykiem straciliśmy łączność, trzymaliśmy jednak kurs. Kapitan latał na tej trasie od trzech lat. Ja od pół roku. Radar wciąż działał, ale poza nim już nic. Wiedzieliśmy mniej więcej, gdzie jesteśmy, ale to było naprawdę dziwne, lot na ślepo. Kapitan nie miał wątpliwości, że problem znajduje się poza maszyną, ale to przecież niemożliwe. W każdym razie nawiązaliśmy łączność radarową z wieżą kontroli lotów na Heathrow nieco ponad dwie godziny przed planowanym lądowaniem. Powiedziano nam, że na całym świecie wystąpiły kłopoty z łącznością i że naprowadzą nas, gdy dotrzemy do lotniska. Powinniśmy lądować normalnie, ale ze względów bezpieczeństwa mieliśmy zejść na dwa tysiące metrów. To nas spowolniło, niemniej to zrobiliśmy. I wtedy wszystko wydarzyło się równocześnie.

– Uderzenie? – pyta Bob.

– Pierwsze, tak.

– Gdzieś powyżej?

– Nie, chyba z tyłu. Albo wokół nas. Sam nie wiem. Zeszliśmy ostro w dół, próbując go uniknąć.

– I wtedy nastąpiło drugie uderzenie? – pyta z przejęciem Bob.

– Było coś jeszcze, właściwie nie wiem co. Cała seria fal uderzeniowych, która zaczęła miotać nami



w powietrzu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Opuściliśmy podwozie i jeszcze bardziej obniżyliśmy pułap, próbując zmniejszyć prędkość i przygotować się na najgorsze. Sądziliśmy, że zbiera się na jakąś straszną burzę. Ale nie byliśmy w stanie przed nią uciec. Potem wszystko się rozmywa. Schodzimy niżej, próbując uciec, ale burza, czy cokolwiek to jest, dopada nas.

Nick wciąż patrzy na komputerowca, który stoi jak posąg. Nawet okiem nie mrugnął. Co się dzieje? Wystarczy chwilę się przespać, a kolejne zagadki pojawiają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Co o tym myślisz? – zwraca się do niego Nick.

Komputerowiec unika kontaktu wzrokowego i odpowiada spokojnym tonem:

– Jak mówiłem, nic o tym nie wiem. Ale wygląda na to, że podczas burzy wysiadła łączność, a potem się rozbiliśmy. Czy mogę już iść?

– Nikt cię nie trzyma.

Azjata wraca na swoje miejsce i obejrzawszy się raz jeszcze przez ramię na Nicka, siada, by znów zacząć stukać w klawisze laptopa.

Nick dziękuje pilotowi i wchodzi do części kuchennej między kokpitem a pierwszą klasą. Sabrina, która przyszła z nami znad jeziora, zbliża się do pilota, by go zbadać.

– Kupujesz tę historyjkę, którą sprzedał nam pilot? – Bob ze sceptycyzmem zwraca się do Nicka.

Nick patrzy przez chwilę na Boba, jakby czekał, aż tamten powie coś jeszcze.

– Owszem, tak.

Bob nazbyt teatralnie kiwa głową jak telewizyjny śledczy, który w końcu uwierzył swojemu informatorowi.

– Pozostali piloci nie żyją, więc nie ma innych świadków, których wersji moglibyśmy wysłuchać, pomijając nas samych. Próbowaliśmy użyć radiostacji, ale nie uzyskaliśmy żadnego odzewu.

– W porządku, myślę, że dziś już możemy się położyć, zaczekamy na ekipę ratunkową. Jeżeli do jutra nikt się nie zjawi, zrewidujemy nasze działania.

– Zapominasz o najważniejszym. – W głosie Boba słychać pierwsze oznaki paniki.

– Tak... a o czym?

– O broni.

Bob wpada do kokpitu i wraca z pistoletem, trzymając go za lufę jak rybę, którą złowił na biwaku.

– Odłóż to – mówi ostro Nick. – I przynieś mi klucz.

Bob mamrocze coś pod nosem, ale wraca z kluczem i kładzie go na dłoni Nicka.

– Są tam cztery pistolety. Po jednym dla każdego z was. – Ruchem głowy wskazuje na pływaków i Nicka. Chyba nie zamierza stworzyć kółka posiadaczy broni palnej?

– Nie będziemy ich nosić przy sobie – mówi Nick. – Musimy sypiać, a ktoś mógłby je nam zabrać. To zbyt niebezpieczne. – Spogląda na klucz. – Podobnie jak to. – Oddaje mi klucz. – Oni wiedzą, że nasza piątka była w kokpicie.

Wkładam klucz do ciasnej kieszeni dzinsów, gdzie przez materiał promieniuje ciepłem. Czuję się jak Frodo Baggins we *Władcy Pierścieni*, który wie, że dzierży klucz do przetrwania ocalałych z lotu 305. Jeszcze jedno brzemie do zniesienia, choć nie tak uciążliwe jak podjęcie decyzji.

Zachodzi słońce, gdy Nick i ja wychodzimy z lasu, kierując się w stronę ogniska nad jeziorem. Żadne z nas się nie odzywa, ale w myślach przepowiadam dziesiątki pytań, które pragnę mu zadać. Na przykład czym się zajmuje w życiu. Ach, kogo próbuję oszukać? Chcę mu zadać, nie wprost, pytanie, na które naprawdę pragnęłabym poznać odpowiedź. Czy w życiu Nicka Stone'a jest jakaś kobieta? Pani Stone czekająca na jego powrót. Dama jego serca. Bezduszna, o wiele za chuda, goniąca za modą, fałszywa jak trzydolarowy banknot. To nieuczciwe. Nie w porządku. Boli mnie noga. Wymówki...

Przy ognisku rozsiadamy się wygodnie i patrzymy, jak słońce zachodzi za jeziorem. Gdy czerwona tarcza chyli się za horyzont, zaczynam przesłuchanie, oczywiście nonszalancko:

- Skąd jesteś, Nick?
- Zewsząd. A ty?
- Dorastałam w małym miasteczku w Anglii, ale mieszkam w Londynie.
- Czy to twoim zdaniem przypomina Anglię? – Ruchem ręki wskazuje na otaczające nas jezioro i las.
- Tak, poniekąd.
- Też tak sądziłem. – Kuli się i otula kocem aż pod brodę. – Jestem wykończony, Harper. Do zobaczenia rano.

Zasypia w kilka sekund. Mimowolnie przypominają mi się ostatnie słowa, jakie skierował do mnie Grayson Shaw. *Harper, powiedz swojemu chłopakowi, żeby spał naprawdę czujnie.*

Układam się między nim a ogniskiem i spoglądam w gwiazdy. Tej nocy nie mogę usnąć. Zbyt długo dziś spałam, ale nie w tym rzecz. Prawda jest taka, że już dawno nie miałam okazji spać obok kogoś, kto mnie kręcił tak jak Nick Stone.

## 10: Nick

Po przebudzeniu spodziewałem się ujrzeć helikoptery, błyskające światła i angielskich ratowników pytających: „Wszystko w porządku, dobrze się pan czuje?” albo „No to zobaczmy, w jakim jest pan stanie”.

Nic z tego. Błotnista plaża przy zielononiebieskim jeziorze wygląda dokładnie tak jak ubiegłej nocy: kręgi ludzi leżących wokół dogasającego ogniska, owiniętych grubymi kocami. Tylko kilkoro z nich się porusza, mamrocząc coś po cichu między sobą.

Dźwigam się na kolana i nachylam nad Harper, która śpi zwinięta w kłębek i odwrócona w stronę ogniska. Nie obudziłbym jej za żadne skarby świata.

Minęło już ponad trzydzieści sześć godzin, odkąd się rozbiliśmy. Ktoś do tej pory powinien być tutaj dotrzeć.

∞

Przy części dziobowej mam *déjà vu*. Znów wściekły tłum, drugi raz w ciągu dwóch dni. Grayson Shaw też tu jest, ale przynajmniej nie bryluje na środku sceny. Siedzi z tyłu, wymizierowany i zrezygnowany. Chyba ma kaca. Musiał mu się skończyć alkohol. Ale to akurat może go uczynić niebezpieczniejszym.

Jedzenie skończyło się ubiegłej nocy, lecz byłem zbyt zmęczony, by to zarejestrować. Tłum szemrze, że niektórzy chomikują żywność, i nawołuje do przeszukania obozu i redystrybucji zapasów.

– Mógłbym zabić za dietetyczną colę – słyszę głos chudego facecika w pomiętym garniturze. – Jeśli z tego wyjdę, zawsze będę miał pod ręką zapas coli.

Gniew ludzi skupia się na Jillian. Atakują ją, jakby to były po prostu zakłócenia w normalnym funkcjonowaniu obsługi pasażerów podczas lotu. A ona jest teraz taką samą ocalałą jak oni, tyle że uniform, który ma na sobie, identyfikuje ją jako osobę wydającą posiłki. Jillian wzdycha z ulgą na mój widok.

– Pomocy – mówi, podbiegając i chwytając mnie rękami za ramię, bym stanął obok niej przy prowizorycznych schodkach, po czym odwraca się do tłumu.

Bob Ward i Sabrina też tu są. Ich twarze przepełnia powaga, ale zachęcająco kiwają do mnie głowami.

Tłum cichnie, nieliczni szepczą i mamroczą coś między sobą:

*To on.*

*Tak, to ten facet z jeziora.*

– W porządku – odzywam się – zdobędziemy żywność, ale to trochę potrwa.

– Potrzebujemy czegoś teraz! – woła kobieta w ubłoconym swetrze.

– Nic już nie ma, jasne? Posłuchajcie, musimy współpracować. Jeżeli będziemy współdziałać, wszyscy się najemy, w przeciwnym razie możemy umrzeć z głodu.

Użycie słów „umrzeć z głodu” było błędem. Tłum je podchwytuje i rozchodzą się jak echo, przekazywane z ust do ust, w przepełnionej paniką kontrapunkcie, aż rozbrzmiewają niczym pieśń konających z głodu. Potrzebuję kilku minut, by je cofnąć i ponownie skupić uwagę na sobie.

– To jak możemy zdobyć żywność? – pyta otyły facet z charakterystycznym nowojorskim akcentem.

No właśnie jak? Tego jeszcze nie obmyśliłem. Widzę, do czego to zmierza. Jeżeli pozwolę grupie, by przejęła kontrolę i niczym adwokat diabła torpedowała wszystkie moje wysiłki, będziemy tu tak stać aż

do zmiernych, głodni i niezdecydowani. Potrzebuję planu i to już, natychmiast.

Pomijając to, co nie do pomyślenia, są tylko dwa logiczne źródła pożywienia: druga część samolotu i ryby z jeziora. Może udałoby się nam upolować coś na łódzie, niemniej wątpię, by przy setce gąb do wykarmienia dało to rezultaty na dłuższą metę. Chyba że... w okolicy jest farma. To ryzykowna teza, ale nie porzucam jej, może wykorzystam ten pomysł w przyszłości.

– Dobrze, po pierwsze – oznajmiam autorytatywnie – musimy przeprowadzić inwentaryzację.

– Inwentaryzację?

– Tak. – Wskazuję na Jillian, nieszczęsną Jillian, i Boba Warda, który prostuje się i spogląda na zebranych z pełną powagą miną mecenasa. Przynajmniej jemu to się podoba. – Jillian i Bob zrobią obchód i wypytają was, co mieliście w bagażu podręcznym, w bagażu w ładowni, jakie zajmowaliście miejsca, i, co istotne, w którym górnym schowku znajdują się wasze rzeczy. Opiszcie wszystko, co może nam się przydać, zwłaszcza prowiant. Zgłoście się, jeżeli mieliście w bagażu strój do nurkowania, sprzęt do nurkowania, choćby fajkę czy okulary, albo wędkę do łowienia ryb.

Otyły facet po czterdziestce wybuchając śmiechem i odwraca się do tłumu.

– Wiesz co, kolego, nie wiem jak wy, ale my w Nowym Jorku w listopadzie raczej nie pływamy z fajką.

Jego słowa wywołują salwy śmiechu, a facet się szczerzy się do mnie i czeka. Znam takich jak on i chętnie bym się odszczeknął, ale nie mogę sobie robić kolejnego wroga. Potrzebuję swobody działania. Wybieram pokojowe rozwiązanie.

– To prawda. Myślę o tych, którzy podróżowali z przesiadką, wracali z Karaibów, może pływali tam, będąc na wakacjach. Lotnisko JFK to główny punkt przelotowy do najróżniejszych zakątków świata. Z Nassau można lecieć na Heathrow przez JFK. A może ktoś wybierał się przez Heathrow nad Morze Śródziemne? Kto wie, może dopisze nam szczęście.

Jillian chce się zabrać do działania, ale Bob nie rusza się z miejsca.

– Chcesz zacząć wydobywać prowiant i zapasy z jeziora?

– Tak, to wydaje się jedynym wyjściem.

– Zgadzam się, ale jest pewien problem. – Bob robi dramatyczną pauzę.

Odnośzę wrażenie, że lubi mówić „Jest pewien problem” i przerywać wypowiedź.

– Jaki?

– Wszystkie zdane do ładowni bagaże będą się znajdować w SŁ3.

Och, SŁ3.

– Co to jest SŁ3?

– Skrzynia ładunkowa.

Skrzynia ładunkowa. Dlaczego od razu nie powiedział?

– A co to takiego, Bob?

– Metalowe kontenery, w których przewozi się bagaż. W mniejszych samolotach bagaże wstawia się luzem. W większych, jak w naszym feralnym boeingu siedemset siedemdziesiąt siedem, najpierw wkłada się bagaże do skrzyń, a następnie skrzynie umieszcza się w luku bagażowym ładowni. W ten sposób można załadować więcej bagaży i jest on odpowiednio rozłożony. Boeing może pomieścić do trzydziestu dwóch skrzyń i co najmniej dziesięć palet. Nie pamiętam.

– Palet?

– Tak, z żywnością, zapasami itp.

– Co to znaczy? – pytam.

– Skrzynie ładunkowe będą rozstawione w dwóch rzędach aż do ogona maszyny. Nawet jeśli zdołalibyśmy do nich dopłynąć, trudno byłoby je otworzyć. Może dostalibyśmy się do dwóch pierwszych, ale nie wydobylibyśmy ich z dna i nie dobralibyśmy się do kolejnych kontenerów za nimi. Krótko mówiąc, nie ma co liczyć, że odzyskamy cokolwiek z bagażu w ładowni.

I tak mój plan wziął w łeb.

– Dobrze wiedzieć.

– Sprawdzę to z Jillian i pilotem, spróbuję się dowiedzieć, gdzie są zmagazynowane palety. Jeżeli umieszczono je blisko miejsca, gdzie samolot się przełamał, albo niedaleko dziobu, może dopisze nam szczęście.

– W porządku. Dzięki, Bob.

Bob Ward. Irytujący? Tak. Pomocny? Również tak.

Podchodzi pani doktor, a na jej twarzy dostrzegam wymowne: „Coś jest nie tak, i to bardzo, panie Stone”. A może ona zawsze tak wygląda.

– Cześć, Sabrino – mówię, w duchu szykując się na najgorsze.

– Musimy zbudować szałas.

Przynajmniej ona jest rzeczowa i konkretna.

– Dlaczego?

– Większość pasażerów doznała łagodnej hipotermii pierwszej nocy. Przypadki takie jak twój i panny Lane są umiarkowane. Dziś rano zaobserwowałam pewną zbieżność: mniej więcej połowa pasażerów ma gorączkę. Jeżeli pozostaną pod gołym niebem, mogą się porządnie przeziębic. Ich stan będzie się pogarszał. Jeżeli się rozpada, będzie z nimi jeszcze gorzej. Wkrótce możemy mieć do czynienia z przypadkami infekcji bakteryjnej albo zapalenia płuc. Chciałabym przynajmniej przenieść osoby o osłabionej odporności oraz pasażerów w podeszłym wieku, wszystkich tych, których może czekać terapia immunosupresyjna, typowa w przypadku chorób autoimmunologicznych, do części dziobowej i jakoś ją zabezpieczyć.

– Dobra. Niech ktoś sprawdzi drzewa, na których opiera się ta część samolotu. Ubiegłej nocy wyraźnie się obniżyła. Jeżeli runie pod wpływem dodatkowego obciążenia, możemy znaleźć się w jeszcze poważniejszej sytuacji. Wrócę tu dziś wieczorem i wtedy się nad tym zastanowimy.

– Dokąd się wybierasz?

– Ktoś musi spenetrować okolicę, poszukać czegoś od jedzenia, może nawet znaleźć pomoc – albo lepsze schronienie.

Jej oczy rozszerzyły się.

– Nie możesz odejść.

– Dlaczego?

– Bez ciebie rozpęta się tu chaos.

Patrzę na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Chyba ma rację. To mnie niepokoi, ale także przepelnia uczuciem, jakiego nie doświadczyłem od dawna: spełnienia. Odnoszę wrażenie, że robię to, co powinienem, i że wpływa to na życie innych. Od dawna tak się nie czułem.

∞

Przerwa. Bob znalazł w części dziobowej maszyny paletę z niewielką ilością żywności. Palety były uszkodzone, ale jedzenia wystarczyło na dwa posiłki. Wzmocni to morale grupy i pozwoli na pewien czas uciszyć narzekania.

Sabrina poprosiła o leki, zwłaszcza antybiotyki, lecz jak dotąd podczas przeszukiwania bagaży nie udało się niczego znaleźć. Ktoś mówił o sprzęcie do łowienia ryb, a dwóch pasażerów twierdziło, że ma fajki do nurkowania, ale to wszystko ma się znajdować w luku bagażowym, w jednym ze stalowych kontenerów. Sondowałem mężczyzn, którzy popłynęli ze mną do ogonowej części maszyny, ale żaden z nich nie czuł się na siłach zanurkować do wraku. Wcale im się nie dziwię. W rezultacie posłałem ich wraz z kilkoma innymi pasażerami, którzy wciąż są we względnie dobrym stanie, aby spenetrowali okolicę. Wyruszyli kilka godzin temu w czterech trzyosobowych zespołach, każdy w inną stronę świata. Mają iść do południa, dopóki nie napotkają kogoś lub czegoś, a następnie wrócić do pozostałych. Liczę

na to, że zobaczymy ich przed zmierzchem. Wtedy będziemy wiedzieć o wiele więcej.

∞

Harper jest chora. Obudziła się z silnym kaszlem, bólem głowy i niewielką gorączką. Twierdzi, że wszystko w porządku, ale Sabrina martwi się o jej zdrowie, dlatego przeniosła ją, wbrew protestom, do części dziobowej.

Sprawdziłem drzewa podpierające tę część samolotu. Wciąż nie dają mi spokoju, na razie nie widzę jednak lepszego rozwiązania.

Otwór w kadłubie zasłoniliśmy niebieskimi kocami, lecz co kilka chwil lodowaty podmuch wiatru prześlizguje się między nimi. W dzień jest tu chłodniej niż nad jeziorem przy ognisku, ale podejrzewam, że w nocy będzie o wiele przytulniej; Sabrina przeniosła do środka naprawdę wielu pacjentów.

Tajemniczy Azjata Yul Tan wymyślił lepsze rozwiązanie – postawienie ściany. Wraz z Sabriną utworzyli ją z bagaży, umieszczając je jeden na drugim od podłogi aż po sufit, a otwory między nimi zatkali kamizelkami ratunkowymi, z których spuszczone powietrze. Wygląda to trochę dziwnie, ale spełnia zadanie.

Harper zajmuje swoje dotychczasowe miejsce w pierwszej klasie – 1D – i wyciąga się na fotelu.

– Czuję się bezużyteczna – mówi, pokaszując.

– Jak my wszyscy, przynajmniej na razie. Możemy jedynie czekać. Ale już wkrótce wydostaniemy się stąd.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Jasne – odpowiadam odruchowo. To jedyna odpowiedź, jakiej mogę jej teraz udzielić. Staram się, by w moim głosie nie dało się wyczuć powątpiewania.

Mija minuta, gdy tak siedzimy ściśnięci w jej rzędzie i patrzymy na innych pasażerów, którzy mijają nas i pokaszując, przechodzą, by położyć się na sąsiednich fotelach.

– Powiedz mi, czym właściwie zajmuje się na co dzień tajemniczy, pomysłowy, znający się na wszystkim Nick Stone. Kiedy nie ratuje bezbronnych, bezradnych pasażerów.

– Ja? – Waham się chwilę, zastanawiając się, co jej powiedzieć. – Niczym... tak ciekawym jak ratowanie pasażerów rozbitego samolotu. A ty?

– Jestem pisarką.

– Naprawdę? Mogłem czytać coś twojego?

Spuszcza wzrok i ni to pokaszując, ni to śmiejąc się, odpowiada:

– Bardzo możliwe. Napisałam sześć książek, ale na żadnej z nich nie widnieje moje nazwisko i nie wolno mi o tym mówić.

Zastanawiam się, co to znaczy. To chyba drażliwy temat. Ale zanim zdążę zapytać, kątem oka dostrzegam, że ktoś do mnie macha: Mike, stoi przy schodkach. Towarzyszy mu dwóch mężczyzn, którzy wyruszyli z nim na wschód. Wyglądają na zmęczonych. Są zdyszani, przygarbieni, opierają dłonie na kolanach. Cokolwiek ich spotkało, sprawiło, że wrócili tu biegiem.

Podrywam się z miejsca i w cztery sekundy jestem na zewnątrz.

– Znaleźliście coś?

– Tak – odpowiada Mike. Jest podekscytowany, ale wyczuwam coś jeszcze: zdenerwowanie. – Znaleźliśmy... coś.

## 11: Nick

Zeszłej nocy prawie nie zmrużyłem oka. Nie mogłem zapomnieć zdjęcia, które zrobił Mike: budowli na planie ośmiokąta, ze szkła i metalu, błyszczącej pośrodku pola. Nie było żadnej drogi czy choćby ścieżki, które by do niej prowadziły, żadnych pojazdów ani jakichkolwiek wskazówek sugerujących, co znajduje się w środku. To zagadka, miraż pośród wysokich zielonych traw.

Mike pstryknął fotkę z grani oddalonej wiele kilometrów, po czym on i jego ekipa szybko wrócili. Nie wiadomo, co może być w środku. Przez wzgląd na zmarzniętych, wygłodniałych rozbitków lotu 305 mam nadzieję, że szklana budowla kryje w sobie coś do jedzenia. Byłoby miło znaleźć tam również telefon satelitarny, aby wydostać nas z tej kabały. Sytuacja staje się coraz bardziej rozpaczliwa.

Dziś rano wydamy resztki żywności i nie mamy perspektyw na zdobycie czegoś więcej, a w każdym razie nie na to, by dało się wykarmić sto cztery osoby. Poprosiłem Jillian, żeby zorganizowała dziś zespoły do zbierania orzechów i jagód oraz grupy, które będą doglądać ogniska, ale głównie chodzi o to, by ludzie mieli zajęcie i nie skakali sobie do gardeł.

Wody jest pod dostatkiem, ale na tym kończą się dobre wiadomości. Bez jedzenia przetrwamy kilka dni, nieco dłużej wytrzymamy z pewnymi problemami, ale później sytuacja zrobi się naprawdę ciężka.

O świcie cztery drużyny zwiadowcze rozdziela między siebie resztki żywności, tyle, by wystarczyło na dwa dni marszu i noc biwakowania w terenie, gdyby okazało się to konieczne. Dzięki temu podwoimy spenetrowany obszar.

Świetnie, że Mike pamiętał o zabraniu telefonu. Dopilnuję, by każdy członek poszczególnych zespołów miał przy sobie dwie komórki – własną, o ile bateria nie padła, i drugą, należącą do kogoś z pozostałych pasażerów. Przy czterech trzyosobowych grupach daje to dwadzieścia cztery telefony komórkowe. Aparaty różnych firm i należące do różnych sieci zwiększają prawdopodobieństwo złapania zasięgu. Co godzinę grupy mają się zatrzymywać, włączać komórki i sprawdzać, czy jest sygnał. Mają również fotografować wszystko godne uwagi, każdy potencjalny punkt orientacyjny. Krajobraz opisywany przez grupy wczorajszych zwiadowców: łagodne, porośnięte lasami wzgórza i nieliczne łąki, pasował do każdego państwa Europy Północnej, Skandynawii albo Wysp Brytyjskich. Może jednak jakiś szczegół na zdjęciach skojarzy się z czymś kóremuś z pasażerów. To mogłoby nam podpowiedzieć, dokąd powinniśmy się udać lub jak daleko jesteśmy od ewentualnej pomocy.

Po drugiej stronie jeziora ponad linią drzew pojawiają się pierwsze promienie słońca. Siedzę przez chwilę, patrzę, jak mój oddech zmienia się w parę w chłodnym powietrzu, i przysłuchuję się trzaskaniu ogniska na prawo ode mnie. Wreszcie podnoszę się i wracam do lasu.

Bob Ward czeka na mnie na prowizorycznych schodkach prowadzących do części dziobowej.

– Idę z tobą – oznajmia.

– Nie idziesz, Bob.

Przyspieszam kroku, próbując go minąć, lecz zastępuje mi drogę.

– Widziałem zdjęcie, które zrobił Mike. Tam może być wszystko. Będziesz mnie potrzebował, Nick.

Czas na podjęcie trudnych decyzji. Nie cierpię tego, ale w grę wchodzi życie stu czterech osób, a kończy się nam czas, kiedy możemy im jeszcze pomóc.

– Tu jest sporo roboty, Bob. Czeka nas ciężki marsz. Nie możemy zatrzymywać się dla każdego, kto nie będzie za nami nadążał.

– Dam radę.

Szczerze w to wątpię, niestety. Bob ma z sześćdziesiąt lat, sam nie jestem pewien, czy nadążę za

Mikiem, który jest dziesięć lat młodszy ode mnie i w zdecydowanie lepszej kondycji. Robię wydech i staram się podejść do całej sprawy rozsądnie.

– Posłuchaj, Bob, jeśli zaczniesz zostawać w tyle, gdy minie południe, to nie dasz rady wrócić do obozu przed zmierzchem. Przyjdzie ci spędzić noc pod gołym niebem. Bez jedzenia.

– Rozumiem, Nick. Jeżeli nie będę nadażał, sam poproszę, żebyście mnie zostawili. Wiem, co jest stawką w tej grze. Kiedy wyruszamy?

Prawda jest taka, że nie mogę powstrzymać Boba, a musimy już wyruszyć. Potrząsam głową i ostatecznie się zgadzam.

– Natychmiast. Zawołaj Mike'a i ruszamy.

W samolocie klękam obok Harper. Śpi albo jest nieprzytomna. Potrząsam nią, ale się nie budzi. Ma wilgotne włosy. Koszulę również. Wycieram pot z jej czoła i odgarniam mokre włosy. Jej rozpalona skóra mnie przeraża. Harper jest poważnie chora. W końcu zmuszam się, by wstać i się odwrócić.

W głębi Sabrina rozmawia półgłosem z Yulem.

– Widziałaś Harper? – pytam.

– Tak – odpowiada, przenosząc wzrok na mnie.

– I jakie są prognozy? Co dla niej robisz?

– Regularnie monitoruję jej stan.

– To wszystko?

– Ma infekcję. Czekam, by przekonać się, czy jej ciało zdoła ją zwalczyć.

– Nie zdoła. – Z trudem zachowuję spokój. – Widziałaś ją dziś rano? Jest cała rozpalona.

– To dobry znak. Jej system odpornościowy reaguje prawidłowo.

– I przegrywa. Z każdym dniem jej stan się pogarsza. Nawet się nie obudziła, gdy nią potrząsałem.

Potrzebuje antybiotyków.

Sabrina podchodzi bliżej i zniża głos:

– Których już prawie nie mamy. Racjonuję je, zachowując dla naprawdę krytycznych przypadków.

– Harper jest krytycznym przypadkiem.

– Krytycznych w sensie zagrożenia życia.

– Jej życie nie byłoby zagrożone, nawet by nie zachorowała, gdyby nie weszła do samolotu ratować ludzi. Mamy wobec niej dług i musimy ją ocalić. Jaki komunikat prześlemy tym ludziom, jeśli ona umrze? Narazisz dla kogoś życie, a my pozwolimy ci umrzeć? To niebezpieczne, Sabrino.

– Jeżeli podam jej antybiotyki dziś, gdy ich nie potrzebuje, może to oznaczać wyrok śmierci dla kogoś innego. Podejmuję logiczne ryzyko, by ocalić jak najwięcej ludzi. Wierzę, że zgadzasz się z tą koncepcją. Dałeś tego dowód nad jeziorem.

– Naprawdę, nieźła z ciebie zołza, Sabrino. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie potrafisz spojrzeć na tę sytuację obiektywnie. Zachowujesz się irracjonalnie, ponieważ nawiązałeś emocjonalną więź z panną Lane...

– Wiesz coś o tym? O nawiązywaniu emocjonalnych więzi z ludźmi? A może czytałeś o tym w jakimś czasopiśmie?

– Twoje podejście łatwo można wytłumaczyć. William Boyd z 4D ma symptomy gorsze niż panna Lane. Ale ty nawet nie zapytasz o pana Boyda.

– William Boyd nie poszedł z nami do samolotu i nie groziło mu utonięcie w przeciwieństwie do Harper.

– Był w wodzie, stał w szeregu, pomagając przetrzącać ocalałych z wraku na brzeg. Ale nie chodzi o jego rolę w operacji ratunkowej. Nie zapytałeś o pana Boyda, bo nie łączy cię z nim więź emocjonalna. Nie jesteś obiektywny, Nick. A ja tak. Prawdę mówiąc, z powodów, które przed chwilą tak zjadliwie zasugerowałeś, bardziej niż ktokolwiek jestem zdolna do podejmowania chłodnych, pozbawionych emocji, czysto logicznych decyzji dotyczących opieki nad tymi ludźmi, aby zwiększyć do maksimum



liczbę uratowanych.

– Daj mi antybiotyki.

Sabrina zaciska usta i wlepia wzrok w podłogę.

– Słyszałaś. Daj mi je, Sabrino.

– Grozisz mi?

– Owszem, tak, do cholery. Ty zagrażasz życiu osoby, na której mi zależy, wobec której mamy olbrzymi dług, i nie zamierzam ci na to pozwolić. Możesz grać w te swoje dziwaczne medyczne szachy z kimś innym.

– Wiedziałam, że ta chwila nadejdzie, ale nie spodziewałam się, że osobą, która zechce mi grozić, będziesz ty. Ukryłam antybiotyki wraz ze wszystkimi innymi lekami.

Oczywiście, że to zrobiła. Jestem tak wściekły, że ledwie widzę na oczy. Fala gniewu mija i ogarnia mnie bezwzględny spokój. Odwracam się, przechodzę między rzędami i mijam Boba Warda, obok którego stoi Mike.

– Jesteśmy gotowi, Nick – mówi, ale nawet na niego nie patrzę.

Kłękam obok Harper, wsuwam dłoń do kieszeni jej przesiąkniętych potem dżinsów i wydaję klucz, który dałem jej wczoraj. W kokpicie otwieram kasetkę i unoszę wieko. Są tam cztery pistolety leżące obok siebie.

Jeszcze jako dzieciak nauczyłem się posługiwać bronią palną. Porwanie stanowi stałe ryzyko dla każdego dziecka, które dorastało w takich warunkach jak ja.

Wydaję pierwszy z brzegu pistolet i przez chwilę ważę go w dłoni, by przyzwyczaić się do jego ciężaru i kształtu, a w duchu mówię sobie, że mogę zrobić to, o czym podświadomie myślę. Kiedy jednak przykucam w kokpicie z bronią w ręce, wiem, że nie mogę tego zrobić. To zabawne: wyobrażasz sobie, że popełniasz najgorszy czyn, całkowicie sprzeczny z twoim kodeksem moralnym, ale dopiero gdy fizycznie dysponujesz argumentem pozwalającym na realizację tego zamierzenia, decyzja staje się realna. Dopiero wtedy przekonujesz się, do czego jesteś zdolny – lecz ja nie mogę się na to zdobyć. Nie jestem pewien, czy czyni mnie to jednym z tych dobrych, czy raczej jednym z tych złych.

Mam nadzieję, że pomoc gdzieś tam jest. Naprawdę.

Wkładam trzy pozostałe pistolety do kieszeni kurtki, po czym zamykam wieko kasetki i stoję przez chwilę z kluczem w dłoni. Jest jeszcze inne rozwiązanie, w granicach moich norm moralnych. Sabrina sztywnieje, gdy do niej podchodzę, ale tylko wręczam jej klucz.

– W kokpicie jest zamykana kasetka. To może być dobre miejsce na przechowywanie leków, blisko i bezpiecznie, a poza tym nie zagrażą im warunki atmosferyczne. To jest jedyny klucz.

Bierze go bez słowa i świdruje mnie wzrokiem, nie zdradzając cienia emocji.

– Na wypadek, gdyby to zaburzyło twój kalkulacyjny umysł, powiem jedno: jak słusznie zauważyłaś, łączy mnie z Harper więź emocjonalna. Jeżeli ona umrze, załamie się. Wpadnę w depresję. To zaburzenie psychologiczne. Zakładałam, że twoje przeszkolenie obejmowało podstawy psychologii.

Czekam, zmuszając ją do odpowiedzi.

– Owszem, tak.

– W depresji nie będę w stanie wykonywać obowiązków przywódcy. Jak już wcześniej zauważyłaś, w tym obozie beze mnie zapanowałby chaos. Może to prowadzić do wypadków śmiertelnych.

Sabrina przenosi wzrok na Harper, z powrotem na mnie, a ja niemal widzę kółeczka obracające się w biologicznym komputerze, który ona nazywa mózgiem.

– Odnotowałam – mówi.

Na zewnątrz rozdaję pistolety przywódcom trzech pozostałych zespołów. Będą dziś szli innymi trasami niż wczoraj, kierując się na północny wschód, południowy wschód i południowy zachód. Mike, Bob i ja wrócimy szlakiem na wschód, do budowli ze stali i szkła, ale narzucimy zdecydowanie szybsze tempo. Naszym celem jest dotarcie do zagadkowej budowli przed południem.

– Użyjcie broni tylko w wypadku zagrożenia ze strony niebezpiecznych zwierząt, oszczędzajcie amunicję na sytuacje kryzysowe. Jeśli nie znajdziecie pomocy, jutro w drodze powrotnej rozejrzyjcie się za grubą zwierzyną, którą można by ustrzelić, mam na myśli jelenia, łanię, łosia, ewentualnie krowę, cokolwiek, na co możecie się natknąć. Wróćcie do obozu po ludzi, żeby pomogli wam przenieść ustrzeloną zdobycz. Wszyscy wiecie, jaka jest sytuacja. Nie zamierzam wygłaszać mów ani prawić wam kazań. Prawda jest taka, że jeśli nie wrócimy nazajutrz z pomocą lub jedzeniem, w następnych dniach zaczniemy tracić ludzi. Starsi i słabi pasażerowie zaczną przymierać głodem, a niektórzy rozpaczliwie potrzebują lekarstw. Albo nam się uda, albo ludzie zaczną umierać. To tyle. Powodzenia.

Grupa się rozdziela; Mike, Bob i ja ruszamy przez gęsty zielony las i oszronione pola. Wysokie trawy rozmarzają pod wpływem promieni słońca i wkrótce nogawki naszych spodni są przemoczone aż do kolan. Jest mi zimno, ale marsz pozwala się trochę rozgrzać. Staram się nie myśleć o Harper.

Co godzinę zatrzymujemy się, by włączyć komórki i zrobić kilka zdjęć, ale wciąż nie mamy zasięgu ani nie zauważamy niczego znaczącego. Jest tak, jak mówił Mike: wzgórze, łąki i lasy jak okiem sięgnąć, niezależnie, czy patrzy się gołym okiem, czy przez lornetkę, którą Bob znalazł wczoraj w bagażu podręcznym.

W końcu docieramy do wzgórza, z którego Mike zrobił wczoraj zdjęcie, i dostrzegamy ową szklaną budowlę na planie ośmiokąta. Wydaje się, że dzieli nas od niej piętnaście kilometrów, i dalszy marsz potwierdza nasze przypuszczenia. Nawet nie zatrzymujemy się, żeby coś przekąsić. Trzeba przyznać, że Bob za nami nadąża, choć jest zdyszany bardziej niż Mike czy ja i wydaje się wyczerpany. Mógłbym przysiąc, że starzeje się z godziny na godzinę, ale wątpię, by zechciał zrezygnować z tej wyprawy.

W połowie drogi do ośmiościennej budowli, podczas jednego z regularnych cogodzinnych postojów patrzę przez lornetkę i dostrzegam coś jeszcze: kamienne zabudowania farmy na południe stąd, prawdopodobnie kolejne piętnaście kilometrów dalej. Ustalam jej pozycję, bo jeśli szklana struktura okaże się niewypałem, będzie to nasz kolejny przystanek. Lustruję dom przez następnych parę minut, wypatrując jakichś oznak życia. Wygląda na opuszczony.

Później, niż zakładałem, bo dopiero po południu, docieramy do szklanej budowli, która jest dużo większa, niż się wydawała z grani, ma co najmniej piętnaście metrów wysokości i ze sto metrów średnicy. Szklane ściany są pokryte niebieskawobiałym szronem, a konstrukcja wygląda na wykonaną z aluminium.

Nie ma żadnej drogi ani nawet ścieżki prowadzącej do tej budowli. Bardzo dziwne.

Obchodzimy budowlę, szukając wejścia. Jesteśmy w połowie drogi, gdy rozlega się dźwięk zwalnianych blokad. Z poziomu gruntu w kierunku sklepienia wysuwa się panel, kurtyna z mlecznego szkła odsłania widok tak niezwykle, że nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Zatrzymujemy się jak wryci, patrząc w osłupieniu.

Znam to miejsce. Byłem tu tylko raz w życiu, ale ten dzień zapisał się na zawsze wśród moich wspomnień z dzieciństwa.

Miałem wtedy osiem lat i przez cały tydzień, zanim odwiedziłem to miejsce, odliczałem dni i godziny. To nie cel wyprawy tak mnie ekscytował, lecz szansa na wyjazd z ojcem. Był wówczas ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii i spędzaliśmy razem mało czasu. Ale tego dnia wydawało mi się, że jesteśmy sobie bardzo bliscy.

Dla innych dzieciaków uczestniczących w tej wycieczce ten prehistoryczny pomnik był jedynie stertą kamieni na polu. Stonehenge je nudziło. A dla mojego ojca miejsce to było nie tylko częścią historii, lecz inspiracją, symbolem ideału. Prawie pięć tysięcy lat temu budowniczości tej konstrukcji przelewali pot i krew, by w trudzie i znoju zachować swoją kulturę i wizję dla przyszłych pokoleń. To, że ci tajemniczy ludzie wzniesli Stonehenge i część tej budowli pozostała, by wciąż inspirować i przekazywać nam wiedzę, choćby w dużej mierze tajemną, przemawiało do mojego ojca. Tego dnia zrozumiałem, że podobnie postrzegał swoją karierę dyplomaty. Budował swoje prywatne Stonehenge w Ameryce na

fundamencie relacji zagranicznych, aby w ten sposób szerzyć swoją wizję lepszego społeczeństwa w sferze globalnej, opartą na fundamentalnych zasadach, jak równość i wolność. Nie chodziło o to, że mnie nie lubił albo nie miał ochoty spędzać ze mną czasu, on po prostu uważał, że jego praca jest ważniejsza.

Stonehenge w oczach ośmiolatka: to właśnie wtedy spojrzałem na relacje z ojcem z innej perspektywy i pozwoliło mi to oszczędzić sobie wielu udręk w dzieciństwie. To było dla mnie jak objawienie, coś, czego mogłem się uchwycić, gdy zaczynałem się zastanawiać, dlaczego nigdy go nie ma w pobliżu i czemu ojcowie innych dzieciaków bardziej się nimi interesują.

Ale tamto objawienie błędnie w porównaniu z odkryciem, którego dokonuję obecnie. Dwadzieścia osiem lat temu były to ruiny nadgryzione zębem czasu i niszczone przez wandalów, brakowało połowy słupów, inne zaś leżały płasko na ziemi. Stonehenge, które teraz wyrasta przede mną, to nie ruiny. To miejsce wygląda, jakby powstało wczoraj.

## 12: Harper

Jestem wrzącym workiem mięsa. Mięsną zupą w delikatnej powłoce ze skóry.

Zżera mnie gorączka. Miałam grypę, a moja mama nabawiła się zapalenia płuc trzy zimy temu. Ale to nie jest ani jedno ani drugie. Nie jest dobrze. Jestem chora i przerażona.

Tu, w kabinie pierwszej klasy, świat wokół mnie przelatuje w krótkich przebłyskach między snem a mglistym przebudzeniem. Nade mną unosi się twarz lekarki.

– Słyszysz mnie, Harper?

– Tak. – Mój głos jest ochrypły, ledwie słyszalny.

– Infekcja się rozprzestrzeniła. Jej ogniskiem jest zraniona noga. Rozumiesz mnie?

Kiwam głową.

– Oczyszcziłam ranę, kiedy wyciągnięto cię na brzeg, ale w ranę wdała się infekcja. Zamierzam dać ci cztery ibuprofeny, a potem wrócę i omówimy kolejne kroki.

Połykam pigułki i zamykam oczy. Kolejne kroki. To zabawne. Dlaczego? Ach tak, bo mam zranioną nogę. Przynajmniej to, co we mnie najlepsze, pozostaje nietknięte.

∞

Wszystko wciąż mnie boli, ale gorączka spadła i przejaśniło mi się w głowie. Świat powrócił, lekarka również. Odwraca mnie, by móc lepiej przyjrzeć się mojej prawej nodze, ściąga mi dzinsy. Zsuwają się łatwo jak spodnie od piżamy.

Sporo schudłam. To pewien plus.

Czarnokarmazynowy płyn przesącza się przez biały bandaż, który mam założony prawie od kolana do prawej kostki. Skóra wokół bandaża jest opuchnięta i zaczerwieniona. Od patrzenia na nogę czuję się jeszcze bardziej chora.

Moje kończyny były zdrętwiałe pod sam koniec akcji w samolocie, bo zaczepiłam o coś nogą i dopiero Nick mnie uwolnił. Teraz mnie boli. Prawie czuję gorąco bijące z tego miejsca i przesuwające się w górę po całym ciele.

Sabrina przez dłuższą chwilę spogląda na bandaż, jakby miała w oczach promienie rentgenowskie i chciała uchwycić dokładny obraz. Potem patrzy mi w oczy.

– Masz poważną infekcję, której źródłem jest rana na twojej łydce. Infekcja stanowiła zagrożenie, odkąd znalazłaś się na brzegu. Oczyszcziłam ranę najlepiej jak mogłam i zabandażowałam. To nie wystarczyło. Teraz musimy podjąć pewne decyzje.

Nie podobają mi się te słowa.

– Następnym krokiem będzie ponowne oczyszczenie rany i baczne jej monitorowanie. Normalnie dostałabyś już antybiotyki, ale nasz zapas jest bardzo ograniczony. Ponieważ mamy dostęp do źródła infekcji, jest szansa, że zdołamy ją zwalczyć bez podawania antybiotyków dożylnie.

– Rozumiem.

– Jeżeli o zachodzie słońca infekcja wciąż się będzie pogłębiać, podejmiemy bardziej zdecydowane kroki.

Kiwam głową, starając się ukryć narastające zdenerwowanie.

– Teraz usunę nieco tkanek wokół rany i po raz trzeci wysterylizuję to miejsce.

Wciąż tym samym monotonnym głosem Sabrina wymienia poszczególne zagrożenia, używając groźnych słów, takich jak „sepsa” i „gangrena”. Najkrócej mówiąc, jeśli dziś mi się nie polepszy,

zamierza usunąć część nogi. W najlepszym wypadku będę mieć mocno ograniczony wybór letnich kreacji. W najgorszym... może być znacznie gorzej. Sabrina kończy słowami: „permanentna utrata mobilności”. A potem czeka. Zastanawiam się, co chciałyby usłyszeć.

– Cóż, pisarze i tak nie wychodzą zbyt często. Od lat nie uprawiałam sportu. To tyle, jeżeli chodzi o ponowne wyrobienie sobie karty członkowskiej na siłowni po powrocie do cywilizacji.

– Opisałam twoją sytuację ze szczegółami, bo uważam, że każdy pacjent ma prawo znać stan swojego zdrowia i, jeśli to możliwe, uczestniczyć w podejmowaniu decyzji związanych z opieką nad nim. A twoja sytuacja jest obecnie wyjątkowa. Nick odwiedził mnie w związku z opieką nad tobą. Nalegał, bym niezwłocznie podała ci antybiotyki. Wspomniał o pewnych... konsekwencjach, reperkusjach natury emocjonalnej, których mógłby doświadczyć i które mogłyby mieć znaczący wpływ na dobro całego naszego obozu, gdyby twój stan się pogorszył.

Nickowi Stone’owi na mnie zależy. To już coś.

Sabrina mówi dalej. Sprawia wrażenie, jakby odczytywała przygotowane oświadczenie, które powtarzała wcześniej kilkakrotnie.

– Oszczędzam antybiotyki na wyjątkowo pilne przypadki. Moje podejście jest proste: przedłużyć życie komu tylko się da i jak największą liczbę ocalałych utrzymać przy życiu, do nadejścia pomocy.

I teraz to do mnie dociera: Sabrina wolałaby odesłać stąd dziesięciu ocalałych mających zamiast jednej lub obu nóg drewniane kule niż tylko pięciu poruszających się o własnych siłach. Ma rację, nasi najbliżsi zgodziliby się z nią. No właśnie, mogę się założyć, że mama się o mnie zamartwia.

Sabrina wciąż mówi, a sądząc po natężeniu głosu, szykuje się do powiedzenia czegoś naprawdę ważnego.

– Niemniej po tym, co usłyszałam od Nicka, stoję przed dylematem, czy podać ci teraz antybiotyk. Jeśli tego nie zrobię, narażę na szwank dobro całego obozu.

– Rozumiem.

Znów zastanawiam się, co chce ode mnie usłyszeć. O nic nie pyta, ale stoi tuż obok mojej nogi, sugerując pytanie. Nie próbuje też wywierać na mnie nacisku. Widać, że mówienie nie jest jej mocną stroną.

– Normalnie na tym etapie, gdybyś znajdowała się w szpitalu, podano by ci antybiotyk w kroplówce. Mamy tu jedynie antybiotyki doustne i choć mogą pomóc, nie jestem pewna, czy okażą się w stu procentach skuteczne. Jak już mówiłam, wolałabym zaoszczędzić je dla pacjentów, u których nie ma dostępu do ogniska infekcji, i szczerze mówiąc, dla przypadków, gdy mogą przedłużyć życie. U osób o mniejszej wadze ciała nasze ograniczone dawki dadzą bardziej znaczący efekt, przyniosą lepsze rezultaty.

Mniejsza waga ciała.

– Dzieci.

– Zgadza się.

Wszystko jasne. Sabrina chce, żebym to ja podjęła decyzję, liczy na moją pomoc.

Stawką jest życie i kończy, niezależnie kto dostanie antybiotyki. Zadaję sobie pytanie, z jaką decyzją byłabym w stanie żyć, ale sprawa jest znacznie bardziej złożona. Mogę nie przeżyć. To tylko próba, prawda? Mogę podjąć decyzję, z którą nie byłabym w stanie żyć – i uratować własną skórę – albo podjąć decyzję, z którą mogłabym żyć, ryzykując, że umrę.

Sabrina patrzy na mnie, czeka.

Mam wiele wad. Ale jeżeli spytacie moich przyjaciół, która z nich najbardziej przeszkadza mi w życiu, wszyscy odpowiedzą: podejmowanie decyzji. Zwłaszcza tych dotyczących mojego dobra. Mojej kariery. Randek. Miejsca zamieszkania. Pracy. W podejmowaniu decyzji dotyczących mojej przyszłości jestem do niczego. Przynajmniej umiem wybrać sobie ciuchy i zdecydować, gdzie pójdę zjeść (niekiedy w obliczu takich wyzwań dowiaduję się o sobie czegoś pozytywnego).

W pierwszej chwili ogarnia mnie panika i panikuję, że panikuję, niemal do granic załamania. Ale udaje mi się powstrzymać. Nie ma o co kruszyć kopii. Przecież to, co powiem może jedynie zadecydować o tym, czy stracę życie i/lub kończynę albo czy to spotka któregoś z tych świetnych dzieciaków. Gdy mijają kolejne sekundy, nie ma śladu paniki, za to refleksyjnym spokojem przepelnia mnie jedyna wyrazista i pewna odpowiedź. Żadnego wahania, żadnej udręki. Dziwne. Będę musiała o tym pomyśleć później, kiedy neurotyczna, lecz niewątpliwie kompetentna lekarka nie będzie kucać obok mojej gnijącej nogi.

– Zgadzam się z tobą, Sabrino. Inne osoby bardziej potrzebują antybiotyków. Kiedy Nick wróci, powiem mu, że zaproponowałaś mi leki, a ja odmówiłam.

– Dziękuję. – Sabrina robi wydech i siada, opierając się plecami o ścianę.

Wydaje się bardziej wyczerpana niż dotychczas. Ta rozmowa była dla niej chyba bardzo trudna. Natomiast ja teraz naprawdę chcę mieć pewność, że doktor Sabrina zna swój fach. Chcę wiedzieć, że z takimi ranami jak moja ma styczność w miarę regularnie i że setki razy leczyła tego rodzaju dolegliwości. Biorę głęboki oddech.

– Jaką masz specjalizację, Sabrino?

Wahanie.

– Często masz styczność z infekcjami? Urazami? Opatrywaniem ran? – kontynuuję z każdym słowem coraz bardziej zdenerwowana.

– Nie rutynowo...

– Jasne. A więc czym zajmujesz się rutynowo?

– Pracuję w laboratorium.

A niech mnie.

– Ale miałam sporo doświadczeń podczas stażu na urazówce w szpitalu, kiedy studiowałam medycynę.

A niech mnie po dwakroć, po trzykroć, po stokroć. Wiecie, co ja pamiętam ze studiów? Bardzo. Ale to bardzo. Niewiele. Kiwam głową, jakby właśnie rozmawiała ze mną o prognozie pogody na dziś, i mówię sobie, że Sabrina jak jej tam jest, tak się akurat złożyło, naszą najlepszą panią chirurg urazową w tym prowizorycznym szpitaliku polowym i nie możemy liczyć obecnie na lepszego specjalistę. Musimy pokładać wiarę w nią.

Zaczyna odlepiać białą taśmę na końcu bandaża.

– Gotowa?

Czy ktokolwiek mógłby powiedzieć nie? Przecież ona pracuje w laboratorium.

∞

Średniowiecze. Tak bym określiła to, co właśnie wydarzyło się na fotelu 1D w szczątkach rozbitej maszyny z lotu 305. Średniowiecze w pełnej krasie. Niektórzy mówią, że leczenie bywa gorsze niż sama choroba, ale dopiero teraz rozumiem, co mieli na myśli.

Ból przepelnia całe moje ciało, jest jak fala ognia, którego nie potrafię ugasić.

To zdumiewające, jak wyczerpujący jest ból. Sabrina zaleca, żebym się częściej poruszała, aby pobudzić krążenie krwi, ale jak na razie nie jestem do tego zdolna.

W gruncie rzeczy zaczynam się zastanawiać, czy zdołam kiedykolwiek opuścić to miejsce.

## 13: Harper

Jest późne popołudnie, kiedy budzę się cała mokra i obolała. Niedobrze mi, ale wiem, że muszę się trochę poruszać, by poprawić krążenie krwi. Chyba zrobię kółko wewnątrz kabiny. Albo raczej sali szpitalnej. Czymkolwiek teraz jest ta część samolotu. Dźwigam się w górę, przez chwilę balansując, sprawdzając nogę, po czym ruszam wolno wąskim, słabo oświetlonym przejściem. Pasażerowie zajmują wszystkie miejsca. Śpią albo są nieprzytomni. Kilka osób śledzi mnie wzrokiem, ale prawie nikt się nie rusza i panuje tu cisza. Jest dziwnie, prawie jak tuż po katastrofie.

Pokonuję dziesięć kroków i dostaję zadyszki, więc muszę się oprzeć o fotel w klasie biznes; sapię i ocieram pot z czoła.

Na fotelu po prawej powoli otwiera oczy jakiś dzieciak. Uświadamiam sobie, że już go widziałam. To był ostatni dzieciak, którego Mike i ja wyciągnęliśmy z tonącego samolotu. Rozpięłam mu pasy bezpieczeństwa, a Mike go wyniósł. Czarnoskóry jedenastolatek balansujący na granicy życia i śmierci. Jest spocony, ale to wyraz jego oczu sprawia, że pęka mi serce.

– Z czym tu trafiłaś? – pyta i sili się na uśmiech.

Podchodzę bliżej i siadam w fotelu naprzeciw niego.

– Ze zranioną nogą. A ty?

– Z zapaleniem płuc.

Kaszele w dłoń i odchyła głowę do tyłu. Żadne z nas przez chwilę się nie odzywa. Wreszcie nachyla się nad nim Sabrina, trzymając w wyciągniętej dłoni podłużną białą pigułkę, a w drugiej butelkę z wodą – przypuszczalnie z jeziora, zagotowaną nad ogniskiem.

– Antybiotyki – szepcze. – Weź, proszę.

Chłopak przełyka i popija, a Sabrina odnajduje moje spojrzenie. Kiwam do niej głową, zastanawiając się, czy dobrze mnie zrozumiała. Odpowiada skinieniem. Ostatnie antybiotyki mogą pozwolić zyskać czas, by ocalić życie tego dzieciaka. Może również kilkorga innych. Wcześniej nie byłam tego całkiem pewna, teraz już jestem. Podjęłam właściwą decyzję.

– Jesteś Brytyjką? – pyta dzieciak.

– Tak.

– Podoba mi się twój akcent.

– A mnie twój. – Jest Amerykaninem, podejrzewam, że Północy. – Skąd jesteś?

– Z Brooklynu.

– Mogłabym tam zamieszkać.

– Żartujesz, prawda?

– Nie. Brooklyn to dobre miejsce dla pisarzy.

– Jesteś pisarką?

– Taaa...

– Dziennikarką?

– Byłam nią kiedyś. Teraz piszę książki.

– A jakie?

– Biografie.

– Lubisz to?

– Początkowo lubiałam.

Znów kaszele. Wreszcie atak mija, a on zamyka oczy. Kiedy już myślę, że zasnął, pyta:

– Jesteś sławna?

– Nie. Ale przeprowadzam wywiady ze sławnymi ludźmi. Piszę książkę i później ukazuje się ona pod ich nazwiskami.

– Znaczą się tak, jakby to oni je napisali?

– No.

– Do kitu.

Dzieciak idealnie podsumowuje w dwóch słowach całą moją dotychczasową karierę. A dorosły może to zracjonalizować w trzech słowach: Takie jest życie.

– Myślałaś o tym, żeby zrobić coś innego?

– Owszem. Nawet całkiem intensywnie.

– Moja mama dużo czyta. Zwłaszcza biografie. Mówi, że to jej pomaga w pracy.

– A co robi twoja mama?

– Jest prawniczką. Leciała ze mną. Ale nie mogę jej znaleźć. Po katastrofie wiele osób wciąż uważa się za zaginione.

Kiwam głową, choć wiem, że chłopak nie może mnie zobaczyć. Nie wiem, co powiedzieć. Pamiętam sekundy, zanim zauważyłam tego chłopaka, i to, jak dotknęłam zimnej skóry kobiety siedzącej obok niego przed przyłożeniem palców do jego szyi, jak wyczułam ciepło i uwolniłam go z pasów. Niech Bóg błogosławi osobę, która miała dość rozsądku, by opowiedzieć mu o ludziach, których nadal uważa się za zaginionych.

– Musi być z ciebie bardzo dumna, że jesteś taki dzielny.

Zapada cisza.

– Mam na imię Nate – odzywa się, zanim zdążę powiedzieć coś więcej.

– Harper. Powinieneś teraz odpocząć, Nate.

Nie zdążę dokończyć zdania, gdy on już zasypia. Nagle ja też czuję się kompletnie wyczerpana, zbyt zmęczona, by utrzymać się na nogach.

∞

Budzę się, by usłyszeć bębnienie kropel deszczu o kadłub tak donośne, że brzmi jak grad.

Gorączka wróciła, jeszcze silniejsza.

Nate przesypia burzę, głowę ma dziwnie przechyloną w bok i ten widok mnie przeraża.

Podnoszę się na nogi i przechodzę między rzędami. Cofam dłoń jak oparzona, gdy odnajduję jego rozpalone ciało. Z dzieciakiem jest niedobrze.

Rozglądam się, wypatrując Sabriny, lecz bez powodzenia. Przechodzę do pierwszej klasy, ale i tam jej nie ma. Wracam na swoje miejsce i fala bólu przeszywa moje ciało. Gdzie ona jest? Odpocznę chwilę, a potem jej poszukam.

W słabym świetle przesączaającym się przez małe owalne okienka nie sposób stwierdzić, czy jest już po zmierzchu, czy zrobiło się ciemno, bo zaczęło padać. Gęste listowie przesłania większość światła nawet przy dobrej pogodzie.

Kiedy tak siedzę, kadencja deszczu z każdą chwilą przybiera na sile jak podkręcany stopniowo dźwięk. Do bębnienia dołącza przeciągłe zawodzenie wiatru i ten jękliwy zew z wolna zagłusza odgłosy ulewy. Mam wrażenie, że siedzę w tunelu aerodynamicznym w samym środku burzy gradowej.

Silniejszy podmuch przewraca stojącą stertę bagaży, wywołując popłoch wśród chorych pasażerów.

Zamykam oczy. Niecichące łomotanie w metalowe poszycie dezorientuje, przywodzi na myśl biały szum. Czas znów przeskakuje do przodu.

Kiedy otwieram oczy, nachyliła się nade mną Sabrina. Odchrząkuję, ale mój głos brzmi słabo i ochryple.

– Nate. Ten dzieciak w klasie biznes...



– Robię dla niego, co tylko mogę. – Wskazuje na moją nogę. – Muszę rzucić okiem.

Jest zmęczona. Znikła pokerowa twarz, którą do tej pory prezentowała. Wyczuwam w wyrazie jej twarzy powagę sytuacji, zanim zaczyna mówić powoli i mechanicznie jak automat:

– Musimy przejść do kolejnej fazy terapii. Mamy dwie możliwości: konserwatywną, gdy usuwamy mniej tkanek, albo agresywną, a wtedy mamy większe szanse na powstrzymanie infekcji. Konserwatywne rozwiązanie może oznaczać, że jeśli procedura zawiedzie, konieczne będzie później usunięcie większej części nogi. Jednak usunięcie teraz większej ilości tkanek, niż to konieczne, może skutkować długofalowymi konsekwencjami, gdy zostaniemy uratowani. Oba rozwiązania zawierają w sobie ryzyko i korzyści. Musisz podjąć decyzję. Masz piętnaście minut na zastanowienie, a ja zrobię obchód i przygotuję co trzeba.

Odchodzi, a ja osuwam się ciężko na fotel. Decyzje. Moje nemezis.

Minuty mijają jak godziny. Próżność czy przetrwanie? Czy jest jeszcze szansa na przetrwanie?

Zamroczona gorączką, prawie nie rejestruję tego, co dzieje się potem. Zewnętrzne drzwi otwierają się gwałtownie i do środka wpadają ludzie ocaleni z jeziora. Pierwszy jest ranny, cały we krwi. Co się stało? Uderzył w nich piorun? A może spadło na nich drzewo?

Kuśtykając, pojawiają się kolejne osoby, jedne pokasłują, inne powłóczą nogami bez wyraźnego powodu. Ci, którym nic nie jest, podprowadzają ich, wołając o pomoc.

Rozpaczliwie szukają Sabriny, ale nie mogą jej znaleźć. Ona musi tu być, przed chwilą ją widziałam, a wyjście cały czas było zamknięte. Czy znowu zemdlałam? Nie wydaje mi się.

Może być tylko w jednym miejscu: w kokpicie. Próbuję im to powiedzieć, ale głos mam tak słaby, że pośród szumu wiatru i ogólnego harmidru nawet sama siebie nie słyszę. Wyciągam rękę do mężczyzny, który przechodzi obok, ale on mnie ignoruje.

W końcu wstaję i kuśtykam w stronę kokpitu, przytrzymując się ściany. Już mam zapukać do zamkniętych stalowych drzwi, gdy ze środka dochodzą mnie podniesione, gniewne głosy.

– Chcę usłyszeć wszystko, co wiesz. – Sabrina.

– Powiedziałem ci wszystko. – Głos mężczyzny, ale nie potrafię go zidentyfikować.

– Wiedziałeś.

– Że samolot się roztrzaska? Sabrino, myślisz, że wszedłbym na pokład maszyny, o której wiedziałbym, że się rozbije?

– Wiedziałeś, że coś się stanie.

– Nie wiedziałem!

– Po co leciałeś do Londynu?

– Nie wiem. Powiedziano mi, że otrzymam instrukcje, gdy dotrę na miejsce, podobnie jak ty.

– Gdzie jesteśmy?

– Przysięgam, że nie wiem!

– Możesz się z nimi skontaktować?

– Może...

– Spróbuj, Yul. Musisz.

– Oszalałaś?

– Nie mamy żywności ani lekarstw.

– A jeśli to oni sprowadzili katastrofę?

– To jesteśmy zdani na ich łaskę i niełaskę, więc nie ma to już żadnego znaczenia. Skontaktuj się z nimi. To nasze jedyne wyjście.

Drzwi kokpitu otwierają się nagle i oto mam przed sobą Sabrinę i młodego Azjatę.

## 14: Harper

Sabrina mija mnie, jak gdyby nigdy nic, przechodzi między rzędami foteli po prawej i natychmiast zajmuje się napływającymi do środka rannymi pasażerami.

Stoję jak wryta. Yul – tak musi mieć na imię szczupły młody Azjata – robi ostrożny ruch i spogląda na mnie, jakby czekał, co powiem.

W pierwszej chwili mam ochotę rzucić: „Nic nie słyszałam”, ale chwała Bogu w porę gryzę się w język. Cisza jest potwierdzeniem – słyszałam każde słowo. Równie dobrze mogłabym stwierdzić: „Słyszałam, że możesz mieć związek z tym, co spowodowało katastrofę naszego samolotu, i należysz do jakiegoś większego spisku. Chcesz to skomentować?”.

Poprzestaję na nieprzekonującym, ledwie słyszalnym:

– Cześć.

Yul odchodzi bez słowa w głąb przejścia po lewej. Dwa rzędy dalej zatrzymuje się i popatrując na mnie chwilę dłużej, niż można by oczekiwać, wraca na swój fotel.

Osuwam się na ścianę kokpitu, żeby dać odpocząć zranionej prawej nodze, i opieram rozpalone czoło o chłodną powierzchnię. To naprawdę przyjemne. Podobnie jak chłodny wiatr wiejący przez drzwi. Ostatnio jest mi na przemian zimno i gorąco, ale teraz mam tylko gorączkę, płonie we mnie bez przerwy. Wiem, jaką muszę podjąć decyzję, jeżeli chcę żyć. A chcę.

Kiedy unoszę wzrok, przeżywam gwałtowny wstrząs. Czy mam przywidzenia? Sabrina doprowadziła do porządku kilkoro nowo przybyłych pacjentów. Są... starzy. Rozpoznaję niektóre z tych osób, widziałam je nad jeziorem, ale wyglądają, jakby w jeden dzień postarzały się o kilka dekad. Ich twarze są pomarszczone i puste, lecz to nie wszystko. Ci ludzie są naprawdę starzy, i to bardzo, nie tylko wyczerpani i głodni.

To nie jedyne, co mną wstrząsnęło. Sabrina traci panowanie nad sobą. Wzrok ma dziki, ruchy nerwowe i niezdarne. Dzieje się tu coś bardzo, ale to bardzo dziwnego. Czy ona wie, o co chodzi? A może w końcu ona także zaczyna świrować? Tak czy owak, nie rokuje to dla nas wszystkich najlepiej.

Odsuwam się od ściany i kieruję w stronę pierwszej klasy. Zamierzam wrócić na swoje miejsce. Kątem oka dostrzegam ruch po prawej – do samolotu wpada mężczyzna, dźwigając na rękach kobietę. Zderzają się ze mną, zanim zdążę się odwrócić, a kobieta ląduje na mojej prawej nodze.

∞

Świadomość. Ból. Znów siedzę na swoim fotelu z wyciągniętymi nogami. Na zewnątrz jest teraz ciemno, choć oko wykol. Na pewno jest noc. Wciąż pada.

Kobieta, której nie znam, siedzi przede mną na podłodze, oparta plecami o ścianę. Unosi i wyciąga otwartą dłoń, na której spoczywa duża biała pigułka.

– Sabrina powiedziała, że masz to wziąć.

Biorę od niej pigułkę i połykam. Gardło mam tak suche, że potrzebuję pół butelki wody, aby ją popić.

Wreszcie moja ciężka głowa opada na zagłówek i obserwuję, jak pasażerowie wynoszą między fotelami trzy bezwładne ciała. Trzy trupy.

Skupiam się na twarzach. Nie ma wśród nich Nate’a. Ani Hinduski w koszulce z logo Disney World. To nowo przybyli od strony jeziora. Przed chwilą dotarła kolejna dwójka. Ilu już umarło? Wynoszą następne ciało. Twarze są jeszcze starsze, niż kiedy tu się zjawili. Co się dzieje?

Za mną rozlega się głos Sabriny. Bezwzględny ton zmienia się w oschły, gniewny i ponaglący.

Przesłuchuje pasażerów, prawie nie czekając na ich odpowiedzi:

– Gdzie mieszkacie? Czy byliście w King Street Medical w Nowym Jorku, Bayside Primary Care w San Francisco albo Victoria Station Clinic w Londynie? Czy w którejś z tych klinik szczepiliście się przeciwko grypie? Czy bierzecie multiwitaminę? Jakiej firmy? Czy w domu używacie odświeżaczy powietrza? Czy cierpicie na przewlekłe choroby?

A potem podchodzi do mnie i zasypuje tą samą litanią pytań, prawie nie czekając, aż odpowiem. Mówię, że chodziłam tylko do ginekologa. Nie szczepiłam się w tym roku przeciwko grypie, ale zażywam multiwitaminę dla kobiet. Zastanawiam się nad producentem, a wtedy Sabrina nachyla się nade mną jak inspektor Scotland Yardu nad podejrzanym. Gdy w końcu sobie przypominam, zapisuje nazwę, kiwając głową, jakby właśnie odkryła trop pozwalający na schwytanie Kuby Rozpruwacza. Po chwili odchodzi.

Prostuję się w fotelu i wyglądam na zewnątrz. Wynoszą dwa następne ciała.

Ból nieznacznie słabnie. Znam to uczucie, wiem, co mi podała: środek przeciwbólowy.

Sen przychodzi po kilku sekundach.

∞

Budzę się w ciemnościach i ciszy. Ból powrócił. Odwracam się, by spojrzeć w głąb przejścia, ale niczego nie jestem w stanie dostrzec. Przez małe okienka prawie nie wpływa światło księżycy. Deszcz wciąż pada, ale nie tak rzęsiście jak dotychczas; ulewa przeszła w mżawkę.

Leżę, pozwalając, by moje oczy przyzwyczały się do ciemności.

Po prawej stronie przemyka szczupła postać. Yul.

Ciche kroki tuż za mną. Kobieta, ciemnowłosa, mniej więcej mojego wzrostu. Mechaniczny krok. Sabrina.

Trzy sekundy później słyszę szcęk zamykanych metalowych drzwi.

Wysuwam zdrową nogę do przejścia, potem sprawdzam drugą. Niedobrze. Kuśtykam, podskakuję i podciągam się na oparciach foteli, by dotrzeć do galeryjki części kuchennej, ale staram się to zrobić jak najciszej.

Tym razem są ostrożniejsi i muszę stanąć tuż przy drzwiach, żeby cokolwiek usłyszeć.

– To nasza sprawka – mówi z naciskiem Sabrina.

– Nie wiesz tego na pewno.

– Wiem.

– Korelacja nie jest równoznaczna ze związkiem przyczynowym. Jeżeli zadasz każdemu pasażerowi odpowiednie pytania, odkryjesz w końcu, że każdy z nich zna kogoś, kto zna Kevina Bacona.

– Kim jest Kevin Bacon? – pyta oschle Sabrina. – To kolejny agent? Pasażer?

– Nie...

– Jaki jest jego związek z tym wszystkim?

– Chryste, Sabrino, zapomnij o Kevinie Baconie.

– Chcę wiedzieć, co kazali ci zrobić, poznać każdy ruch, jaki wykonałeś przed wejściem na pokład.

– Dobrze. – Yul wydaje się rozdrażniony. – Na co umierają ci ludzie?

– Ze starości.

– Co?

– Umierają na różne choroby, które, jak sądzę, mogłyby się u nich rozwinąć, gdyby dożyli sędziwego wieku – odpowiada Sabrina. – Ale to wszystko dotyka ich równocześnie.

– Dlaczego nas to nie spotkało?

– Nie wiem. Tylko połowa pasażerów wykazuje te niepokojące symptomy.

Głosy cichną, a ja nachylam się jeszcze bardziej w stronę drzwi, by lepiej słyszeć. Jakiś dźwięk, jakby ryk, zagłusza ich słowa. Nie dochodzi z kokpitu, lecz z zewnątrz.

Gdy odsuwam się od drzwi, jasny błysk rozświetla małe owalne okienka, przesuając się bardzo

szybko wzdłuż całej długości samolotu. Pośród odgłosów deszczu ryk przybiera na sile. W końcu światło gaśnie, a dźwięk się oddala.

Drzwi kokpitu otwierają się i wybiegają stamtąd Yul z Sabriną. Tym razem nie zatrzymują się, by posłać mi świdrujące spojrzenia. Yul, szarpiąc drzwi awaryjne, otwiera je i spogląda w ciemny gęsty las, gdzie po liściach wciąż spływają krople deszczu.

Przenosi wzrok na mnie. Kiwam głową.

– Też to widziałam: promień światła omiół maszynę.

Yul patrzy na Sabrinę, chce coś powiedzieć, ale głośny chrzęst w pobliżu samolotu sprawia, że tego nie robi. To tupot buciorów wdeptujących poszycie leśne w podłogę. Ktoś biegnie w naszą stronę, ale nie potrafię rozpoznać kto.

Ktoś znad jeziora? Ekipa ratunkowa. A może...

Yul wyjmuję z kieszeni telefon komórkowy, włącza aplikację latarki i wyciąga rękę do przodu. Światło jest słabe, ale wystarczy, by ukazać poruszające się na zewnątrz kształty. W pierwszej chwili wygląda to, jakby deszcz zraszał niewidzialne, być może ludzkie sylwetki – trzy, gnające w stronę maszyny.

Zanim udaje nam się zareagować, pierwsza z postaci wbiega po rozchwierutanych schodkach i zatrzymuje się przy wejściu. Przybysz ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i lśni w zimnym świetle komórki Yula, jakby był ze szkła.

Unosi prawą rękę w stronę Yula, a potem w kierunku Sabriny i moim i oddaje trzy szybkie strzały brzmiące jak ciche pyknięcia, którym nie towarzyszą błyski światła. Moja klatka piersiowa eksploduje bólem.

## 15: Nick

Przez kilka sekund Mike, Bob i ja stoimy, wpatrując się w kamienne słupy Stonehenge, idealnie ukształtowane i rozstawione. Jak? Nie, „jak” nie jest właściwym pytaniem. Kiedy? Możliwości są tylko dwie: jesteśmy w przeszłości (w przeszłości, której w 2014 roku nie rozumiemy) albo w przyszłości, w której tę monolityczną konstrukcję pieczołowicie odbudowano.

Przyglądam się ośmiościennej budowli z metalu i szkła w poszukiwaniu jakichś wskazówek, ale bez powodzenia – nie ma żadnych napisów, symboli czy sugestii, który może być teraz rok.

Szklany panel za nami ponownie się zamyka przy wtórze cichego szczęku, który mąci ciszę. Bob otwiera usta, by coś powiedzieć, ale beznamiętny mechaniczny głos odzywa się pierwszy:

– Witamy w interaktywnym muzeum Stonehenge. Naszą wycieczkę zaczniemy od ścieżki wytyczonej z prawej strony. Dla bezpieczeństwa zwiedzających i w celu zachowania tego historycznego pomnika uprasza się o nieschodzenie z wytyczonej trasy.

Wycieczka. Spuszczam wzrok i dopiero teraz dostrzegam przeszkloną ścieżkę na obwodzie konstrukcji. Jaśniej, pojawiają się na niej zielone strzałki, które kończą się pulsującym czerwonym punkcikiem wewnątrz kręgu, miejscem oznaczającym, gdzie powinniśmy się zatrzymać. Bez słowa ruszamy ścieżką i przystajemy w czerwonym kręgu.

– To, co tu widzicie, to zdaniem uczonych Stonehenge, tak jak mogło wyglądać cztery do pięciu tysięcy lat temu, kiedy je zbudowano. Zapraszamy do dalszej wyprawy w przeszłość, aby poznać kolejne etapy budowy Stonehenge.

Szklane płytki znów jarzą się zielonkawym blaskiem, kierując nas do kolejnego czerwonego kręgu oddalonego o mniej więcej pięć metrów.

– Całość jest zapewne zasilana energią słoneczną – szepcze Bob, gdy przechodzimy w stronę czerwonego kręgu.

Patrzę na Boba i zauważam, że wygląda teraz starzej, ale zaraz przenoszę wzrok na Stonehenge. Komputerowy głos nieco się zmienia:

– Czy chcielibyście posłuchać o związkach Stonehenge z kalendarzem słonecznym?

Wymieniamy spojrzenia zakłopotani i zdezorientowani, ale tylko przez chwilę.

– Może pomogłoby nam to odgadnąć, co się tu stało – mówi Bob. – I który mamy rok.

A więc też się zorientował.

– Spróbujmy.

Przez następne piętnaście minut zasypujemy komputerowy głos pytaniami. Ale on nic nie wie poza tym, co wiąże się ze Stonehenge. Na rzucone z głupia frant pytanie w rodzaju: „A nawiasem mówiąc, który mamy rok?”, otrzymujemy oschłą krótką odpowiedź:

– Niestety nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nie ma ono związku ze Stonehenge. Musimy kontynuować zwiedzanie, aby umożliwić kolejnym gościom zapoznanie się z naszą ekspozycją.

Najwyraźniej nie zaprogramowano go na sprawdzanie, czy są jeszcze jacyś inni zwiedzający.

Mike, Bob i ja przechodzimy do kolejnego czerwonego kręgu, zastanawiając się, co dalej. Przed nami wysokie kamienne słupy rozplývają się, ukazując rozległe zielone pole, które zdaje się rozciągać hen daleko poza przeszklone ściany. Woły ciągną olbrzymie głazy przez łąkę. Przyglądam się uważniej i dostrzegam drewniane tory ułożone pod głazami jak rynny albo koryta. Po torach przetaczają się drewniane walce umożliwiające przesuwanie na nich gigantycznych bloków. Genialne. Przynajmniej na razie. Grupy ludzi w zwierzęcych skórach prowadzą woły przez łąkę w stronę wyznaczonego miejsca,

gdzie mają stanąć obeliski.

– To, co teraz widzicie, jest pierwszym etapem budowy Stonehenge. Uczni wierzą, że trwała ponad tysiąc lat...

To symulacja. Cała konstrukcja jest hologramem. Muszą tu być gdzieś umieszczone projektory.

– Koniec zwiedzania – mówię.

– Czy chcecie przejść na zwiedzanie samodzielne?

– Tak.

– Miłego zwiedzania Stonehenge, które zostało zorganizowane dzięki hojnemu wsparciu Fundacji Tytani.

Pole, woły i prehistoryczni budowniczy rozmywiają się, pozostawiając jedynie zwietrzałe kamienne ruiny, które widziałem dwadzieścia osiem lat temu. Przeszklona budowla została zapewne wzniesiona, by ochronić Stonehenge przed czynnikami atmosferycznymi i wandalami; by zachować ten drobny element historii dla przyszłych pokoleń.

Deszcz zaczyna bębnić o przeszklony sufit nad nami, tworząc podkład dźwiękowy dla tej niezwyklej chwili. Mike wskazuje na środek zielonej łąki.

– Nick, spójrz, ciała. Musi być ich ponad dziesięć. Ci ludzie już od dawna nie żyją, spomiędzy złachmanionych strzępów odzieży wystają nagie kości.

Mike schodzi ze ścieżki, kierując się w ich stronę, ale chwytam go za ramię.

– Bądź ostrożny.

Głos komputera ostrzega, że powinniśmy pozostać na ścieżce, ale ignorujemy go, co nie jest trudne – odgłosy ulewy niemal zupełnie go zagłuszają. Mike podkrada się do ciał, klęka i zaczyna oglądać szczątki.

– Nie ma żadnych dokumentów – woła.

– Wątpię, by w przyszłości je posiadano – mówi Bob.

Zapewne ma rację. Drukowany laminowany dokument tożsamości musiałby wyglądać archaicznie dla ludzi, którzy wzniesli tę budowlę. Przypuszczalnie zaczęli stosować czipy, skanery odcisków palców albo nawet tęczówek.

Mike kręci głową.

– Żadnych zegarków, telefonów, nic. Tylko kości i ubrania.

Bob i ja podchodzimy do niego.

– Może wandale ograbili ciała ze wszystkiego. – Bob pokasłuje, wydaje się wymizerowany. Kiepsko z nim.

Kiwam głową. W myślach próbuję poukładać sobie pytania. Jak to może nam pomóc? Czego możemy się dowiedzieć dzięki tym ruinom i kościom?

– Panowie – mówi Bob słabym, lecz formalnym tonem – wydaje mi się, że właśnie uzyskaliśmy zasadnicze informacje.

Przerywa, najwyraźniej oczekując na sugestie swoich dwóch ulubionych uczniów. Unoszę brwi, nakłaniając go, by kontynuował. Wskazuje na kości.

– To nam mówi, że w Anglii nie ma już zorganizowanego efektywnego rządu. I ten stan utrzymuje się od wielu lat. Stonehenge znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa Kulturowego, ale dla Brytyjczyków jest szczególnie ważne. Gdyby rząd nadal działał, gdyby istniała tu cywilizacja, nie pozostawiono by tu ludzkich kości. Ani przez dzień, ani przez tydzień. Te szczątki leżą od wielu lat, może nawet dziesięcioleci.

Mike i ja potakujemy bezgłośnie. To ma sens.

– Co teraz, Nick? – pyta Bob.

– Farma, którą widzieliśmy w drodze tutaj. To nasza jedyna szansa.

Spoglądam na szklany dach. Deszcz nieco osłabł. Jestem bardzo głodny, bo w drodze nie zrobiliśmy

postoju, by coś przekąsić, i jestem pewien, że Bobowi i Mike'owi kiszki też grają marsza, choć żaden nie chce się do tego przyznać.

– Zjedźmy coś. Może przez ten czas przestanie padać.

Przechodzimy na drugi koniec łąki, z dala od kości, siadamy po turecku i urządzamy sobie w Stonehenge popołudniowy piknik. Surrealistyczna, tylko tak można określić tę sytuację. Zastanawiamy się, czy usiąść na zwalonym słupie nieopodał, ale wydało nam się to niestosowne, niezależnie, czy na tym świecie zostali jeszcze jacyś ludzie, czy nie. Posilając się, rozmyślałam nad zagadkami, nawet nad tymi najmniejszymi. Trawa jest tu utrzymana lepiej niż na jakimkolwiek polu golfowym, które miałem okazję zobaczyć. Cała struktura musi najwyraźniej kontrolować mikroklimat na tym obszarze.

Jeśli jesteśmy w przyszłości i doszło do katastrofy na globalną skalę, to mogłoby tłumaczyć brak dróg – i oznak istnienia cywilizacji.

Mike wkłada do ust ostatni kawałek kanapki i, wciąż żując, porusza temat prawdziwej tajemnicy.

– Nie mogę pojąć tego, że jesteśmy w przyszłości – rzuca w przestrzeń.

Bob odchrząkuje. Ten nieszczęśnik ma nawet trudności z tym, żeby nadążyć za nami z jedzeniem. Ja już zjadłem swoją kanapkę. Leje jak z cebra, mamy trochę czasu.

– Podróż w czasie jest naukowo możliwa. Właściwie dochodzi do niej każdego dnia – stwierdza. – Einstein mówi o czasie w swojej teorii względności, a my mierzymy czas już od bardzo dawna. Każdy, kto kiedykolwiek leciał samolotem, podróżował w czasie.

Mike spogląda na mnie, mrużąc powieki, ale ja patrzę z zaciekawieniem na Boba.

– Prędkość, z jaką upływa czas, jest różna we wszechświecie w zależności od siły ciężenia i szybkości. Dam wam przykład. Powiedzmy, że dziś urodziły się bliźnięta. Jedno zostaje umieszczone na statku kosmicznym i wystrzelone w kosmos. Statek orbituje w naszym Układzie Słonecznym, ale robi to z niesamowitą prędkością, wynoszącą dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent prędkości światła. Tę właśnie szybkość Einstein słusznie określa jako maksymalną w naszym wszechświecie dla ciał mających masę, choć jesteśmy przekonani, że pewne cząsteczki są zdolne do poruszania się szybciej niż światło, co, nawiasem mówiąc, otwiera całkiem nowe perspektywy i możliwości: stan splątany pozwalający danym podróżować szybciej od światła – to po pierwsze. Jednak wyznaczona przez Einsteina prędkość maksymalna jak na razie jest nie do przekroczenia, przynajmniej dla cząsteczek mających masę.

Bob przerywa i patrzy na nasze przepełnione zdumieniem twarze.

– Ale wróćmy do naszych bliźniąt: jedno jest na Ziemi, drugie w kosmosie na statku, który porusza się z ogromną prędkością. Po pięćdziesięciu latach statek kosmiczny wraca. Bliźniak, który pozostał na Ziemi, ma pięćdziesiąt lat, jest mężczyzną w średnim wieku. A ten drugi, na statku? Wciąż jest małym dzieckiem, choć ma trochę więcej lat, bo statek nie mógł osiągnąć prędkości światła bez przemiany w energię, a poza tym osiągnięcie tej prędkości trochę trwało. Wniosek jest jeden: poruszanie się z olbrzymią prędkością spowalnia czas. Podobnie jak grawitacja.

A to przykład zaczerpnięty z rzeczywistości: GPS. GPS został opracowany przez Departament Obrony w latach siedemdziesiątych w celu umożliwienia oddziałom wojska dokładnego określenia miejsca, w którym się znajdują. System składa się z dwudziestu czterech satelitów rozmieszczonych na wysokiej orbicie mniej więcej dwadzieścia tysięcy kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Dlatego tak wysoko, by ziemska grawitacja nie wywierała wpływu na zakrzywienie czasoprzestrzeni. Jak już wspomniałem, grawitacja spowalnia czas. Im silniejsza grawitacja, tym wolniej płynie czas. Jeżeli zbliżysz się dostatecznie do czegoś, co ma wyjątkowo dużą siłę ciężkości, powiedzmy, do czarnej dziury, czas niemal się zatrzyma. Jeżeli przekroczysz horyzont zdarzeń czarnej dziury, podróżując statkiem kosmicznym, możesz ujrzeć cały los wszechświata w ciągu kilku sekund, zanim zostałbyś wessany do jej wnętrza. Ale im dalej od grawitacji, tym czas płynie szybciej, doświadczasz go bardziej jak w wypadku filmu odtwarzanego na szybkim przewijaniu. To właśnie dzieje się z satelitami GPS. Ogólna teoria

względności zakłada, że zegary w każdym satelicie GPS powinny wyprzedzać zegary ziemskie o czterdzieści pięć mikrosekund każdego dnia. Dlatego na każdy dzień upływający tu, na Ziemi, tam na górze, dwadzieścia tysięcy kilometrów nad powierzchnią i działającą na nią siłą grawitacji, satelity GPS doświadczają jednego dnia i czterdziestu pięciu mikrosekund. Wydaje się, że to niewiele, ale to jednak trochę jak podróż w czasie. Satelity poruszają się w naszej przyszłości. Niemniej to tylko połowa tego, co tam zachodzi.

Mike przeciera powieki.

– Mózg mi się lasuje od tego, co mówisz, Bob.

– Skup się jeszcze chwilę, Mike. Jest jeszcze jedna część zagadki GPS i podróży w czasie: prędkość.

Pamiętacie nasz przykład z bliźniętami?

Bob czeka, ale ani Mike, ani ja nie odpowiadamy.

– No właśnie. Podobnie jak nasz statek kosmiczny satelity GPS poruszają się naprawdę szybko. Nie znajdują się na orbicie geosynchronicznej, nawet jeżeli tak uważa większość ludzi. Okrążają glob średnio co dwanaście godzin, a w tym celu muszą poruszać się z prędkością mniej więcej czternastu tysięcy kilometrów na godzinę. To dużo. Prędkość światła wynosi jednak około miliona kilometrów na godzinę, a zatem to i tak jedynie drobny ułamek tej prędkości, a przecież wystarczający, by doszło do dylatacji czasu. Ale w tym wypadku, zamiast go przyspieszyć, prędkość spowalnia upływ czasu. Pamiętacie bliźniaka w statku kosmicznym? Dla niego czas płynął wolniej. Grawitacja i prędkość spowalniają czas. Szczególna teoria względności zakłada, że z uwagi na prędkość wynoszącą czternaście tysięcy kilometrów na godzinę zegary na satelitach GPS powinny odmierzać czas o siedem mikrosekund wolniej niż ziemskie każdego dnia – i tak właśnie jest. Tak więc prędkość satelitów spowalnia dla nich czas o siedem mikrosekund, podczas gdy niższa grawitacja przyspiesza go o czterdzieści pięć. Gdy dodasz do siebie skutki przewidziane przez połączenie ogólnej i szczególnej teorii względności, każdy z satelitów powinien każdego dnia odbywać podróż w czasie, przenosząc się o trzydzieści osiem mikrosekund w przyszłość. I tak się właśnie dzieje: zegary na satelitach GPS każdego dnia rejestrują trzydzieści osiem mikrosekund, których tu, na Ziemi, nie zaobserwujemy.

– Co to ma wspólnego z naszym lotem, Bob? – pyta Mike.

– Wszystko. To, że mieliśmy wylądować na Heathrow, oznacza, że nieznacznie cofnęlibyśmy się w czasie. Lot z JFK na Heathrow trwa siedem godzin i odbywa się na wysokości od dziesięciu do trzynastu tysięcy metrów, przy prędkości ośmiuset kilometrów na godzinę wylądowalibyśmy na miejscu nieco młodszy od tych, którzy pozostali na ziemi. Różnica czasowa byłaby nieistotna, ułamek sekundy, może sto nanosekund, ale tak czy inaczej dla nas upłynęłoby mniej czasu niż dla nich. Żeby było jeszcze dziwniej, to gdybyśmy polecieли na zachód, w kierunku przeciwnym do ruchu obrotowego Ziemi, dajmy na to z JFK do Honolulu, mielibyśmy niższą prędkość niż zegary ziemskie i po wylądowaniu bylibyśmy odrobinę starsi. Ale, reasumując, im bliżej znajdujemy się siły ciężenia i im szybciej się poruszamy, tym wolniej płynie czas. Jeżeli będziesz poruszać się dostatecznie szybko, możesz niemal zatrzymać upływ czasu, choć będziesz tego doświadczal całkiem normalnie ze swojego punktu widzenia, podczas gdy cały świat wokół ciebie będzie się poruszał w szybszym tempie.

– To ciekawe – mówię, wciąż próbując to sobie przyswoić. – Ale mówisz o ułamkach sekund. – Wskazuję na budowlę, w której się znajdujemy. – Odnoszę jednak wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu.

– To prawda. Moja robocza teoria zakłada, że nasz samolot przeszedł przez obszar czasoprzestrzeni, w którym grawitacja uległa zniekształceniu. To jedyne rozsądne wyjaśnienie, zważywszy na nasze obecne pojmowanie nauki. Zniekształcenie grawimetryczne mogło doprowadzić do dylatacji czasoprzestrzeni, sprawiając, że czas zwolnił lub, jak w naszym wypadku, mocno przyspieszył. Powiedzmy, że to zniekształcenie utworzyło bańkę czasoprzestrzenną, a nasz samolot znalazł się w tej bańce, w której czas płynął w niewiarygodnie szybkim tempie. Gdyby ta bańka pękła, zostalibyśmy wyrzuceni w dowolnym



momencie, w którym akurat zatrzymałby się zegar. Są tylko dwie możliwości: zniekształcenie grawitacyjne było zjawiskiem naturalnym...

– Naturalnym? – pytam.

– To prawdopodobne. Może się zdarzyć. Jesteśmy prawie pewni, że istnieją czarne dziury. Prawdę mówiąc, możliwe, że jedna znajduje się nawet w centrum naszej Galaktyki. Jak już wspomniałem, powodują one zaburzenia w czasie, sprawiają, że dla zbliżających się do nich obiektów upływ czasu zostaje spowolniony. We wszechświecie mogą też występować inne rodzaje depresji grawitacyjnej, w tym także takie, które będą działać na odwrót – sprawiając, że czas będzie biegł szybciej. Mogliśmy się dostać w burzę grawitacyjną, zjawisko naturalne, którego jak dotąd nie rozumiemy. Bądźmy szczerzy, jeśli chodzi o nauki czasoprzestrzenne, wciąż znajdujemy się w mrokach średniowiecza.

– Wspominałeś o dwóch ewentualnościach.

– Ta druga, która, nawiasem mówiąc, wydaje mi się bardziej prawdopodobna, nie jest jednak zjawiskiem naturalnym. Według tej teorii to, co się stało, nie wydarzyło się z przyczyn naturalnych. Zostaliśmy tu sprowadzeni przez kogoś, kto dysponuje technologią wykraczającą poza nasze zdolności pojmowania, i być może stało się to z pomocą kogoś, kto znajdował się na pokładzie naszego samolotu.

– To bardzo ciekawe.

Nie wiem dlaczego, ale przed oczami pojawia mi się nagle obraz Yula Tana, cichego chłopaka z klasy biznes, obsesyjnie przywiązanego do swojego laptopa. Coś w tym musi być, myślę. Gdy wrócimy, będę musiał uciąć sobie z nim długą pogawędkę.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, Bob kaszle, ulewa przybiera na sile, chmury mają barwę ołowiu, gdzieś z oddali dobiega dudniący grzmot. Mike wyciąga się na trawie jak student cieszący się dniem wolnym od zajęć.

– Czym się zajmujesz, Nick? – pyta Bob między kolejnymi kasznięciami.

Mówię mu i chyba robi to na nim wrażenie, bo zadaje wiele pytań. Mike'a pyta o to samo. Mike pływa na żaglówkach i nie ma ochoty o tym rozmawiać. Był w drodze na ślub siostry, który urządzano pod Londynem, w domu rodzinnym jego przyszłego szwagra parającego się „bankowością czy czymś takim”... Nie wydaje się specjalnie przejęty, że ominęło go to wesele.

Po chwili Bob znów odzywa się mentorskim tonem.

– Nigdy nie przechodźcie na emeryturę – radzi nam. – Mnie emerytura wykończyła. To była najgorsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem. Trzeba zawsze mieć coś do roboty, bo inaczej człowiek się wypala.

Druga żona odeszła od niego, a do Londynu wybierał się na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy, choć zaraz dodaje, że obowiązuje go ścisła tajemnica i nie może nic więcej powiedzieć na ten temat. Ani Mike, ani ja nie wypyujemy o szczegóły, co wywołuje w nim pewien zawód.

Trochę mi żal Boba Warda. Teraz go rozumiem, tak jak zdołałem zrozumieć ojca podczas wizyty w Stonehenge wiele lat temu. Bob wciąż ma w sobie mnóstwo woli walki, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie przeszedł na emeryturę. Katastrofa lotu 305 może być najlepszym doświadczeniem, jakie go spotkało od dłuższego czasu. Dała mu cel, okazję do przystosowania się. Jeśli mam być szczerzy, ze mną było dokładnie tak samo. Wiodłem rutynowe życie, gdy wystartowaliśmy z lotniska JFK, i choć wolałbym, aby samolot wylądował bezpiecznie na Heathrow, a wszyscy pasażerowie cali i zdrowi dotarli do celu podróży, to katastrofa ujawniła we mnie cechy, z których istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Uświadomiła mi, jaki jestem naprawdę i na co mnie stać, choć wcześniej nie ujawniłem tego światu.

Bob znów pokasłuje, bardzo gwałtownie, i przerywa, wpatrując się w swoją dłoń. Szybko wyciera ją o koszulę, ale dostrzegam krew. Nasze spojrzenia się spotykają. Jego oczy wydają się o wiele starsze. Twarz jest poorana zmarszczkami, rysy zrobiły się wyostrome, ruchy mniej skoordynowane. Co się z nim dzieje?

Przez chwilę słychać tylko niekończące się bębnienie deszczu o szklany dach jak biały szum niedostrojonego telewizora wypełniający rozległą przestrzeń. Jest ciemno z powodu burzy, a może zapadła już noc.

Odnoszę wrażenie, że przez szybę z mlecznego szkła dostrzegam błyskawicę, lecz światło nie gaśnie. Przybiera na sile, omiatając ziemię i powiększając zasięg. To snop światła reflektora znajdującego się gdzieś w górze i przesuwanego w naszym kierunku.

## 16: Nick

Snop światła omiata wysokie trawy wokół nas, o włos omijając budowlę otaczającą Stonehenge. Zrywam się na nogi. Mike jest tuż za mną. Bob próbuje się podnieść, ale ponownie opada na wypielegnowaną trawę.

– Zostań tu, Bob! – wołam.

Mike i ja podbiegamy do szklanej ściany i panelu, który otworzył się, wpuszczając nas do środka. Stoimy niecierpliwie, gdy szkło powoli podnosi się; mechaniczny komputerowy głos jest ledwie słyszalny pośród deszczu i odgłosu silnika w oddali:

– Dziękujemy za odwiedzenie interaktywnej wystawy Stonehenge...

Na zewnątrz natychmiast dostrzegam źródło światła: to statek powietrzny albo coś, co można określić tym mianem. Kształtem przypomina helikopter, ale jest znacznie większy i nie ma wirników, ani górnego, ani ogonowego. A jednak utrzymuje się w powietrzu, posuwając się powoli naprzód. Nie wiem, jak to coś w ogóle może latać.

Robię krok do przodu i macham rękami, lecz maszyna nas mija i zawraca w stronę miejsca katastrofy. Ruszam przez łąkę, cały czas machając.

– Zostań tutaj – rzucam przez ramię do Mike'a. – Mogą jeszcze wrócić.

Z tyłu za mną Mike też zaczyna nawoływać i wymachiwać rękami.

Biegnę na przełaj przez wilgotną zieloną łąkę w strugach niesionego wiatrem deszczu. Na szczycie wzgórza zatrzymuję się. Statku powietrznego prawie nie widać; porusza się z dużą prędkością. Rozglądam się na wszystkie strony, używając lornetki, ale nie zauważam kolejnego promienia światła. Słońce już zaszło, z każdą minutą robi się coraz ciemniej.

Truchtem wracam do budowli, gdzie stoi Mike z mokrymi włosami i w przemoczonej koszulce Celtics.

W milczeniu wchodzimy do przeszklonej ośmiokątnej budowli. Wewnątrz pokasłuje Bob, zgięty wpół. Energicznie przenosi na nas wzrok, ale kręcę głową przecząco i próbuję wyżyć przemoczone ciuchy.

– Wygląda na to, że skierował się do miejsca katastrofy – mówi Bob.

– Tak, chyba tak.

– Musicie mnie zostawić. Obiecałeś, że tak zrobisz, Nick.

Chyba ma rację. Jeżeli deszcz i wiatr ugasiły ognisko nad jeziorem, to statki powietrzne mogły ominąć miejsce katastrofy. Ale jeśli za tym statkiem nadciąga następny, nie uda nam się dotrzeć na czas do obozu i ponownie rozniecić ogniska. Pozostając tutaj, mamy największe szanse, że zostaniemy zauważeni i że Bob jednak przeżyje.

– Obiecałeś, Nick – powtarza Bob, a jego głos coraz bardziej słabnie.

– Są spore szanse, że będzie tędy przelatywał kolejny statek. Ten punkt orientacyjny i pole to dla nas najlepsza gwarancja tego, że ktoś nas zauważy. A jeśli tamci przegapią miejsce katastrofy? Poza tym marsz w taką ulewę to głupota. Zaczekamy tu, aż przestanie padać albo pojawi się kolejna maszyna.

– Musisz tam wrócić, Nick. Jeżeli w grę wchodzi scenariusz numer dwa – jeżeli ktoś nas tu sprowadził – możliwe, że to nie ekipa ratunkowa, na którą wszyscy czekamy. To mogą być wrogowie. – Bob znów kaszle i pospiesznie ociera krew.

– Tego nie wiemy.

– Musimy brać to pod uwagę. Ci ludzie zostaną wzięci z zaskoczenia. Ty i Mike macie przewagę.

Musicie ruszać i to natychmiast.

– Zaczekamy. To nasza decyzja.

∞

Bob nie żyje. Mike i ja drzemaliśmy na zmianę, starając się zebrać siły na czekającą nas drogę powrotną. Budzi mnie pokasywanie i patrzę na Boba w słabym świetle. Oddech ma płytki, twarz jeszcze bardziej pomarszczoną, oczy zapadnięte i pożółkłe. Jego dłonie lekko zadrżały, gdy wydał ostatnie tchnienie, zadygotał i znieruchomiał.

Jego stan pogorszył się w ciągu zaledwie kilku godzin, nigdy nie widziałem czegoś równie dziwnego. Dwanaście godzin temu był dostatecznie sprawny, by przemaszerować trzydzieści kilometrów w dość szybkim tempie. Coś tu jest nie tak. Co go mogło tak szybko zabić? Wirus? Jakieś choróbko, które dopadło go tu w Stonehenge, kiedy otworzył się panel wejściowy? Czy w budowlu przez te wszystkie lata mogły być uwięzione jakieś wirusy lub bakterie? Zerkam na kości leżące wśród krótkiej wypielęgnowanej trawy. Czy to samo zabiło tych ludzi? Czymkolwiek to jest, chyba nie podziałało na Mike'a ani na mnie, przynajmniej na razie.

Spoglądając na nieruchome ciało Boba, mimowolnie dochodzę do wniosku, że chciałby umrzeć właśnie tutaj, w miejscu poświęconym nauce, technologii i historii, reprezentującym te idee od tysięcy lat.

Czujemy, że powinniśmy coś zrobić z ciałem Boba, urządzić mu swego rodzaju ceremonię pogrzebową, ale nie mamy czasu ani narzędzi. Ostatecznie pozostawiamy go leżącego blisko pozostałych ciał, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Przed wyjściem z budowli przystaję na chwilę.

– Będziemy musieli poruszać się szybko, dla naszego bezpieczeństwa i pozostałych w obozie. Możemy zatrzymywać się na odpoczynek tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne.

Mike kiwa głową i wychodzimy przez szklane drzwi na rozległą łąkę.

∞

Maszerujemy całą noc w deszczu, wichurze i chłodzie, ale musimy się zatrzymywać, by się rozgrzać, odpocząć i przygotować na to, co może nas czekać w obozie. Jesteśmy wyczerpani, głodni i zziębnięci, do celu jednak już niedaleko. Nie widzimy ani śladu statku powietrznego, lecz wkrótce dowiemy się, czy tamci odnaleźli miejsce katastrofy. I czy są przyjaciółmi, czy wrogami.

∞

Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca rzucają światło na wierzchołki drzew, wspinam się na grzbiet wzgórza, półtora kilometra od miejsca katastrofy, wydaję z kieszeni kurtki lornetkę i przepatruję okolice, aż odnajduję obóz nad jeziorem. Ognisko dawno wygasło. Nie widzę nawet najmniejszego śladu dymu. Na błotnistym brzegu walają się niebieskie koce, ale nie ma żywego ducha. To albo bardzo dobry, albo bardzo zły znak.

Spoglądam w lewo, poszukując dziobowej części samolotu wśród gęstego lasu, lecz najpierw dostrzegam coś jeszcze, co przykuwa moją uwagę: trzy długie namioty, płachty plastiku rozpięte na łukowato wygiętych metalowych wspornikach, przywodzą na myśl konstrukcje szklarniowe. Co to może być? Szpital polowy? Laboratorium? Obok namiotów ułożono w sterty, jak sęgi drewna opałowego, białe worki na zwłoki. Jest ich z pięćdziesiąt. Czuję suchość w ustach i rozglądam się z jeszcze większą uwagą, poszukując wskazówek, które pomogą mi ustalić, co się dzieje.

Drzwi do części dziobowej są otwarte, wewnątrz nic się nie porusza.

Nie przestaję rozglądać się i wypatrywać. Na polanie dostrzegam statek powietrzny, który widziałem w Stonehenge – nie, tam są dwie maszyny. Ogromne, trzy razy większe od części dziobowej samolotu.

Drzwi do statków są zamknięte.

Przepatruję lornetką las centymetr po centymetrze, nie zauważam jednak żadnego ruchu. Cokolwiek tu się dzieje, przesłaniają to drzewa albo długie plastikowe namioty. Będziemy musieli podejść bliżej.

## 17: Nick

Sto metrów od trzech przezroczystych plastikowych namiotów ponownie wyjmuję lornetkę i reguluję ostrość, próbując dokładniej przyjrzeć się rozmażanym obiektom w środku. Są tam wąskie łóżka szpitalne, rozstawione w równych odstępach, niektóre puste, na innych leżą ciała. Za namiotami las eksploduje nagle ciężkimi krokami i trzaskiem łamanych gałęzi.

Przez lornetkę szybko dostrzegam źródło tych odgłosów: przez gąszcz przedzierają się postacie w czymś, co wygląda jak pękate kombinezony kosmonautów. Ogromne hełmy świadczą o tym, że stroje te zaprojektowano w celu zapewnienia maksymalnej ochrony noszącym je osobom. Dziwne. Z tego miejsca postacie w kombinezonach wydają się wyższe od zwykłych ludzi. Ale... czy to w ogóle są ludzie? To mogą być maszyny albo... kto wie? Wcześniej nie zauważyłem tych postaci, bo gdy poruszają się wśród drzew, ich kombinezony przybierają odcienie brązów i zieleni, pni drzew oraz opadłych liści. Kamuflaż adaptacyjny. Kombinezony lekko falują i migoczą, żeby dostosować się do otaczających je barw i faktur. Żadna ekipa ratunkowa nie potrzebuje takich ubiorów. To sprzęt wojskowy albo wyposażenie jednostek przeprowadzających tajne operacje specjalne. Skoro przybyli nam na pomoc, czemu mieliby się przed nami ukrywać?

To, co dzieje się później, potwierdza moje najgorsze obawy. Postać idąca na czele unosi rękę, rozlega się ciche pyknięcie, a potem słyszę trzask. Coś dużego spada w lesie na ziemię. Gorączkowo patrzę przez lornetkę, próbując ustalić, do kogo lub do czego tamci strzelali. Wreszcie dostrzegam mężczyznę, w średnim wieku, z lekką nadwagą, wijącego się, jakby potraktowano go paralizatorem. Ostatni raz widziałem tego człowieka wczoraj rano, gdy wysyłałem jego zespół po pomoc w kierunku północno-wschodnim. Musieli wrócić dziś rano. Postacie w kombinezonach doganiają całą trójkę, powalając ich strzałami z broni, której nie rozpoznaję. Nieznajomi przerzucają sobie bezwładne ciała przez ramiona i kierują się w stronę plastikowych namiotów – prosto na nas.

Mike i ja rzucamy się na ziemię za kamiennym występem. Kilka minut później postanawiam zaryzykować i wyjrzeć zza skały.

Postacie wnoszą ciała członków zespołu poszukiwawczego do najbliższego namiotu i po chwili stamtąd wychodzą, dźwigając nosze z nieprzytomną pasażerką – Sabriną. Wnoszą ją do środkowego namiotu, po czym wynoszą kolejnego pasażera – Yula Tana. I jako trzecią i ostatnią: Harper. Jej prawą nogę od kolana po kostkę opina biały cylinder, a nad noszami wisi plastikowy pojemnik.

Wyjmuję pistolet z kieszeni, przygotowując się na wszystko. Mike patrzy na broń, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Jaki jest plan? – szepcze.

Już mam odpowiedzieć, że nie wiem, gdy słyszę za nami ciche pyknięcie przypominające wystrzał z wiatrówki. Oczy Mike'a stają się okrągłe jak spodki, gdy zorientował się, co się dzieje, a ja rzucam się w jego stronę. Głaz, przy którym kuciałem, rozbrzmiewa głuchym echem, bo trafia w niego pocisk przeznaczony dla mnie.

Unoszę broń i strzelam na oślep w kierunku, z którego, jak przypuszczam, padł strzał. A potem podkradam się do głazu z drugiej strony, przepatrując las aż do granicy plastikowych namiotów. Tak, postać jest za skałami. Spoglądam ponad kamieniami i dostrzegam ją, jak chwiejąc się na nogach, zmierza w moją stronę. Oberwała.

Unoszę pistolet, by oddać kolejny strzał, ale nie jest mi to dane. Grunt za postacią eksploduje, wyrzucając rannego w powietrze, a mnie powalając na ziemię. Przetaczam się między drzewami

i w końcu wpadam z impetem na pień wielkiego dębu. Dzwoni mi w uszach i zbiera mi się na mdłości. Czuję ból promieniujący od żeber na całe ciało, wstrząsa mną od stóp do głów. Przez chwilę myślę, że zwymiotuję, ale to uczucie mija, gdy obsypuje mnie kaskada grudek ziemi i drzazg z potrzaskanych drzew.

Kiedy w końcu przejaśnia mi się w głowie, w oddali słyszę kolejne wybuchy, niecichnącą ani na chwilę kanonadę. Między koronami drzew widzę statek powietrzny unoszący się tuż nad miejscem katastrofy, prowadzący ostrzał okolicznych lasów, a zwłaszcza zasypujący ogniem polanę i dwa pozostałe statki.

Sekundę później dostrzegam ich cel: cztery postacie w kombinezonach biegnące zakosami do swoich statków i próbujące w ten sposób uniknąć strzałów oddawanych do nich ze statku unoszącego się w powietrzu.

Mike. Wracam do skały i odwracam jego bezwładne ciało. Żyje, oddech ma płytki, ale regularny. W jego plecach tkwi metaliczna strzałka. Próbuję ją wyjąć, lecz nie potrafię jej dobrze uchwycić.

W oddali tempo wymiany ognia zmienia się. Wcześniej ostrzał był ukierunkowany jak precyzyjne wiązki lasera, teraz przetacza się nad koronami drzew niczym grzmot. Eksplozje wstrząsają moją klatką piersiową i ogłuszają mnie. Przeciążenie sensoryczne zupełnie mnie dezorientuje; usilnie próbuję odzyskać kontrolę nad zmysłami.

Teraz celem staje się statek powietrzny prowadzący dotąd ostrzał. Przez dłuższą chwilę nad ziemią znajdują się dwa statki, żaden z nich się nie wycofuje, tylko dziurawią się nawzajem. Słup dymu unosi się nad polem, niemal przesłaniając odleglejszy statek. Mogę się założyć, że jeden ze statków na ziemi został zniszczony.

Muszę się skupić.

Próbuję wstać, ale znów tracę równowagę. Ziemia się trzęsie. Wokół mnie cały las wypełnia się opadającymi połamanymi gałęziami, konarami i pniami drzew.

Wstaję na miękkich nogach. Nie mogę złapać równowagi.

Obóz. Namioty. Zniknęły. Łukowate metalowe stelaże złożyły się w jakiś sposób do stojących na ziemi niewielkich skrzynek. Plastikowe płachty, które były na nich rozpięte, porwane wiatrem, unoszą się w głąb zniszczonego lasu, koziołkują jak mlecznobiałe foliowe krzewy burzanu. Po drodze zgarniają gałązki i liście, zyskując barwy lasu i z wolna przybierając kolory kamuflażowe.

Rzędy szpitalnych łóżek są odsłonięte, wystawione na działanie czynników atmosferycznych i sypiących się szczątków.

Pasażerowie się budzą.

Wycofujący się najeźdźcy... uwolnili pasażerów. Dlaczego? Mogę się założyć, że nie chcieli, by wpadli w ręce wroga. Tak, właśnie tak. Na pewno. To my jesteśmy tu nagrodą. Bob miał rację. Te... istoty w pękatych kombinezonach sprowadziły nas tutaj i najwyraźniej prowadzą z kimś wojnę.

W powietrzu losy potyczki odwracają się. Nadlatujący statek powietrzny pokonuje obrońcę, który coraz bardziej dymi, ale nie przestaje strzelać. Ile mamy czasu?

Harper.

Pośród drzew i osypujących się powoli szczątków dostrzegam ją siedzącą na łóżku i rozglądającą się dokoła w osłupieniu. Pędzę do namiotu, po drodze trzy razy się przewracam, ale nie czuję bólu. Adrenalina dodaje mi sił.

Gdy dobiegam do Harper, ona wytrzeszcza oczy. Nawet sobie nie wyobrażam, jak wyglądam. Chwytam ją za ramiona.

– Musimy iść! – wołam, ale nie słyszę własnego głosu. Nie słyszę już nawet wymiany ognia powyżej, a jedynie przeciągły łoskot. Mój słuch może być trwale uszkodzony.

Harper kręci głową i mówi:

– Moja noga.

Spogląda na nią i znów wytrzeszcza oczy ze zdumienia. Szepcze coś, czego nie udaje mi się

zrozumieć, po czym zwiesza nogi poza krawędź łóżka, stawia stopy na ziemi i uśmiecha się.

Ruszam w stronę lasu, ale ona chwytą mnie za ramię; ma silny uścisk. To dobry znak.

Wskazuje na Sabrinę i Yula, którzy właśnie się podnoszą. Wolno, abym mógł odczytać jej słowa z ruchu warg, mówi do mnie:

– Oni coś wiedzą.

Podbiegamy do nich i dajemy im znak, żeby z nami poszli. Kiedy się odwracam, mniej więcej połowa ocalałych zmierza w naszą stronę.

– W nogi! – krzyczę, wymachując rękami. – Rozproszyc się! Uciekajcie, słyszycie? Jazda!

Chwytam dłoń Harper i gnamy przez las. Ona jest tuż za mną. Prawdę mówiąc, myślę, że ją spowalnia. Niesamowite. Uleczyli ją. A może zrobiła to Sabrina? To niemożliwe. Harper jest w lepszym stanie, niż gdy się rozbiliśmy. Nawet jej skóra błyszczy.

Oglądam się przez ramię. Yul zniknął.

Zatrzymuję się i chwytam Sabrinę za ramię.

– Gdzie Yul?

Na szczęście prawie odzyskałem słuch, chociaż i tak muszę się niezłe wysilić, by usłyszeć, jak Sabrina mówi:

– Musiał wrócić po swój komputer.

– Dlaczego? – pytam.

– Jest mu potrzebny – odpowiada.

– Jest potrzebny jemu czy im? – Głos Harper jest oschły, zaskakuje i Sabrinę, i mnie.

Sabrina spuszcza wzrok.

– Nie wiem... Myślę, że... jedno i drugie.

Wyjmuję pistolet, zdejmuję zegarek i podaję Harper. Uśmiech wykrzywiał kąciki jej ust, niemniej widzę, że próbuje się powstrzymać. Obraca zegarek, odczytując inskrypcję:

– Za długoletnią służbę Departament Stanu Stanów Zjednoczonych. – Unosi brwi. – Ty... pracowałeś w Departamencie Stanu?

– Mój ojciec pracował. Posłuchaj, Harper. Jeżeli nie wrócę za dziesięć minut, biegnij dalej. Obiecuj mi to.

Harper wciąż patrzy na zegarek.

– Obiecuj mi.

– Dobra. Okej.

Ruszam i choć trzęsą mi się nogi, zasuwam czym prędzej w stronę części dziobowej samolotu. Rzędy łóżek świecą pustkami, podobnie jak namioty. Z drzew wciąż sypią się szczątki. Unoszą się w powietrzu jak płatki śniegu, przysypując sterty białych worków na zwłoki warstwami zielonych i brązowych drobinek. Jest cicho i zarazem strasznie. Z oddali dobiegają odgłosy nieustającej wymiany ognia.

Zbliżając się do obozu, nie widzę Yula, ale się nie zatrzymuję. Wbiegam po prowizorycznych schodkach z bagaży i fragmentu samolotu do części dziobowej i kabiny pierwszej klasy. Yul wyciąga torby ze schowków nad fotelami, przetrząsa je, poszukując...

Z tyłu za mną rozlegają się kroki. Odwracam się, by ujrzeć postać w kombinezonie celującą do nas obu. Unoszę pistolet, lecz nie jestem dość szybki. Tamten ma rękę wyciągniętą na całą długość. Spodziewam się usłyszeć ciche pyknięcie, zamiast niego rozlega się jednak huk wystrzału, przeszywający w tej ciasnej przestrzeni. Postać przewraca się do przodu, wpada na fotel i ciężko ląduje na podłodze. Kombinezon migocze i błyszczy przy wtórze elektrycznych trzasków.

W przejściu pierwszej klasy stoi Grayson z pistoletem w dłoni.

Odwracam się do Yula.

– Masz to?

– Tak.



– Chodźmy – mówię, przenosząc wzrok na nich obu.

Wychodzą za mną z samolotu i po chwili znikamy w lesie.

Postacie w kombinezonach będą na nas polować. Z jakiegoś powodu sprowadziły nas tutaj i mamy to, czego potrzebują.

## Część II: Tytani

## 18: Harper

Jestem nową kobietą. Dosłownie. Mam jasny umysł, gładką skórę, silne i elastyczne mięśnie. Ani śladu po tym, że dwanaście godzin temu znajdowałam się na łożu śmierci (czy raczej na fotelu śmierci – skądinąd w pierwszej klasie – ale to bez znaczenia). Prawda jest taka, że istoty w kombinezonach, które przybyły na miejsce katastrofy, uleczyły mnie. I spisały się na medal. To prawdziwa zagadka, zważywszy na to, jak przebiegło spotkanie i powitanie.

Nie pamiętam nic z tego, co się wydarzyło później. Ostatnim wspomnieniem jest skrzące się monstrum, które wpadło do kabiny i postrzeliło Sabrinę, Yula i mnie z broni o działaniu obezwładniająco-usypiającym. Obudziłam się następnego ranka na wąskim łóżku. Moje oczy odzyskały ostrość widzenia w momencie, kiedy stalowe stelaże nade mną chowały się, a plastikowa płachta poszycia dachu uleciała w leśną dal. W pierwszej chwili sądziłam, że pada śnieg, ale zaraz uświadomiłam sobie, że to sypią się maleńkie fragmenty liści i gałęzi, jakby wierzchołki drzew poszatkowała wielka kosiarka. Potem rozległy się przesywające do głębi odgłosy eksplozji. Dwa statki wiszące nieruchomo w powietrzu nieprzerwanie strzelały, a huk przenikał moją klatkę piersiową jak silny grzmot.

I wtedy pojawił się Nick, by ponownie mnie uratować, chociaż tym razem to ja byłam w lepszym stanie niż on. Wyglądał na przestraszonego, twarz miał ubłoconą i pokrytą zakrzepłą krwią, oczy i policzki zapadnięte. Przeraził mnie bardziej niż pociski eksplodujące w powietrzu.

On i Yul wrócili z części dziobowej kilka godzin temu z torbą podręczną Yula i z moim zdaniem znacznie mniej cennym elementem bagażu: Graysonem Shawem.

– Idzie z nami – powiedział Nick, kiedy we trzech dołączyli do mnie i Sabriny.

Od tej pory nikt z nas nie odezwał się słowem. Cała nasza piątka maszerowała po prostu przez kolejne lasy, unikając odkrytego terenu i zachowując równe, niemniej – z uwagi na Nicka – nie za szybkie tempo. Z nas wszystkich on jest w najgorszym stanie. Trzyma się za prawy bok, za żebra, i prawie cały czas ciężko dyszy.

Kiedy w końcu zatrzymujemy się, żeby napić się wody, proszę go, by chwilę odpoczął, lecz on upiera się, że musimy iść dalej.

– Ścigają nas. – Wskazuje na torbę podręczną Yula. – I chcą dorwać to, co on tam ma.

Yul nieruchomieje.

– Pomówimy o tym, gdy dotrzemy na farmę, którą widzieliśmy w drodze do szklanej budowli.

– Budowli? – pyta Sabrina.

– To... nic takiego – odpowiada Nick, wciąż próbując złapać oddech między kolejnymi łykami wody.

– Pomówimy o wszystkim na farmie, gdy nie będziemy widoczni na otwartej przestrzeni.

∞

Kilka godzin później stajemy na skraju lasu, popatrując na starą farmę pośrodku rozległej zielonej łąki. Wygląda na opuszczoną. Nie ma tam żadnych samochodów, drogi ani podjazdu, są tylko trzy nieduże kamienne budynki.

Nick nakazuje nam zostać pod osłoną drzew, a sam zamierza z Graysonem spenetrować dom. Chcę zapytać, czy Grayson Shaw, który najwyraźniej zabrał z miejsca katastrofy pistolet, jest idealnym partnerem do szturmowania naszej jedynej potencjalnej kryjówki, ale zanim zdążę zaprotestować, są już w połowie drogi przez łąkę.

Czekam z niepokojem, gdy wchodzi do środka przez drewniane drzwi z bronią gotową do strzału jak członkowie grupy taktycznej policji przeprowadzający nalot na dom, w którym ukrywa się groźny terrorysta.

Sabrina i Yul stoją obok mnie, nie odzywając się ani słowem. Ta cisza jest nieprzyjemna, niezręczna.

Nikt nie wspomina o tym, co usłyszałam w samolocie. Tych dwoje wie, co się tu dzieje. Są częścią tego wszystkiego – wiedzieli od początku. Zastanawiam się, czy są niebezpieczni. Wpakowałam się w niezłą kabałę: z jednej strony Grayson, z drugiej Sabrina i Yul, a na dokładkę ścigająca nas tajemnicza armia.

Nick i Grayson wracają przez zieloną łąkę, ale schowali już pistolety.

– Pusto – woła Nick – chodźcie, szybko.

Z chwilą, gdy drewniane drzwi zamykają się za nami, mówi:

– Zostańcie w środku i nie zbliżajcie się do okien.

Wykłada resztę jedzenia na prosty drewniany stół.

– Rozdzielimy je na pięć porcji.

Nie zjada swojej części. Chwiejąc się na nogach, odchodzi od stołu; w końcu dopada go wyczerpanie. Idę za nim do sypialni, gdzie kładzie się na wąskim łóżku twarzą do dołu, nie zadając sobie nawet trudu, by zrzucić z siebie brudne ciuchy.

Zamykam drzwi, obchodzę łóżko i kucam przy nim.

– Jesteśmy w przyszłości, prawda?

– Uhm-hm – mruczy z zamkniętymi oczami.

– Który mamy rok?

– Nie wiem.

– Co było w tej szklanej budowli?

– Stonehenge.

A więc jesteśmy w Anglii.

– Stonehenge? – powtarzam szeptem.

Nick zaczyna zasypiać. Dotykam jego ramienia.

– Sabrina i Yul... Myślę, że oni mogą być zamieszani w to, co stało się z samolotem.

– Taaa... Muszę odpocząć, Harper. Ciężka noc. Nie pozwól im odejść. Obudź mnie o zmierzchu.

I odpływa, jest nieprzytomny.

Siadam na podłodze, patrzę na niego. Potem wstaję, odwracam go na łóżku na wznak i zdejmuję mu buty. Skarpetki też ma przemoczone. Ściągam je, odsłaniając pomarszczone od wilgoci, spuchnięte, pokryte pęcherzami stopy. Reszta też nie prezentuje się najlepiej – siniaki pokrywają jego ramiona, klatkę piersiową i żebra, jakby sturlał się z góry. Co mu się stało?

Potrzebujemy pomocy. Ocalenia. Ale na razie zrobię dla niego, co mogę.

## 19: Harper

Kiedy tylko ułożyłam Nicka do snu, zaciągnęłam zasłony i teraz przez cienki biały materiał patrzę, jak słońce zachodzi nad zielonymi łąkami; ten spokój stanowi ostry kontrast dla moich wzburzonych emocji.

Nick od wielu godzin ani drgnął. Koce, którymi go przykryłam, są pożółkłe ze starości – kto wie, ile mają lat – a jego przemoczone ciuchy wiszą przerzucone przez obramowanie białej wanny w łazience. Siedzę w kącie pokoju, na drewnianym bujanym fotelu, który głośno skrzypi, gdy wykonuję najdelikatniejszy ruch. To swego rodzaju próba koncentracji – porusz się, a rozlegnie się alarm i Nick się obudzi. Jak dotąd przechodzę tę próbę całkiem dobrze.

Ciche godziny w sypialni małej chatki na farmie dają mi czas do zastanowienia, mogę przemyśleć dokładnie wszystko, co się stało, odkąd samolot odbywający lot numer 305 rozbił się na angielskiej prowincji. Od tej pory stawką w tej grze jest nieustannie życie pasażerów – również moje. Teraz, gdy Nick śpi, nie mogę przestać myśleć o wszystkich, którzy zginęli w katastrofie, jak również o tych, którzy umarli w kolejnych dniach, najwyraźniej ze starości. Myślę też o ludziach, którzy uciekli dziś z miejsca katastrofy i którym, jak sądzę, nie jest ani tak ciepło, ani tak wygodnie jak mnie. Zastanawiam się, co się stało z Nate'em, dzieciakiem z Brooklynu, który już nigdy nie zobaczy matki; z Jillian, stewardesą, która okazała hart ducha w chaosie, jaki rozpętał się po upadku samolotu; albo z dziewczynką w koszulce z logo Disney World. Zastanawiam się, czy są bezpieczni i szczęśliwi.

Ja jestem. Mimo moich obaw dotyczących tego, co jeszcze może się wydarzyć, jestem szczęśliwa. Jestem szczęśliwa, że Sabrina nie musiała mi usuwać fragmentu nogi, by powstrzymać zakażenie. Jestem szczęśliwa, że mogę chodzić na własnych nogach i wciąż mam obie. Co więcej, jestem szczęśliwa, że przeżyłam katastrofę i że Nickowi też się udało, że jest tutaj, żywy i względnie zdrowy. Czuję się... niewiarygodnie szczęśliwa, że jestem cała i zdrowa. Dotąd traktowałam fakt, że jestem cała i zdrowa, jak coś oczywistego. Dopiero ryzyko utraty nogi uświadomiło mi, jakie miałam szczęście. Dlaczego doceniamy takie rzeczy dopiero wtedy, gdy możemy je utracić?

Przepełnia mnie dziwna mieszanka euforii i poczucia winy – że przeżyłam, ale że nie byłam w stanie zrobić nic więcej dla innych pasażerów. Na różnych etapach sprawy mogły potoczyć się w ten czy inny sposób, co przesądziło o losie tych ludzi. Moje działania też wpłynęły na los kilkorga z nich i przez ostatnie godziny zastanawiałam się nad każdą moją decyzją, każdym zdarzeniem, aż nie byłam w stanie dłużej tego znieść. Tkwię w mentalnym zapętleniu, bez odpowiedzi, bez rozwiązania.

Muszę się stąd wydostać, zrobić coś.

Może to z powodu zamętu w głowie, ale nie jestem głodna. A może postaci w kombinezonach maskujących nakarmiły mnie czymś albo podały mi jakiś lek na zmniejszenie łaknienia. Jeszcze jedna zagadka.

Podnoszę się powoli z drewnianego bujanego fotela, krzywiąc, się gdy mebel reaguje skrzypieniem, ale Nick się nie budzi. W kuchni na stole czekają dwie z równo rozdzielonych na pięć części prowiantu, jaki nam pozostał. Dziwne, ale mimo tajemnic i nieufności między nami w kwestii wyżywienia zachowujemy się honorowo. Biorę jedzenie, stawiam na stoliku nocnym i ponownie wychodzę z sypialni, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Zamierzam spenetrować niewielki kamienny domek na farmie. Potrzebujemy więcej jedzenia i znalezienie go jest moim celem, ale nie mogę się pohamować, by nie zajrzeć do każdego pomieszczenia w poszukiwaniu wskazówek mogących powiedzieć nam, gdzie się znajdujemy. Wszędzie jest kurz, tu i ówdzie widać robactwo, ale nic ponadto.

Regały w salonie świecą pustkami, stoi na nich tylko kilka albumów ze zdjęciami i Biblia. Nie rokuje to najlepiej sprzedaży książek drukowanych. Nie zauważam nigdzie telewizora, chociaż sporych rozmiarów, jakby lekko oszroniona płachta przezroczystego plastiku na ścianie, wyglądająca jak duży kawałek taśmy klejącej, świadczy o tym, że ludzie wciąż coś oglądają.

W szufladach i szafkach w kuchni nie ma jedzenia, są tylko kubki, naczynia, jakiś sprzęt.

Schodzę po stromych wąskich drewnianych stopniach do piwnicy; z każdym moim krokiem światło napływające z góry jest coraz słabsze. Już mam zawrócić po świeczkę, ale powstrzymuję się. U dołu schodów jarzy się żółte światło – to świeca: ktoś tu jest. Słyszę łomotanie dochodzące z oddali, gdzieś z końca ciasnego kamiennego korytarza.

Ruszam w stronę hałasu. Trzaskają drzwiczki. Może w piwnicy jest spiżarnia i inni też pomyśleli o tym samym co ja. Widzę zapaloną świecę na blacie starego rozchwierutanego stołu w oddali przede mną i leżący przy niej czarny przedmiot. Wchodzę do spiżarni i przystaję. Grayson prostuje się. Trudno rozszyfrować wyraz jego twarzy w migocącym blasku świecy, ale dostrzegam, że przenosi wzrok na przedmiot leżący na stole – teraz orientuję się, że to pistolet.

Otwieram usta i po chwili wahania mówię:

– Szukałam tylko jedzenia.

On odwraca się od półek, rozsuwa słoiki i zagląda pomiędzy nimi.

– Niczego nie znalazłem. To znaczy niczego, co można by zjeść, ale nie szukam żywności.

Podchodzę do najbliższej półki, gdzie stoją słoiki z przetworami, data ich przydatności do spożycia dawno minęła.

– A czego szukasz?

– Czegoś do picia.

– Może w przyszłości już się nie pije.

– Wątpliwe. Picie to jedyne lekarstwo na niektóre problemy.

– Uważasz, że może rozwiązać twoje problemy?

– To jedyne rozwiązanie, które dotąd się sprawdziło.

– Jedyne, jakiego kiedykolwiek próbowałeś?

Grayson w końcu przenosi wzrok na mnie.

– Co ty możesz wiedzieć o moich problemach, Harper?

– Dostatecznie dużo.

– Wiesz to, co on ci powiedział. To jego punkt widzenia.

– To prawda, ale milion razy stykałam się z podobnymi sytuacjami. Moja praca polega na pisaniu o rodzinach takich jak twoja.

– Słyszałem. A powiedział ci, co zamierzam zrobić?

– Tak.

Grayson przenosi wzrok na półki spiżarni, szpera tam i w końcu znajduje butelkę. Szkocka.

– Ciekawe, ile ma lat. Sto? Dwieście? Tysiąc? Nie mogę się doczekać. – Odkręca, pociąga tęgi łyk i uśmiecha się szeroko. – Co za ironia, że moja książka stanie się punktem zwrotnym w twojej karierze. Moje szczere wyznanie prawdopodobnie sprawi, że twoja oficjalna autoryzowana biografia będzie się sprzedawać jak ciepłe bułeczki i zarobisz miliony. Dzięki mnie już nigdy nie będziesz musiała pracować.

Słyszę kroki za sobą i w wąskim przejściu pojawia się Nick. Wygląda znacznie lepiej. Wciąż jest wymizerowany, ale odzyskał kolory, a jego oczy przepelnia głęboki spokój.

– Wszystko w porządku?

Grayson ubiega moją odpowiedź, w jego głosie znów pojawia się nuta ironii:

– Tak, piękny książę, wszystko w porządku. To, że ona ze mną rozmawia, nie sprawi, że eksploduje jej głowa.

– Potrzebujemy twojej pomocy – mówi krótko Nick.

– W czym? – pyta Grayson, powracając wzrokiem do butelki.

– W sprawie Yula i Sabriny. Oni coś wiedzą o tej katastrofie. Tylko ty i ja mamy pistolety.

– Nie tylko. Yul znalazł na górze sztucer myśliwski – odpowiada beznamiętnie Grayson, wciąż upajając się aromatem otwartej butelki.

Oczy Nicka odnajdują moje spojrzenie, ale zaraz znów przenosi je na Graysona i mówi spokojnie, rzeczowo:

– Potrzebujemy twojej pomocy. Musisz być w pełni sprawny.

Grayson unosi wzrok.

– Mówisz, żebym nie pił, tatku?

– Nie, mówię tylko, że potrzebujemy twojej pomocy, to wszystko.

Nick wychodzi ze spiżarni, a ja podążam za nim wąskim korytarzem. Już mam zapytać, jaki ma plan, ale on nagle przystaje i ruchem głowy wskazuje wąskie schodki na końcu korytarza. W ciszy słychać szepty. Yula i Sabriny.

– Zaczekajcie – mówi Grayson, dołączając do nas. – Oni cały czas są tam na dole i nad czymś pracują.

Szeptem powtarzam im pośpiesznie to, co udało mi się podsłuchać w części dziobowej samolotu – fragmenty rozmowy Sabriny i Yula za zamkniętymi drzwiami kokpitu, jej oskarżenia, że Yul wiedział, iż samolot się rozbije, i przyłożył do tego rękę oraz że ich poczynania przed lotem sprawiły, iż ocaleni z katastrofy zaczęli się gwałtownie starzeć.

Słuchają w milczeniu, potakując bezgłośnie w ciasnym, oświetlonym blaskiem świecy korytarzu.

– Jak się skończyła ta rozmowa? – pyta Nick.

– Nie skończyła się. Pojawili się intruzi w kombinezonach maskujących.

– Dobrze – mówi Nick. – Nie opuścimy tego domu, dopóki nie dowiemy się, co się dzieje.

Odwraca się i prowadzi nas schodami w dół, do znajdującego się jeszcze niżej dużego pomieszczenia o betonowych ścianach. Widok tego, co robią Yul i Sabrina, sprawia, że przechodzi mnie lodowaty dreszcz. Tak, oni wiedzą, co się dzieje.

## 20: Harper

Piwnice pod farmą musiały zostać wykute długo po wybudowaniu domu. Zamiast szorstkiego kamiennego muru w tej izbie ściany są betonowe, gładkie i pomalowane na biało. Nie potrzeba tu świec – na ścianie jaśnieje ogromny panel ekranu komputerowego, a obok niego, w łukowato sklepionej wnęcie stoi coś, co wygląda jak czarna taksówka. Nie ma kół, tylko stalową platformę. Czy opuszcza się ona w głąb ziemi i łączy z systemem szyn jak na kolei?

Założę się, że tak. To jak stacja metra dla jednego wagonika, umiejscowiona w podziemiach pod tą farmą.

Długie przesuwane drzwiczki czarnego pojazdu są otwarte; ukazują brązowe skórzane siedzenia z trzech stron i duży drewniany stolik pośrodku.

Sabrina i Yul odwracają się od panelu, by ujrzeć Nicka, Graysona i mnie. Strzelba jest oparta o ścianę, w zasięgu ręki Yula.

– Co to ma być? – Nick przerywa ciszę.

– Nie jestem pewna – odpowiada beznamiętnie Sabrina. Znow mówi i zachowuje się jak dawniej.

– Wątpię – stwierdza Nick, podchodząc bliżej i przyglądając się pojazdowi oraz świecącemu panelowi ekranu.

– Podejrzewamy, że to środek transportu.

– Połączony z czymś?

– Wygląda na to, że może dotrzeć wszędzie.

Nick unosi wzrok.

– Zamierzaliście nas zostawić.

Yul odwraca wzrok, ale Sabrina opowiada:

– Tak.

– Przynajmniej jesteś uczciwa.

– Nigdy nie byłam wobec ciebie nieuczciwa, Nick.

– Być może, ale nie powiedziałaś nam całej prawdy, mam rację? Oboje wiecie, co się tu dzieje, i zapewne wiecie także, co stało się z samolotem. Myślę, że należą nam się wyjaśnienia.

Sabrina otwiera usta, ale Yul odzywa się po raz pierwszy:

– Nic nie wiemy.

– Nie wierzę ci. Który jest teraz rok?

– Nie wiem – powtarza z naciskiem Yul.

– A jak myślisz, który może być?

Yul odpowiada z wahaniem:

– Podejrzewam że mamy rok dwa tysiące sto czterdziesty siódmy.

– Czemu tak sądzisz?

Yul kręci głową i spogląda na Sabrinę.

– Rzecz w tym, że nie mamy czasu. Jeżeli zaczniemy odpowiadać na pytania, spędzimy tu kolejne trzy godziny i wciąż będziemy wiedzieli tyle samo co dotychczas. Wy zresztą też. Będziecie mieli co najwyżej jeszcze bardziej namączone w głowie.

– No to namąc mi w głowie – upiera się Nick. – Zaczynaj mówić. Żądam odpowiedzi.

– Nasze odpowiedzi są w większości przypuszczeniami, wnioskami wyciągniętymi na podstawie niepełnych informacji. Dlatego wybieramy się do Londynu.



– I zostawiacie nas tutaj.

– Dla waszego bezpieczeństwa. – Yul wskazuje na swoją torbę. – Uważam, że oni chcą dopaść Sabrinę i mnie, bo zależy im na tym, co tam mam.

– A co tam masz?

– Nie mamy czasu na wyjaśnienia.

Nick milknie, zastanawia się przez chwilę.

– Co jest w Londynie?

– Nie wiemy.

– Więc dlaczego tam jedziecie?

– Bo widok Londynu pozwoli nam się zorientować, z czym tak naprawdę mamy do czynienia. Posłuchajcie – mówi Yul – zostańcie tutaj. Tu jesteście bezpieczniejsi. Oni mogli podłożyć któremuś z nas dwojga urządzenie namierzające i możliwe, że monitorują aktywność kabinowców.

A więc tak nazywa się ta sieć podziemnych połączeń.

Nick kręci głową.

– Nie rozdzielimy się. I mylisz się, nie możemy tu zostać. Nie mamy jedzenia. Musielibyśmy opuścić to miejsce choćby po to, żeby poszukać jakiejś żywności. Jest tylko kwestią czasu, zanim nas wytropią. Naszą jedyną nadzieją jest znalezienie pomocy. Wiecie o tym równie dobrze jak my. Zamierzacie szukać w Londynie odpowiedzi, ale nie tylko o to chodzi, prawda? Uważacie, że znajdziecie tam pomoc.

– Tak – opowiada Sabrina. – Mamy powód, by przypuszczać, że w Londynie znajdziemy pomoc. Nasz plan opiera się na tym założeniu.

– Jeżeli możemy znaleźć pomoc w Londynie, wybierzemy się tam wszyscy. – Nick robi krok w stronę ekranu. – Jak to coś działa?

– Nie wiemy tego na pewno – odpowiada Yul. – Próbowaliśmy rozgryźć system przed włączeniem się do sieci, na wypadek gdyby mogli nas wytropić.

– To jeszcze jeden atut Londynu – mówi Sabrina. – Podróż tam jest względnie krótka. Mamy nadzieję, że oddalimy się na bezpieczną odległość od tej sieci, zanim się zorientują, że z niej korzystamy.

– To ma sens.

Yul dotyka ekranu.

– Wciąż domaga się GP, co, jak przypuszczam, jest rodzajem uniwersalnego identyfikatora, być może wszczepionego jak implant. Dodatkowym zabezpieczeniem jest skan odcisku palca. Na ekranie pojawia się ramka z napisem: „Proszę się zbliżyć do terminalu w celu dokonania transakcji”. W prawym dolnym rogu pojawia się kolejna ramka z tekstem: „Nie masz GP? Przyłóż kciuk do ekranu w tym miejscu”.

Nick daje mi znak, żebym podeszła, i przykładam kciuk do chłodnej powierzchni podświetlonego ekranu. Na panelu pojawiają się czerwone litery: „Obiekt nierozpoznany”.

– Spróbuj jeszcze raz – mówi.

Po trzech próbach ekran wciąż błyska czerwonymi literami, odrzucając skan mojego kciuka.

Potem swój kciuk przykładą Grayson, z takim samym skutkiem. Nie został rozpoznany.

Nick patrzy podejrzliwie na Yula i Sabrinę, aż w końcu sam przykładą kciuk do panelu.

„Nicholas Stone. Wpisz cel podróży”.

– A więc nasza trójka – Nick wskazuje na Yula, Sabrinę i siebie – może korzystać z kabinowca, ale oni już nie?

– Na to wygląda – odpowiada Yul.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Wsuń jakieś przypuszczenie.

Yul kręci głową.

– Od czego miałbym zacząć? Powodów może być wiele.

– Rzuć kilka, ot tak.

– No dobra, na przykład gdy tworzono tę sieć, Harper i Grayson mieszkali poza Londynem i dlatego nie są zarejestrowani w systemie.

– Albo mogli umrzeć przed jej wymyśleniem.

– Do dwa tysiące sto czterdziestego siódmego wszyscy już od dawna będziemy martwi. – Grayson wydaje się rozbawiony.

– To prawda – przyznaje Yul. – Najbardziej prawdopodobne jest jednak, że Harper i Grayson korzystają w przyszłości z alternatywnych środków transportu. Samochodu, statku powietrznego albo teleportera. Kto to wie? Zadowolony? Możemy już ruszać?

– Zadowolony? Bynajmniej, ale faktycznie, powinniśmy ruszać – mówi Nick. – Skoro tylko nasza trójka może aktywować to cudo, rozdzielimy się: Grayson i Sabrina w pierwszej kabinie, Yul w drugiej, a Harper i ja w trzeciej.

Yul uśmiecha się.

– Rozdzielacie nas, żeby mieć nas na oku.

– Zgadza się. Ponieważ wam nie ufamy. Bo mieliście przed nami tajemnice. I chcieliście nas zostawić. Czy to wystarczy za wytłumaczenie? A może by tak postawić na pełną szczerłość? Lepiej do tego przywyknijcie, bo gdy dotrzemy do Londynu, niezależnie, co tam zastaniemy, będziecie nam winni wyjaśnienia.

Grayson podchodzi do Nicka i staje swoim ramieniem przy jego ramieniu. Patrząc na Yula, bezgłośnie informuje Nicka o naszej przewadze liczebnej i zbrojnej.

Yul mamrocze coś pod nosem, ale zgarnia swoją torbę. Patrzy na strzelbę, postanawia ją jednak zostawić; co za ulga.

Sabrina uwija się przy panelu komputerowym, wprowadzając informacje o punkcie docelowym, po czym wraz z Graysonem wsiada do pierwszej kabiny. Pojazd opada z prawie niesłyszalnym szumem i dwie minuty później w niszy pojawia się identyczny pojazd. Wchodzi do niego Yul, nawet na nas nie patrząc, a do trzeciej kabiny wsiadamy Nick i ja.

Wewnątrz pojazd przypomina bardziej wagon kolejowy niż samochód. Siadamy naprzeciw siebie na brązowych skórzanych kanapach. Między nami znajduje się lśniący drewniany stolik. Za sztucznymi oknami po obu stronach wyświetlany jest obraz przedstawiający zielonkawy krajobraz spokojnej angielskiej prowincji. To pierwsza okazja, odkąd się rozbiliśmy, gdy Nick i ja jesteśmy razem, nie narażając siebie ani innych na śmierć, przymieranie głodem ani rozmaite obrażenia.

– Słyszałem, jak ty i Grayson rozmawialiście w piwnicy. – Nick odzywa się pierwszy. – Co jest między wami?

– On mnie nienawidzi.

– A ty jego?

– Niezupełnie. Nie znam go. Jego ojcem jest Oliver Norton Shaw.

– Ten miliarder.

– Tak. Znasz go?

– Poznałem go.

– Ja też, kilka dni temu, w Nowym Jorku. Leciałam pierwszą klasą dlatego, że Shaw zapłacił za bilet. To miała być swego rodzaju zachęta, próba przekupienia mnie, bym napisała jego oficjalną biografię.

– I to wkurzyło Graysona?

– Niezupełnie. Jego ojciec planuje coś wielkiego. Shaw chce spożytkować swoją fortunę w wielkim stylu, zakładając nowego typu fundację charytatywną. Nazwał ją Fundacja Tytani. Chce, żeby książka szczegółowo opowiadała o jego życiu i wizji, jaką jego fortuna i fundacja mają odegrać w przyszłości ludzkości.

– Z całą pewnością ma o sobie wysokie mniemanie.

– Owszem. Ale nie o swoim synu. Grayson nie dostanie złamanego grosza, gdy fundacja zostanie powołana. Shaw uważa, że w ten sposób zmusi go, by wytyczył sobie cel w życiu. Kiedy czekałam na spotkanie z Shawem, był z nim Grayson. Wściekał się, wrzeszczał, że odbiera mu się prawo do spadku. Nazywał ojca spragnionym chwały sprzedawczykiem, który nawet gdy jego kariera w biznesie dobiegła końca, odcina kupony od dawnej świetności, aby jeszcze choć raz znaleźć się w świetle jupiterów. Używał też innych, mniej pochlebnych epitetów. Wyszedł z gabinetu wzburzony i właśnie wtedy go zobaczyłam. Jak powiedział mi Shaw, Grayson zagroził, że opublikuje własną książkę, w której bez ogródek opíše wszystkie brudy ojca. Był gotów ujawnić najgorsze rodzinne sekrety, jeżeli nie dostanie należnego mu dziedzictwa.

– To ciekawe.

– To zabawne. Odkąd się rozbiliśmy, w ogóle nie myślałam o moim dylemacie, ale podczas lotu nie potrafiłam o tym zapomnieć.

– O dylemacie?

– Czy mam napisać biografię Shawa.

– W czym problem?

– Głównie w tym, że nie wiem, kim chciałabym być, gdy dorosnę.

– A kto to wie w tych czasach? – Nick chichocze.

– Przez kilka lat byłam dziennikarką, potem ghostwriterką, a biografia Shawa miała być pierwszą książką opublikowaną pod moim nazwiskiem.

– Brzmi wspaniale.

– Owszem. I wydawało mi się, że tego właśnie chcę. Ale pracowałam także nad powieścią, a raczej nad serią powieści. To coś, co naprawdę kocham, i obawiam się, że jeśli podejmę się pracy nad biografią Shawa, nigdy nie skończę tej serii. Całe moje życie się zmieni. Chcę jedynie wiedzieć, czy byłabym w stanie pisać beletrystykę. Gdybym to wiedziała, podjęcie decyzji byłoby o wiele prostsze.

Nick kiwa głową i przez chwilę siedzimy w milczeniu.

– A ty? Też obawiasz się o swoją karierę?

Śmieje się.

– Tak... ja też jestem... poniekąd... na rozdrożu.

– Jeżeli chodzi o pracę?

– O wszystko.

Nie rozwija tej myśli i nagle wydaje się znacznie bardziej zmęczony. Nie jest zbyt rozmowny, a przynajmniej w kwestii życia osobistego. To zabawne, ale w ostatnich dniach często słyszałam jego głos: mowę, jaką wygłosił przy ognisku w zimną czarną noc, kiedy udało się ocalić tylu ludzi, kiedy organizował obóz, dbając o to, by nikt nie był głodny i by ludzie nie skakali sobie do gardeł. Wykazał się niezawodnym instynktem i podjął trafne decyzje. Ale gdy pada proste pytanie o życie prywatne, zaczyna się miotać jak ryba schwymana na haczyk.

– Naprawdę się ucieszyłem – mówi – kiedy dziś rano, po powrocie, zobaczyłem, że żyjesz.

Biorę głęboki oddech, uspokajając się.

– Tak. Ja też. Nie byłam pewna, czy przeżyję kolejny dzień. A gdy otworzyłam oczy i cię zobaczyłam... To było miłe, ale, na Boga, wyglądałeś okropnie. Bardzo mnie wystraszyłeś.

– To były trudne dwa dni.

Omijam stolik, żeby usiąść obok niego, po czym dotykam jego czoła na wysokości linii włosów, badając rany, które wcześniej starannie otarłam z krwi, i uśmiecham się.

– Ale doprowadziłeś się do porządku.

Dotyka mojej ręki, zaciska palce na przegubie i wypełnia kciukiem połowę wnętrza mojej dłoni.

Mimowolnie wstrzymuję oddech.

Żadne z nas się nie odzywa, ale nasze twarze powoli zbliżają się do siebie. Nie wiem, czy to on się

porusza, czy ja. A może my oboje.

Ciszę rozdziera grzmiący komputerowy głos:

– Dotarłeś do celu.

Ale nie odwracam wzroku. On też nie.

Z tyłu za mną drzwi rozsuwają się i czuję chłodny podmuch powietrza omiatający moje plecy. Oczy Nicka rozszerzają się, a ja się odwracam i po raz pierwszy mam okazję zobaczyć, jak zmienił się Londyn.

## 21: Harper

To Londyn, jakiego nigdy nie widziałam.

W piwnicy pod farmą, zanim wyruszyliśmy, zastanawialiśmy się nad punktem docelowym. Braliśmy pod uwagę Parlament, Downing Street 10, Scotland Yard i kilka innych znanych miejsc, argumentując to tym, że jeśli wciąż istnieje rząd w znanej nam cywilizowanej postaci albo formalne siły bezpieczeństwa, powinny rezydować w jednej z tych placówek. Niemniej należy zakładać ryzyko, że siły rządowe i zakamuflowane ścigające nas jednostki to jedno i to samo.

Ostatecznie postawiliśmy na kompromis: postój w Hampstead Station, dzielnicy willowej, a w każdym razie była nią w 2014 roku. Spenetrowanie tej okolicy pomoże nam zorientować się, jak wygląda sytuacja w mieście, poza tym ta część Londynu nie powinna być strzeżona, co zwiększało nasze szanse na ewentualną ucieczkę.

Mieliśmy rację co do jednego: dworzec kolei kabinowej jest niestrzeżony. Właściwie jest zupełnie opustoszały.

Nick i ja przez chwilę wyglądamy z wagonu, przypatrując się temu, co wydaje się zmodernizowaną stacją metra. Sabrina, Yul i Grayson czekają na zewnątrz. Gdy Grayson widzi, że siedzimy obok siebie w kabinie, wywraca oczami i odchodzi w głąb rozległego betonowego peronu odmienionego prawie nie do poznania. Tam, gdzie były tory, po których przetaczały się składy, widnieją obecnie rzędy dużych stanowisk oferujących dostęp do kapsuł kabinowców. Widok ciemnych rzędów pustych wagoników wytrąca mnie z równowagi.

To surrealistyczny pejzaż: stacja metra, niegdyś gwarna i zatłoczona, teraz jest kompletnie opustoszała; ani śladu ludzi rozmawiających, wlepiających wzrok w ekrany komórek i krążących tam i z powrotem. W godzinach szczytu nie dałoby się tu wetknąć szpilki. Nie byłoby czym oddychać. Teraz słyhać nawet najcichszy szmer.

Na ulicy również żadnych oznak życia, w każdym razie ludzkiego. Niektóre budynki zabito deskami, inne spustoszone, większość szyb powybijano, szkło wała się na wyludnionych chodnikach i ulicach. Ze szpar wyrastają trawa i chwasty, ściany budynków są porośnięte pnączami; żywna zieleń stanowi osobliwy kontrast dla murszejących ruin cywilizacji. Miasto, które tak bardzo kocham, a które zostało zbudowane przez Rzymian blisko dwa tysiące lat temu i które przetrwało niezliczone najazdy i niezliczone plagi, w tym czarną śmierć i naloty nazistów, w końcu upadło. Ale co je pokonało?

Słońce zachodzi, słaby blask księżyca rzuca dziwną poświatę na martwe ulice. Wychodzę na opustoszałą alejkę i staję skonsternowana kompletną ciszą, jakiej dotąd nie doświadczyłam w Londynie. Ta cisza jest niemal transcendentna, hipnotyczna. Odnoszę wrażenie, że znalazłam się na planie niskobudżetowego serialu telewizyjnego, chociaż wszystko wygląda przerażająco prawdziwie.

– Co teraz? – pyta ostro Nick, patrząc na Sabrinę i Yula.

– Jeszcze nie wiemy...

– Cudownie. – Nick odwraca się w stronę dworca. – Tu raczej nie możemy zostać. Powinniśmy się ukryć i porozmawiać.

– Moje mieszkanie jest trzy przecznice stąd – rzucam bez namysłu; ta zagadka wciąż nie przestaje mnie zdumiewać.

– Dobra. Zostaniemy tam, dopóki nie opracujemy planu.

Tropy. Przejście trzech przecznic do mojego domu pozwala zaobserwować pewne ślady wydarzeń w postaci współczesnych malowideł naskalnych albo, inaczej mówiąc, graffiti. Wiele inskrypcji jest niepełnych, zmytych przez deszcz i wichury, inne zarosły chwastami, pnączami lub są zasłonięte przez drzewa. Ale pozostałe fragmenty ujawniają obraz miasta u progu zagłady:

Pandora była nieunikniona.

Uczyńcie Tytanami nas wszystkich albo nikogo.

Tytani nas zdradzili.

Zasłużyliśmy na to.

Tytani nas uratują.

Niech Bóg błogosławi Tytanów.

Ludzkość umarła wiele lat temu. To tylko zwykła czystka.

Wygramy wojnę z Tytanami.

Drzwi do dużej kamienicy, podzielonej dawno temu na osiem osobnych mieszkań, są otwarte na oścież. Wspinamy się po wąskich schodach na trzecie piętro, gdzie znajdowało się moje ciasne mieszkanie.

Nagle uświadamiam sobie, co robimy, i zaczynam mieć opory przed pokazaniem mojego lokum gościom... a zwłaszcza jednemu. Denerwuję się. To głupie. Przecież teraz to już nie jest moje mieszkanie. Skoro mamy 2147 rok, na pewno nie należy już do mnie od jakichś stu lat. Ale i tak się denerwuję. Waham się przed pokazaniem Nickowi, gdzie mieszkam.

Zatrzymujemy się na podeście, drzwi są lekko uchylone. Otwieram je pchnięciem. Niesamowite. Mieszkanie jest większe. Przyszły właściciel powiększył je o sąsiednie mieszkanie. Moich mebli już nie ma, ale styl, ogólne wrażenie... atmosfera... to wszystko jest moje. Musiałam zadbać o wystrój. Albo... zrobiła to moja córka, ktoś mający mój smak i gust. Zastygam w progu.

Nick zagląda ponad moim ramieniem.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Wchodzę do środka, a głosy i ruch z tyłu za mną zamierają. Najpierw zatrzymuję się przy regale z książkami. Na górnej półce stoi w równym rzędzie ponad dziesięć książek w twardej oprawie i wszystkie są autorstwa Harper Lane. Mają obwoluty i są takie same w dotyku, wielkie drukowane litery nakładają się na w większości czarno-białe zdjęcia na okładkach. Biografie. Pierwsza to *Oliver Norton Shaw: Świt Tytanów*. Następna to biografia Davida Jacksona; nazwisko nic mi nie mówi. Pospiesznie przeglądam rząd poniżej, szukając innego rodzaju książek o Alice Carter. To ktoś, na kim mi zależy. Ale jej tu nie ma. Tylko opasłe biografie, wszystkie w tym samym stylu. Litery zlewają się w jedno, gdy na nie patrzę. Musi tu być ze dwadzieścia lub trzydzieści biografii napisanych przez Harper Lane. Ani jednej powieści beletrystycznej. Nie ma tu również albumów ze zdjęciami. Na stolikach i niewielkich półkach na ścianach stoją ramki na fotografie, ale wszystkie są puste. Pewnie są cyfrowe, a ich pamięć wyczerpała się wskutek braku zasilania po katastrofie, czy czymkolwiek była tragedia, która się wydarzyła. Przetrzęsam cały regał, mając nadzieję, że uda mi się znaleźć coś drukowanego, pożółkłe ze starości zdjęcie przedstawiające mnie w towarzystwie uśmiechniętego dżentelmena lub dziecka nad oceanem o zachodzie słońca. Ale gdy zaglądam na kolejne półki, znajduję na nich tylko publikacje informacyjne, dwa słowniki, tezaurus i kilka mocno szczytanych powieści, które uwielbiałam w młodości.

Słyszę głos Nicka, wypowiada moje nazwisko i słowo „Tytani”, ale jak w transie kieruję się do sypialni.

Także to pomieszczenie zostało urządzone w moim stylu.

Jest tu dużo jaśniej. Przez dwa okna wpływa blask księżycy i niemal odbija się od niebieskich ścian z żółtymi akcentami. Opadam na łóżko, wzbijając w powietrze chmurę kurzu. Wirujące drobinki migoczą w srebrnym świetle, jakby moja sypialnia była naturalnej wielkości kulą śnieżną ze mną w środku.

Opuszczam ręce poza zasięg księżycowej poświaty, dotykam dłonią krawędzi łóżka w miejscu, gdzie mam swój prywatny schowek, o którym nie wie nikt postronny ani moi goście, ani nawet najbliżsi przyjaciele odwiedzający mnie w tym mieszkanku po wyjątkowo kiepskim dniu. Jeżeli coś tam ukryłam, nikt nigdy by tego nie znalazł. Zastygam w bezruchu.

Dopiero by było...

Wsuwam palce w szczelinę między materacem...

Tak, naprawdę tu mieszkam.

## 22: Harper

Leżąc na łóżku, które było kiedyś moje, w mieszkaniu, które kiedyś było moje, wyciągam spod materaca dwa notatniki. Kilka sekund toczę wewnętrzną walkę, który otworzyć pierwszy. W lewej ręce trzymam notes z zapiskami do powieści, nad którą pracowałam od czasu studiów. Pożółkłe, postrzępione kartki wystają z trzech stron notatnika. W prawej dłoni ściskam mój dziennik, oprawiony w czarną skórę tom, jeden z wielu, jakie zapełniłam w życiu.

Najpierw odpowiedzi.

Otwieram dziennik i spoglądam na pierwszy wpis. Trzeci sierpnia 2014. Niewiarygodne. To ten sam dziennik, który pisałam, zanim rozpoczęłam lot numer 305. Jak to? Zwykle zapełniam jeden dziennik przez rok. Moje pamiętnikarskie zapędy musiały stracić impet. Albo... wpisy kończą się tuż po 2014 roku. To może ujawnić, co się wydarzyło.

Przez chwilę zastanawiam się, czy wrócić z tymi dziennikami do pozostałych, czekających w salonie, ale najpierw sama muszę je przeczytać. Chyba boję się odkryć, co ujawnią na mój temat.

Odwracam stronę, by dotrzeć do miejsca, gdzie powinien znajdować się kolejny wpis – z dnia po planowanym lądowaniu samolotu.

**15 listopada 2014**

Pewność. Pewność to z pewnością słowo dnia. Rozumiesz, co zrobiłam? Tak, oczywiście, że tak, bo chciałam to zrobić i zrobiłam. To było pewne. I tak samo jest z moim losem, bo wybrałam pewność.

No dobra. Jestem trochę podekscytowana. To spora ulga, pozbyłam się brzemia, podejmując decyzję, co wcześniej mnie paraliżowało i miażdżyło – napiszę biografię Olivera Nortona Shawa, napuszoną aż do przesady, rozbuchaną i opasłą jak encyklopedia, która nic nie zmieni, może z wyjątkiem mojego losu. I dobrze mi za nią zapłacą. To pewne. Będę mogła potem wykorzystać te pieniądze, by oddać się mojej prawdziwej pasji: Alice Carter i tajemnice wieczności (uwaga: zmieniłam tytuł, bo jeszcze wczoraj miał brzmieć – Alice Carter i rycerze wieczności; spójrzmy prawdzie w oczy: wszyscy lubią ciekawe tajemnice, a jeśli chodzi o rycerzy, wiemy, do czego to prowadzi, prawda?).

Napisanie biografii zajmie rok albo dziesięć miesięcy, jeżeli się sprężę, i w kolejnym roku ukaże się drukiem, po tym jak niezyczliwi krytycy będą mieli okazję rozebrać ją na czynniki pierwsze, a drukarze wytną dostatecznie dużą połąć lasów, by wypuścić do księgarń jeszcze jeden tytuł nadający się najlepiej do przytrzymania otwartych drzwi. Dwa lata. Po podpisaniu umowy otrzymam jedną trzecią honorarium, następną jedną trzecią po zaakceptowaniu skończonego rękopisu, a ostatnią jedną trzecią po publikacji. Potem co pół roku będę otrzymywać tantiemy, w postaci czeku, od których zostanie odliczone piętnaście procent dla mojego agenta (wciąż uważam, że i tak warto).

Pewność. Postanowiłam, że napiszę biografię Olivera Nortona Shawa. Jestem pewna, że za dwa lata będę pełnoetatową pisarką powieści beletrystycznych i poświęcę swoje życie młodej Brytyjce Alice Carter, która odkryje, iż potrafi znacznie więcej, niż się spodziewała, a jej wybory i wyjątkowe zdolności mogą odmienić bieg historii i ocalić jej świat. Bardzo mi się to podoba. Czekam na to z utęsknieniem. Jeszcze tylko dwadzieścia cztery miesiące.

A więc przyjąłam to zlecenie. I co z tego wynikło? Na szczęście mam w ręce swoją autobiografię. Przerzucam strony, odczytując kolejne daty nakreślone moją ręką i poszukując wpisu z dnia mniej więcej dwa lata później...

**21 października 2016**



Sukces. Sukces to moje drugie imię. Może najpierw podam kilka podstawowych faktów:

„The Sunday Times” – Autorka nr 1 w dziedzinie literatura faktu? – Harper Lane

„The New York Times” – Autorka nr 1 w dziedzinie literatura faktu? – Harper Lane

„USA Today”. A jak myślisz?

Recenzje. Nie takie złe. Kilka bezpośrednich ciosów tu i ówdzie, ale mój wydawca stwierdził po prostu: Właściciel „Post” od lat nienawidzi Shawa, nie zwracaj uwagi. A o kolejnym krytyku powiedział: Gibbs uważa, że to on powinien był napisać tę książkę. Nic dziwnego, że ma do ciebie żal. Nie daj mu się, Harp. Itede, itepe. Ale wniosek jest jeden – to prawdziwy przebój.

Nie chodzi tylko o krytyków i wyniki sprzedaży. Czytelnicy, a jest ich wielu, naprawdę sięgają po tę książkę, podoba im się i piszą do mnie, by podzielić się odczuciami, stwierdzić, że dała im nową perspektywę, odwagę wyjścia z ukrycia i dokonania zmian w swoim życiu. To niesamowite. Każdego dnia, gdy sprawdzam pocztę, napotykam kolejną porcję listów.

I jeszcze jedna różnica. Jako ghostwriter pisałam, by zadowolić redaktora naczelnego. Przełożeni zatwierdzali wypłaty, a pochwały i czeki pojawiały się sporadycznie. Teraz codziennie otrzymuję nową porcję zachęty – cyfrowo. Teraz piszę dla nich. Dla ludzi. Aby byli szczęśliwi. Bo jestem dumna – ze swojej pracy i z podjętej decyzji.

Ciekawe. Przewracam strony, poszukując tego, co naprawdę mnie interesuje. Kilka miesięcy później napotykam kluczowy zwrot.

**7 lutego 2017**

Poznałam kogoś. Jest bystry (bardzo, ale to bardzo bystry), czarujący, wszechstronnie wykształcony i niewiarygodnie obyty w świecie. Innymi słowy, ujmujący.

Ale nie tylko o to chodzi. Jest w takim wieku, że mógłby być moim ojcem. To jeden z najbliższych przyjaciół Shawa, jeszcze jeden z założycieli Fundacji Tytani, a jego historia aż się prosi, by ją opowiedzieć. Jeżeli tak się stanie, świat będzie zdecydowanie lepszym miejscem. Mówi, że jestem jedyną osobą, która może ją napisać, i że nie zdecyduje się na nikogo innego. Ja albo nikt inny. Jeżeli odmówię, świat nigdy nie pozna jego historii, nie dowie się o trudach, triumfach i poświęceniu Davida Jacksona. Zgodziłam się to zrobić.

Przewracam stronę, a data trochę mnie zaskakuje. Włożyłam całą energię w pisanie biografii Jacksona, nie zadając sobie trudu na pisanie dziennika. Przerzucam kolejną stronę i odnajduję wpis na okoliczność publikacji mojej książki.

**16 września 2019**

W tej branży mówi się, że do każdego choć raz uśmiechnie się szczęście (nie wierzę), a gdy powtórzysz swój sukces, ludzie zaczną wierzyć, iż masz prawdziwy talent.

We mnie też zaczynają wierzyć.

Biografia Jacksona uchodzi za lepszą niż Shawa, odmalowałam jego życie w żywszej tonacji, przenosząc czytelników do miejsca, gdzie dorastał, gdzie stał się człowiekiem, który podbił świat finansjery i kupczył losami narodów, jakby grał w Monopol. Ale najważniejsze, że czytelnicy mogą zrozumieć, jak i dlaczego w wieku sześćdziesięciu lat Jackson nawrócił się i postanowił dołączyć do Olivera Nortona Shawa, poświęcając swoje życie i przeznaczając swoją fortunę na rzecz Fundacji Tytani i polepszenia ludzkości. Mogą zobaczyć, w szerszym kontekście, co znaczy dla niego bycie Tytanem, jak odmieniło to jego życie i z jakimi wiązało się wyrzeczeniami. Krótko mówiąc, ludzie mogą go zrozumieć. I nie tylko zwykli ludzie, z ulicy, lecz także jego najbliżsi współpracownicy. Ludzie tacy jak David Jackson nie są zbyt wylewni, nie mają wielu przyjaciół, nie bratają się z pracownikami na wyjazdach integracyjnych, zasiadając przy ognisku ze szklanką whisky w dłoni. Jak powiedział, nawet najbliżsi

przyjaciele dzwonią do niego i mówią, że wreszcie go zrozumieli. Ludzie, których znał od czterdziestu lat, podchodzą do niego na bankietach i wyznają, że dopiero teraz pojęli, dlaczego uczynił to czy tamto dziesiątki lat temu i co stara się zrobić obecnie. A najciekawsze, że odbiera też telefony od swoich wrogów, ludzi, z którymi toczył publiczne lub prywatne spory, a którzy chcą teraz zakopać topór wojenny i dołączyć do niego i Olivera, gdyż pragną stać się Tytanami.

Zadzwoił do mnie wczoraj, by mi to powiedzieć, i upierał się, że to ja tego dokonałam, że sprawiła to napisana przeze mnie biografia.

Zaklinałam się, że to nieprawda, że to jego życie, jego historia i jego fortuna uczyniły wszystko możliwym. Ja jestem tylko narratorką, a ludzie chcą usłyszeć właśnie jego historię. A tak się złożyło, że znalazłam się we właściwym miejscu o właściwej porze.

W zeszły wtorek zjadłam lunch z Jacksonem i Oliverem na Manhattanie. Mieliśmy świętować sukces, ale postanowili wykorzystać tę okazję. Była z nimi kobieta, kolejna kandydatka na Tytana, równie niezwykła. Nie tak ujmująca jak Shaw czy Jackson, ale jej historia do mnie przemawia. I wiem, że zafrapuje też innych, wszystkie kobiety, zwłaszcza te z prowincjonalnych zakątków świata, gdzie okazje nadarzają się rzadko i tylko szczęściarzom udaje się stamtąd uciec. Lubię ją i podoba mi się jej historia. Zgodziłam się ją napisać.

W myślach rozważam wszystkie za i przeciw: mój nowy temat i Alice Carter.

Jedna jest prawdziwa, druga to twór mojej wyobraźni, w najlepszym razie opowieść do poduszki.

Jedna może inspirować kobiety przez całe pokolenia. Druga może okazać się kilkutygodniowym przebojem wydawniczym, zostanie kiedyś fatalnie przeniesiona na ekran, ale szybko popadnie w zapomnienie, przyćmiona krzykliwą reklamą kolejnej kasowej produkcji. Ludzie nie będą pamiętać Alice Carter. Ale zapamiętają Sabrinę Schroeder, ponieważ jest prawdziwa. Każda chwila jej zmagania odzwierciedla rzeczywistość. Jej triumf może inspirować innych. Jej historię należy opowiedzieć.

Wybór jest prosty.

Łał. Nie spodziewałam się tego. Ta biografia musi stać na którejś z półek, które przejrzałam pobieżnie, rozglądając się za Alice Carter. Poszukam jej, gdy skończę czytać dziennik.

Po 2019 roku wpisy się zmieniają. Nie ma już wewnętrznego dialogu. Nie ma wtrąconych myśli ani odczuć. Teraz to tylko cholerny almanach, rejestr księgowy zawierający głównie informacje o sprzedaży, latach i biografiiach, które napisałam. Nic dziwnego, że notatnik nie został wypełniony.

I nagle, dwadzieścia lat później, suche, związane wpisy ustępują miejsca czemuś innemu.

**23 grudnia 2039**

Sama. Kolejny rok. Podobnie jak on. Nie mam nic innego do roboty poza pisaniem. On jest moim jedynym przyjacielem. Wyjawiliśmy sobie nasze uczucia. On ma plan. Jest taki dzielny. To wszystko odmieni. Po raz pierwszy, odkąd moja mama leżała na łożu śmierci, zaczęłam się modlić. Tak bardzo tego pragnę. To jedyna możliwość. Bez tego nie sposób do niego dotrzeć. A raczej do mnie. Jestem zakazana.

Tytani – nasz ostatni wróg. Cóż za ironia. Kontrowersyjna klika, którą sprzedawałam światu, stanowi obecnie jedyną przeszkodę w moim dążeniu do nieśmiertelnego szczęścia.

I to wszystko. Żadnych więcej wpisów. To jakiś żart.

Może jest gdzieś inny dziennik. Zamierzam przeszukać całe mieszkanie, lecz nagle drzwi się otwierają i do środka zagląda Nick.

– Hej... – Mruży lekko powieki, patrząc na mnie leżącą na łóżku z dziennikami i dostrzegając smutek na mojej twarzy. – Wszystko w porządku?

Och, no jasne, nic się nie stało, po prostu porzuciłam swoje marzenia i umarłam jako stara panna, która zmarnowała ostatnie lata życia, próbując zdobyć nieosiągalnego mężczyznę.

– Odpoczywam. – Kłamstwo ma zabrzmieć przekonująco, ale tak nie jest.

Nick szybko mnie rozszyfrowuje. Za dobrze mnie zna. A może rozgryzanie ludzi jest częścią jego

pracy?

Wchodzi i siada obok mnie; drzwi same zamknęły się za nim. Moje serce bije jak oszalałe. Motyle w brzuchu podrywają się i zaczynają latać w kółko, jakby na nowo zapłonął we mnie dogasający ogień. Boże, zachowuję się jak dwunastolatka. Należy mnie zamknąć w wariatkowie.

– O co chodzi? – pyta.

Pokazuję mu notatnik.

– Przeglądałam niektóre z dokonanych przeze mnie wyborów.

– I?

– Początkowo wszystko wyglądało dobrze... ale nie wyszło, tak jak się spodziewałam.

– Nie wyszło w jej życiu.

– Jej przeszłość to moja przyszłość.

– Nie musi tak być. Myślę, że mamy przełom. Jest tu muzeum, w którym możemy się dowiedzieć, co się stało. A Yul i Sabrina zgodzili się, że tam powiedzą nam wszystko.

– Muzeum?

– Nazywa się Dwór Tytanów.

∞

Marsz do Dworu Tytanów dłuży się w nieskończoność. W rzeczywistości to tylko cztery przecznice od mojego mieszkania.

Sabrina i Yul idą przodem, potem Grayson, a na końcu Nick i ja.

Milczymy dla naszego bezpieczeństwa, ale odnoszę wrażenie, że wszyscy są głęboko zamyśleni, kontemplując dziwny, opustoszały Londyn z przyszłości, i czekają na wyjaśnienia, które pozwolą zrozumieć, co się wydarzyło.

Dwór Tytanów zajmuje całą długość przecznicy, w większości tereny zielone. Lecz to, co kiedyś musiało być pięknym parkiem, teraz zarosło i wygląda jak centralny punkt, od którego natura rozpoczęła odzyskiwanie i przejmowanie Londynu w posiadanie – rozchodzą się stąd chwasty, pędy i pnącza, które z wolna pochłaniają ostatnie ślady istnienia ludzkości.

Pośrodku parku stoi prosta budowla z kamieni i drewnianych belek, ledwie widoczna w blasku księżyca pośród bujnej zieloności. Niewielka wysokość i prostota budynku stanowią uderzający kontrast dla otaczającej go zatłoczonej londyńskiej metropolii. Zapewne osiągnięcie tego efektu nie było tanie. Znam tę okolicę, stały tu biurowce i wielkie domy, które kosztowały fortunę.

Maszerujemy przez zarośnięty park, przestępując ponad zwalonymi drzewami i przedzierając się przez splątany gąszcz. Nick pchnięciem otwiera dwuskrzydłowe odrzwia budowli. Ukazuje się nieduży hol z recepcją i kontuarem na podwyższeniu. Wchodzimy do rozległego pokoju o dwunastu drzwiach. Przypomina mi poczekalnię do kolejki górskiej w parku rozrywki. Tu zapewne goście ustawiali się w kolejce, zanim wpuszczono ich do środka.

Ku swojemu zdziwieniu dostrzegam na podłodze migającą zieloną strzałkę wskazującą pierwsze drzwi.

– Ma zasilanie z baterii słonecznych, jak w Stonehenge – mówi Nick.

Jasne, jak w Stonehenge. Chętnie kiedyś usłyszałamby tę historię.

Cała nasza piątka podąża za strzałkami do sali, która jest dużo większa, niż się spodziewałam, a której podłogę wyłożono płytami z ciemnego kamienia. Sala wydaje się pusta, ale w jej części spowitej cieniem rozlegają się kroki, najpierw ciche, potem coraz głośniejsze – tupot obcasów na kamiennej posadzce.

Nick i Grayson dobywają broni i stają przed Sabriną, Yulem i mną, by stawić czoło potencjalnemu zagrożeniu. Staliśmy się paranoikami, nie bez powodu.

Postać, która wyłania się z ciemności, ani trochę nie przejmuje się widokiem pistoletów. Jest ubrana

formalnie, ponadczasowo: w prostą czarną sukienkę ozdobioną sznurem pereł. Włosy sięgają jej do ramion, mniej więcej tak jak moje, choć są srebrzystosiwie. Twarz ma pociągłą, poprzecinaną drobnymi zmarszczkami; obstawiam, że może mieć sześćdziesiąt lat. Patrzy na nas bez śladu zaniepokojenia.

– Witam. Jestem Harper Lane.

## 23: Nick

Obok mnie stoi trzydziestoletnia Harper, która z konsternacją patrzy na dwukrotnie starszą wersję siebie, choć trzeba przyznać, że postarzała się z klasą. Harper z przyszłości nie przejawia żadnej reakcji, co – zważywszy, że są w nią wycelowane dwa pistolety – stanowi pierwszy sygnał tego, iż coś jest nie tak. Zanim ktokolwiek zdąży się odezwać, kobieta mówi dalej:

– Jestem kustoszem Dworu Tytanów i oficjalnym biografem Fundacji Tytani. Chcę was powitać na pierwszym etapie tej wycieczki, na której poznacie historię Fundacji Tytani od jej powstania po utworzenie Czterech Cudów Tytanów i dowiedziecie się, jak na zawsze odmieniły one cywilizację. Po tym krótkim wstępie będziecie mieć możliwość wnikliwego zapoznania się z historią Tytanów, wybierając tematy, które najbardziej was interesują. Przygotujcie się zatem na poznanie genezy Fundacji Tytani, organizacji, której jakże wiele zawdzięczamy.

Robię krok naprzód i wyciągam rękę; przeszywam nią na wylot Harper z przyszłości – ta kobieta jest hologramem. To odkrycie nie wyprowadza Harper z szoku, jakiego doznała. Nie chodzi tylko o hologram. Dzienniki wstrząsnęły nią do głębi. Widząc, co stało się z jej miastem i z jej życiem, stojąc naprzeciw przyszłej siebie, mimo że w postaci zautomatyzowanego nagrania, nie jest w stanie tego pojąć. Mało kto byłby w stanie. Myślę, że najbardziej poruszył ją kontrast między jej obecną a przyszłą postacią. Moją uwagę przykuły radosne iskierki w oczach Harper Lane. Są urzekające; u przyszłej Harper Lane ich nie ma. Oczy tej formalnie ubranej przewodniczki wycieczek są pozbawione życia i pasji i nie wydaje mi się, aby wynikało to z powtarzania po raz enty tego samego tekstu. Bardzo się zmieniła. Nie winię Harper, że jest wstrząśnięta. Chętnie dałbym jej dłuższą chwilę, by ochłonęła, doszła trochę do siebie, ale nie mamy czasu. Potrzebujemy odpowiedzi. Jeżeli nie zaczniemy rozszyfrowywać, co tu się dzieje i skąd możemy uzyskać pomoc, długo nie przetrwamy.

Puste kamienne pomieszczenie wokół nas zmienia się w wyłożony drewnianą boazerią gabinet, którego wszystkie okna wychodzą na nowojorski Central Park. Harper chyba rozpoznaje to miejsce, podobnie jak Grayson, który robi krok naprzód, wytrzeszczając oczy.

Przy biurku, pod oknem siedzi starszy mężczyzna i rozmawia z kobietą po trzydziestce, która wygląda jak kiepska podróbka Harper – nie jest tak ładna i brak jej wspomnianych już figlarnych iskierek w oczach.

Harper z przyszłości zbliża się do mężczyzny i kobiety siedzących przy oknie.

– W dwa tysiące czternastym roku odbyłam brzemiennie w skutkach spotkanie z miliarderem nazwiskiem Oliver Norton Shaw, który poprosił, bym napisała jego biografię. Shaw chciał, żebym opowiedziała światu jego historię, ale nie to było prawdziwym motywem jego poczynań. Chciał zmobilizować całą światową elitę, rzucić wyzwanie błyskotliwym, potężnym i zamożnym jednostkom, które, jak wierzył, są w stanie odmienić losy świata, o ile tylko zechcą twórczo współdziałać. Podczas naszego pierwszego spotkania Shaw zarysował swoją wizję nowej siły na rzecz światowego dobra, wizję grupy, którą nazwał Tytanami, a która miała współpracować, by osiągnąć skutki na skalę globalną, przynieść zmiany mające w efekcie położyć kres głodowi i biedzie, doprowadzić do osiągnięcia pokoju na świecie i nieść kaganek oświaty oraz możliwości rozwoju do najdalszych zakątków naszej planety. Ale problem polegał na tym, że Shaw nie bardzo wiedział, jak osiągnąć te szczytne cele. Miało się to jednak zmienić. Zaledwie kilka dni po naszym pierwszym spotkaniu Shaw zetknął się z Nicholasem Stone'em, człowiekiem, który stanie się obok niego współzałożycielem Fundacji Tytani. Niech sam opowie o tym zdarzeniu.

Harper z przyszłości oddala się od biurka i paraznika z pola widzenia. W wysokim, obitym skórą fotelu po drugiej stronie gabinetu siedzę... ja. Jestem po sześćdziesiątce, podejrzewam. Włosy mam tej samej długości co teraz, choć niemal całkiem siwe.

No dobra, Harper, już rozumiem. Trochę to dziwne. Aż kręci się w głowie i zbiera mi się na mdłości. Boję się tego, co powie ten facet, co może ujawnić. Ale... zastanawiam się, czy może się to okazać dla nas wszystkich kluczem do przetrwania.

– Kiedy Oliver Norton Shaw opowiedział mi o Fundacji Tytani, byłem na rozdrożu, zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Byłem zagubiony i... bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwy, choć nie wiedziałem dlaczego. Jako dwudziestolatek szybko zarobiłem sporo pieniędzy. Gdy oglądam się wstecz, muszę powiedzieć, że do tej pory zawsze uważałem, iż po prostu los uśmiechnął się do mnie i znalazłem się o właściwej porze w określonym miejscu. Przepełniało mnie nienasycone pragnienie udowodnienia sobie, że jestem godzien sukcesu, którego doświadczyłem, że był on moją zasługą, że sam na niego zapracowałem, a nie przeznaczenie czy innego rodzaju splot wydarzeń mi to ułatwiły. Dawałem z siebie coraz więcej, podejmowałem coraz większe ryzyko, stawiałem sobie coraz większe cele i coraz więcej osiągałem. I z każdym kolejnym rokiem byłem coraz bardziej niezadowolony. To było jak powolne zapadanie się w głębokiej studni, czułem się, jakbym równocześnie tonął i umierał z pragnienia. Przepełniały mnie frustracja i zagubienie.

To było upokarzające. Gorsze niż upicie się w pierwszym dniu szkoły. Muszę tak stać, podczas gdy ten palant wylewa z siebie emocje, o których nie powiedziałem ani matce, ani siostrze, ani najbliższym przyjaciółom. Zdradza moje najskrytsze tajemnice z figlarnym uśmiechem na ustach, jakby był z tego dumny.

Spoglądam na Harper. Patrzy na mnie, nie na paplającego bez przerwy mnie z przyszłości. Znów wbrew sobie wzruszam lekko ramionami i pozwalam, by przez moją twarz przemknął smutny uśmiech. Ona podchodzi bliżej i myślę, że weźmie mnie za rękę, lecz tylko stoi, tuż obok, nasze ciała prawie się stykają.

Teraz ja z przyszłości zmieniam ton, porzucam refleksyjne, sentymentalne marudzenie i rozpoczynam inspirującą wizjonerską mowę. To może być niezłe.

– Fundacja Tytani dała mi to, czego tak naprawdę potrzebowałem: sprawę większą niż ja sam. Prawdziwą okazją stała się możliwość zbudowania czegoś, co będzie przynosić owoce długo po tym, gdy mnie już nie będzie. To mnie ocaliło. I tym jest właśnie dla mnie Fundacja Tytani – latarnią, której blask będzie wskazywał ludziom drogę ku wieczności. Wiedzieliśmy od początku, że tworzymy coś niezwykłego, jednak Oliver i ja sądziliśmy, że po prostu mobilizujemy do współpracy grupę ważnych ludzi, którzy mogą postawić sobie naprawdę duże cele o charakterze globalnym, wytyczyć zadania dużo większe niż te, które podejmują rządy poszczególnych państw czy duże instytucje pozarządowe albo organizacje non profit. Na szczęście myliliśmy się co do skali naszych zamierzeń.

Gabinet wraz ze mną z przyszłości rozmywa się i znowu jesteśmy w sali z kamienną posadzką, która zdaje się nie mieć początku ani końca.

– Jak to się mówi, reszta jest historią – mówi Harper z przyszłości. – W końcu dwa tysiące cztertnastego roku pan Stone połączył swoją fortunę z panem Shawem i wspólnie podjęli kilka brzemienych w skutki inwestycji. Pierwszą była kompletnie nieznaną innowacyjną inicjatywa pod nazwą kwantonet, która miała zrewolucjonizować internet. Druga – kabinowce – była projektem bazującym na patentach kompanii górniczej, która zbankrutowała. Trzecia zaś – Orbital Dynamics – miała ucieleśnić wielkie marzenie o zapewnieniu ludzkości pierwszej stałej placówki mieszkalnej w kosmosie, w mieście o kształcie pierścienia orbitującym wokół Ziemi. Po utworzeniu Fundacji Tytani Shaw i Stone przez lata skupili całą energię na tych trzech projektach, pracując w tajemnicy. Wedle opinii publicznej Fundacja Tytani okazała się gigantyczną porażką. Za zamkniętymi drzwiami uzyskano jednak znaczne postępy w pracy nad pierwszymi trzema cudami Tytanów i przysporzyło im to nowych sympatyków, zamożnych

i wpływowych ludzi, którzy mieli połączyć siły ze Stone'em i Shawem, by zrealizować ich świetlaną wizję. Świat zastygł w podziw, gdy uruchomiono kwantonet umożliwiający natychmiastowy przesył danych na całym świecie. Tytani ułatwili dostęp do patentów sieci kwantowej każdemu, kto był skłonny pracować nad jej komponentami, i w kolejnych latach superszybki darmowy globalny internet stał się rzeczywistością. Tytani nie zakończyli na tym scalania świata. Następnie skoncentrowali wysiłki na umożliwieniu szybkiego przemieszczania się ludzi. Kolej kabinowa najpierw zjednoczyła Europę, potem Azję, a wreszcie cały świat, zapewniając wygodny, redukujący koszty środek masowego transportu. Tytani sprawili, że świat się zmniejszył, a ich następny cud miał jeszcze bardziej zbliżyć nas do siebie.

Małe białe kropki wtapiają się w czarne tło sali, a z podłoga unosi się holograficzny obraz Ziemi widzianej z kosmosu. Mamy wrażenie, że unosimy się w przestworzach. W oddali widać stację kosmiczną w kształcie ogromnego pierścienia.

– Przez lata świat obserwował nocne niebo, gdy powstawały pierwsze kształty migocącego pierścienia Orbital Dynamics. Dla świata Tytan Alfa był czymś, czego od dawna nam brakowało – wspólnym marzeniem, śmiałym celem, który miał poddać próbie ludzkie zbiorowe zdolności i intelekt. Patrzyliśmy w gwiazdy, po raz pierwszy nie dostrzegając w nich tajemnicy, lecz stację docelową będącą w zasięgu ręki. Mieliśmy nowy ład do skolonizowania, do zdobycia, a ludzkość wszystkich ras i narodów zjednoczyła się, żeby sprostać temu wyzwaniu.

Stacja kosmiczna znika i znów znajdujemy się na Ziemi, stoimy na piaszczystej plaży. Przed nami wznosi się ogromna tama, największa, jaką kiedykolwiek widziałem. Ma ze trzysta metrów wysokości i wiele kilometrów długości. Na jej drugim końcu widać zielone pasmo gór. Na prawo od nas wystają szarobiałe klify i rzucają długie cienie na tę zapierającą dech budowlę. Pośrodku tamy wznosi się pięć wież. Wyostrzam wzrok, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wieże mają kształt... palców dłoni. Są lekko nachylone w kierunku tamy – wielka dłoń ze stali i szkła wyłaniająca się z betonowego szkaradzieństwa. W połowie długości tamy tryska wodospad, choć na jej tle wydaje się małe. Spieniona woda spływa kaskadą do odległego o setki metrów zbiornika poniżej, który ma zapewne kilkanaście kilometrów średnicy. Po lewej stronie widać wstęgę rzeki. Szum wodospadu jest hipnotyzujący i przez chwilę zapominam, gdzie się znajduję. Projekcja jest tak dobra.

– Ostatnim przedsięwzięciem Fundacji Tytani była naprawdę niezwykła inwestycja. Projekt Gibraltar stanowił najambitniejszą inicjatywę tej organizacji i największy zamysł budowlany w historii. W owym czasie śmiechu warte zdawały się plany Tytanów: budowa tamy przez Cieśninę Gibraltarską i osuszenie Morza Śródziemnego, by pozostawić jedynie rzekę płynącą przez rozległą żyzną nową krainę łączącą Europę, Afrykę i Bliski Wschód. Ograniczenia natury technicznej wydawały się niewyobrażalne, ale jak mówi Tytan Stone, największy problem był natury politycznej.

Przyszły ja wchodzi na scenę, zostawiając ślady na plaży obok tych pozostawionych przez Harper z przyszłości. Moje przyszłe ja staje obok niej i tworzymy razem lustrzane odbicie mnie i Harper obecnych tu teraz. Za nimi majaczy most, a wiatr targa jej włosy. Czuję lekkie zdenerwowanie, gdy przyszły ja zaczyna mówić:

– We wczesnym okresie istnienia Fundacji Projekt Gibraltar był naprawdę dalekosiężnym celem. O tym cudzie Oliver i ja rozmawialiśmy rzadko i, będąc szczerzy, wydawało nam się to zbyt ekscentryczne. W pewnym sensie projekt znajdował się wówczas poza obszarem naszych zainteresowań. Można powiedzieć, że odłożyliśmy go na później. Zajmowałem się internetem, dlatego najbliższa była mi idea kwantonetu. Kolej kabinowa uświadomiła nam, że w świecie materialnym możemy zbudować coś na naprawdę wielką skalę, ale myślę, że dopiero stworzenie pierwszej kolonii orbitalnej utwierdziło nas w przekonaniu, że możemy zacząć poważnie myśleć o Gibraltarze. Byliśmy już spragnieni naprawdę wielkich wyzwań, na skalę, która przewyższyłaby nasze trzy dotychczasowe dokonania. I takim celem pozostawał dla nas jeszcze tylko Gibraltar.

Nigdy nie stworzono niczego na tak wielką skalę. Studiowaliśmy prace na temat Kanału Panamskiego

i Zapory Trzech Przełomów. W obu wypadkach technologia była nieodłącznie powiązana z polityką. Oliver i ja nieustannie nalegaliśmy na rozpoczęcie realizacji naszego projektu, szukając wsparcia u kogo się tylko dało. W pewnym momencie uznaliśmy, że musimy wdrożyć prace, tak jakby trwały już od jakiegoś czasu. Państwo, które stworzyliśmy, nazwaliśmy Atlantyda, a jego stolicę, którą umiejscowiliśmy dokładnie w środku, w okolicach Malty – Olimpem. Pragnęliśmy powiązać nasze dzieło z mitologią, legendami, które ludzie opowiadali sobie od stuleci, by przydać temu wszystkiemu realności. Myślę, że życie niekiedy naśladuje sztukę.

Mieliśmy projekty architektoniczne tamy i zleciliśmy artystom zaprojektowanie nowej stolicy. Zapraszaliśmy ich na wszystkie nasze spotkania i powoli elementy układanki zaczęły trafiać w odpowiednie miejsca. Mieliśmy szczęście – dużo szczęścia. To było jak przeznaczenie. Podczas pierwszego spotkania przedstawiciele narodów żyjących u wybrzeży Morza Śródziemnego zakrzyczeli nas i przegnali z sali. Uznali, że cały ich sposób na życie – od rybołówstwa po turystykę – zostanie unicestwiony. W miarę upływu lat, gdy gospodarka Hiszpanii, Włoch i Grecji osłabły, właśnie te państwa stały się jednak największymi orędownikami projektu. Dostrzegły w Atlantydzie okazję do zyskania nowego, dobrze prosperującego sąsiada na południu oraz zdobycia nowych, nieograniczonych stanowisk pracy podczas robót konstrukcyjno-budowlanych. Dla Niemiec i Europy Północnej, gdzie standardy życia i przyrost naturalny uległy stagnacji, nowa idea stała się czymś, czego od dawna poszukiwały, nowym łądem leżącym względnie blisko i mającym wspaniały klimat. Mój ojciec był dyplomata, lecz ja zawsze trzymałem się z dala od polityki, w Projekcie Gibraltar odnalazłem jednak szansę połączenia doświadczenia biznesowego z wiedzą z zakresu dyplomacji, którą przyswoiłem w dzieciństwie.

Kiedy już przeciągnęliśmy polityków na swoją stronę, do rozwiązania pozostały kwestie technologiczne, takie jak podniesienia poziomu morza i zmiana prądów oceanicznych. Musieliśmy borykać się ze znacznie poważniejszymi globalnymi problemami, z którymi prędzej czy później ludzkość i tak musiałaby się zmierzyć. W rzeczywistości stworzenie Atlantydy było dla nas demonstracją możliwości naszej Fundacji i tego, co ludzkość mogłaby osiągnąć, współdziałając. Atlantyda była dowodem na to, że jesteśmy w stanie – dosłownie – zmienić oblicze Ziemi.

Przyszła wersja mnie znika wraz z piaszczystą plażą i tamą, a Harper z przyszłości znów stoi z nami w sali z kamienną posadzką.

– Podczas inauguracji Atlantydy Tytani zaprezentowali jeszcze jedną niespodziankę, ostatni cud, który ukrywali przed światem, coś, czego nikt się nie spodziewał, a co było nadzwyczajnym, niezrównanym osiągnięciem. Podążając za zielonymi strzałkami, przejdźcie do kolejnego stanowiska naszej interaktywnej prezentacji, by poznać szczegóły inauguracji Atlantydy i ostatniego cudu Tytanów, jak również dowiedzieć się wielu rzeczy z innych dziedzin.

Na podłodze błyskają zielone strzałki, wskazując nam drogę przez łukowato sklepione przejście.

Harper z przyszłości powoli znika, a pomieszczenie zmniejsza się do rozmiarów pięć metrów na pięć. Wokół wznoszą się panele z mlecznego szkła, pokrywając podłogę, ściany i sufit. Jedyna przerwa między nimi znajduje się na wprost mnie, gdzie jeden z paneli się otwiera, ukazując drugie pomieszczenie, wyłożone identycznymi panelami i mniej więcej tej samej powierzchni co pierwsze.

Jako pierwsi wchodzi do sąsiedniego pokoju Grayson i Harper. Panele wydają się tutaj wielkimi ekranami dotykowymi. Pojawiają się na nich listy tematów, niektórym z nich towarzyszą zdjęcia. Ale czynnych jest tylko kilka paneli. Większość jest popękana, pokryta pajęczyną białych linii i literami namalowanymi czarnym sprayem układającymi się w słowa: „Tytani zabili nas wszystkich”.

Rozchodzimy się po całym pomieszczeniu i przeglądamy panele.

Harper dotyka link oznaczony jako „Personel Muzeum”, a potem „Harper Lane”.

Panel zmienia się w stronę ze zdjęciem Harper przy przeszklonym stoliku. Pod zdjęciem widnieje długa adnotacja. Nie mogę oderwać wzroku od tytułu i podtytułu:

HARPER LANE



Miała osiemdziesiąt dziewięć lat.

Obok mnie po lewej Grayson pracuje przy panelu opisanym jako „Afera Graysona Shawa”. Nie mogę się powstrzymać i zerkam w tę stronę. Artykuł szczegółowo opisuje jego autodestrukcyjne życie i to, jak stał się publicznym głosem opozycji wobec inicjatyw Tytanów, argumentując, że jego ojciec i Tytani rozpaczliwie łakną sławy i uznania. Cóż za ironia.

Później krótka notka stwierdza, że Grayson Shaw już od kilku lat nie pokazuje się publicznie. Krążą plotki, że przechodzi eksperymentalną terapię zaawansowanego stadium marskości wątroby.

Jedynie Yul nie jest zainteresowany panelami. Stoi pośrodku pokoju pogrążony w głębokim zamyśleniu.

– Wiesz, co to oznacza, prawda? – pytam go.

Powoli unosi wzrok, aby na mnie spojrzeć. I wreszcie z wahaniem kiwa głową. Nie potrafię stwierdzić, czy w jego oczach dostrzegam poczucie winy, czy strach.

## 24: Nick

Grayson, Harper i Sabrina odwracają się od paneli z mlecznego szkła i kierują wzrok na środek pomieszczenia, czyli na Yula i na mnie.

Robię krok w stronę Yula.

– Powiedziałaś, że w Dworze Tytanów udzielicie nam odpowiedzi. Co się tu stało, Yul?

– Znam tylko część odpowiedzi.

– Na jaki temat?

– Wiem o kwantonecie.

– Co z nim? – pytam.

– Ja go stworzyłem.

To ciekawe.

– Sądziłem, że to dzieło Tytanów.

– Pracowałem nad tym od lat. Myślę, że Tytani tylko w niego zainwestowali, by stał się dostępny dla wszystkich.

– Jak to działa?

– Sieć kwantowa to nowy internet. Pozwala na natychmiastowe przesyłanie danych na całym świecie z wykorzystaniem splątania kwantowego. Zrewolucjonizuje komputery. Wszystko było w fazie eksperymentalnej jeszcze tydzień temu, kiedy pierwsze węzły kwantonetu zostały aktywowane. Miesiącami pracowałem nad problemem uszkodzonych danych. Za każdym razem, gdy przysyłałem większą ilość danych, ulegały one zafałszowaniu w punkcie docelowym. Zafałszowanie miało pewien schemat, napisałem więc algorytm, by je wyeliminować. Kiedy przejrzałem dane wychwycone przez mój filtr, zdałem sobie sprawę, że to było celowe działanie.

– Co to znaczy?

– Że to była wiadomość.

– Skąd?

– Z przyszłości.

Słowa Yula na chwilę zawisły w przeszklonym pomieszczeniu.

– Nadawca twierdził, że pochodzi z roku dwa tysiące sto czterdziestego siódmego – mówi dalej Yul.

– Sądziłem, że stres i napięcie w końcu dały mi się we znaki. Wziąłem dzień wolnego, poszedłem do lekarza i poddałem się kompleksowym badaniom. Byłem zdrowy. Następne wiadomości udowodniły ponad wszelką wątpliwość, że pochodzą z przyszłości.

– Jak?

– Przepowiadały wydarzenia z następnego dnia. Na przykład wyniki wyborów parlamentarnych w Tunezji – podawały dokładną liczbę głosów, jaką otrzymał każdy kandydat na dany urząd. Czas przylotu, co do minuty, samolotów lądujących na każdym lotnisku na świecie, łącznie z wszystkimi opóźnionymi i odwołanymi lotami. Trwało to kilka dni, ja domagałem się kolejnych dowodów, a oni za każdym razem podawali właściwe odpowiedzi.

– Ale jak możliwe są takie komunikaty z przyszłości?

– Zmieniali splątane cząsteczki istniejące w ich czasie, organizując je tak, by w naszych czasach tworzyły możliwą do odczytania wiadomość.

Ach, teraz to ma sens.

Yul rozgląda się dokoła i rozkłada ręce szeroko jak nauczyciel przedmiotów ścisłych w liceum

podczas najtrudniejszych lekcji, których treść wykracza poza możliwości pojmowania jego uczniów.

– Wyobraźmy sobie, że jesteśmy na plaży, którą właśnie widzieliśmy, ale mamy rok dwa tysiące sto czterdziesty siódmy. Wyobraźmy sobie, że wkładamy specjalną rękawicę i gdy się schylimy, by dotknąć naszej plaży, stworzy ona kopię tej plaży w każdym momencie jej istnienia. Jest pewna nić w czasoprzestrzeni łącząca ziarenka piasku na naszej plaży z tymi samymi ziarenkami piasku w każdym innym momencie. Możemy regulować długość tej nici, wybierając, do której plaży będzie nas kierować. Ziarenka piasku na naszej plaży w roku dwa tysiące sto czterdziestym siódmym są połączone z tymi samymi ziarenkami piasku na tej samej plaży w roku dwa tysiące czternastym. Schylamy się i piszemy na piasku wiadomość, która pojawia się w roku dwa tysiące sto czterdziestym siódmym. Zobaczyłem tę wiadomość na mojej plaży w przeszłości. Wspólna plaża to kwantonet, a dane na moim twardym dysku, cyfrowe bity, to ziarenka piasku. Ponieważ był to pierwszy moment, kiedy kwantonet zaistniał w naszym czasie, była to dla nich pierwsza okazja, by wysłać wiadomość w przeszłość – i pierwszy moment, kiedy cząsteczki kwantowe tworzące tę sieć uległy splątaniu. Te cząsteczki to per analogiam ziarenka piasku.

Cała nasza czwórka patrzy na Yula, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Ziarenka piasku na kwantowej plaży? To nie moja bajka. Zadaję najistotniejsze, moim zdaniem, pytanie:

– Czego chcieli ci, którzy przesłali tę wiadomość?

– Pomóc nam. Powiedzieli mi, że zbliża się globalna katastrofa, zdarzenie, które doprowadzi do niemal całkowitej zagłady rasy ludzkiej, z którego oni sami ledwie uszli z życiem i któremu starali się zapobiec. Poprosili, bym skontaktował się z Sabriną. Nie znałem Sabriny, ale chcieli, żebym jej przekazał wiele zaleceń. Moim zdaniem nie miały żadnego sensu.

– Moim z początku też nie – odzywa się Sabrina. – Aż wreszcie zorientowałam się, o co chodziło – o przełom w moich badaniach, nowy lek.

– Na co?

– Na progerię.

Czuję się zaskoczony. Odkąd dotarliśmy do Londynu, nurtują mnie pytania, co spowodowało, że rasa ludzka znikła z powierzchni Ziemi. Odpowiedzią może być pandemia. Uważam, że to dość przekonująca teoria tłumacząca, jak ludzkość mogła tak szybko wyginać. Podejrzywałem, że Sabrina, bardziej niż Yul, jest z tym wszystkim w jakiś sposób powiązana. Ale nie pasuje mi to do reszty.

– Progeria... – szepczę, próbując powiązać tę informację ze swoją teorią.

– To wyjątkowo rzadkie schorzenie genetyczne powodujące przedwczesne starzenie się. Osoby dotknięte tą przypadłością umierają ze starości, będąc jeszcze nastolatkami.

– Sądziłem, że zajmowałaś się chorobami zakaźnymi – nie próbuję ukrywać podejrzliwości w głosie – że pracowałaś w szpitalu.

– Nie pracowałam. Nigdy. – Sabrina przerywa, szukając właściwych słów. – Zważywszy jednak na to, co mieliśmy okazję zobaczyć, twoje przypuszczenia były logiczne. Poprosili mnie o podjęcie pewnych działań, które, jak sądziłam, miały być procedurami ochronnymi, żeby zapobiec zdarzeniu o charakterze biologicznym: epidemii lub mutacji na ogromną skalę. Byłam przekonana, że rozpowszechniam szczepionkę, która będzie mieć zbawienny wpływ i pozwoli ocalić całą populację ludzkości w dwa tysiące czternastym roku. Ale najwyraźniej zaszczepiłam tylko część pasażerów samolotu.

Potrzebuję kilku sekund, aby to zrozumieć. Wszyscy wpatrują się w ciemną podłogę, usiłując rozgryźć to, co właśnie usłyszeli. W końcu Yul przerywa milczenie:

– Ja także otrzymałem instrukcje. Schematy. Wykorzystałem je do zbudowania urządzenia, które, jak mi powiedziano, pozwoli zrewolucjonizować łączność. Nam obojgu – wskazuje na Sabrinę – nakazano udać się do Londynu, gdzie mieliśmy otrzymać dalsze dyspozycje.

– Dlatego chcieliście dotrzeć do Londynu po katastrofie?

– Tak – odpowiada Yul. – To były ostatnie instrukcje, jakie otrzymaliśmy. Mieliśmy się ich trzymać.

– Myślisz, że urządzenie, które zbudowałeś, spowodowało awarię i wypadek samolotu czy może

odegrało jakąś rolę w sprowadzeniu nas tutaj?

– Cóż... brałem to pod uwagę. Samolot przełamał się mniej więcej na wysokości schowka, w którym znajdował się mój bagaż podręczny. Ale, jak się okazało, urządzenie przetrwało katastrofę w stanie nienaruszonym.

– Użyłeś go po katastrofie? – pytam.

– Nie. Próbowałem się połączyć z kwantonetem i nawiązać z nimi kontakt.

– I?

– Kwantonet jest teraz inny. Procedury się zmieniły. Jakbym wybierał numer w telefonie z obrotową tarczą w latach dziewięćdziesiątych. Za każdym razem, gdy uzyskuję połączenie, natychmiast jest odrzucane. Mój sprzęt jest sprawny, ale brakuje mi odpowiedniego oprogramowania. Pakiety danych, które przesyłam, nie są odpowiednio sformatowane, a ja nie dysponuję instrukcjami, jak należy to zrobić.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Albo są sformatowane właściwie, lecz ktoś próbuje cię od tego odciąć. Może połączenie ujawniłoby twoje położenie i naraziło cię na niebezpieczeństwo.

– To możliwe – przyznaje Yul.

– Kiedy się zorientowaliście, że znajdujemy się w przyszłości? – pytam.

Nie jest to istotne, ale nurtuje mnie ta kwestia. Odnoszę wrażenie, że gdyby Yul poinformował nas o tym wcześniej, gdyby kogoś wtajemniczył, zaoszczędzilibyśmy sporo czasu i być może ocalilibyśmy więcej ludzi.

– Pierwszej nocy – odpowiada. – Po gwiazdach. W pierwszej chwili pomyślałem, że katastrofa mogła spowodować awarię sieci energetycznej na olbrzymią skalę, dzięki czemu gwiazdy były widoczne wyraźniej niż zwykle. Pierwszą wskazówką był brak międzynarodowej stacji kosmicznej. Tam, gdzie powinna być się znajdować, ujrzałem duży oświetlony pierścień na orbicie. Już wiedziałem, że znaleźliśmy się w zupełnie innym czasie.

– I nikomu o tym nie powiedziałeś?

Yul wzruszył ramionami.

– Kto by mi uwierzył? Ty?

Widzę, do czego to zmierza. Musimy się skupić. Zastanawiam się, czy powinniśmy opuścić to miejsce. Spędziliśmy tu zbyt wiele czasu... panele mogą jednak zawierać wiele potrzebnych nam informacji. Wskazuję na popękane, pomazane sprayem panele.

– Myślisz, że Tytani przesłali te wiadomości?

– Nie wiem – odpowiada Yul. – Byli zamieszani w kwantonet i katastrofę, jaka nastąpiła. W dwa tysiące czternastym roku nadawcy komunikatów przedstawiali się jako Przyjaciele Ludzkości. O ile wiem, mogą być wrogami Tytanów, toczyć między sobą wojnę.

– A ja zastanawiam się – odzywa się Sabrina – dlaczego ekipie ratunkowej aż cztery dni zajęło dotarcie do miejsca katastrofy.

– Tak. To bardzo ciekawe. Kiedy wróciłem ze Stonehenge, dwie frakcje prowadziły gwałtowną wymianę ognia. Co to były za namioty? Czemu służyły? Czy dokonywano w nich eksperymentu medycznego?

– Być może. Jestem pewna tylko jednego: zajęli się wszystkimi rannymi pasażerami. – Sabrina spogląda na Harper. – I spisali się znakomicie.

Słyszę kroki dochodzące od strony wejścia. Czyżby ponownie włączyła się procedura inicjująca?

Już otwieram usta, ale nie zadaję kolejnego pytania. Postacie. W drzwiach. Mają na sobie kombinezony. To istoty z miejsca katastrofy. Zatrzymują się trzy metry od nas. Wszyscy zastygamy w bezruchu. Oglądam się za siebie, rozpaczliwie łudząc się, że ktoś po prostu aktywował kolejną symulację z menu.

Postać znajdująca się najbliżej unosi rękę i celuje w nas.

Nie, to nie jest symulacja.

## 25: Nick

W przeszklonym pomieszczeniu Dworu Tytanów czas staje w miejscu. Nikt się nie porusza. Yul i ja jesteśmy najbliżej dwóch postaci w kombinezonach. Harper, Grayson i Sabrina są za nami, niedaleko paneli, które pomagały nam zgłębić historię Tytanów.

Z bliska kombinezony wyglądają na wykonane z małych zachodzących na siebie płytek przypominających węzowe łuski. Połyskują delikatnie, jakby były z mlecznego szkła, ale podejrzewam, że są zrobione z polimeru, którego jeszcze nie wynaleźliśmy. Hełmy są całe pokryte mlecznymi łuskami, nie mają otworów na oczy, usta czy nos. Brak jakichkolwiek szczegółów przywodzących na myśl twarz czyni te istoty jeszcze bardziej obcymi.

Nie mamy wyjścia. Sięgam po pistolet. Mogę oddać jeden strzał...

– Nie – głos płynący z kombinezonu jest komputerową imitacją ludzkiego, ani męskiego, ani żeńskiego, jest pozbawiony jakiegokolwiek intonacji czy choćby cienia emocji. Aż mi skóra cierpi. Zanim zdążę coś zrobić, głos rozlega się ponownie: – Nie przybyliśmy tu, by was skrzywdzić.

– Więc po co? – pytam.

– Aby wam pomóc – odpowiada głos.

– Dlatego sprowadziliście tu nasz samolot?

– Tak.

Wyjaśniło się: to ich robota. Przez ostatnie pięć dni byliśmy jak szczury uganiające się w postapokaliptycznym labiryncie, rozpaczliwie walczące o przetrwanie. Czuję, że narasta we mnie gniew.

– Dość tych bzdur. Sprowadziliście nas tutaj, by pomóc sobie.

– Jesteście tu, żeby pomóc i sobie, i nam. Nie możemy tu rozmawiać. Musicie pójść z nami.

Zbyt ryzykowne. Zdecydowanie zbyt ryzykowne.

– Najpierw zdejmijcie kombinezony.

– Nie możemy.

– Dlaczego?

Dlaczego mieliby potrzebować kombinezonów, a my nie? Nie podoba mi się to.

– Musisz nam zaufać, Nick. Nie mamy czasu na dyskusje.

To coś zna moje imię. A głos... pomimo komputerowego zniekształcenia znam go. Skąd? Kto to jest?

Nad nami z wolna przybiera na sile ciche brzęczenie. Unoszę wzrok, próbując umiejscowić źródło tego dźwięku. Czuję suchość w ustach. Statek powietrzny, taki jak ten, który zaatakował miejsce katastrofy.

Postacie natychmiast znikają; uaktywnił się tryb maskujący. Słyszę tylko echo ich kroków dudniące na posadzce z mlecznego szkła. Neutralny komputerowy głos, beznamiętny i bezosobowy w tej ciemnej pieczarze nawołuje do nas:

– Zostańcie tutaj.

Grayson i ja wyciągamy pistolety. Omiotam wzrokiem naszą grupkę. Sądząc po wyrazach twarzy, nikt nie ma ochoty tu zostawać.

Wybiegamy z niedużego pomieszczenia i przez pierwszą salę, gdzie zaprezentowano nam wykład z historii Tytanów, docieramy do recepcyjnego holu. Przez popękane drewniane odrzwia dostrzegam pośród nocy błyski, które wyglądają jak strzały z miotaczy laserowych. Część roślinności już płonie, w powietrzu unosi się gęsty czarny dym. Jego kłęby zapewnią nam osłonę.

Odwracam się do pozostałych i zatrzymuję wzrok na Harper przyciskającej do piersi dwa notatniki. Powracam wspomnieniem do dnia nad brzegiem jeziora, kiedy spojrzałem jej prosto w oczy, samolot coraz bardziej osiadał, a my stanęliśmy ramię w ramię u wejścia do maszyny, by pomóc ocalałym. Ogarnia mnie dziwna, prawie oszalamiająca mieszanina strachu i podniecenia, uczucie, z którego istnienia nie zdawałem sobie dotąd sprawy.

Przez szczelinę w drewnianych drzwiach obserwuję symfonię światła i zniszczenia rozgrywającą się w zarośniętym parku, przypominającą laserowy pokaz w rodzaju światło i dźwięk urządzany w Central Parku. Z nieba padają strzały. Jęzory ognia strzelają w górę jak ekstatycznie reagująca publiczność. Gdy gęste czarne kłęby dymu zaczynają otaczać budynek, w naszą stronę napływa ciemność. Czas zwalnia, a moje zmysły się wyostrzają. Ogrania mnie nadnaturalne skupienie.

Jakby wydarzenia rozgrywały się w zwolnionym tempie, widzę Yula, który kurczowo ściska w rękę swoją torbę. Sabrina stoi w bezruchu niczym posąg, obserwując jatkę na zewnątrz. Twarz Graysona, który spogląda to na trzymaną w ręku pistolet, to na rozgrywającą się bitwę, zdradza strach. Harper otula się szczelniej koszulą i przyciska dzienniki do brzucha, wpychając je za pasek spodni. Skinieniem głowy daje mi do zrozumienia: jestem gotowa. Odwracam się do pozostałych i mówię pośpiesznie:

– Chodźcie za mną. Grayson, osłaniaj tyły i strzelaj do wszystkiego, co migocze. Gdybyśmy się rozdzielili, uciekajcie jak najdalej od statków i kierujcie się do... – Przerrywam. Nie podoba mi się ten pomysł, ale to jedyne miejsce, które wszyscy znamy. – Do mieszkania Harper. Zaczekajcie dwadzieścia minut na resztę, a potem ruszajcie dalej, żeby tamci nas nie znaleźli.

Otwieram drzwi. Skoncentrowany ostrzał z dwóch statków powyżej zostaje osłabiony, gdy zamaskowane postacie z dołu kontratakują. Jednostronny atak przeradza się w regularną wymianę ognia. Cichy zarośnięty park w jednej chwili zmienia się w strefę wojny. Kilka dużych skupisk ognia płonie w najlepsze, pochłaniając coraz większe połacie zieleni, a gęsty czarny dym przesłania statki powietrzne. Mniejsze kłęby dymu zasnuwają też Dwór Tytanów. Przez zasłonę dymną słyszę szybkie pulsujące wystrzały. Co kilka sekund kolejna eksplozja ciska w naszą stronę ścianę dymu i wyładowań energetycznych.

Wchodzę w te kłęby czarnych chmur, rozdzielając je. Z tyłu za nami w budowlę trafia bomba, obsypując nas odłamkami drewna i kamieni. Oglądam się przez ramię, by upewnić się, że nikt nie został ranny. Dostrzegam tylko zacięte twarze i pełne determinacji spojrzenia.

Gęsta roślinność była uciążliwa, kiedy szliśmy w tę stronę. Teraz jest niczym prąd utrudniający każdy nasz ruch, próbujący porwać nas ze sobą. Staram się prześlizgnąć pod zwalonym drzewem, ale gąszcz jest zbyt zwarty; zmienił się w organiczny parkan, którego nie sposób sforsować. Wycofuję się, przepełzam po pniu drzewa i czekam na pozostałych, by im pomóc. Rzucam się na następną ścianę zieleni, a gałęzie i kolczaste krzewy tną mi twarz i dłonie. Teraz nad nami są już cztery statki prowadzące między sobą wymianę ognia z bliskiej odległości; żaden z nich ani trochę nie ustępuje.

Przez płataninę pnączy i zwalonych drzew przedziera się Sabrina, a zaraz za nią Yul.

Z tyłu, spomiędzy kłębow dymu dobiega krzyk Harper.

Zrywam się, gramolę przez zwalone i oplecione pnączami drzewo i biegnę do niej.

Opiera się o pień, sięgając rękami do brzucha. Jej oczy na moment odnajdują moje spojrzenie, ale zaraz się odwraca, gdy dosięga jej kolejny strzał. Znika pochłonięta przez zielony gąszcz. Kilka metrów za mną jest Grayson, odwraca się, strzelając jak szalony w głąb lasu. Dym się przeredza, bo walka przenosi się teraz w przestworza.

Jeden ze strzałów Graysona okazuje się celny. Niecałe trzy metry dalej migocząca postać zatacza się na drzewo. Błyskając, osuwa się na ziemię, upada do przodu i nieruchomieje jak lśniąca bryła martwego szkła ciśnięta wśród listowia.

– Harper! – krzyczę.

Grayson odwraca się do mnie i już mam do niego zawołać, gdy powietrze wypełnia potężny ostrzał

skierowany w naszą stronę. Huk jest ogłuszający i zupełnie nas dezorientuje. Wkładam pistolet do kieszeni kurtki, podczas gdy drzewa wokół gną się i łamią jak zapałki. Pośród kłębow czarnego dymu dziobem w dół opada statek, leci prosto na mnie.

Odwracam się, chwiejnie odbijam w lewo, upadam i zaraz znów zrywam się na nogi, przeskakuję nad konarami i wszystkim, co tylko znajdzie się na mojej drodze. Gałęzie drzew i krzewów kaleczą mi dłonie, ramiona i twarz, ale nie zwalniam, walcząc o każdy kolejny centymetr, o każdy krok. Ziemia faluje i nagle usuwa mi się spod nóg. Zostaję ciśnięty trzy metry naprzód, na oplecione pnączami drzewo. Statek demoluje zarośnięty zielenią park, jakby chciał go wykarczować, kolejne strzały wyrzucają w górę grudy ziemi, rośliny i kawałki drzew.

Nie ma sensu dłużej uciekać. Leżę na przyźnie spalonej ziemi obok różnych smętnych szczątków. I gdy tylko dochodzę do wniosku, że kanonada się kończy, statek eksploduje, ponownie wyrzucając mnie w powietrze, tym razem znacznie dalej.

Łąduje w gęstwinie zieleni najeżonej ostrymi kolcami, kręci mi się w głowie. Nic nie słyszę. Kończyny mam całkiem odrętwiałe. Siadam, ale wciąż czuję zawroty głowy. Muszę wstać. Zestrzelony statek powietrzny płonie. Dym wypełnia całą przestrzeń pomiędzy mną a nim. Harper. Jest gdzieś obok statku. Spłonie w ogniu. Dopadną ją.

Mrugam. Nie mogę otworzyć oczu. Muszę unieść powieki.

Skup się.

Nade mną wciąż rozbrzmiewa chór śmierci i zniszczenia, teraz bezgłośny, widzę tylko błyskawice miotane pośród kłębow dymu. Statki poruszają się na wpół synchronicznie, oświetlając się nawzajem seriami rozbłysków.

Przewracam się na brzuch i podnoszę powoli, przez chwilę utrzymuję się na nogach, ale nie panuję nad swoim ciałem. Osuwam się na ziemię, jakby przyczepiono mi do brzucha magnes. Zamykam oczy, lecz zawroty głowy nasilają się.

Przez kilka sekund nie potrafię sprecyzować, co się ze mną dzieje.

Jakieś dłonie chwytają mnie i niosą przez park.



## 26: Nick

Budzę się w ciemności, gdzieś w oddali słyhać brzęk butelek.

Jestem obolały i poobijany, ale to przecież nic nowego. Ból głowy rozsadza mi czaszkę, niemniej najbardziej niepokoi mnie lewa ręka, na którą musiałem upaść podczas walki przy Dworze Tytanów. Wtedy byłem zbyt poturbowany, żeby zwrócić na to uwagę.

Jedno dotknięcie palcem łokcia wywołuje promieniujące fale bólu.

Sięgam do kieszeni kurtki w nadziei... lecz nie ma w niej pistoletu. W drugiej kieszeni mam lornetkę. Wciąż tam jest. Ten, kto mnie pojmał, zabrał mi broń. To zły znak. Mam jedną sprawną rękę i wciąż za mało informacji: czyli niewiele się zmieniło od katastrofy samolotu. Nie sądziłem, że kiedykolwiek do tego przywyknę.

Czekam, aż moje oczy przyzwyczają się do mroku, aby zorientować się, gdzie jestem, ale ciemność jest nieprzenikniona. Wiem, że znajduję się pod dachem. Podłoga jest twarda i nie czuję wiatru, panuje tu zimno, lecz da się wytrzymać.

Słumione kroki. Wielkie drzwi otwierają się, wpuszczając słabe światło. Unoszę dłoń, mrużę powieki, ale nie widzę, kto wszedł. Drzwi zamykają się szybko, a potem ktoś staje przy mnie w bezruchu i milczeniu.

Odgłos zapalanej zapałki. Płomyk oświetla od dołu twarz człowieka, który mnie pojmał. Nie, raczej ocalił... Tak myślę.

Grayson Shaw.

Jego twarz jest pokryta siniakami i skorupą zaschniętej krwi. Brud, grudki ziemi i strzępki podsycia lasu oblepiają jego zmierzwione jasne włosy. Nie uśmiecha się. Przykłada zapałkę do knota świecy, którą trzyma w drugiej ręce, po czym stawia świecę na podłodze obok mnie.

Znajdujemy się w składziku, prawdopodobnie jakiegoś sklepu. Na półkach stoją butelki z szamponem i płynem do mycia naczyń. Zapewne nie było na nie popytu, gdy nadszedł kres ludzkości.

– Jak się czujesz? – dopytuje Grayson.

Nie sądziłem, że kiedykolwiek usłyszę w jego ustach takie pytanie.

Nieruchomieję. Czy to jakaś sztuczka? Fortel mający zmusić mnie do mówienia? Czy obaj zostaliśmy pojmani przez postacie w kombinezonach i one przekonały go, żeby w ich imieniu mnie przesłuchał? To niemożliwe. Paranoję oddziela od geniuszu cienka granica. Nie jestem pewien, po której jej stronie znajduję się obecnie.

Mam pewność tylko co do dwóch kwestii. Po pierwsze: dopisuje mi niewiarygodne szczęście, ponieważ ciągle żyję i ogólnie jestem w nie najgorszym stanie. Po drugie: muszę znaleźć Harper. Kiedy wyruszyłem do Stonehenge, mieliśmy ponad stu ocalałych; niektórzy prawdopodobnie wciąż żyją, ale to o nią mi chodzi, tylko z nią... jak powiedziała Sabrina? Łączy mnie z Harper szczególna więź emocjonalna. To zimne, beznamienne słowa i tylko Sabrina mogła użyć takiego klinicznego zwrotu, ale tak naprawdę miała rację. Ona i Yul zataili przed mną wiele informacji, ale rozumiem dlaczego. Komunikaty z przyszłości? Nie, pięć dni temu nie uwierzyłbym w coś takiego.

Grayson wierci się nerwowo, czekając na moją odpowiedź, a ja zdaję sobie sprawę, że to pytanie musiało być dla niego trudne ze względu na ciągłe tarcia między nami, począwszy od uszczypliwych komentarzy, przez rzucane mimochodem groźby, aż po uderzenie w twarz – przywaliłem mu dwukrotnie, a potem jeszcze posłałem pod jego adresem kilka pogróżek.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. – Tylko trochę mnie sponiewierało.

Stawia na podłodze butelkę z wodą i wyciąga rękę, żeby coś mi podać. Podsuwam otwartą dłoń, by mógł to na nią upuścić, a w głębi duszy spodziewam się, że wrzaśnie nagle: „Psychol”, i rąbnie mnie w twarz. Chyba wtedy bylibyśmy kwita, a przynajmniej prawie wyrównałyby się rachunki między nami.

Ku swojemu zdziwieniu dostrzegam dwie małe tabletki spadające na moją dłoń.

– Aspiryna – mówi.

Popijam je wodą. Podejrzewam, że szanse, iż jest to cyjanek, wynoszą pięćdziesiąt procent. Ale zważywszy na moje obolałe ciało, postanawiam zaryzykować.

– A pozostali?

– Na pewno mają Harper. Widziałem, jak ją zabrali, gdy spadł pierwszy statek. Nie wiem, co z Yulem i Sabriną.

Harper żyje.

– Gdzie jesteście?

– Na zapleczu małej drogerii naprzeciwko Dworu Tytanów.

Dostrzega wyraz zdziwienia na mojej twarzy.

– To było jedyne wyjście. Nie mogłem zaciągnąć cię daleko. W dymie, ciemności i wirze walki raczej nie zauważyli, jak cię stamtąd ewakuowałem. Pewnie myślą, że leżymy gdzieś pod gruzami.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Cztery godziny. Sądziłem, że do tej pory powinni nas znaleźć, ale nie ma po nich śladu. Przeleciało kilka statków powietrznych, nic poza tym.

Co teraz? Moim zdaniem wyjście jest tylko jedno.

– Posłuchaj, Nick – mówi nieco ciszej Grayson – w samolocie... nie byłem sobą. Ojciec właśnie powiedział, że mnie wydziedzicza, że nie dostanę od niego złamanego grosza, bo całą swoją fortunę zamierza przeznaczyć na inny cel. Postanowił wyrzucić mnie z domu, żebym, jak to ujął, nauczył się sam dbać o siebie.

Harper wspominała mi o tym, ale milczę. Odnoszę wrażenie, że Grayson chce to powiedzieć.

– Wyobraź sobie, że całe twoje życie w jednej chwili zostaje postawione na głowie i po raz pierwszy nie jesteś niczego pewien, nie masz żadnego oparcia. Poczuję się zdradzony, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg. Byłem przerażony. Zostałem oszukany przez osobę, od której byłem zależny przez całe życie. Wydawało mi się to jego zachcianką, gierką, w którą postanowił zagrać, by przekonać się, czy jego syn da sobie radę w rzeczywistym świecie, zaczynając od zera w wieku trzydziestu jeden lat. Uważałem, że to okrutne, iż nie powiedział mi tego, gdy byłem jeszcze w szkole albo gdy jeszcze mogłem zmienić swoje życie i wybrać inną drogę, zanim nabrałem pewnych... nawyków.

Czeka, ale nie wiem, jak mam zareagować. Napięcie narasta. W końcu stwierdzam:

– Nigdy nie jest za późno, żeby odmienić swoje życie.

– To dobre hasło, w sam raz na koszulkę, ale mnie raczej nie pomoże – mówi rozgoryczony i przez chwilę znów jest Graysonem z samolotu. – Wybacz. Ale... trudno się zmienić, gdy masz już swoje lata i... uzależniłeś się od pewnych rzeczy.

– To prawda.

– Powinienem być otrząsnąć się z tego po katastrofie, ale byłem za bardzo... poruszony.

Niesamowite. Naprawdę szybko się zmienił. Muszę przyznać, że kiedy zaczął swoją opowieść – wyjaśnienia? przeprosiny? – spodziewałem się, iż obróci ją w żart, puentując ją na swój sposób ironicznym grymasem i drwiącym śmiechem. Nie ma jednak w jego słowach nic więcej oprócz pokory i pragnienia, by go zrozumiano i mu wybaczone.

Nie wydaje mi się, żeby Graysona odmieniła bitwa przed Dworem Tytanów, na jego przemianę wpływ miało raczej to, co zobaczył wewnątrz: panel pokazujący aferę Graysona Shawa. Myślę, że kiedy zobaczył, do czego doprowadziła jego decyzja z 2014 roku, czym się stał, zyskał nową perspektywę. Zastanawiam się, jaki byłby świat, gdybyśmy wszyscy mogli ujrzeć naszą przyszłość przed podjęciem

każdej naprawdę ważnej decyzji. Może po to właśnie są opowieści: abyśmy mogli uczyć się na przykładzie innych ludzi wiodących podobne życie i mających podobne problemy.

– Nie przejmuj się tym. Wszyscy w swoim życiu robiliśmy rzeczy, z których nie jesteśmy dumni. Jesteśmy ludźmi i mamy prawo błędzić. Liczy się to, co teraz zrobimy.

Grayson robi przeciągły wydech i rozgląda się po składziku rozjaśnionym blaskiem świecy.

– A co teraz zrobimy?

– Przejdziemy do ofensywy.

∞

To miło, że Grayson po wysłuchaniu mojego planu tylko kiwa głową. Na jego twarzy malują się sceptycyzm i niepokój, ale on jedynie pyta:

– Jak tam dotrzemy?

Zgadza się, że kabinowce nie są bezpieczne. Mam pewien pomysł, lecz zastanawiam się, czy ten szczególny środek transportu, o którym myślę, jest w użyciu, ponad trzysta lat po tym, gdy go wymyślono. Nie potrzebuje paliwa, nie zawiera elektroniki, a może się poruszać z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, w zależności od użytkownika i terenu. Może być wykorzystywany w mieście i poza nim, a także na obszarach niezamieszkałych przez człowieka, bez dodatkowej infrastruktury, która obecnie praktycznie nie istnieje na Ziemi. Byłby doskonały... gdy nam się udało go znaleźć.

Wciąż jest ciemno, gdy opuszczamy nieduży sklepik. Przemykamy w głąb ulicy, oddalając się od zwęglonych, dymiących ruin Dworu Tytanów.

Nie odnajdujemy tego, czego szukamy, na sąsiedniej ulicy ani na kolejnej. W końcu natrafiamy na sklep, gdzie to jest. Wchodzimy do środka przez wybitą szybę wystawową. Technologia trochę się zmieniła, ale jest to ciągle ten sam środek lokomocji.

I kto raz nauczył się jazdy na rowerze, nigdy tego nie zapomni.

∞

Jedziemy aż do wschodu słońca, zatrzymując się tylko, żeby się ukryć, gdy w oddali słychać nadlatujący statek powietrzny, albo żeby zdobyć coś do jedzenia. Pod Londynem napotkaliśmy sad owocowy, a teraz siedzimy w jednym z biur starego zapuszczonego magazynu, zajadając się jabłkami i próbując się ogrzać.

Plan jest taki, że mamy cały dzień odpoczywać i zaatakować pod osłoną nocy. To nasza jedyna szansa.

Ciasny pokoik tonie w ciemnościach, jeśli nie liczyć wąskiego paska światła, które wsącza się przez szparę między zamkniętymi drzwiami a podłogą. Siedzimy pod przeciwległymi ścianami, po dwóch stronach starego dębowego biurka. Widzę połowę poobijanej, wymizerowanej twarzy Graysona i jedno z jego zmęczonych oczu wpatrujące się w podłogę.

– Na nagraniu powiedziałaś, że twój ojciec był dyplomatą.

– Uhm – przytakuję między kolejnymi kęsami jabłka i żałuję, że nie mamy nic więcej.

– Nie poszedłeś w jego ślady?

– Nie.

– A co robisz? Jesteś inwestorem?

– Inwestorem dostarczającym kapitału dużego ryzyka. Kampanie na wczesnym etapie rozwoju, technologie, głównie IT.

– Miałem pomysły na rozwój firm. Mnóstwo pomysłów. Ale stwierdziłem, że po co mi to. Przecież nie potrzebuję forsy. A firmę założoną przeze mnie zaraz próbowano by porównywać z imperium mojego ojca. I już na starcie byłbym na straconej pozycji. Nie miałem szans. Zresztą gdy było się na kilku bankietach i miało się okazję posłuchać plotek o porażkach bogatych i sławnych... Kiedy wespiesz się

na szczyt, nie chcesz ryzykować, żeby nie wpaść w tryby maszynki, która może cię przemielić jak kawał mięsa. Kto by chciał ryzykować porażkę, gdy może popijać drinki, śmiać się i plotkować bez żadnych konsekwencji? – Odgryza kęs jabłka. – Założę się, że to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałeś.

– Wcale nie. Bynajmniej. Dorastałem wśród ludzi takich jak ty, w szkołach z internatem na całym świecie. To brzmi dziwnie, ale wszyscy boją się porażki i publicznego ostracyzmu. Im większy ciężar odpowiedzialności na tobie spoczywa, tym bardziej musisz się natrudzić, żeby go udźwignąć.

– Ale tobie się udało. Poradziłeś sobie.

– Chyba tak.

– Jak tego dokonałeś?

– Postanowiłem zagrać w to, w co mogłem wygrać. Postawiłem na inną karierę niż mój ojciec. Dzięki temu uniknąłem porównań. Po studiach wsiadłem na pokład samolotu do San Francisco, wygrałem na loterii IPO i od tego czasu obstawiałem tylko skalkulowane zakłady. Do tej pory dopisuje mi szczęście.

– Udział w katastrofie samolotu trudno nazwać łutem szczęścia. I to nie łut szczęścia pozwolił ci ocalić ludzi z wraku czy opanować chaos w obozie. To umiejętności: strategiczne, przywódcze, które sprawiają, że z pozoru zwykli ludzie w pewnych sytuacjach stają się bohaterami.

– Tak? A chcesz usłyszeć coś naprawdę zabawnego?

Grayson czeka.

– Jeszcze pięć dni temu nie wiedziałem, że byłbym zdolny do czegoś takiego.

∞

Tuż po zachodzie słońca wyruszamy w dalszą drogę, teraz pedałujemy dużo energiczniej. Jeśli tej nocy nie zdołamy dotrzeć na miejsce, stracimy możliwość zaskoczenia.

Ludzie, którzy nigdy tam nie byli, nie wiedzą, jak daleko od Londynu znajduje się to miejsce. Jest naszym jedynym wyjściem, przypuszczam, że tam mogą się znajdować ludzie – prawdziwi ludzie – którzy naprawdę chcą pomóc pasażerom lotu 305.

Drugiego dnia w obozie, gdy Bob i Mike zdołali otworzyć drzwi do kokpitu, pilot powiedział coś, co do tej pory nie wydawało mi się ważne. Po pierwszych turbulencjach samolot utracił łączność ze światem, z satelitami, internetem i wieżą kontroli lotów. Piloci lecieli na ślepo, po zaprogramowanym kursie. Ale gdy zbliżyli się do Heathrow, odzyskali łączność radiową. Kontrolerzy z Heathrow powiedzieli, że jakieś zdarzenie o charakterze globalnym zakłóciło łączność na całym świecie. Nakazali pilotom pozostanie na kursie i zapewnili, że poprowadzą ich do lądowania.

Początkowo sądziłem, że urządzenie stworzone przez Yula w 2014 roku pozwoliło samolotowi przenieść się w przyszłość, a turbulencje i zakłócenia łączności radiowej wystąpiły, kiedy maszyna wykonała przeskok w czasie. Ktokolwiek nas tu sprowadził, musiał zakładać, że wylądujemy na Heathrow zgodnie z planem. Ale coś poszło nie tak. Może wtrąciły się istoty w kombinezonach. Może wystąpił problem techniczny, usterka urządzenia Yula albo zakłócenie po stronie kontroli lotów.

Tak czy owak ktoś był na Heathrow, rozległ się stamtąd ludzki głos należący do kogoś, kto chciał nas tam sprowadzić sześć dni temu. To był nasz jedyny trop.

Kiedy jednak pedałujemy, mijając tablice wskazujące drogę do Heathrow, czuję coraz większe zdenerwowanie. Ta wyprawa zajęła nam prawie dwadzieścia cztery godziny. A jeżeli się mylę?

Wyjmuję lornetkę i przepatruję ogromne lotnisko w poszukiwaniu jakiegoś znaku, światełka w ciemności, które świadczyłoby o tym, że ktoś tam jest i na nas czeka. Widok nie jest obiecujący. Od naszej strony lotnisko tonie w ciemnościach. Ale na drugim końcu rozległego portu lotniczego słaba poświata rozprasza mroki nocy.

Coś lub ktoś tu jest.

## 27: Nick

Pół godziny później ponownie, tym razem uważniej, przyglądam się Heathrow albo raczej temu, co z niego zostało, po czym oddaję lornetkę Graysonowi.

Budynki lotniska obrócono w ruinę, w sterty betonu, stali i szkła. Tu i ówdzie wystają różnobarwne znaki, które kiedyś wskazywały pasażerom drogę przez najbardziej uczęszczany port lotniczy w Europie; szare pagórki są usiane punkcikami czerwieni, błękitu i zieleni. Ale dominuje inny odcień zieleni. Roślinność z wolna przejmuje te ziemie w posiadanie. Trawa, chwasty i mech plenią się wśród bezkształtnych ruin; na drzewa trzeba jeszcze trochę poczekać. Może wyrosną w nadchodzących latach, kiedy wiatr, deszcz i śnieg zmienią Heathrow w żyzną glebę.

Za budynkami dostrzegamy źródło światła – trzy długie białe namioty jak zjawy majaczące w morzu wysokich traw. Z tak daleka trudno to stwierdzić, ale podejrzewam, że połączone miałyby wielkość boiska piłkarskiego. Nad nimi roztacza się łagodna poświata rozpraszająca ciemności nocy.

Wykarczowali trawę na jednym długim pasie. Spodziewali się, że właśnie tam wyląduje nasz samolot. Początkowo biorę to za dobry znak, lecz po chwili mój optymizm zaczyna słabnąć. Przy namiotach, na końcu oczyszczonego pasa mającą trzy statki powietrzne, na ich srebrnym poszyciu widnieją długie ciemne smugi – ślady dwóch ostatnich bitew, tych, których byłem świadkiem, i być może wielu innych. Każdy pojazd ma około trzydziestu metrów długości i mniej więcej sześć metrów wysokości. Zastanawiam się, na jakiej zasadzie latają. Bardziej jednak intryguje mnie, czy istoty wewnątrz są naszymi sojusznikami, czy wrogami. W ciemnościach na drugim końcu morza traw i murszejących ruin Heathrow nie sposób to stwierdzić.

Przez dłuższą chwilę tylko stoimy, a u naszych stóp walają się pozostałości ogrodzenia niegdyś zwieńczonego drutem kolczastym. Wreszcie ostrożnie je przestępujemy i ruszamy ku namiotom.

– Co chcesz zrobić? – pyta cicho Grayson.

Choć tamci raczej nie mogą nas usłyszeć, odpowiadam szybko szeptem:

– Ukryć się i zaczekać. Wypatrywać wskazówek.

Dziesięć minut później zajmujemy pozycje po drugiej stronie zniszczonej maszyny nieznanego typu, o szerokim kadłubie. Ziemia powoli pochłania ją, podobnie jak port lotniczy i cały Londyn. Na zmianę prowadzimy obserwację obozowiska skuleni w szczątkach maszyny, ogrzewając się nawzajem ciepłem naszych ciał.

Chętnie trochę bym się zdrzemnął, ale sen nie nadchodzi. Jestem zbyt zdenerwowany, zbyt obolały, zbyt zziębnięty.

Siedząc oparty plecami o metalowy kadłub, unoszę wzrok, ponieważ zaczyna padać. To tylko mżawka, a nie ulewny lodowaty deszcz, który dał nam w kość, gdy jechaliśmy tutaj. Ale bez niej moglibyśmy się obejść.

∞

Godzinę później wciąż niczego nie dostrzegamy, nie mamy pojęcia, jak można by zinfiltrować tę placówkę. Dwie godziny do świtu. Niedługo będziemy musieli zdecydować: zawrócić czy wykonać jakiś ruch. Nie podoba mi się ta alternatywa.

Zaszyliśmy się pod wystającym okapem, w szczątkach zniszczonej maszyny, co miało ochronić nas przed chłodem i deszczem. Postanawiam, że jeżeli to przeżyję, przeprowadzę się do Arizony i nigdy więcej nie wyjdę z domu po zmierzchu.

Coś się poruszyło. Ze statku powietrznego wyłania się postać w kombinezonie pokrytym szklanymi płytkami. Zbliża się do najbliższego namiotu i wchodzi do środka przez otwór, którego wcześniej nie zauważyłem. Obserwuję z uwagą, czekając, kiedy znów się pojawi. Machnięciem ręki odprawiam Graysona, kiedy sięga po lornetkę, gotów mnie zmienić i zacząć swoją wachtę. Muszę to zobaczyć.

Trzydzieści minut później ramiona mam odrętwiałe, oczy zmęczone, ale nic się więcej nie wydarzyło. Pora przejść do działania.

Bieg w stronę białych namiotów zdaje się nie mieć końca. Pośród deszczu i mgły trzy kopułowo zwieńczone budowle majaczą nad horyzontem traw jak wschodzące słońca.

To szaleńcze posunięcie. Desperackie. Jest próbą znalezienia pomocy, choćbyśmy mieli umrzeć z głodu, albo chęcią zajrzenia do namiotów i sprawdzenia, co się w nich znajduje. Jestem zziębnięty, przemoczony i głodny, a do wejścia do namiotu zostało jeszcze trzydzieści metrów. Zawrócenie i szukanie pomocy gdzie indziej już nie wchodzi w grę. Nie jestem nawet pewien, czy gdzieś tam jest ktoś jeszcze. Wiem, że tutaj ktoś jest. I są spore szanse, że znajdę tu innych pasażerów, a zwłaszcza jedną osobę, o ile pokieroszowany statek powietrzny rzeczywiście zabrał ją z pola bitwy przed Dworem Tytanów. Gdy z pistoletami w dłoniach docieramy do namiotu, wmawiam sobie, że nie możemy uczynić nic innego.

U wejścia żaden z nas się nie waha. Grayson odgarnia klapę i usuwa się na bok, przepuszczając mnie pierwszego.

Pomieszczenie jest małe, puste, ściany wykonano z przezroczystego plastiku.

Z góry i z boków omiata nas nagrzane powietrze.

To musi być coś w rodzaju komory odkażającej.

Przed nami są szklane drzwi. Naciskam metalową klamkę.

Kolejne pomieszczenie. Znów białe ściany, tym razem z twardego plastiku. Po prawej stronie wiszą kombinezony pokryte nachodzącymi na siebie mlecznymi szkiełkami. Po lewej białe kombinezony wykonane z czegoś, co przypomina kauczuk. Na półce powyżej leżą hełmy z poziomym rozcięciem na oczy.

W milczeniu zaczynamy wkładać na przemoczone ciuchy kauczukowe kombinezony. Bez nich szybko zostalibyśmy zdemaskowani.

Kombinezon ma z tyłu, od wewnątrz nieduży zbiornik. Zakładam, że to tlen, bo powietrzem w komorze da się oddychać. To ciekawe.

Ponieważ przezroczysta szczelina na wysokości oczu może nas zdradzać, musimy działać niezwłocznie.

Próbuję spojrzeniem przekazać tę wiadomość Graysonowi.

Opuszczamy komorę z kombinezonami, przechodząc przez przesuwane szklane drzwi. W przeciwieństwie do poprzednich, zaopatrzonych w zawiasy, te zamykają się szczelnie. Kolejna komora, kolejne strugi sprężonego powietrza smagające nas ze wszystkich stron i metalowe drzwi na wprost nas otwierają się, ukazując długi korytarz z dziesięciorgiem drzwi po obu stronach. W ścianę między drzwiami są wstawione szerokie okna sięgające od wysokości naszej talii aż do sufitu, jakieś cztery metry nad nami, umożliwiając nam zajrzenie do każdego pomieszczenia. To... laboratoria. Dziesięć po każdej stronie, w każdym z nich długi metalowy stół, otwarty regał z półkami pod ścianą, a z tyłu coś w rodzaju platformy, której z tej odległości nie widzę wyraźnie.

Zauważam jednak poruszenie w najbliższym laboratorium; postacie mają na sobie kombinezony ochronne, podobnie jak my. Nikt jeszcze nas nie zauważył. Nikt się nami nie zainteresował. Wszyscy są

pochłonięci pracą, ale nie potrafię stwierdzić, co robią.

Grayson odwraca się niezdarnie. Przez szczelinę w hełmie dostrzegam strach w jego oczach. Jesteśmy jak dwa kurki na strzelnicy: dziesięć stanowisk, strzelcy po każdej stronie i każdy może nas zdemaskować. Laboratoria są rozmieszczone co sześć metrów. A zatem od przesuwanych szklanych drzwi na drugim końcu korytarza dzieli nas odległość sześćdziesięciu metrów. Zanim zdołamy tam dotrzeć, na pewno ktoś nas wcześniej zdemaskuje, ale nie możemy zawrócić, bo tym bardziej zwrócilibyśmy na siebie uwagę.

Ruszam naprzód szybkim, zdecydowanym krokiem i mam nadzieję, że nie wzbudzę tym niczych podejrzeń. Raczej nie odważę się odwrócić głowy w stronę mijanych laboratoriów i oddycham z ulgą, bo Grayson podążył za mną.

Mijamy pierwsze laboratorium. Potem drugie. Kątem oka dostrzegam, co się tu odbywa. Autopsje. Na metalowych stołach leżą rozplątane ludzkie ciała. W pomieszczeniach zauważam metalowe pojemniki z usuniętymi organami.

Mijamy trzecie laboratorium.

Czwarte.

Piąte. Połowa drogi za nami.

W siódmym laboratorium coś się zmienia. Ciało leżące na stole nie jest ludzkie. Jest małpie. Mimowolnie patrzę w tę stronę. Wydaje mi się, że postać w kombinezonie pochylona nad ciałem przerywa pracę i unosi wzrok. Oczy pod hełmem są ludzkie – tak sędzę.

Mijamy ósme laboratorium. Puste.

Gdzieś za nami rozlega się przeciągły świst rozsuwanych przeszkłonych drzwi. Kroki w korytarzu. Nie potrafię stwierdzić, czy się zbliżają, czy oddalają.

Dziewiąte laboratorium. Także puste.

Teraz mogę zajrzeć przez szklane drzwi przed nami. Stoją tam rzędy stołów na kółkach pod rozłożonymi plastikowymi namiotami.

Gdy mijamy dwa ostatnie laboratoria, Grayson wyciąga rękę i wciska okrągły, pozbawiony oznaczeń przycisk przy rozsuwanych drzwiach. Żaden z nas nie ogląda się za siebie, gdy drzwi się otwierają, i wychodzimy z korytarza na otwartą przestrzeń.

Stoły są stalowe, długości prawie dwóch i pół metra i jednego szerokości. Ustawiono je w trzy rzędy po siedem.

Podchodzę do najbliższego stołu i zaglądam przez folię do okrągłej w przekroju przezroczystej plastikowej komory. Ciało ludzkie. Nie rozpoznaję tej osoby. Przechodzę do stołu w następnym rzędzie. Kobieta w średnim wieku. Znam ją. Znajdowała się w głównej części samolotu, który zatonął w jeziorze. Jako pierwsza wskoczyła do wody i popłynęła do brzegu. Gdy widziałem ją ostatni raz, stała rozdygotana na brzegu skąpanym w blasku księżyca i błagała nas, byśmy ratowali jej męża, który pozostał w samolocie. W kolejnej komorze leży około dziesięcioletni czarnoskóry dzieciak. Chyba go widziałem.

Zaglądam do jednej z komór na stole w ostatnim rzędzie. Mike. Jillian. Wszyscy nieruchomi, oczy mają zamknięte. Co to ma być? Czy oni nie żyją, czy są tylko uśpieni?

Po lewej stronie krótki korytarz łączy ten namiot z następnym. Kolejne stoły na kółkach z plastikowymi kopułami rozłożonymi nad ciałami zajmują niemal całą przestrzeń łącznika. Mogę się założyć, że w sąsiednim namiocie stoją niezliczone rzędy metalowych stołów.

Przy przeciwległej ścianie, na prawo ode mnie, ciszę zagłusza mechaniczne buczenie. Pas transmisyjny. Biegnie wzdłuż całej ściany, od ciemnego tunelu ciągnącego się równoległe do zaplecza laboratorium aż do małego pozbawionego okien pokoiku w rogu. Pas przesuwa się automatycznie, gwałtownymi, nierównymi zrywami. Czekamy, obserwując taśmę. Z tunelu powoli wyłania się owinięty w plastik podłużny kształt. Ciało. To, z którym właśnie skończyli.

Już wiem, czym jest ten kompleks: wielką linią produkcyjną realizującą jakiś eksperyment. Dlatego

nas tu sprowadzono. To eksperyment. Teraz jestem tego pewien. I wiem, co powinniśmy zrobić: uciekać. Ale nie odejdę stąd, zanim nie dowiem się, czy jest tutaj Harper – a jeżeli jest, nie odejdę stąd bez niej.

Przesuwane drzwi za nami otwierają się, zamieramy w bezruchu. Mam nadzieję, że postać w kombinezonie wtoczy stół z kolejnym ciałem, by zabrać je do laboratorium...

Postać mija pierwszy rząd stołów, zmierzając w naszą stronę.

– Chyba powinniśmy porozmawiać.

Głos płynący z głośnika przy kombinezonie jest ludzki i w ciasnej przestrzeni rozbrzmiewa gromkim echem.

Odstępuję od stołu i wchodzę do tunelu prowadzącego z laboratorium do niewielkiego pokoiku na drugim końcu namiotu. Grayson powtarza moje ruchy niezdarnie w swoim białym kombinezonie, ale żaden z nas się nie odwraca. Maszerujemy, zapewne trochę za szybko, wzdłuż szerokiego przejścia biegnącego równoległe do taśmy, na której przesuwa się owinięte w plastik ciało.

– Hej! – rozlega się wołanie.

Rozsuwane metalowe drzwi otwierają się, gdy do nich podchodzimy, a za nimi znajduje się rozległe pomieszczenie, puste, jeśli nie liczyć ogromnej maszyny ustawionej pod ścianą po prawej stronie – podejrzewam, że to rodzaj pieca. I mogę się założyć, że drugie takie urządzenie do spalania znajduje się po przeciwnej stronie namiotu, obsługuje laboratoria w tej części korytarza.

Jedno spojrzenie rzucone Graysonowi uświadamia mu, co zamierzam zrobić: zastawić pułapkę.

Kiwa głową, wyciąga pistolet z luźnej kangurzej kieszeni z przodu kombinezonu i rusza na ukos przez pokój, by stanąć w martwym punkcie przy drzwiach, w miejscu gdzie urządzenie łączy się ze ścianą.

Również wyjmuję broń i trzymam ją w drugiej ręce, za plecami, ale staram się wyglądać zwyczajnie, jakbym czekał cierpliwie, bez cienia zdenerwowania.

Drzwi rozsuwają się. Mężczyzna w średnim wieku. Nic nie wskazuje na to, żeby mój widok go zaniepokoił.

Robi krok i wchodzi do środka.

– Nicholasie...

Grayson uderza go kolbą pistoletu w hełm, powalając na podłogę. Nie pozbawia go jednak przytomności, mężczyzna więc, upadając, pociąga za sobą Graysona. Przetaczają się po podłodze, a ja unoszę pistolet i w głębi duszy zaczynam się zastanawiać...

Zanim podwójne drzwi zdążą się zamknąć, do środka wpada kolejna postać i unosi rękę. Zastygam w bezruchu, nie mogąc odwrócić od niej wzroku.

Dłońmi w rękawiczkach mężczyzna powoli sięga do hełmu. Nieruchomieje, gdy mnie zauważa, i czeka, aż podwójne drzwi ponownie się zamkną.

Grayson i pierwszy mężczyzna przestają się mocować na podłodze, unoszą wzrok zdziwieni. Mężczyzna stojący przed nami zdejmuje hełm i nagle widzę... siebie.

Człowiek, którego mam przed sobą, jest repliką mnie.



## 28: Harper

Gdybym dostawała funta za każdym razem, gdy budzę się samotna, obolała i w ciemności w ostatnich pięciu dniach... Zmykam oczy w nadziei, że uda mi się jeszcze trochę odpocząć. Sen przychodzi szybko.

∞

Drugie przebudzenie jest znacznie przyjemniejsze. Przynajmniej udaje mi się zlokalizować ognisko bólu w tej karuzeli doznań – lewe ramię.

W słabym świetle przesuвам po nim palcami, usiłując wyczuć źródło tępego pulsowania. Dotykam chłodnego okrągłego metalowego urządzenia. Jego małe macki zagłębiają się w moim ciele. Odruchowo drapię brzegi zadziórów, próbując je wydłubać. Nic z tego, mały metalowy owad tkwi zbyt mocno.

Wzrok mi się nieco poprawił i otaksowuję miejsce, w którym się znajduję. W pierwszej chwili kojarzy mi się z trumną. Kilkadziesiąt centymetrów nad sobą mam sklepienie, a z trzech stron otaczają mnie czarne ściany. Jestem w skrytce, dostatecznie dużej, by pomieściła moje ciało, leżę na wyjątkowo wygodnym materacu.

Próbuję się podnieść, ale mój brzuch eksploduje bólem, który rozlewa się na klatkę piersiową i powala mnie z powrotem na posłanie.

Sięgam palcami w stronę źródła bólu, ale bardzo łagodnie, by go na nowo nie rozniecić. Mój dziennik naciska na brzuch. Nie, jest wciśnięty od zewnątrz. Na moje obolałe żebra i brzuch naciska drugi notatnik, z losami Alice Carter. Przesuwam dłonią po twardej okładce dziennika i natrafiam na białego w niego srebrnego pająka. Ostre odnóża zatopiły się głęboko, prawie przebijają dziennik na wylot, jak zszywka plik dokumentów, ale nie zwierają się po drugiej stronie. Dziennik zatrzymał pierwszy strzał w parku, przed Dworem Tytanów, i to zapewne dobry znak.

Unoszę niewielki dziennik i go otwieram. Ostatnie nieprzeziurawione strony są puste. Odkładam dziennik i sięgam po Alice Carter. Wyszła z tego bez szwanku, co mnie bardzo cieszy. Zawsze wybrałabym ją, nie dziennik. Nie jestem pewna, czy chcę się dowiedzieć o sobie czegoś więcej. Pierwsza przechadzka Przyszłą Ścieżką Wspomnień była dostatecznie wstrząsająca.

Zsuwam stopy z łóżka na podłogę. Z dołu płynie słaba poświata rozjaśniająca całe pomieszczenie. Trzy piętrowe łóżka są ustawione w kształcie litery U. Obie dolne prycze są zajęte, ale górne wolne. To kajuta załogi. Czy znajduję się na statku?

Wychylam się do przodu, by spojrzeć na pozostałe prycze. Po prawej stronie leży Yul. Żyje. Śpi. Torba, której tak czujnie strzegł od chwili katastrofy, zniknęła. Na drugiej pryczy leży Sabrina; oddycham z ulgą, gdy wyczuwam na jej szyi mocny puls.

Podwójne drzwi na wprost nas otwierają się, zalewając pomieszczenie oślepiającym światłem. Unoszę prawą rękę i mrużę powieki, z ledwością dostrzegając postać w kombinezonie. Naciska panel i ogarnia mnie ciemność.

∞

Kiedy ponownie się budzę, nie czuję bólu, nie ma też całej reszty: ciasnej pryczy, metalowego rzepa w moim ramieniu, dziennika, notatnika ani moich złachmanionych ciuchów. Podnosząc się do pozycji siedzącej, badam obcisłe wielowarstwowe białe ubranie, w które ktoś mnie przebrał.

Znajduję się w przestronnym i nieskazitelnie czystym pokoju. Pomijając królewskie łoża, pod drugą ścianą stoi jeszcze biurko. Po prawej stronie, za szerokim oknem mam widok na morze. Za łazienką są

kolejne drzwi, z solidnego drewna, zapewne wyjście z pokoju. Czuję się jak w eleganckim hotelu.

Spoglądam za okno, by się zorientować, gdzie się znajduję. Aż po horyzont widzę tylko bezmiar błękitnego oceanu upstrzonego tu i ówdzie białymi pióropuszcami fal, a w powietrzu krążą ptaki. W pierwszej chwili myślę, że jestem na wielkim statku, ale nie wyczuwam żadnego ruchu.

Zewnętrzne drzwi otwierają się z sykiem, gdy zbliżam się do nich, a dalej ciągnie się długi korytarz z podobnymi drewnianymi drzwiami. Podchodzę do pierwszych, ale nie mogę ich otworzyć. W przypływie paniki sprawdzam drzwi w moim pokoju. Oddycham z ulgą, gdy się otwierają. Muszą być do mnie dostrojone.

Co mam robić? Zostać i czekać czy podjąć jakieś działania? Czekanie nie zapowiada się zachęcająco, a działanie ostatnio się nie sprawdza.

Podchodzę do dużych drzwi o metalicznym połysku na końcu korytarza i przystaję przed nimi z niepokojem. Otwierają się, ukazując szerszy korytarz – jak w biurowcu. Nie, to szpital. Albo coś między jednym a drugim.

W odróżnieniu od wyłożonych dywanami podłóg i boazerii na ścianach w pierwszym skrzydle tu wszystko jest wykończony płytkami, betonem i szkłem, czyste i sterylne. Wzdłuż ścian ciągną się szeregi przeszklonych drzwi i ku mojemu zdziwieniu najdalsze z nich po prawej stronie otwierają się.

Biorę głęboki wdech, nie mogąc się poruszyć.

Dwie osoby w białych kombinezonach wychodzą stamtąd szybkim, zdecydowanym krokiem, pogrążone w rozmowie, której echo rozbrzmiewa w korytarzu o wysokim sklepieniu:

– Mamy plan awaryjny, na wypadek gdyby nie wypaliło?

– Nie bardzo poza kontynuowaniem prób aż do skutku.

– A więc nie mamy.

Postacie wychodzą przez rozsuwane drzwi na końcu korytarza, wpuszczając do środka podmuch ciepłego wiatru o lekko słonawym posmaku.

Podchodzę do najbliższych przeszklonych drzwi i zaglądam do środka. Pokój jest pusty – to laboratorium podobne do tego, jakie znajdują się na uniwersytecie. Wysokie stoły z czarnymi blatami i cynkowane zlewy. Pod ścianami przeszklone szafki.

Przy drzwiach stoją dwa srebrne stoły na kółkach, na każdym z nich leży plastikowy worek, wygląda jakby było w nim ciało.

Popycham wahadłowe drzwi do laboratorium i szybko podchodzę do wózków. Przy jednym z ich końców znajduje się urządzenie wyglądające jak pompa do tłoczenia powietrza. Rozsuwam zamek błyskawiczny jednego z worków. Ze środka wypływa chmura mroźnego powietrza. Gdy opar się przeredza, widzę, że na stole leży Yul. Chwiejnie cofam się zdyszana. Boże.

Zasuwam worek. Niemal na pewno wiem, co jest w kolejnym, ale nie mogę się powstrzymać. Podbiegam do wózka i rozsuwam zamek... Sabrina. Także nieruchoma. Martwa.

Słyszę, jak otwierają się podwójne drzwi na końcu korytarza.

Nie zapinam worka, w którym spoczywa Sabrina, tylko przebiegam na drugi koniec laboratorium i przykucam za najdalszym stołem, pochylając nisko głowę.

Echo kroków się zbliża.

W myślach widzę, jak z wnętrza worka, w którym leży Sabrina, unosi się mgiełka niczym sygnał dymny, wołająca: „Ej, ona jest tutaj!”. A tymczasem z korytarza dochodzą prawdziwe głosy:

– Dziennik dostępu mówi, że właśnie opuściła swój pokój.

– Trzeba było postawić kogoś przy drzwiach.

Nie odważę się wyjrzeć. Kiedy słyszę, że wchodzi do drugiego skrzydła, zrywam się na nogi, wybiegam z laboratorium, pędzę przez korytarz i zatrzymuję się dopiero przy drzwiach, które otwierają się całe wieki.

Za nimi betonowa szeroka promenada wiedzie w głąb bezkresnego wąwozu, przez którego środek

płynie szeroka rzeka. Dlaczego ten widok wydaje mi się znajomy?

Nie mogę oderwać wzroku od przepaści. Musimy znajdować się na wysokości trzystu metrów...

Widziałam to miejsce. Pod innym kątem, z piaszczystej plaży na Dworze Tytanów. To Tama Gibraltarska, jej środek. Znajdujemy się w minimieście w centrum zapory. Po jednej stronie rozciąga się widok na morze jak z pokoju, w którym się obudziłam, a od tej strony nad doliną utworzoną przez Tytanów między Europą i Afryką wznoszą się wieże.

Z tyłu za mną otwierają się drzwi.

– Harper! Stój!

Znam ten głos. Odwracam się i nie wierzę własnym oczom. To niemożliwe.

## 29: Nick

Przez chwilę jedynym dźwiękiem w niedużym pomieszczeniu jest cichy szum pracującego pieca po mojej lewej stronie. Buczenie przybiera na sile, gdy owinięte w plastikowy worek ciało dociera do urządzenia. Brzęczenie jest subtelnym, niemniej wyraźnym przypomnieniem, że ci ludzie przeprowadzają sekcje pasażerów lotu 305, jakby ci byli szczurami laboratoryjnymi, i bezceremonialnie pozbywają się ich ciał. W myślach rozważam możliwości, obmyślam, jak Grayson i ja możemy uciec z tego rozległego kompleksu namiotów na Heathrow.

Mój klon stoi z uniesionymi rękami. Na podłodze Grayson i nieznajomy, który ścigał nas od skrzydła laboratoryjnego, przerywają walkę i popatrują to na jednego Nicka Stone'a, to na drugiego.

– To koniec, Nick – mówi mój sobowtór.

– Kim ty jesteś?

– Jestem tobą.

– Jak to?

– Dojdziemy do tego...

– Dojdźmy do tego teraz. – Unoszę pistolet, żeby mógł go zobaczyć.

Uśmiecha się z wyrazem zamyślenia.

– Przepraszam, prawie zapomniałem, jaki byłem w wieku trzydziestu sześciu lat. To było ponad sto trzydzieści lat temu.

On ma prawie sto siedemdziesiąt lat? Nie wygląda starzej ode mnie.

– Chcesz odpowiedzi, Nick? Tu i teraz? – pyta mój klon.

– Powiedziałbym, że zasługujemy na kilka odpowiedzi.

– Bez wątpienia. – Wskazuje na rzędy worków ze zwłokami z tyłu za nim, za podwójnymi stalowymi drzwiami. – To strefa zagrożenia biologicznego. Nie możemy tu rozmawiać.

– O jakim zagrożeniu biologicznym mówimy?

– O zarazie, jakiej nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, niszczycielskiej pladze, z którą walczyliśmy przez siedemdziesiąt sześć lat. I aż do sześciu dni temu bez powodzenia.

– Dlatego sprowadziliście nas tutaj? Aby zwalczyć tę plagę?

– Tak, między innymi dlatego was tu sprowadziliśmy. Jesteście tu, żeby pomóc nam położyć kres pladze pustoszącej nasz świat i sprawić, że ta zaraza nigdy nie wydarzy się w waszym. Możemy uratować oba nasze światy, Nick, ale potrzebujemy waszej pomocy. Wciąż mamy potężnego wroga, który próbuje pokrzyżować nam szyki, a czas ucieka. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, gdy się dowiedziałem, że tu przybyłeś. To było bardzo sprytne.

Schyla się i podnosi swój hełm.

– Zamierzam wyjść stąd tak, jak tu wszedłem. Jeżeli zechcecie nam pomóc, będę w pierwszym statku na zewnątrz. Ten pistolet nie będzie ci potrzebny. Nikt nie zamierza cię skrzywdzić, ale jeśli czujesz się z nim bezpieczniej, możesz go zatrzymać.

Odwraca się do Graysona.

– Jest tu ktoś, kto bardzo chciałby się z tobą zobaczyć. Twój ojciec.

∞

Nie ma co się zastanawiać nad tym, co robić dalej. Gdyby ci... ludzie chcieli śmierci Graysona i mojej, już byśmy nie żyli. Potrzebujemy odpowiedzi, opieki medycznej i jedzenia. To miejsce wydaje

się nam je zapewnić.

Wewnątrz statku, gdy zdjąłem kombinezon i włożyłem suche ciuchy, przyszła wersja mnie i ja siadamy przy niedużym drewnianym stole w wąskiej sali konferencyjnej. Nie ma tu okien z widokiem na zewnątrz, jest tylko szerokie okno wewnętrzne, przez które widać pomieszczenie, w którym Oliver Norton Shaw i Grayson, wychyleni lekko do przodu na wygodnych klubowych fotelach, rozmawiają, uśmiechając się, a po twarzach ich obu płyną łzy. Starszy Shaw wygląda jak na symulacjach w Dworze Tytanów, jakby wciąż miał sześćdziesiąt kilka lat.

– Oliver nie widział syna od siedemdziesięciu sześciu lat. Nie masz pojęcia, jaki jest teraz szczęśliwy. Po prostu... czekaliśmy.

– Na nasze przybycie?

– Na promyk nadziei.

– Chcę usłyszeć całą historię, od samego początku, ale najpierw powiedz, jak mam się do ciebie zwracać?

– Nicholas – odpowiada moje przyszłe ja. – Już od dawna nikt nie mówi do mnie Nick. A zatem, do rzeczy. Daj mi chwilę, żebym pozbiierał myśli. Nikt tu nie rozmawia o przeszłości. – Uśmiecha się ponuro. – Wszyscy to przeżyliśmy. To nie jest przyjemny temat.

– Wyobrażam sobie. Widziałem Londyn.

– Londyn ucierpiał najmniej. Wiele innych miejsc zostało znacznie bardziej zniszczonych! Ale... od początku. Fundacja Tytani. W pewnym sensie jesteś jedyną osobą na tej planecie, która naprawdę rozumie genezę fundacji i to, jak się wtedy czułem. Zagubiony. Zdezorientowany. Wszystko, czego, jak mi się zdawało, pragnąłem w życiu, nie sprawiało mi już przyjemności. Nie byłem szczęśliwy. Prawdę mówiąc, nie czułem kompletnie niczego i to mnie przerażało najbardziej. Więcej pieniędzy. Większe ekscesy. Wystawniejsze bankiety. Rozrastająca się lista kontaktów. A jednak każdego dnia życie stawało się mniej frapujące, jakbym oglądał fragmenty zdarzeń dotyczące kogoś innego. Każdy mijający dzień wydawał się bardziej pusty niż poprzedni. Leki nie pomagały. Moją jedyną nadzieją było dokonanie zmiany. Radykalnej zmiany. Dołączenie do Olivera i powołanie Fundacji Tytani zapowiadało się na taką zmianę. Wielki, budzący grozę cel. Byłem gotów spróbować czegokolwiek choćby po to, by przekonać się, czy dzięki temu znów poczuję, że żyję.

To jest jeszcze bardziej irytujące niż monolog w Dworze Tytanów. Moje najmroczniejsze myśli, tajemnice, obawy, czym stanie się moje życie, jeżeli nic z tym nie zrobię. Jeżeli czegoś nie zmienię. Tak głębokich prawd nie sposób sfałszować. Ten facet mnie zna. On jest mną. Przerzywa, żebym przyswoił sobie jego słowa, a gdy kiwam lekko głową, mówi dalej:

– Jak daleko dotarłeś w Dworze Tytanów?

– Do drugiej komnaty. Do Tamy Gibraltarskiej.

– Okej. A więc wiesz o kwantonce, kabinowcach i Orbital Dynamics. Po otwarciu Tamy Gibraltarskiej sprawy... zaczęły się komplikować. Prasa i podręczniki historii nazwały to naszym wielkim błędem. Pomyłką Tytanów.

Tamę otwarto w dwa tysiące pięćdziesiątym czwartym roku, w czterdziestą rocznicę założenia Fundacji Tytani. Była cudem na skalę światową, politycznym i technologicznym triumfem, który umożliwił utworzenie nowego państwa – Atlantydy. Wierzyliśmy, że zapoczątkujemy nową epokę. Oto nowy kraj rozpościerający się od Izraela po Cieśninę Gibraltarską, od Aten po Aleksandrię, od Rzymu po ruiny starożytnej Kartaginy, kraj na skrzyżowaniu Europy, Bliskiego Wschodu i Afryki. Państwo, które mogło zjednoczyć świat. Nasze największe osiągnięcie – mikrokosmos mogący ukazać potencjał drzemiący w ludzkości. Chcieliśmy, by był to koronny przykład tego, że może istnieć miłujące pokój, żyjące w dobrobycie społeczeństwo, i pragnęliśmy szerzyć te wartości, propagując je wszędzie, aby prędzej czy później przyjęły się na całym globie.

Świat wszedł w nową erę. Miejsca pracy zapewnione dzięki budowie i otwarciu Atlantydy pozwoliły

wydobyć Europę z długotrwałej recesji. Atlantyda była nowym światem, odpowiednikiem Nowej Ameryki w samym sercu Starego Świata i ze wszystkich zakątków globu ściągali ciężko pracujący, zdeterminowani imigranci w nadziei na lepsze życie dla siebie i swoich rodzin.

Pierwszy pierścień orbitalny, Tytan Alfa, został ukończony pięć lat wcześniej i osadnicy przybywali tam każdego miesiąca, zasiedlając pierwszą stałą ludzką kolonię w kosmosie. Kolej kabinowa rozprzestrzeniła się na cały świat, łącząc nas fizycznie. Kwantonet stał się wszechobecny, sprawiając, że darmowy szybki internet ogarnął cały glob. Te cztery inicjatywy, Cuda Tytanów, jak je nazywano, były zaledwie pomysłami, gdy zaprezentowałem je Oliverowi na naszym pierwszym spotkaniu. Kiedy w dwa tysiące pięćdziesiątym czwartym roku otwarto Atlantyde, było stu Tytanów. W ciągu czterdziestu lat niewielka grupa radykalnie odmieniła świat. A był jeszcze jeden, ostatni cud, tajny projekt, który, jak sądziliśmy, okaże się bardziej przełomowy niż pozostałe. Oliver pracował nad nim, gdy się poznaliśmy. Czy Sabrina mówiła ci o swoich badaniach?

– Tylko tyle, że miał coś wspólnego z progerią.

– Sabrina miała młodszego brata. Zmarł na progerię, gdy była jeszcze nastolatką. Poświęciła całe swoje życie, by znaleźć lekarstwo na tę chorobę. Kiedy w dwa tysiące czternastym roku poznałem Olivera, już od kilku lat sponsorował jej badania, chociaż nie interesował się progerią. Jego układ z Sabriną był prosty: zgodził się finansować jej badania, aż znajdzie lekarstwo na progerię, ale potem będzie musiała się zająć projektem, którym on był zainteresowany. Ludzie sukcesu myślą inaczej niż inni. Zawsze liczą na to, że im się uda. Planują swoje sukcesy. I tak też było z Oliverem Nortone Shawem.

Mimowolnie spoglądałam przez okno sali konferencyjnej na Shawa, który w 2014 był po sześćdziesiątce, a teraz musi mieć ponad dwieście lat.

– Podczas naszego drugiego spotkania Shaw zadał proste pytanie: A jeżeli nam się uda? Jeżeli kwantonet, kabinowce, kolonia orbitalna i Atlantyda staną się rzeczywistością? Co wtedy? Jak możemy zapewnić dalszy rozwój innowacji i postępu? Odpowiedź była oczywista: należało zadbać o właściwy rozwój kultur i zwerbować właściwe osoby do Fundacji Tytani. Ale to ryzykowne. Kultury mogą się zmieniać. Nie można zakładać, że w każdym pokoleniu pojawią się wielkie umysły. Jedno stracone pokolenie może unicestwić wszystko, co staraliśmy się stworzyć.

A gdyby najtęższe i najświatlejsze umysły tego świata nigdy nie umarły? Gdyby stu Tytanów żyło wiecznie? Wyobraź sobie świat, w którym Arystoteles, Newton, Einstein, Szekspir, Jefferson i Waszyngton ciągle żyją, wyobraź sobie, co ich wynalazki i przywództwo mogłyby uczynić dla ludzkości. Shaw miał wizję takiego świata, nowego, wiecznego renesansu.

Sabrina wynalazła lek na progerię w dwa tysiące dwudziestym pierwszym roku. W dwa tysiące czterdziestym czwartym opracowała formułę terapii mającej przeciwdziałać starzeniu. Shaw, który był wtedy po dziewięćdziesiątce, zgłosił się na ochotnika jako pacjent testowy jej terapii. Kuracja odniosła skutek i w kolejnych latach poddaliśmy jej wszystkich Tytanów. Krótco przed inauguracją Atlantydy przeszliśmy zabieg chirurgiczny przywracający nas fizycznie do stanu z okresu, zanim zostaliśmy Tytanami. Uczyniliśmy to głównie po to, by zaszokować, niż z czystej próżności, choć niektórym pewnie także o to chodziło.

Podczas otwarcia Tamy Gibraltarskiej i inauguracji Atlantydy wszyscy wyszliśmy na scenę, żeby pokazać nasz piąty, ostatni cud – samych Tytanów. To była nasza wizja redefiniowania istoty ludzkiego istnienia. Nasza propozycja była prosta: poświęć swoje życie, by uczynić świat lepszym miejscem, a jeśli spróbujesz sięgnąć naprawdę wysoko, jeśli wytyczysz sobie naprawdę szczytny cel, jeśli będziesz dostatecznie ciężko pracował, jeśli przekonasz jednego spośród stu Tytanów, żeby zechciał zaprosić cię do swojego grona, ty także staniesz się Tytanem, nieśmiertelnym, zastygłym w czasie od dnia, gdy zasłużyłeś na ten status. Wedle naszej wizji miało to dopomóc w promowaniu najświatlejszych i najtęższych umysłów. Miej wielkie marzenia, ciężko pracuj, żyj wiecznie – oto obietnica, jaką tego dnia złożyliśmy światu. Już nigdy największe dzieła ludzkości nie zostaną niedokończone. Nigdy więcej nasza

śmiertelność nie ograniczy potęgi ludzkiego umysłu. Gdybyś po dwa tysiące pięćdziesiątym czwartym roku spytał jakiegokolwiek dziecko w każdym zakątku świata, kim chciałoby być, kiedy dorośnie, nie odpowiedziałoby, że astronautą czy prezydentem. Stwierdziłoby krótko: Tytanem.

Gdyby nie to, że miałem przed sobą żywy dowód, zapewne bym w to wszystko nie uwierzył. Niesamowite. Naprawdę to zrobili.

– Nie rozumiem. – Kręcę głową. – Powiedziałeś, że to był wasz błąd?

– Naszym błędem nie była innowacja, terapia nieśmiertelności sama w sobie. Pomyłką było to, że nie wzięliśmy pod uwagę natury ludzkiej.

– Natury ludzkiej?

– Wtedy tego nie wiedzieliśmy, ale zmierzaliśmy do konfrontacji, rozpoczęło się końcowe odliczanie do wybuchu wojny, która miała unicestwić nasz świat. Tytani zwerbowani po dwa tysiące pięćdziesiątym czwartym roku byli w większości naukowcami i badaczami, zastąpili swoich poprzedników. Większość spośród setki pierwotnych Tytanów była innowatorami w swoich dziedzinach, to byli ludzie tacy jak Sabrina i Yul. Wszyscy oni wybrali młodsze wersje samych siebie, ludzi, którzy mogli dokonać nowych odkryć w konkretnych dziedzinach z nową energią. Przyjęcie w szeregi Tytanów wymagało większości głosów, a konkretnie pięćdziesięciu spośród dziewięćdziesięciu dziewięciu, gdyż wprowadzający wstrzymywał się od głosu. Przez prawie dwie dekady wybory przebiegały bez zakłóceń, politykierstwo i negocjacje prowadzone były zakulisowo.

W dwa tysiące siedemdziesiątym pierwszym roku stanęliśmy w obliczu kryzysu, a w samym jego centrum znalazł się Oliver. Grayson Shaw miał wtedy osiemdziesiąt osiem lat i bardzo podupadł na zdrowiu. Przeszedł dwa przeszczepy wątroby, a lekarze mówili, że jego dni są policzone. Grayson był solą w oku Olivera, który coraz częściej o nim mówił, nie po to, by utyskiwać nad jego życiowymi wyborami, lecz nad tym, co miał pozostawić niedokończone. Danie Graysonowi drugiej szansy na życie stało się obsesją Olivera. Nominował go do włączenia w szeregi Tytanów, ale za zamkniętymi drzwiami szybko stało się jasne, że głosowanie nie wypadnie po jego myśli. Oliver zaczął wywierać naciski, domagając się rewanzu za wyświadczone wcześniej przysługi. On i ja nie szczydziśmy wysiłków, posiłkując się prośbą i groźbą, a nawet posuwając się do przekupstwa, Tytani pozostali jednak nieugięci. Uważali, że uczynienie Graysona Shawa Tytanem byłoby kardynalnym błędem, pomyłką, która na zawsze zatrułaby studnię. Twierdzili, że byłoby to pogwałceniem zasady naboru w ich szeregi najświetlejszych i najtęższych umysłów. Wierzyli, że świat będzie w stanie zaakceptować ideę nieśmiertelności Tytanów tylko wtedy, gdy w ich szeregach znajdą się osoby naprawdę godne tego miana. Tytani zapewne mieli rację, jednak Oliver, jak zwykle, nie odpuścił. Upór stanowił tajemnicę naszego sukcesu i nie zamierzaliśmy poddać się bez walki. Odmieniliśmy cały świat i nakłonienie pięćdziesięciu osób do zmiany zdania wydawało się względnie łatwym zadaniem. – Kręci głową i odwraca wzrok. – Jakże się myliliśmy.

– W jakiej kwestii?

– Natury ludzkiej, jak już wspomniałem. Ludzie będą walczyć ze śmiercią do ostatniego tchu, a żeby zachować swój styl życia dla przyszłych pokoleń, gotowi są nawet rozpętać wojnę. W wypadku Tytanów nie chodziło o jedno miejsce wśród nich, lecz o styl życia, ich wizję przyszłości. Wybór Graysona zagroził wszystkiemu, w co wierzyli.

– Ty w to nie wierzyłeś?

– Ja również, ale uznałem to za dogodną okazję. Poznałem kogoś, kto był bliski śmierci. Byłem przerażony, podobnie jak Oliver, nie chciałem nawet brać pod uwagę tego, że mógłbym żyć dalej bez tej osoby. Zgłosiłem jej kandydaturę, ale ją także odrzucono. Oliver i ja byliśmy zdeterminowani, by uratować tych, na których nam najbardziej zależało, i podjęliśmy desperacką decyzję: postanowiliśmy wykraść formułę nieśmiertelności. Była to najsilniej strzeżona technologia na świecie, ale mieliśmy do niej dostęp – prawdę mówiąc, byliśmy jedynymi osobami na tej planecie, które mogły dokonać tak

śmiałego czynu. Udało się nam, ale znów nie wzięliśmy pod uwagę jednej kwestii.

– Natury ludzkiej.

– Zgadza się. Największym minusem zatrudnienia złodziei jest to...

– Że kradną.

– Otóż to. W tym wypadku łup był najcenniejszy w dziejach ludzkości. Ludzie, którym zleciliśmy robotę, nie pojawili się w wyznaczonym miejscu, a tydzień później państwa na całym świecie ogłosiły, że opracowały własną terapię formuły nieśmiertelności. Zapanował chaos. Wiele krajów od dawna uważało Fundację Tytani za największe zagrożenie. Po inauguracji Atlantydy uznano, że stanie się ona pierwszym globalnym miastem–państwem, redukując wszystkie inne rządy do rangi władz lokalnych. Ci, którzy tak myśleli, zapewne mieli rację. Uważali, że wszystkie Cuda Tytanów, łącznie z kwantonetem, kabinowcami, a zwłaszcza nieśmiertelnością, umniejszają ich zdolność utrzymania władzy. A teraz oferowali nieśmiertelność swoim obywatelom, przy czym poszczególne państwa różnie precyzowały kryteria przyjmowania zgłoszeń kandydatów. Tam gdzie spodziewano się nowej fali nacjonalizmu i lojalności, wybuchła anarchia. Niektóre ugrupowania domagały się, by nieśmiertelność stała się powszechnie dostępna, inni uważali, że należałoby jej definitywnie zakazać. Wszyscy obwiniali za te niepokoje Tytanów. Miliony ludzi poniosły śmierć w rozruchach, wśród nich miłość mojego życia. Grayson zmarł wskutek powikłań związanych z niewydolnością wątroby trzy tygodnie po wybuchu zamieszek. Tytani zebrali się, żeby znaleźć wyjście z tego chaosu. Ogłosiliśmy światu, że opracujemy rozwiązanie, prosiliśmy o wiarę i wyrozumiałość, zapewniliśmy, że pomoc jest już w drodze. W pewnym sensie czuliśmy się za to wszystko odpowiedzialni. Nie mogliśmy jednak przewidzieć tego, co wydarzyło się później – wybuchu pandemii.

– Pandemii? Dlaczego?

– Mówię o mutacji. Formuła nieśmiertelności opracowana przez Sabrinę z jakiegoś powodu zmieniła się – zmutowała. W terapii wykorzystywano retrowirusa mającego zmieniać geny kontrolujące proces starzenia. Ten retrowirus zmutował w szaleńczy sposób, a może ktoś go zmodyfikował przypadkowo bądź celowo. Podejrzewaliśmy, że prywatne laboratoria i placówki rządowe prowadziły wzmożone prace nad wirusem, gdy został skradziony. Zmutowany retrowirus okazał się zabójczy. Zamiast wyłączać geny kontrolujące proces starzenia, gwałtownie przyspieszał ich pracę, powodując błyskawiczne starzenie się organizmów. Wyglądało to tak, jakby u ofiar wystąpił ciężki przypadek progerii, pojawiającej się jednak dopiero u osób dorosłych. Zarażeni umierali szybko, w ciągu kilku godzin lub dni od zainfekowania, w rzadkich przypadkach po upływie dwóch tygodni.

Raporty o ofiarach zaczęły nadchodzić dzień po ogłoszeniu, że pracujemy nad rozwiązaniem tej sprawy. Z początku były to drobne wzmianki, które nie trafiły do głównych serwisów informacyjnych. Kilka osób zmarło w Europie, cztery w Ameryce, sześć w Japonii. I nagle na całym świecie rozpętało się piekło. Ludzie marli jak muchy, wszyscy wskutek przyspieszonego procesu starzenia. Sabrina była przerażona. Podobnie jak my wszyscy. Pracowała dzień i noc, nie szczędząc wysiłku. Dziesięć dni po pierwszych przypadkach zgonu połowa całej populacji na świecie była martwa.

– Jak plaga mogła się tak szybko rozprzestrzenić?

– To jest pytanie. Otóż niestety odkryliśmy, że retrowirus był w stanie egzystować w łagodnej postaci u dosłownie każdego zwierzęcego żywiciela. Każde zwierzę na ziemi jest nosicielem niezliczonej ilości wirusów. Wirusy istnieją, by się powielać, namnażać, rozprzestrzeniać swoje DNA, aby nie musiały krzywdzić swojego gospodarza. Pragną pozostać niewykryte i tylko się namnażać. To samo uczynił ten wirus. Był wszędzie. W ptakach, rybach, zwierzętach lądowych. Wszystkie były jego nosicielami, ale żadne nie ucierpiało, z wyjątkiem ludzi. Byliśmy jedynymi nosicielami, u których powodował śmierć, chociaż początkowo nie wyrządzał ludziom krzywdy. Trwał w uśpieniu przez wiele dni, by ostatecznie uderzyć, szybko i zdecydowanie, zabijając bez ostrzeżenia. Pamiętam swoje przerażenie tego dnia, gdy dowiedzieliśmy się, że cała ludzkość jest już zarażona i nie ma szans na opanowanie ani zahamowanie



epidemii.

W myślach mam obraz ciał, które widziałem w namiotach. Twarze. Teraz rozumiem, dlaczego ich nie rozpoznałem. Widziałem tych ludzi wcześniej na miejscu katastrofy, ale wtedy wyglądali znacznie młodziej. Jakby przez ten czas, kiedy odwiedziłem Stonehenge i wróciłem stamtąd, postarzeliby się o dziesiątki lat.

– Pasażerowie z mojego samolotu też są zarażeni.

– Tak. Wirus przenosi się w powietrzu. Wszyscy zostaliście narażeni na kontakt z nim, odkąd się rozbiliście.

– Wirus wciąż istnieje? Siedemdziesiąt sześć lat po epidemii?

– Pozbycie się go jest niemożliwe. On jest wszędzie. Musielibyśmy poddać leczeniu każde zwierzę na Ziemi. A to niemożliwe.

Zastanawiam się nad tym, co właśnie usłyszałem, próbuję zrozumieć zawarte w tych słowach implikacje. I co to wszystko oznacza dla mnie. Czy czeka mnie ten sam los co tych nieszczęśników na zewnątrz? Mój sobowtór mówi dalej, zanim zdąży o cokolwiek zapytać:

– Wirus miał się stać najmniej istotnym spośród naszych problemów. Wszyscy uznali bowiem, że epidemia została wywołana przez Tytanów, którzy chcieli zagłady całej populacji. Rządy wysłały przeciwko nam niedobitki swoich armii w nadziei, że skapitulujemy i przekazemy im lekarstwo. Byliśmy odporni na zarazę prawdopodobnie dlatego, że przeszliśmy terapię w czystej postaci. Podczas wojny armie całego świata zabiły sześćdziesięciu dwóch Tytanów. Ukrywaliśmy się, ale nie musieliśmy tego robić długo. Czterdzieści dni po wystąpieniu pierwszych przypadków plagi wszyscy ludzie na Ziemi, z wyjątkiem pozostałych trzydziestu ośmiu Tytanów, byli martwi.

Graffiti w Londynie, w Dworze Tytanów – teraz to wszystko nabiera sensu. Cała ludzkość wymarła? Ogrom tej wiedzy mnie przytłacza. Siedzę oszołomiony w niedużej salce konferencyjnej.

– Czego od nas chcecie? – Moje słowa brzmią jak szept.

– Pomocy. Przez ostatnie siedemdziesiąt sześć lat ja i pozostali Tytani poświęciliśmy każdą chwilę na sprowadzenie tutaj waszego samolotu. Ty i reszta pasażerów lotu trzysta pięć stanowicie ostatnią szansę na ocalenie ludzkości. Jesteście jedyną nadzieją na jej przetrwanie.

## 30: Nick

Żadnych nacisków. Tylko jedyna nadzieja na przetrwanie rasy ludzkiej. Przez ostatnie sześć dni urabiałem sobie ręce po łokcie, próbując utrzymać przy życiu setkę ludzi, i wygląda na to, że zawiodłem. Zadaję Nicholasowi oczywiste pytanie:

– Co to ma znaczyć?

– Jak powiedziałem, rethrowirus uaktywniający przyspieszone starzenie jest na naszym globie wszechobecny. Nie mamy szans na pozbycie się go, ale istnieje rozwiązanie: szczepionka.

– Macie szczepionkę?

– Sabrina poza swoimi licznymi wadami jest wybitnie inteligentna. W ciągu roku od wybuchu epidemii stworzyła szczepionkę, która jej zdaniem powinna okazać się skuteczna, chociaż Sabrina mogła pracować jedynie na modelach komputerowych.

To nie ma sensu. Tytani są uodpornieni na wirus, a wszyscy inni nie żyją. Po co komu szczepionka? Nie rozumiem, ale Nicholas odzywa się pierwszy, jakby czytał w moich myślach:

– Szczepionka jest naszą jedyną nadzieją na przeżycie. Nie możemy wyeliminować wirusa ze środowiska, ale możemy zaszczepić ludzi, którzy nie zostali wystawieni na kontakt z nim.

– Chwileczkę, czy nie powiedziałeś, że wszyscy na tej planecie, oprócz Tytanów, umarli.

– Na tej planecie wszyscy umarli.

Geniusz tego planu dociera do mnie jak podmuch lodowatego powietrza.

– Kolonia orbitalna.

– Tak. Przez ostatnie siedemdziesiąt sześć lat pięć tysięcy mieszkańców Tytana Alfa czekało na ten dzień, gdy będą mogli wrócić i przejąć na nowo Ziemię. Dorastające tam dzieci należą do drugiego pokolenia, które wychowuje się, nie patrząc w gwiazdy, lecz w dół, ku Ziemi, na której nie powstała ich stopa, ku nowej granicy, o której powiedziano im, że stanie się kiedyś ich domem, tak jak była nim dla ich przodków.

– Niewiarygodne.

– Tych pięć tysięcy kolonistów jest ostatnią szansą ludzkości na ponowne zaludnienie planety.

– Wobec tego nie rozumiem, czemu tu jesteście. Macie ich. I macie szczepionkę.

– Nie mamy stuprocentowej pewności, że szczepionka jest skuteczna. Postaw się w sytuacji kolonistów. Mają trzy szalupy ratunkowe – trzy pojazdy, na których mogą tu przysłać ludzi. Ale kogo powinni wybrać? Uważamy, że szczepionka zadziała, ale nie jesteśmy tego pewni. Zapytano nas, jaki mamy plan awaryjny, jeśli szczepionka nie zadziała w wypadku ludzi wysłanych na Ziemię w dwóch pierwszych szalupach. I jeśli zostanie nam tylko jedna szalupa? Co wtedy?

– Nie można ryzykować.

– Otóż to. Musieliśmy mieć więcej obiektów testowych.

– Ciekawe.

– Pojawiło się pytanie, jak moglibyśmy pozyskać ludzkie organizmy testowe niemające styczności z wirusem Tytanów, gdyby stało się to, co najgorsze? Jak już wspomniałem, Sabrina przeżyła wojnę z Tytanami, podobnie Yul. Ich umysły stały się najważniejszymi elementami naszego planu, w naszych czasach i w waszych. Yul opracował rozwiązanie, o którym sądziliśmy, że jest szalone. Dla nas była to czysto akademicka próba, wysiłek mający uświadomić kolonistom, że wyczerpaliśmy wszelkie możliwości, zarówno racjonalne, jak irracjonalne.

– Kwantonet.

– Powiedział ci?

– Tylko tyle, że otrzymał komunikaty z przyszłości.

– Stworzenie zmodyfikowanej wersji kwantonetu mogącego nawiązywać kontakt z przeszłością zajęło Yulowi trzy lata. Gdy mu się udało, wszyscy byliśmy w szoku. Pierwszy kontakt mógł nawiązać w dwa tysiące cztertnastym roku, tuż przed waszym lotem, kiedy pierwszy prototyp kwantonetu stał się w pełni sprawny. W trakcie swoich badań Yul ustalił, że zmiana stanu kwantowego cząstek w przeszłości stworzy w istocie kopię naszego wszechświata. Wysunął teorię, że od momentu nawiązania kontaktu powstaną dwie linie czasowe: wasza, w której przyszłość po roku dwa tysiące cztertnastym, jest niepewna, i nasza, w której do dwa tysiące sto czterdziestego siódmego wszystko już się wydarzyło i w której znajdujemy się obecnie. To zrodziło w nas dylemat moralny, ale do tego dojdę za chwilę. Następną częścią planu Yula był eksperyment kwantowy na znacznie większą skalę. Yul uważał, że dysponuje odpowiednią mocą, by doprowadzić do dylatacji ogniwa istniejącego między naszymi wszechświatami, powiększając je na tak, by coś mogło przez nie przeniknąć.

– Na przykład samolot.

– Właśnie. Prawdę mówiąc, to było wszystko, co mogliśmy uzyskać dzięki mocy wygenerowanej przez Tamę Gibraltarską. Ale nie potrzebowaliśmy więcej. Yul wierzył, że w ciągu kilku lat stworzy punkty końcowe dla mostu kwantowego, okazało się to jednak znacznie bardziej skomplikowane niż zmiany w kwantonecie. Zajęło mu sześćdziesiąt siedem lat. Kiedy byliśmy gotowi, Yul przesłał schematy urządzenia samemu sobie w przeszłość, do dwa tysiące cztertnastego roku. Przesłał także polecenia dla waszego Yula, aby przekazał je Sabrinie.

Teraz rozumiem, oto ostatni element, odpowiedź na pytanie, dlaczego niektórzy pacjenci umarli ze starości, a inni nie.

– Szczepionka.

– Zgadza się. Wiedzieliśmy, kto będzie na pokładzie lotu trzysta pięć, i poleciliśmy Sabrinie z roku dwa tysiące cztertnastego, by przeprowadziła serię pozalaboratoryjnych eksperymentów mających zapewnić, że szczepionka dotrze do pasażerów, zanim znajdą się w samolocie. Zapewniliśmy ją, że ma to związek z jej badaniami nad progerią, i przypuszczalnie sama też w to uwierzyła. Były dwie grupy: kontrolna i eksperymentalna.

To dobry moment, by zapytać, czy jest mi pisane umrzeć wskutek zarazy, która sprawi, że w ciągu kilku dni zacznę się szybko starzeć i moje życie przedwcześnie się zakończy.

– A ja... w której... grupie...?

– Spokojnie. Byłeś w grupie eksperymentalnej. Otrzymałeś szczepionkę jeszcze przed startem – mówi beznamiętnie Nicholas, jakbym przejmował się zwykłą gorączką.

– Ale jak...

– Jak ją podaliśmy? Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Chyba nie. – Pewnie mnie to przerazi.

– Po zaszczepieniu grupy eksperymentalnej ostatnim etapem było wprowadzenie na pokład Yula i Sabriny wraz z urządzeniem Yula. To doprowadza nas do momentu bezpośrednio poprzedzającego sytuację, która wywołała poważne komplikacje w trakcie lotu.

– Komplikacje, które doprowadziły do katastrofy.

– To było niezamierzone i naprawdę niefortunne. Jak już wspomniałem, wyniknął pewien dylemat natury moralnej, gdy stworzyliśmy waszą odrębną linię czasową. Stworzyliśmy, świat któremu pisane było powtórzenie naszego błędu i w którym wszyscy ludzie na Ziemi, z wyjątkiem trzydziestu ośmiu z nas, umrą. Oliver i ja wciąż czuliśmy się odpowiedzialni za upadek naszego świata i nie mogliśmy znieść myśli, że wasz świat poniesie konsekwencje innego z naszych, z założenia słusznych, eksperymentów. Doszliśmy do bardzo prostego rozwiązania. Wasz samolot wylądował na Heathrow, gdzie zbadamy wszystkich pasażerów. Jeżeli szczepionka zadziała, mniej więcej połowa pasażerów, jakieś sto

dwadzieścia osób, przeżyje. Wtedy wiedzielibyśmy, czy jest skuteczna. Potwierdziliśmy, że tak, przeprowadzając wczoraj autopsje ocalałych. Dla Olivera i dla mnie następny krok był oczywisty: nie robić nic.

– Nic?

– Plan był prosty: samolot i ocaleni pozostaną w roku dwa tysiące sto czterdziestym siódmym. W waszym świecie, w dwa tysiące czternastym roku, samolot po prostu zniknie nad Atlantykiem i nigdy nie zostanie odnaleziony. A zniknięcie pozwoli ocalić życie ponad dziewięciu miliardom ludzi pięćdziesiąt siedem lat później.

Wcześniej mi to nie przyszło do głowy.

– Ponieważ na pokładzie byliśmy Sabrina, Yul i ja.

– I Grayson. Nadarzyła się niebywała okazja: lot, w trakcie którego najważniejsze osoby związane z Fundacją Tytani i naszym kardynalnym błędem mogły zostać usunięte z waszej linii czasowej, dzięki czemu do tej tragedii nigdy nie dojdzie. Dla nas poświęcenie blisko dwustu pięćdziesięciu istnień z waszego świata, gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo miliardów, było dopuszczalną stratą. Wybór był oczywisty. Pozostawał jeden problem: Yul i Sabrina.

– Nie rozumiem.

– Nie chcieli słyszeć o pozostawieniu tutaj reszty pasażerów lotu trzysta pięć. Argumentowali, że zabranie ponad dwustu osób z waszej linii czasowej mogłoby doprowadzić do jeszcze większej katastrofy po upływie roku lub nawet dziesięciu lat. Wierzyli, że spowodowanie zmian w innym wszechświecie to niebezpieczna gra. Gdyby kwantowy most między naszymi światami pozostał otwarty, ktoś z waszego wszechświata mógłby go w końcu znaleźć i dotrzeć tutaj, gdyby czegoś od nas potrzebował, a to mogłoby się okazać niebezpieczne. Zalecali nieingerowanie, dowodząc, że gdyby interferencja z innym wszechświatem stanowiła właściwy sposób na przetrwanie, już wiele, wiele razy złożono by nam wizytę.

– Fascynujące. A więc postawiliście na kompromis?

– Miałeś do czynienia z Yulem i Sabriną?

– Troszeczkę.

– A zatem wiesz, że nie lubią kompromisów. Oliver i ja nie mieliśmy wyboru. Yul i Sabrina zajmowali się kwestiami naukowymi, co było kluczowe dla całego planu. Nam pozostawało tylko czekać. Yul opracował most kwantowy tak, aby można go było zresetować, usuwając wszelkie ślady lotu trzysta pięć z naszej linii czasowej i ponownie przenosząc go do waszej. W dwa tysiące czternastym roku byłoby tak, jakby nasz eksperyment nigdy się nie wydarzył, jakby wasz samolot pozostał na kursie i zgodnie z planem wylądował na Heathrow. Yul zamierzał zresetować most, gdy tylko w dwa tysiące sto czterdziestym siódmym potwierdzilibyśmy skuteczność szczepionki. Oliver i ja nie mogliśmy na to pozwolić. Kiedy samolot przeszedł przez most i znalazł się w naszym czasie, uderzyliśmy. Wykonaliśmy ruch tu, na Heathrow, próbując przejąć kontrolę nad urządzeniem kwantowym, by wykorzystać je do naszych celów. Wśród Tytanów doszło do rozłamu. Osiemnastu pozostało lojalnych wobec nas, bo wierzyli, że próbują ocalić oba światy. Za Yulem i Sabriną stanęło szesnastu. Yul starał się zresetować most kwantowy, gdy zorientował się, że próbowaliśmy przejąć kontrolę.

– To spowodowało turbulencje i katastrofę.

– Tak. Od tamtej pory nie mieliśmy pojęcia, gdzie się znajduje wasz samolot ani czy w ogóle przetrwał katastrofę. Sądziliśmy, że przełamał się na pół jeszcze w powietrzu albo że roztrzaskał się gdzieś na lądzie lub wpadł do Atlantyku. Ale wtedy musieliśmy stawić czoło większemu wyzwaniu. Walczyliśmy o życie.

– Ach, więc te bitwy powietrzne i walczące statki to wojna domowa między Tytanami.

– Tak. W bitwie o Heathrow poległa połowa pozostałych Tytanów. W tym Yul i Sabrina. Ocaleli członkowie ich frakcji rozpaczliwie poszukiwali waszego samolotu. Tylko to im pozostało.

– Nie rozumiem.

– Obie frakcje Tytanów starały się za wszelką cenę was znaleźć i przejąć kontrolę nad pasażerami – by ustalić, czy szczepionka jest skuteczna, abyśmy mogli sprowadzić kolonistów do domu – jednak frakcja Yula i Sabriny poszukiwała przede wszystkim tych dwojga.

– Dlaczego? – pytam.

– Yul jest prawdziwym geniuszem. W dodatku nieufnym, jak zapewne zdążyłeś się zorientować.

– Owszem.

– Opracował most kwantowy tak, aby tylko on mógł go obsługiwać, w nadziei, że zapewni mu to przetrwanie. Niestety członkowie drugiej frakcji uciekli z urządzeniem. Zabrali je do Miasta Tytanów mieszczącego się w samym środku Tamy Gibraltarskiej. Nasze obozy na Heathrow były jedynie tymczasowe. Od otwarcia Miasta Tytanów pracowaliśmy i mieszkaliśmy właśnie tam. Ich plan zakłada uprowadzenie Yula z waszej linii czasowej, żeby mógł ponownie uruchomić most kwantowy. Sabrina jest im potrzebna do błędnego eksperymentu.

– Yul i Sabrina byli z nami tu, przed Dworem Tytanów, gdy rozpoczęła się bitwa.

– Tak. Tamci ich zabrali. Wraz z kobietą.

Przed oczami mam obrazy płonącego zielonego parku i Harper upadającą po strzale.

– Harper Lane.

– Tak. Ta autorka biografii. I to tyle, Nick. Teraz Yul znajduje się w Mieście Tytanów, pracuje nad mostem kwantowym i próbuje zapoznać się z notatkami swojego przyszłego ja, siedemdziesiąt lat badań skompresowanych do kilkudniowej lektury. Jeżeli uda mu się ponownie uruchomić most, ty i wszyscy pasażerowie lotu trzysta pięć znikniecie z tego świata i wrócicie do swojej linii czasowej, nie pamiętając nic z tego, co się wydarzyło, jakby w ogóle nie doszło do katastrofy. W następnych dniach założysz z Oliverem Nortonem Shawem Fundację Tytani, a za pięćdziesiąt siedem lat będziesz patrzył, jak reszta planety umiera. Tego właśnie chce druga frakcja. To chcieli zrobić Yul i Sabrina z mojego czasu. I jestem pewien, że młodsze wersje tych dwojga zgodzą się dokończyć ich dzieło.

Nicholas wstaje i odsuwa się ode mnie, dając mi więcej przestrzeni. Cały czas szykował się do tej chwili.

– Musisz podjąć decyzję, Nick. Jeżeli przechwycimy urządzenie i powstrzymamy Yula przed ponownym uruchomieniem mostu kwantowego, zostaniesz uwięziony tu w dwa tysiące sto czterdziestym siódmym roku. Ty i inni pasażerowie lotu trzysta pięć nigdy nie wrócicie do domu. Ale ludzie, których pozostawiliście, i wszyscy inni z roku dwa tysiące czternastego będą mieli szansę na przetrwanie.

Odnajduje moje spojrzenie.

– I co ty na to, Nick? Wchodzisz w to?

– A jeśli odmówię?

Nicholas kręci głową.

– Wyjdiesz stąd bez szwanku.

To ci dopiero. Decyzja, jaką podejmę, przesądzi o losie mojego świata i tego w przyszłości. Nicholas mnie potrzebuje. Sam nie wedrze się do Miasta Tytanów, a za mną być może pójdą inni pasażerowie. Wszystko zależy od tego, co teraz powiem.

Przypominam sobie twarze ludzi z 2014 roku, których być może już nigdy nie zobaczę: mojej sześćdziesięciodziesięcioletniej matki uśmiechającej się do mnie w jasno oświetlonym pokoju, w którym szyla; mojej siostry trzymającej na rękach swoje pierwsze dziecko, córeczkę imieniem Naomi; moich trzech kumpli ze studiów popijających i wygłupiających się w domku narciarskim, który wynajmowaliśmy co roku w Park City. Nigdy więcej ich nie ujrzę. Przyjdą na mój pogrzeb i będą żyć dalej. Ale ich dzieci będą miały szansę dorosnąć, podobnie ich wnuki. A potem widzę inne twarze: pasażerów lotu 305, których poznałem w zeszłym tygodniu. W tej grupie jest jednak tylko jedna twarz, jedna osoba, o której nie potrafię zapomnieć.

Zastanawiam się, czy zdołamy powstrzymać Yula przed odesłaniem nas z powrotem do 2014 roku – i jak może wyglądać potem moje samotne życie tu w roku 2147, w tym wymarłym świecie. A może wcale nie będzie samotne. Tak czy owak zacznę wszystko od nowa. Od początku. Od zera. W pewnym sensie tego właśnie chciałem sześć dni temu, zanim wsiadłem na pokład samolotu – spróbować czegoś nowego. Może to przeznaczenie, swego rodzaju błogosławieństwo. Może jakimś dziwnym zrządzeniem losu znalazłem się we właściwym miejscu, o właściwym czasie. Nawet jeśli ten właściwy czas to 2147 rok.

Nicholas czeka przy długim oknie, popatrując to na mnie, to na Olivera i Graysona Shawów, którzy tam za szybą z całą pewnością prowadzą podobną rozmowę. Choć stawka w tej grze jest olbrzymia, Grayson wydaje się całkowicie spokojny.

– Chyba już wiesz, co powiem, prawda?

– Wiem – odpowiada. – Wiem, co ja bym powiedział. To dlatego tak się ucieszyłem, gdy się pojawiłeś. Została nas tylko dwunastka, Nick, i naprawdę potrzebujemy twojej pomocy. Zamierzamy przeprowadzić atak na najbardziej zaawansowaną technologicznie, najlepiej strzeżoną budowlę na Ziemi. Tytani wzniesli Tamę Gibraltarską na zawsze, tak jak miasto umiejscowione w jej centrum. Zniszczenie tego miejsca to nasza ostatnia szansa na ocalenie obu naszych światów.

## 31: Harper

Nie wierzę własnym oczom. To niemożliwe. Sabrina zbliża się do mnie z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Niecałe dwie minuty temu widziałam w laboratorium jej martwe ciało, a jednak jest tutaj żywa, oddycha.

Instynktownie cofam się o krok, w stronę krawędzi platformy na szczycie Tamy Gibraltarskiej. Spoglądam w dół, na widoczne trzysta metrów niżej kamieniste dno tego, co było niegdyś Morzem Śródziemnym. Przez chwilę jedynym odgłosem jest szum wodospadu spływającego do zbiornika hen, w dole. Budynek – a może miasto? – przede mną musi znajdować się pośrodku zapory, bo widzę stąd obie strony cieśniny: po lewej Afrykę i to, co było Marokiem, a po prawej Europę, to, co było kiedyś Hiszpanią i miastem Gibraltar. Dwa osmolone, poobijane statki powietrzne stoją na platformie u podstawy olbrzymich budynków. Przez chwilę rozważam ucieczkę, ale oba brzegi są oddalone kilometry. Jestem w pułapce.

Kolejne osoby wychodzą z budynku, ale ja skupiam się tylko na tej dwójce, którą znam, albo przynajmniej rozpoznaję: na Sabrinie i Yulu. Mrużę oczy, lustrując ich twarze, lecz nie dostrzegam żadnych różnic pomiędzy nimi a ciałami, które widziałam w laboratorium. Nie rozumiem...

– To ja, Harper – odzywa się Sabrina, postępując krok naprzód.

Cofam się niepewnie.

– Widziałam twoje zwłoki – mówię.

– To nie byłam ja. Jestem tą osobą, którą poznałeś na pokładzie samolotu, po katastrofie.

Kręcę głową. Chłodny podmuch wiatru odgarnia mi włosy z twarzy. Niecałe dwa metry dzielą mnie od przepaści.

Sabrina podchodzi do mnie.

– Zraniłeś się w nogę, wyciągając ocalałych z samolotu, kiedy ty, Nick i inni dopłynęliście do wraku na jeziorze. W ranę wdało się zakażenie. Było z tobą źle. Nick nalegał, żebym podała ci antybiotyki. Był na mnie wściekły, gdy tego nie zrobiłam. Pomogłaś mi, zgadzając się, że powinnam oszczędzać antybiotyki dla tych, którym mogą uratować życie. To ja, Harper.

Nie wiem, czy dlatego, że na własne oczy widziałam ciało, czy dlatego, że w ostatnich dniach uczestniczyłam w dziwnych zdarzeniach, ale nie potrafię jej uwierzyć. Ogarnia mnie paranoja. Może przesłuchiwali Sabrinę, zanim ją zabili i sklonowali? Przeprowadzam próbę.

– Po katastrofie miałam pewne podejrzenia wobec ciebie i Yula. Dlaczego?

Sabrina odpowiada bez wahania:

– Usłyszałaś, jak w kokpicie kłóciliśmy się o to, co mogło spowodować katastrofę i czy my się do tego przyczyniliśmy. Wyjaśniliśmy to dopiero w Dworze Tytanów, zanim zaczęła się walka... – Wskazuje na ludzi, którzy jej towarzyszą – ... zanim Tytani nas uratowali.

Uratowali.

– Odsuń się od krawędzi, Harper. Wszystko ci wyjaśnimy.

∞

Mam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa. Przez ostatnią godzinę odbyłam z Sabriną prywatną lekcję historii, bym wreszcie zrozumiała, co się tu, u licha ciężkiego, dzieje.

Okazuje się, że całkiem sporo. Co więcej, istnieją teraz dwa światy, ten, który opuściliśmy w 2014 roku, i ten, w którym się rozbiliśmy sześć dni temu. Wygląda na to, że zostałam wplątana w spisek

wykraczający poza granice czasu i przestrzeni, a także w konflikt, którego wynik zadecyduje o losie ludzkości w dwóch odrębnych wszechświatach.

Nigdy już nie wsiądę do samolotu.

Wszystko sprowadza się do tego, że pasażerowie lotu 305 są królikami doświadczalnymi, którym podano eksperymentalną szczepionkę stworzoną przez Tytanów, aby mogli sprowadzić kolonistów z orbity na Ziemię, a ci ponownie ją zaludnić. Nasz samolot miał wylądować na Heathrow, gdzie pasażerowie mieli zostać przebadani; pokładano nadzieje na stwierdzenie skuteczności szczepionki.

– Wyniknął jednak pewien problem – mówi Sabrina, siadając na stołku przy wysokim stole laboratoryjnym.

– Problem? – pytam.

– Samolot się rozbił.

Przełamał się na pół i roztrzaskał na angielskiej prowincji, co moim skromnym zdaniem zasługiwało na nieco bardziej trafne określenie, bo słowa „problem” nie uważam w tym wypadku za adekwatne, ale przemilczam to.

Sabrina kontynuuje wykład z historii, a ja siedzę na stołku naprzeciw niej jak krnąbrny uczeń zmuszony do pozostania za karę w szkole po godzinach.

– Ale upadek samolotu nie był spowodowany awarią. Urządzenia Yula, które zbudował w przeszłości, i to tutaj, z przyszłości, funkcjonowały bez zarzutu. To Tytani wywołali katastrofę naszego samolotu.

Te słowa są dla mnie sporym zaskoczeniem.

– Gdy tylko samolot przeniknął do ich wszechświata, doszło do wybuchu wojny domowej między Tytanami. Walki zaczęły się na Heathrow i od tej pory toczą się nieprzerwanie. Bitwa na miejscu katastrofy i przed Dworem Tytanów to tylko dwa starcia, których byliśmy świadkami.

– O co toczy się wojna?

– O kogo. Najkrócej mówiąc, walczą o nas, o pasażerów lotu trzysta pięć, a konkretnie o dwie osoby. Kiedy Yul udowodnił, że jest w stanie połączyć kwantonet z przeszłością, Tytani spierali się o to, co należy uczynić z pasażerami. Oliver i Nicholas...

– Nick?

– Powiedziano mi, że Tytan z dwa tysiące sto czterdziestego siódmego roku używa imienia Nicholas.

– Och.

– Oliver i Nicholas chcieli zatrzymać pasażerów tutaj. Uważali, że zabranie Nicka, Yula i mnie z naszego świata uniemożliwi Fundacji Tytani osiągnięcie zamierzonych celów, a zwłaszcza storpeduje prace nad formułą nieśmiertelności, co w przyszłości pozwoli zapobiec wybuchowi zabójczej zarazy. Druga frakcja, pod wodzą Yula i Sabriny z roku dwa tysiące sto czterdziestego siódmego, chciała ponownie uruchomić most kwantowy między naszymi wszechświatami, gdy już pasażerowie zostaną przebadani, a skuteczność szczepionki potwierdzona. Ich zdaniem Tytani nie mają prawa zabierać z innego wszechświata ponad dwustu istnień, z których połowa nie przeżyłaby działania wirusa. Yul i Sabrina z tego świata byli przeciwnikami ingerencji, Tytani uważali jednak, że ich moralnym obowiązkiem jest zapobieżenie pandemii w naszym wszechświecie. Nie chcieli zaaprobować żadnego planu, który nie uwzględniłby ocalenia naszego świata. Yul wysunął inne, jeszcze bardziej niesamowite rozwiązanie. Pierwotny plan zakładał ponowne uruchomienie mostu kwantowego i odesłanie wszystkich pasażerów lotu trzysta pięć do domu po potwierdzeniu skuteczności szczepionki. Yul i Sabrina nie zdawali sobie sprawy, że Oliver i Nicholas nie zamierzali go zrealizować, nie chcieli ponownie uruchamiać mostu kwantowego. Ich głównym celem nie było nawet sprawdzenie skuteczności szczepionki. Chcieli na zawsze zatrzymać pasażerów w tym wszechświecie.

– Dlaczego?

– Z miłości. Ponieważ na pokładzie tej maszyny znajdowało się dwoje ludzi, których bardzo kochali



w przełomowych momentach swojego życia.

– Grayson.

– Tak. Oliver miał ostatnie pragnienie: dać Graysonowi drugą szansę na życie. Lot trzysta pięć był idealny, bo odbył się w przełomowym momencie dla Graysona, tuż zanim zaczął niszczyć swoje życie.

– A w wypadku Nicholasa?

– Chodziło o miłość innego rodzaju. Ten lot był dla niego jedyną szansą ujżenia ponownie miłości swojego życia, kobiety, która zmarła wkrótce po wybuchu epidemii. Przez siedemdziesiąt sześć lat marzył i śnił o dniu, kiedy będzie mógł ją tu sprowadzić. Kobietę, z którą nie mógł być w swoich czasach, bo on był nieśmiertelnym Tytanem, a ona nie. Dla Nicholasa celem sprowadzenia tutaj samolotu byłaś ty.

## 32: Harper

Przez chwilę echo głosu Sabriny rozbrzmiewa w pustym laboratorium, jej słowa zawisają w powietrzu. Ona czeka na moją odpowiedź, a ja mam w głowie pustkę. Nie potrafię dojść z tym wszystkim do ładu. Nicholas, przyszła wersja Nicka Stone'a, którego poznałam, rozbił samolot, żeby mnie tu ściągnąć.

– Ja?

Sabrina kiwa głową.

– Przez lata po założeniu Fundacji Tytani pracowaliście razem. Staliście się bliskimi przyjaciółmi, potem połączyło was coś więcej. W dwa tysiące siedemdziesiątym pierwszym roku skradł formułę nieśmiertelności, żeby ocalić twoje życie.

Urywki z mojego dziennika... Moja zakazana miłość. To był on. Nick. Nie. Nicholas. Boże, jakie to pogmatwane. Próbuję poukładać sobie wszystko w głowie. Ukradł formułę nieśmiertelności dla mnie, dla mojego przyszłego ja, żeby uczynić mnie Tytanem i żebyśmy mogli spędzić ze sobą całą wieczność. Dziwaczne i szalone postępowanie, ale... bardzo romantyczne. Nie byłam przyzwyczajona do takich gestów.

– Plan Nicholas'a był prosty. Po podaniu formuły mieliście przejść zabieg chirurgiczny przywracający dawny wygląd, a następnie jako osadnicy udać się do kolonii orbitalnej finansowanej przez Tytanów. Mieli do was dołączyć Oliver i Grayson.

Siedzę w bezruchu, kompletnie oszołomiona i rozbita.

Nie zwracając uwagi na moją katatonię, Sabrina mówi dalej:

– Kiedy mimo wykradzenia formuły nieśmiertelności ty i Grayson umarliście, Nicholas i Oliver byli zdruzgotani. Od tamtej pory poświęcili całe swoje życie odzyskaniu was i rozpoczęciu wszystkiego od nowa. Zmanipulowali Tytanów, sterując Yulem i Sabriną tu, w przyszłości, a także nami w przeszłości. Oszukiwali i zwodzili, by sprowadzić tu ciebie i Graysona. Nicholas jest gotów zrobić wszystko, żeby być z tobą. Zabijał dla ciebie i jest gotów uczynić to ponownie.

Trudno mi sobie wyobrazić, że Nick, którego znam, odbiera komuś życie, ale przypominam sobie, że dzieli nas ponad sto trzydzieści lat i niezależnie od wyglądu on się bardzo zmienił.

Sabrina przerywa i przygląda mi się.

– Gdy nasz samolot wleciał do tego czasu, Nicholas i Oliver przypuścili atak na Heathrow. Ich pierwszym celem byli Yul i Sabrina, najważniejsze postacie w misji ponownego uruchomienia mostu kwantowego i odesłania pasażerów lotu trzysta pięć do roku dwa tysiące czternastego. Podczas walki Yul próbował zresetować most, ale mu się to nie udało, wywołał jedynie ciąg zakłóceń wzdłuż ogniwi łączących.

– I dlatego samolot się rozbił.

– Tak. Nicholas zabił Yula i Sabrinę, zanim most mógł zostać ponownie aktywowany.

– To ich ciała widziałam w laboratorium tuż obok?

– Tak. Na Heathrow zginęła mniej więcej połowa spośród wszystkich żyjących jeszcze Tytanów. Dziesięciu pozostaje wiernych Oliverowi i Nicholasowi. Tu jest dwunastu. Odkąd doszło do katastrofy, szukają jeszcze trzech.

– Dlaczego?

– Chcą, żebyśmy, ja i Yul, dokończyli pracę naszych odpowiedników, uaktywnili most i odesłali samolot z pasażerami do roku dwa tysiące czternastego.

– Czy to możliwe?

– Nie wiemy. Pracowaliśmy nad tym. I nad innym projektem, oryginalnym planem uratowania świata, z którego się wywodzimy.

Maska stoicyzmu na twarzy Sabriny zaczyna pękać. To mnie niepokoi.

– Uważamy jednak, że nie wystarczy nam czasu. Kilka godzin temu Nick, ten, którego znamy, i Grayson udali się na Heathrow. Sądzymy, że nas szukali. Nick i Grayson są teraz z Oliverem i Nicholasem, który bez wątpienia karmi ich fałszywymi informacjami, by uzyskać pomoc w przeprowadzeniu ostatecznego ataku.

Nie podoba mi się brzmienie tych słów.

– Ostatecznego ataku?

– Przybędą tutaj, do Miasta Tytanów. Ich celem, jak już wspomniałam, jest zniszczenie urzędnika kwantowego i zadbanie o to, by most nigdy nie został ponownie otwarty. Tylko jedno powstrzymuje ich przed zniszczeniem całego miasta i urzędnika kwantowego.

Unoszę brwi.

– Ty, Harper. Nicholasowi zależy tylko na tobie, nie zaryzykuje utraty ciebie. Nie zrobi niczego, co mogłoby sprawić, że zginiesz. Dopóki tutaj jesteś, Nicholas i Oliver nie ośmielą się przeprowadzić bezpośredniego ataku na miasto. Będą musieli tu przyjść, żeby cię stąd zabrać.

– A więc... jestem... przynętą?

– Monetą przetargową.

To tylko słowa, ale stawką w tej grze jest moje życie!

– Twojej obecności tutaj zawdzięczamy, że jeszcze żyjemy. Mówię ci to, bo wierzę, że możesz odmienić nasz los. Kiedy nadejdzie czas, kiedy Nicholas, Oliver, Nick, Grayson i ich Tytani zaatakują miasto, będziesz musiała podjąć decyzję.

O Boże, tylko nie to. Ukrywam twarz w dłoniach. Mam ochotę na mocnego drinka.

– Harper, czy ty mnie słuchasz?

– A mam wybór?

– Niestety nie masz. Za kilka godzin będziesz musiała zdecydować, czy pasażerowie lotu trzysta pięć wrócą do naszych czasów, czy pozostaną tutaj, w roku dwa tysiące sto czterdziestym siódmym.

No to pięknie.

### 33: Harper

Myślę, że Sabrina jest równie jak ja zmęczona tą długą rozmową. Stale wracamy do tych samych kwestii, rozważamy różne scenariusze, ale koniec końców wszystko okazuje się oczywiste.

I sprowadza się do tego: kiedy Nicholas mnie dostanie, całe to miejsce przestanie istnieć. Gra skończona. A pasażerowie lotu 305 nigdy nie wrócą do domów. Tych sto dwadzieścia jeden osób, które nie otrzymały szczepionki i zginęły w katastrofie, lub później, w wyniku choroby, już na zawsze pozostanie martwych, a reszta z nas będzie tutaj uwięziona. Będzie tak, jakby samolot zniknął nad Atlantykiem. Cały świat uzna, że się rozbiliśmy, a wszyscy pasażerowie i załoga zginęli.

Już nigdy nie zobaczymy naszych rodzin. Urządzą nam pogrzeby. Będą nas opłakiwać. I (miejmy nadzieję) nauczą się żyć dalej. Ale może także unikną pandemii, która unicestwiła cały rodzaj ludzki z wyjątkiem Tytanów, prowadzących teraz ze sobą wojnę domową o los ocalałych z lotu 305.

Albo Yulowi i Sabrinie się uda i wszyscy wrócimy na pokład samolotu, nie pamiętając nic z tego, co się wydarzyło. Nigdy nie poznam Nicka Stone'a, którego... zaczynałam poznawać (chcę użyć innego słowa, lecz tylko pogłębiłabym swoją frustrację i dylematy). Muszę panować nad emocjami. Podjąć racjonalną decyzję. Łatwo powiedzieć... Nicholas z tego świata i moje przyszłe ja, oni... No dobra, ostatni raz o tym pomyślałam.

– I jaka jest twoja decyzja, Harper? – naciska Sabrina.

Bardzo chce wiedzieć, co zrobię, gdy zjawi się Nicholas z przyjaciółmi. Zastanawiam się, czy postanowią mnie uwięzić, jeśli powiem nie to, co trzeba.

– Nie wiem.

– To nie do przyjęcia.

– Po prostu nie wiem, Sabrino, jasne? Potrzebuję... czasu. Mam dużo do przemyślenia.

– Nie mamy czasu.

Tylko na nią patrzę.

– Dobrze. Może odpoczynek ułatwi ci przemyślenia. – Podchodzi do szafki i wyjmuje dwa dobrze mi znane notesy. Rozpoznaję je w okamgnieniu. – To chyba należy do ciebie.

Mój dziennik wciąż jest przebity prawie na wylot metalowymi zadrami. Notatnik Alice Carter wygląda na nienaruszony.

– Dzięki – mamrocze pod nosem i rozglądam się po laboratorium niepewna, dokąd pójść. – Czy mogę...

– Możesz iść, dokąd chcesz, Harper. To nie jest więzienie.

Sabrina przywołuje plany Miasta Tytanów składającego się z pięciu wież, z których każda poświęcona jest innemu z Cudów Tytanów i które mają kształt ludzkich palców tworzących razem dłoń wznoszącą się nad zaporą ku niebu – ocean znajduje się z tyłu, a wewnątrz dłoni skierowane jest ku nowej krainie stworzonej przez Tytanów, jakby do niej machała. Muszę pogratulować oryginalności.

Wieża (palec?), w której się znajdujemy, mieści laboratoria i jako środkowa konstrukcja wznosi się dużo wyżej od pozostałych, co ma symbolizować kluczową rolę nauki i badań. Zwrócona w stronę Atlantyku wieża po lewej stronie to hotel, palec serdeczny symbolizuje więzi Tytanów z ludzkością i gośćmi. Niższa, węższa wieża, najbliżej wybrzeża Afryki, kryje w sobie apartamenty Tytanów. Palec wskazujący po prawej stronie wieży laboratoryjnej mieści kompleks biurowy, a kciuk skierowany ku Gibraltarowi jest przeznaczony dla personelu pomocniczego i zawiera pomieszczenia magazynowe.

Opuszczam wieżę laboratoryjną przez podwójne drzwi i chwilę idę promenadą, z której rozciąga się

widok na wodospad; znajdujemy się nieco niżej na tamie, w cieniu pięciu palców, którego wcześniej nie miałam okazji dostrzec. Stoję tam i wpatruję się we wstęgi promieni słonecznych prześlizgujące się między palcami. Stąd, patrząc w lewo, mogę aż po horyzont podziwiać Atlantycką, po prawej zaś mam głęboki, postrzępiony wąwóz sztucznie stworzonej tamy. Osmolone statki powietrzne stoją u podstawy dłoni Miasta Tytanów, czekając na ostatnią bitwę. Wiatr znów rozwiewa moje przetłuszczone włosy; pozlepiane w strąki smagają moje oczy i usta. Rozpaczliwie potrzebuję kąpieli.

Na niebie, na lewo od ostatniego palca, dostrzegam czerwoną smugę wyglądającą jak rozżarzony pogrzebacz opadający spomiędzy chmur. Wcześniej go tam nie było. Co to może być? Meteor? Kometa?

∞

Po powrocie do środka spodziewam się zastać Sabrinę w laboratorium, gdzie rozmawialiśmy, ale tam jej nie ma. Pewnie jest gdzieś indziej z Yulem.

Na pierwszym piętrze słyszę głos – Sabriny – która mówi donośnie i władczo. Nie dziwi mnie to. Podchodzę do drzwi, ale coś sprawia, że się zatrzymuję. Ten ton... jest jakiś inny. Sabrina wymawia słowa nie tak mechanicznie jak zazwyczaj.

– Dobrze, mówię ci to... na wszelki wypadek.

Sabrina milknie.

– Chcę, żebyś zapoznała się z moimi notatkami na temat terapii, ale najpierw kilka spraw natury osobistej, które mogłyby... okazać się pomocne, gdybyś zdołała wrócić z tymi wspomnieniami.

To Sabrina – Sabrina z przeszłości – rozmawia ze sobą.

– Po pierwsze musisz przestać postrzegać swoje ograniczenie społeczne jako wymówkę, by nie udzielać się publicznie. Przez większość życia postrzegałam swoją niechęć do przebywania wśród ludzi jako powód, by nie nawiązywać relacji osobistych. Czułam się niezdolna do nich i uważałam, że nie powinnam nawet próbować. Myliłam się, każdy umysł ma swoje ograniczenia. Niektórzy są słabiej uzdolnieni, jeżeli chodzi o wystawianie się, pamięć krótkotrwałą, matematykę czy organizację przestrzenną. Twój umysł ma duże ograniczenia w kwestii świadomości społecznej i stosunków międzyludzkich. Masz pewien potencjał, będzie on się jednak zmniejszał niewykorzystywany. Musisz zacząć inaczej postrzegać swój umysł. Jeżeli matematyka stanowi czyjąś słabość, to ten ktoś musi bardziej się do niej przyłożyć. Podobnie ty musisz bardziej integrować się z ludźmi, próbować nawiązywać kontakty z innymi, żeby rozwinąć w sobie te umiejętności. Uznasz to za stratę czasu, ale tak nie jest. Twoje możliwości są ograniczone, ale je masz – nie wątpię w to. Przez sto siedemdziesiąt siedem lat mogłam to udowodnić. Kiedy wrócisz, musisz naprawdę się postarać, a jeśli zawiedziesz, zadaj sobie pytanie, czego możesz się dzięki temu nauczyć. Prowadziłam dziennik i regularnie przeprowadzałam szczegółowe analizy swoich odkryć, wyciągając wnioski z tego, czego doświadczyłam. Twoje niepowodzenia na gruncie społecznym także stanowią materiał do badań – musisz ćwiczyć, abyś była w tym lepsza. Musisz próbować, przegrywać, uczyć się i próbować ponownie, żeby osiągnąć lepszy skutek.

Jeszcze jedno. Steven z twojego laboratorium bardzo się lubi, podobasz mu się, ale jest zbyt nieśmiały, by spróbować cię gdzieś zaprosić. Za trzy lata poślubi inną laborantkę. Nie będą razem szczęśliwi i po pięciu latach ona go rzuci. Już nigdy nie będzie taki jak kiedyś. Zaproś go któregoś dnia po pracy na kawę i powiedz, że obowiązuje tylko jedna zasada: nie możecie rozmawiać o pracy. Zobacz, co wam z tego wyjdzie.

A teraz, co się tyczy moich notatek. Przez lata osiągnęłam niewielkie postępy. Przełomem było odkrycie, że człowiek umiera z tymi samymi neuronami, z którymi się rodzi. Neurony nie starzeją się jak inne komórki. Nie dzielą się ani nie umierają i rzadko są zastępowane przez nowe. Rodzisz się i umierasz prawie z tymi samymi stu miliardami neuronów. W naszym życiu zmieniają się jednak elektryczne impulsy magazynowane w tych neuronach. Te zmiany elektryczne to twoje wspomnienia. Jak węzły

w kwantonceie neurony w twoim mózgu w obu światach są stworzone z tych samych cząstek. Jedyna różnica między tu i tam polega na rozmieszczeniu elektronów...

Zbliżam się do przeszklonych drzwi laboratorium, żeby móc zajrzeć do środka. Sabrina siedzi na stołku, plecami do mnie, pochylona nad stołem laboratoryjnym; jej czarne włosy nie poruszają się. Patrzy na mnie tamta druga Sabrina, jej oczy nie są tak martwe jak oczy Sabriny, którą poznałam. Wciąż mówi. To nagranie odtwarzane na wielkim ekranie na przeciwległej ścianie laboratorium. Sabrina z przyszłości sporządziła je, rejestrując swoje notatki, tak na wszelki wypadek. Ci ludzie myśleli o wszystkim. Ale co to oznacza?

Cofam się instynktownie. Pograżona w myślach, opuszczam to skrzydło. Oni pracują nad czymś innym, nad eksperymentem, o którym Sabrina mi nie powiedziała.

Następny korytarz wygląda tak jak poprzedni: przeszklone drzwi osadzone w marmurowych ścianach. W tej przepelnionej echem przestrzeni słyszę inny głos. Yula. I tym razem podchodzę do drzwi, żeby lepiej słyszeć. To również nagranie, ale mogłoby być po chińsku, bo nie rozumiem ani słowa. Same teorie matematyczne, zmienne i zagadnienia, których znaczenia nawet nie będę próbowała się domyślać.

Nagle nagranie zaczyna się od początku. Yul zapewne pracuje, przysłuchując się słowom, które rozbrzmiewają w tle.

– Okej. Sabrina chce, żebym sporządził to nagranie jako przewodnik po mojej pracy, na wszelki wypadek, gdyby... stało się najgorsze. Przyznaję, istnieje taka możliwość, choć prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek uda ci się dokończyć moją robotę, jest niewielkie...

Słysząc wołanie gdzieś w tle – to chyba Sabrina – i nagranie zostaje przerwane. Wznawia się sekundę później.

– To drugie podejście. Chyba powinienem przekazać ci garść osobistych refleksji i wskazówek, które mogłyby zapewnić ci lepsze życie, zakładając, że zdołasz wrócić do dwa tysiące czternastego roku z pakietem wspomnień, co, jak już mówiłem, jest wątpliwe...

Znowu wołanie i nagranie raz jeszcze zostaje przerwane. Głos odzywa się ponownie po kilku sekundach.

– No dobrze, do rzeczy. Po pierwsze powinieneś wiedzieć, że twoje rozumienie fizyki kwantowej jest niepełne. Żałośnie. Za kilka lat eksperyment w CERN odmieni twój sposób postrzegania świata kwantowego. Czasoprzestrzeń nie jest taka, jak ci się wydaje. Jest znacznie dziwniejsza. Twoje obecne pojmowanie jej jest uproszczone i ogranicza twoje rozumowanie. Odkrycie w CERN okaże się przełomem, który sprawi, że w najbliższych stu trzydziestu latach wszystko stanie się możliwe. A tymczasem stoję przed niemożliwym zadaniem zawarcia ponad stu lat przełomów naukowych z dziedziny fizyki cząstek w dwugodzinnym wykładzie wideo. Chociaż przygotowuję ten wykład dla młodszej wersji siebie, nadal uważam to zadanie za niemożliwe. Całe lata zajmie ci przyswojenie podstawowych koncepcji, na których opiera się moja praca, a co dopiero mówić o osiągnięciu poziomu zrozumienia koniecznego do tego, by je ukończyć w ciągu kilku dni lub tygodni. Tak czy owak, zaczynamy. Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

A, zanim zaczniesz mieć jakieś szalone teorie, pozwól, że cię powstrzymam: podróż w czasie, w przeszłość jest niemożliwa. Nawet pod nowym paradygmatem materia może podróżować jedynie w przyszłość, tak jak to się stało z twoim samolotem. Możemy jednak zmienić stan połączonych cząstek, które istnieją w obu czasach. Problemem jest moc. Im potężniejsza cząsteczką, tym większej potrzebuje mocy. Tama generuje jej tylko tyle, żeby zmienić stan bardzo małych cząstek, o minimalnej ilości masy. Do naszych celów najbardziej użyteczne są elektrony. Tak właśnie przysyłałem wiadomości za pośrednictwem kwantonetu. A teraz przygotuj się na trudniejsze zagadnienia...

Dalsze słowa wykładu są dla mnie kompletnie niezrozumiałe, pełne matematycznych i fizycznych teorii. Po kilku minutach słuchania dochodzę do wniosku: mamy przerwane. No bo dlaczego Yul z przyszłości nie zaprogramował w tym swoim ustroju wyłącznika? Zapewne aby zapewnić sobie

bezpieczeństwo. A może to wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane. Z tego co słyszę, tak właśnie jest. Albo ta sprawa nie jest w żaden sposób związana z mostem kwantowym. Może to zupełnie inny eksperyment, związany, dajmy na to, z pracą Sabriny. Odnoszę wrażenie, że rozwiązanie tej zagadki jest na wyciągnięcie ręki, ale nie jestem w stanie odnaleźć brakującego elementu łamigłówki. Znowu mam przecucie, że tych dwoje próbuje coś przede mną zataić.

Wyglądam zza framugi drzwi. W laboratorium Yul opiera głowę na skrzyżowanych ramionach złożonych na brzegu stołu. Nie pracuje. A może...

Otwieram drzwi, a on spogląda na mnie przekrwionymi, wilgotnymi oczami.

– Co się dzieje? – pytam półgłosem.

– Nie mogę tego rozgryźć. On ma rację. – Kręci głową. – Mam migrenę. Ból rozsada mi czaszkę.

– Sabrina nie może ci pomóc?

– My... już ze sobą nie rozmawiamy.

– Musisz, Yul.

Znowu opiera głowę na przedramionach.

– Prędzej umrę. Zresztą pewnie i tak wszyscy umrzemy.

Wychodzę z laboratorium Yula i wracam do Sabriny. Zatrzymuję się i czekam, aż skończy się osobisty fragment nagrania o laborancie z jej ekipy, i dopiero wtedy wchodzę do środka.

Sabrina odwraca się, jest wyraźnie zdziwiona, że mnie widzi. Błyskawicznie opuszcza rękę, dotyka blatu stołu i ekran momentalnie znika.

– Harper...

– Yul cię potrzebuje.

## 34: Harper

Po interwencji u Sabriny w sprawie Yula krążę jeszcze w wieży laboratoryjnej, po czym odwiedzam apartamenty Tytanów, które są niewiarygodnie wystawne. Strażnicy ludzkości nie stronili od przepychu. Następnie wracam do wieży hotelowej i pokoju, w którym się obudziłam. Podejrzewam, że odtąd to mój dom. Być może na zawsze.

Rozważałam w myślach decyzję, aż chciało mi się krzyczeć. Zostać tutaj, skazać na zagładę innych pasażerów i być może ocalić nasz świat. Wrócić, a wszyscy pasażerowie przeżyją. Opuścimy pokład samolotu. Może Nick i ja miniemy się jak nieznajomi. Może on pomoże mi wyjąć torbę ze schowka, ot jeszcze jedna anonimowa postać, z którą dzieliłam lot z JFK na Heathrow. A potem... historia się powtórzy. Być może. A może nie. Czy przyszłość jest już zapisana? Chyba wszystko sprowadza się do tego właśnie pytania.

Uświadamiam sobie, dlaczego z łatwością podjęłam decyzję dotyczącą antybiotyku – musiałam zadecydować o swoim życiu. Byłam gotowa się poświęcić, żeby ocalić innych; wciąż jestem gotowa. Podjęcie decyzji nad jeziorem również przyszło mi bez trudu, nie wahałam się ani sekundy. *Ja też nieźle pływam.* I tak przez całe moje życie – gdy w grę wchodzi inni, gdy moje działania pomagają komuś innemu, idzie mi bardzo łatwo. Ale gdy chodzi tylko o mnie, o moją karierę czy życie uczuciowe, kompletnie się rozsypanie. Wiem, czego chcę: zostać w tym zniszczonym świecie, z moimi wspomnieniami i wszystkim, czego dowiedziałam się o sobie, pozostać tu z Nickiem. Ale jeśli to zrobię, poświęcę tych sto dwadzieścia jeden istnień ludzkich. Oni pozostaną martwi. Może w tym wszystkim tylko to jest pewne.

Czuję się uwięziona w mentalnej pętli. Muszę choć na chwilę się od niej uwolnić.

Siadam przy drewnianym stole pod panoramicznym oknem, skąd rozciąga się widok na bezkresny Atlantyk. Płonąca smuga znika, zostaje po niej tylko wstęga białego dymu. Obok niej tworzy się nowa cienka czerwona nitka. Co to może być? Tak bardzo mnie pochłonęły nagrania w laboratoriach, że zapomniałam zapytać o to Sabrinę. Rozważam powrót, ale coś jeszcze przyciąga mnie z o wiele większą, nieodpartą siłą: notatnik Alice Carter.

Otwieram go i wypada pojedyncza kartka papieru. To mój charakter pisma.

*Nigdy nie jest za późno, by zacząć, nigdy nie jest za późno, by skończyć. Zacznę i skończę. Zbyt długo zajmowałam się marzeniami innych, odsuwając na dalszy plan swoją miłość, tę tutaj i tę, o której nie mogę mówić. Uświadamiam sobie wreszcie, że jest tak, jak powiedział kiedyś Tennyson – lepiej jest kochać i utracić, niż nigdy nie zaznać miłości. Teraz już to wiem. I wiem, że wolałabym spróbować i ponieść porażkę, niż nie podjąć nawet próby.*

Delikatnie kładę notes na stoliku i zaczynam go wertować, czytając moje stare zapiski do opowieści o dziewczynie, która w osiemnaste urodziny otrzymuje list... od swojego przyszłego ja. Alice wyjawia w nim swojej młodszej wersji, że ma klucz do tajemnic wieczności, trzech starożytnych artefaktów, które pozwalają ich właścicielowi kontrolować czas. Ścigana przez tajemne bractwo posługujące się technologią prawie nieróżniącą się od magii, Alice wnika do dziwnego świata, w którym jej decyzja przesądza o biegu historii i losie wszystkich kochanych przez nią ludzi.

Ha!

Na studiach wyobrażałam sobie powieści o Alice Carter jako serię książek fantastyczno-przygodowych o podróżach w czasie, mieszanek *Harry'ego Pottera* i *Powrotu do przyszłości*. Ale teraz wszystko nabiera całkiem nowego wymiaru.



Odwracam stronę i wyblakłe atramentowe wpisy się kończą. Nowe są ciemniejsze, zdecydowane, nanesione innym długopisem. Waham się przed ich odczytaniem. To trochę jakbym oszukiwała, podejrziała odpowiedzi.

Szybko przerzucam strony, prawie nie czując przypominających pismo brajla wypukłości na odwrocie, śladów po długopisie. Na kolejnej kartce powtarzam myślowy rytuał, który opracowałam w college'u: piszę pierwsze zdanie, jakie przychodzi mi do głowy, a potem następne, aż zapełnię co najmniej połowę strony. To mentalne pajacyki, rozgrzewka mająca ułatwić mi napływ słów. Chodzi nie o jakość, ale o to, żeby zacząć, co zwykle jest najtrudniejsze. Przeważnie wykreślam cały początek, ale od czasu do czasu trafiają się samorodki w rodzaju tych, które pojawiają się tylko wtedy, gdy pracuję z najgłębszym oddaniem, gdy piszę, nie zawracając sobie głowy redakcją, ani nie osądzam tego, co przelewam na papier. Ku mojemu zdziwieniu osiągam niespotykany sukces. To prawdziwa żyła złota. Pomysły wprost się ze mnie wylewają. Błyskawicznie mam zarys pierwszej powieści, a potem kolejnej – *Alice Carter i smoki jutra*. Pomysł na książkę numer trzy pojawia się spontanicznie – *Alice Carter i flota przeznaczenia*. *Alice Carter i bezkresna zima*. *Alice Carter i ruiny przeszłości*. *Alice Carter i grobowce wieczności*. *Alice Carter i rzeka czasu*. Fabuły siedmiu książek składających się na całą serię. Aż mnie boli ręka.

Zupełnie jakby pomysły zawsze tam były, ukryte tuż pod powierzchnią, i czekały, aż je odsłonię.

A z fabuł, pomysłów, scen, których napisania nie mogę się już doczekać, wyłania się temat przewodni: decyzje i czas. Czas, nasze losy, nasza przyszłość – to nie jest zapisane. To można zmienić. Raz po raz Alice wybiera nową przyszłość, podejmując kolejne decyzje. Postanawia pokonać przyszłość, postawić na ludzkość, pokłada wiarę w naszą umiejętność uczenia się na błędach i podejmowania lepszej decyzji. Dzisiejsza decyzja to jutrzejsza rzeczywistość. To mi się podoba.

Moim zdaniem wszystkie wielkie książki ukazują nasze życie tak, że postrzegamy w nich samych siebie jako bohaterów, oglądamy własny trud, boje toczony na co dzień i obserwujemy to na chłodno, bez osądzania czy jakichkolwiek uprzedzeń. Dzięki tym postaciom uczymy się, stają się one dla nas inspiracją do działania w realnym świecie. Wierzę, że dobra powieść pozostawia czytelnika lepszym, niż był przed rozpoczęciem lektury. I uważam, że tak samo będzie z tymi historiami. Dlatego są takie ważne.

Uświadamiam sobie także, co chcę zrobić – zostać tutaj, pamiętać, ułożyć sobie życie z Nickiem, jeżeli to w ogóle możliwe. Myślę jednak, że pasażerowie lotu 305 zasługują na szansę w ich własnej przyszłości. Jak Alice Carter odrzucam ideę, że przyszłość jest zapisana, że nasz świat jest skazany na powtarzanie błędów.

Pozwolę Sabine, Yulowi i Tytanom, żeby wykorzystali mnie jak kawałek sera w pułapce na myszy, aby złapać Nicholasa, zyskać na czasie. Niech zrobią, co tylko będzie konieczne, by można było odesłać wszystkich do domu.

Znów wyglądam przez okno na morze. Dostrzegam teraz trzy smugi białego dymu, trzeci żarzący się punkcik niedawno musiał zgasnąć. Za kilka godzin zajdzie słońce.

Delikatnie zamykam notes i odkładam na bok. Nigdy go już nie zobaczę, nie będę też pamiętać tego, co właśnie robiłam. Moje kroki rozbrzmiewają głośnym echem niosącym się po marmurowych posadzkach wieży laboratoryjnej.

W korytarzu, gdzie mieści się laboratorium Sabriny, rozlega się sygnał alarmowy, przeraźliwy pulsujący dźwięk zsynchronizowany z czerwonymi migocącymi światłami. Nie ma żadnych komunikatów, co się dzieje. Zupełnie jakby całe to miejsce zmieniło się w ogromną dyskotekę, ale didżej gdzieś przepadł i pozostawił zapętloną muzykę.

Podbiegam do przeszklonych drzwi laboratorium. Pusto.

Odwracam się, pędzę do laboratorium Yula. Pusto.

Gnam po schodach na wyższy poziom laboratoriów. Wszędzie pusto.

Świdrujący dźwięk alarmu wwierca się w moją czaszkę. Skup się.

Z powrotem pędzę na schody i przez sięgające od podłogi po sufit okna, skąd rozciąga się widok na morze, dostrzegam dwa statki powietrzne wzbijające się w górę z lądowiska u podnóża wież. Czyżby ruszały do walki?

Na następnym poziomie przez czwarte przeszklone drzwi dostrzegam stojącą tyłem do mnie Sabrinę. Ogromna maszyna wypełnia całe pomieszczenie. Jest tu tylko jeden otwór, okrągły, wielkości takiej, by zmieścił się w nim człowiek. Wysuwa się z niego metalowa platforma, na niej leży ciało.

Gwałtownie otwieram drzwi. Na ekranie po lewej stronie widać obraz dwóch półkul mózgowych w całej paletce barw. Skan mózgu.

– Harper – mówi Sabrina, odwracając się.

– Co to ma być?

– Dodatkowe zabezpieczenie.

– Na wypadek czego?

– Na wypadek, gdyby nam się udało.

Sabrina nigdy nie przegapi okazji udzielenia niejasnej, zagadkowej odpowiedzi. Próbuję poskładać to wszystko w całość: jej przyszłe ja zarządzające jej wykład na temat neuronów, tego, że nie zmieniają się one mimo upływu czasu, i że wspomnienia to nic innego jak zmagazynowane proste ładunki elektryczne. Nagranie Yula, że cała moc z tamy może wystarczyć do zmiany stanu połączonych ogniw elektronów w przeszłości.

Jeszcze jedno objawienie. Powinno samo się nasunąć: po co tej frakcji Sabrina? Skoro to Yul stanowi klucz do ponownego uruchomienia mostu kwantowego i odesłania naszego samolotu z powrotem. Jaką rolę odgrywa Sabrina?

Sprawa jest oczywista. Ten eksperyment, który przede mną zatajają.

– Próbujecie przesłać w przeszłość wasze wspomnienia, zgadza się?

Sabrina unosi brwi. Zaimponowałam jej?

– Tak.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– Dla twojego dobra – odpowiada krótko.

Platforma wysuwa się z urządzenia, a Yul siada, kręcąc głową.

– Dla mojego dobra? – Rozglądam się wokoło. – Od początku to planowaliście, prawda? Odesłać lot trzysta pięć do naszych czasów, ale wy dwoje zachowacie swoje wspomnienia, żebyście pamiętali wszystko, co się tu stało, i mogli zapobiec tragedii Tytanów.

– Tak.

Niewiarygodne.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– To zbyt niebezpieczne, Harper. – Sabrina spogląda na Yula, który ma nietęgą minę, sprawia wrażenie, jakby był na kacu. – Nie mamy pewności, czy to się uda. Możemy obudzić się w dwa tysiące czternastym roku z urazem mózgu lub w ogóle się nie obudzić. Gdybym ci o tym powiedziała, wiem, jaką podjęłabyś decyzję. To mógłby być wyrok śmierci.

No i teraz mam już pełen obraz. Albo Sabrina i Yul obudzą się w dwa tysiące czternastym roku ze swoimi wspomnieniami, albo zmienią się w warzywa. Tak czy owak, terapia nieśmiertelności nigdy nie zostanie ukończona. Nasz świat ocaleje. Jest coś dziwnie heroicznego w tym, że Sabrina zataiła to przede mną. Chciała ocalić życie ludzi pozostałych w dwa tysiące czternastym roku, w tym moje, i zarówno ona, jak i Yul są gotowi zaryzykować własne, aby dopiąć swego. To mi się podoba.

Mam przed sobą ogromną maszynę: sposób na zapamiętanie wszystkiego, co się tu wydarzyło, tego, czym się stałam, czego dowiedziałam się o sobie... i kogo poznałam. Nie narażałabym życia innych... jedynie własne. To mój słaby punkt. Nie potrafię podejmować decyzji, gdy stawką jest wyłącznie mój los. Kiedy chodzi o życie innych, jestem gotowa zaryzykować wszystko. Ale gdy mam podjąć decyzję

dotyczącą mnie samej, kompletnie się blokuję. Jednak tu i teraz mam jasny umysł. I wszystko jest dla mnie oczywiste. Widziałam, co stało się z moim życiem wskutek decyzji, jakie podjęłam na drodze, którą być może znowu podążę. Chcę odmienić moje życie, dokonać innego wyboru, podjąć ryzyko. Pragnę podążać za swoimi marzeniami. Ta ścieżka jest niepewna, ale co tam, pewność jest przereklamowana. Wierzę, że lepiej podjąć próbę i zawieść, niż w ogóle nie spróbować.

– Pozwól mi skorzystać z tego urzędnika.

– Nie, Harper. To zbyt niebezpieczne.

– Podejmę to ryzyko. Chcę pamiętać.

– To nie jest tego warte.

– Dla mnie jest. Układ jest prosty, Sabrino. Ty i Yul utrzymywaliście mnie i Nicka w niewiedzy, odkąd samolot się rozbił. Wszyscy jesteśmy dorośli, możemy sami podejmować dojrzałe decyzje. Musicie zacząć nam ufać, jeżeli chcecie, byśmy wam pomogli. Chcecie, żebym pomogła wam powstrzymać i pojmać Nicholasa? Włączcie mnie do swojego planu. Jeżeli nie obudzę się w dwa tysiące czternastym roku, to trudno. Dacie też Nicholasowi – gdy tu dotrze – taki sam wybór, taką samą szansę.

Sabrina kręci głową.

– Nie będziemy mieć pewności, czy to właściwy Nick.

– Ja go rozpoznam. Co oznacza ten jazgoczący alarm?

– Oni już tu są.

## 35: Nick

Och, wiecie, to takie typowe popołudnie 2147 roku, kiedy czekam, aż mój kumpel Mike się obudzi. Potrzeba kilku godzin, żeby ciała odtajały.

Odwala mi. Naprawdę się załamuję. Ciężar tego, co zrobiłem i co jeszcze zamierzam uczynić, powala mnie jak cios niewidzialnej pięści. To wszystko zakrawa na szaleństwo.

Siedząc w niewielkiej salce konferencyjnej statku powietrznego, gdzie moje ja z przyszłości kilka godzin temu urządziło mi odprawę, rozcieram skronie i usiłuję się skupić. Jestem ogolony, wykąpany i wreszcie po raz pierwszy od katastrofy mogę chwilę побыć sam. Mimowolnie w umyśle przesuwiają mi się wydarzenia ostatniego tygodnia. Przede wszystkim jednak rozmyślam o swoich decyzjach i powinnościach, które zaważą albo o życiu, albo o śmierci moich współpasażerów. Ciała w wielkim namiocie przed statkiem, leżące na metalowych wózkach, dzięki mnie żyją lub z mojego powodu są martwe. Mogłem się bardziej skupić na miejscu katastrofy, nad jeziorem. Mogłem opracować lepszy plan. Gdybyśmy najpierw wyrzucili bagaże ze schowków nad fotelami? Czy samolot zatonąłby wolniej? Zapewne tak. Te cenne sekundy albo nawet minuty pozwoliłyby na ocalenie kilku kolejnych osób. Ilu? Dwóch, trzech, sześciu? Może trzeba było zabarykadować dolną część samolotu, żeby nie wdarła się tam woda. Zyskalibyśmy kolejne minuty. Wrak szybko poszedł na dno, gdy ładownia została zalana. Powinienem być to przewidzieć...

Drzwi otwierają się z szelestem i do środka wielkimi krokami wchodzi Nicholas. Ponieważ moje rany zostały oczyszczone i pozbyłem się sześciodniowego zarostu, wyglądamy teraz jak lustrzane odbicia, lecz jego pogodna mina stanowi uderzający kontrast dla zboląłego grymasu wykrzywającego moją twarz.

Nicholas kładzie na drewnianym stoliku białą tabletkę i podaje mi butelkę wody. Przenoszę wzrok z pigułki na niego, nie umiając ukryć wahania. Jest mną, to pewne, ale znam go zaledwie od kilku godzin i mam za sobą dziwny, bardzo dziwny tydzień.

– Stymulanty – mówi. – Pozwolą ci rozjaśnić umysł. Obecnie odtwarzasz w głowie każdą chwilę od momentu wypadku, każdą swoją decyzję. Zastanawiasz się, czy gdybyś zrobił coś inaczej, na tych stołach mogłyby leżeć żywe ciała, a nie zwłoki.

Biorę tabletkę do ręki, raz jeszcze przyglądam się jej, a potem ją połykam. Znosi się na sesję terapeutyczną, a ja nie jestem na to gotowy. Próbuje zmienić temat.

– Zakładam, że kawa wyszła z mody.

– Nie, bardzo lubimy kawę, ale nie stać nas na ziarna.

To głupi żart, lecz i tak się śmieję.

– Nie martw się – mówi Nicholas. – Prowadzę szczegółowy zapis powtórek mentalnych i syndromu co by było, gdyby. Przesiedziałem w pomieszczeniu nieco większym niż to, całymi dniami wpatrując się w Atlantycką, od rana do wieczora, ponad sześćdziesiąt lat, pławiąc się w żalu, snując plany, aby wszystko naprawić, i widząc w myślach twarze ludzi, którzy zginęli wskutek moich działań – a zwłaszcza twarz jednej osoby. Nie mamy czasu na wyrzuty sumienia ocalałego, Nick. Zrobiłeś, co mogłeś. Staraleś się. Dałeś z siebie wszystko. Nie masz sobie nic do zarzucenia. Jesteś niewinny. Ty przynajmniej możesz to o sobie powiedzieć. Ja nie. Bo wspólnie z Oliverem podjąłem działania, które doprowadziły do tego, że zabiliśmy wszystkich naszych ukochanych ludzi. I wszystkich innych, jeżeli chodzi o ścisłość.

Czeka na moją reakcję, ale upijam tylko łyk wody. Co mam powiedzieć? Co wyrzuty sumienia mogą uczynić z ludzkim umysłem? Jak zmieniają człowieka? Być może nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Mamy to po ojcu. No wiesz, tę obsesję powtarzania. Kiedy prowadził negocjacje w sprawie jakiejś umowy czy załagodzenia kryzysu dyplomatycznego, był absolutnie skupiony. Zero rozproszenia. A potem chodził tam i z powrotem po gabinecie, rozmawiając przez telefon ze wszystkimi osobami zaangażowanymi w daną sprawę, odtwarzając każdą sekundę tego, co się stało.

Ma rację. Nigdy o tym nie myślałem.

– Jak sobie z tym poradziłeś?

– Nie poradziłem sobie. Nauczyłem się z tym żyć. Zawarłem sam ze sobą umowę, że będę się skupiał jedynie na pomyślnym doprowadzeniu tej czy innej sprawy do końca, a w zamian pozwolę sobie tylko na jedną nagrodę na resztę życia. Przestałem szczegółowo rozważać wszystko, co się wydarzyło. Powtarzałem sobie, że każda chwila pogrążania się w poczuciu winy jest stratą czasu, bo mogłem ją wykorzystać na naprawienie swoich błędów. Odkąd podjąłem tę decyzję, skupiłem się wyłącznie na następnym kroku, którym miało być sprowadzenie ludzkości z powrotem na Ziemię i rozpoczęcie wszystkiego od początku. Przetrwałem dzięki temu, że wytyczyłem sobie cel. Jesteśmy bliscy osiągnięcia go, Nick. Kiedy za kilka godzin zniszczymy urządzenie kwantowe, będziemy wolni.

Podchodzi do drzwi.

– Gotowy? Mike i reszta prawie się obudzili.

∞

Zgodziliśmy się, że powinienem być tam, kiedy pasażerowie się obudzą. Zostali przejęci, gdy Nicholas i Oliver wyparli drugą frakcję z miejsca katastrofy, więc może to być dla nich dość traumatyczne przeżycie. Nicholas uważa, że zważywszy na rolę, jaką odegrałem w obozie, mój widok powinien ich uspokoić.

Po naszej pierwszej rozmowie przeszliśmy przez kompleks trzech namiotów; pochylaliśmy się nad stołami, przyglądając się twarzom nieco przesłoniętym plastikową folią, wybierając pasażerów, którzy dołączą do nas podczas ataku na Miasto Tytanów. Wybieraliśmy ich jak mięso, z którego mam przyrządzić steki podczas wieczornego grilla. *A on, Nick? Jasne, dopisz go do listy. Wygląda na silnego, co o nim sądzisz?* To upiorne.

Wytypowaliśmy ośmiu mężczyzn – pasażerów, którzy otrzymali szczepionkę i których widziałem, jak działali w dużym napięciu na miejscu katastrofy. Nicholas naciskał, że potrzebujemy więcej ludzi. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na jedenastu. Jest wśród nich Mike, jak również jeden z pływaków, którzy pomagali nam we wraku, i kilka osób, które tworzyły żywy łańcuch ratunkowy do przekazywania ocalałych z samolotu na brzeg, a także trzech facetów, których wysłałem na misję zwiadowczą, zanim obóz został zaatakowany. Nie mogłem się zmusić, żeby włączyć do grupy Jillian, i tak wiele przeszła, a to nie będzie łatwa misja. Teraz w planach mamy szkolenie z posługiwania się bronią.

Kiedy spytałem Nicholasa, czy w namiotach powinienem nosić kombinezon, odparł, że procedury ochronne miały zapobiec kolejnej mutacji, chociaż jego zdaniem ryzyko jej wystąpienia jest niewielkie. Odnoszę wrażenie, że poczucie winy po wcześniejszej mutacji, a w rezultacie po globalnej pandemii, wywołało u nich powszechną paranoję, ale wcale się temu nie dziwię.

Pierwsze osoby zaczynają się budzić, a my stoimy w jednym z dwudziestu laboratoriów, które widziałem wcześniej z Graysonem, i czekamy. Mike siada na metalowym stole, przeciera zaspane oczy i kręci głową. Wciąż ma na sobie zieloną koszulkę drużyny Celtics.

– Nick... – Jego głos brzmi ochryple, jakby mówienie sprawiało mu ból.

– Spokojnie, Mike. Musimy obgadać to i owo, ale wkrótce wszystkiego się dowiesz.

∞

To jest jak letni obóz science fiction. Grupa jedenastu pasażerów i ja siedzimy w prowizorycznej sali treningowej w trzecim namiocie wraz z dwunastoma Tytanami i Nicholasem, którzy uczą nas posługiwać

się kombinezonami i ich wynalazkami.

Kombinezony pokryte wyglądającymi jak szkieleka specjalnymi płytkami czynią noszące je osoby niewidocznymi, a od środka są jeszcze dziwniejsze. Ciągi holograficznych obrazów wewnątrz hełmu pokazują wszystko, dane biometryczne, skany w podczerwieni i obrazy wideo od innych członków zespołu. Wszystko kontrolują panele na przedramionach. Tytani mogą posługiwać się swoimi oczami, ale ich zdaniem potrzeba więcej czasu, niż mamy, aby opanować tę umiejętność do perfekcji.

Po zapoznaniu się z kombinezonami przechodzimy do planów ataku.

Nicholas staje przed nami, a na dużym ekranie za nim pojawiają się obrazy i schematy opatrzone przypisami. Zastanawiam się, czy kontroluje ekran dzięki łączom neuronowym, czy może urządzenie jest obsługiwane przez innego Tytana. Jeszcze jedna zagadka.

Plan jest dość prosty, ale proste plany niekoniecznie łatwo zrealizować.

Przeberzemy się w kombinezony i zostaniemy zrzućeni do Atlantyku, kilkanaście kilometrów od tamy. Kombinezony są tak szczelne, że gwarantują uniknięcie stania się ofiarą kolejnej mutacji, gdyby Tytani wypuścili coś przeciwko nam ze swojej twierdzy w Gibraltarze. Powietrza wystarczy nam na dłużej, niż możemy go potrzebować.

Aby dotrzeć do tamy, użyjemy plecaków nurkowych z napędem i dostaniemy się do Miasta Tytanów przez ogromne wpusty, przez które do elektrowni wpływa woda. Od tej pory zacznie się robić niebezpiecznie, ale jeżeli przeżyjemy, rozdzielimy się, wejdziemy na zaporę, a stamtąd udamy się do wież w kształcie palców w poszukiwaniu urządzenia kwantowego.

Nicholas jest prawie pewien, że powinno się ono znajdować w środkowej, najwyższej wieży, tam gdzie mieszczą się laboratoria.

Na ekranie pojawiają się zdjęcia Sabriny i Yula.

– Większość z was widziała te dwie osoby, Sabrinę Schroeder i Yula Tana. Zostali oszukani przez członków zbuntowanej frakcji Tytanów i działają przeciwko nam. Na pewno będą się znajdowali w pobliżu urządzenia i mogą je szybko uruchomić. Nie możemy do tego dopuścić. Jeżeli napotkacie Schroeder albo Tana, strzelajcie bez ostrzeżenia. Kiedy zneutralizujemy urządzenie, naszym celem będzie ocalenie jak największej liczby istnień ludzkich.

Słowa Nicholasa przez chwilę zawisają w powietrzu, gdy na ekranie wciąż widnieją powiększone fotografie Sabriny i Yula. Grayson siedzący na drugim końcu sali odnajduje moje spojrzenie; na jego twarzy maluje się zatroskanie i współczucie. Podzielam jego emocje. Yul i Sabrina okłamali nas, zataili przed nami prawdę, ale mam nadzieję, że nie zginą. Grayson też tego chce. Jego ojciec, mentor wprowadzający do społeczności Tytanów, siedzi obok niego. Po raz pierwszy widziałem Graysona szczęśliwego, w towarzystwie ojca, podczas nauki korzystania z kombinezonu, bo przez całe sześć dni zwykle był pijany, wyklócał się ze wszystkimi albo patrzył na ludzi spode łba. Może to naprawdę szansa dla nas wszystkich.

Nicholas kończy odprawę, podając szczegóły planu awaryjnego, który jest znacznie prostszy – polega na podłożeniu w elektrowni ładunków wybuchowych. Jeżeli uznamy, że druga frakcja jest bliska ponownego uruchomienia mostu kwantowego, Nicholas zdetonuje ładunki, niszcząc tamę, Miasto Tytanów i urządzenie – najlepiej, gdyby stało się to, gdy już wszyscy bezpiecznie ewakuujemy się stamtąd.

Pyta, czy są jeszcze jakieś wątpliwości, uwagi lub pytania, więc wstaję, patrząc na ponad dwadzieścia osób tworzących oddział uderzeniowy, w połowie złożony z pasażerów lotu 305, w połowie z Tytanów.

– Jest jeszcze jedna osoba, której musimy poszukać: Harper Lane. Wielu z was ją zna. To pasażerka naszego samolotu. Po dwudziestce, może pod trzydziestkę. Szczupła. Angielka. Jasne włosy. Została zabrana wraz z Yulem i Sabriną sprzed Dworu Tytanów i podejrzewamy, że obecnie znajduje się z nimi w Mieście Tytanów. To niewinna dziewczyna, zakładniczka i musimy uczynić, co w naszej mocy, by ją

uratować. Może również dysponować informacjami, które pomogą nam odnaleźć, a nawet unieszkodliwić urządzenie. Jeżeli ktoś ją zauważy, niech powiadomi zarówno Nicka, jak i mnie.

Grupa rozdziela się, jedenastu pasażerów i Grayson powraca, by wraz z mentorami kontynuować szkolenie z korzystania z kombinezonów. Mamy jeszcze półtorej godziny do zmierzchu; wtedy wyruszymy.

Na miejscu katastrofy wszystko działo się tak szybko, że nawet nie zdążyłem się zdenerwować. Teraz jest inaczej. Gdy kończy się odprawa, żałuję, że od razu nie ruszamy do akcji.

Podchodzi do mnie Nicholas.

– Kombinezon w porządku?

– Tak, chyba tak.

– Ta kobieta...

– Harper.

– No tak, Harper. Wygląda na to, że bardzo ci zależy na jej odzyskaniu.

– Była ze mną od początku. Pomagała nad jeziorem. Jest bardzo dzielna. Zrobiła, co mogła, by pomóc pasażerom.

Uśmiecha się.

– A więc chodzi o jej altruizm.

Wzruszam ramionami.

– Pamiętaj, z kim rozmawiasz.

– No dobra, tu mnie masz – mamrocę pod nosem.

– Mamy jeszcze trochę czasu do startu. Chcę, żebyś opowiedział mi o niej wszystko, dosłownie wszystko, co się wydarzyło od chwili katastrofy. Musisz oczyścić umysł, zanim ruszymy do akcji.

∞

Zdumiewające, jak rozmowa z Nicholasem pomogła mi uporządkować myśli i... odczucia związane z katastrofą. Przez ostatnią godzinę siedzieliśmy w małej salce konferencyjnej, analizując wydarzenia. On jest lustrzaną, mądrzejszą wersją mnie, ma inne zdanie na wiele spraw i w tym krótkim czasie, jaki spędzamy razem, swoimi uwagami zupełnie zmienia mój punkt widzenia na niektóre kwestie. Zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie w 2147 roku, gdyby on mną pokierował. Jest człowiekiem, jakiego nigdy dotąd nie było w moim życiu: kimś, komu zależy, kto może mnie wtajemniczyć w różne aspekty życia i wskazać czyhające w nim zagrożenia. To ekscytujące.

Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale nie jest mi to dane. Z wysoko umieszczonych głośników wydobywa się nagle przeciągły jęk i ekran na ścianie ożywa: w pomarańczoworóżowych promieniach zachodzącego słońca widać migoczące wieże Miasta Tytanów. Dwa statki powietrzne podnoszą się z lądowiska i odlatują. Kąt ustawienia kamery zmienia się, podążając za nimi w stronę morza.

– Wypuściliśmy drony, żeby mieć ich na oku – mówi Nicholas, koncentrując się na ekranie.

Pierwszy statek przelatuje, następuje błysk i obraz znika. Zestrzelili drona.

Czarny ekran znów się wypełnia. Obraz jest teraz przekazany z o wiele większej odległości.

Statki lecą w linii prostej i w pewnym momencie zawisają nad wodą. Zbliżenie. Łodzie na falach. Są okrągłe, nigdy takich nie widziałem.

– Koloniści – wyjaśnia Nicholas. – Ewakuują pierścień orbitalny.

– Zaszczepili już całą populację?

– Zrobili to wiele dni temu. Od lat mieli przygotowane zapasy szczepionki, ale czekali na potwierdzenie jej skuteczności. Druga frakcja potwierdziła ją na miejscu katastrofy, zanim zmusiliśmy ich do odwrotu.

– Czego chcą?

– Pokoju. – Nicholas kręci głową. – Nie chcą patrzeć, jak ich rodzice walczą ze sobą. Chyba zamierzają zamieszkać w Mieście Tytanów, pełniąc funkcję żywych tarcz w nadziei, że to nas

powstrzyma.

Cóż za nagły zwrot akcji. Teraz zniszczenie całego miasta raczej nie wchodzi w rachubę. Bo ludzkość w tych czasach zostałaby unicestwiona.

– Co teraz? – pytam.

– Ruszamy. Musimy dotrzeć do miasta przed nimi. – Wskazuje na statki powietrzne. – Dla nas to spora szansa. Jeżeli zdołamy przechwycić i zniszczyć te statki poza obszarem Miasta Tytanów, stanie ono przed nami otworem.



## 36: Nick

W przedziale transportowym statku powietrznego Tytanów Nicholas i ja stoimy obok Graysona i Olivera, za nami dwa rzędy ludzi – Tytani i ocaleni z lotu 305. Wszyscy mamy na sobie kombinezony, głowy jeszcze odkryte, bo hełmy trzymamy pod pachą.

Na szerokim ekranie wznosi się Miasto Tytanów błyszczące w blasku księżyca. Po jednej stronie faluje spokojny Atlantyck, a po drugiej ziele ciemna postrzępiona kotlina stanowiąca alegorię przepaści, nad którą wszyscy się obecnie znajdujemy. Albo raczej lecimy.

Mkniemy w stronę tamy, sekundy dzielące nas od dotarcia na miejsce są odliczane na ekranie.

U podnóża dłoni w niebo wzbija się statek powietrzny. Nasze dwa statki przelatują między nim i innym pojazdem wiszącym kilkanaście kilometrów od tamy, nad trzema lądownikami kołyszącymi się na falach Atlantyku. Jeden z lądowników jest już pusty.

Nicholas zwraca się do całej grupy:

– Możemy zakładać, że grupa kolonistów, która znajdowała się w jednej z kapsuł ratunkowych, została już ewakuowana i przewieziona do miasta. To niczego nie zmienia. Trzy tysiące trzystu kolonistów wciąż pozostaje na Atlantyku. To dostatecznie duża pula genowa, by odnowić populację. Jeżeli koloniści w mieście zostaną uzbrojeni, potraktujemy ich jak bojowników. Jeżeli staną wam na drodze, róbcie, co konieczne. Niezależnie od wszystkiego musimy podłożyć ładunki w kompleksie u podstawy zapory.

Zastygam z przerażenia. Nicholas przenosi na mnie wzrok. Przez jego twarz przebiega grymas świadczący o tym, że zdołał przejrzeć moje myśli.

Mówi teraz szybciej, ale znacznie łagodniejszym tonem:

– Po raz ostatni pragnę wam przypomnieć, o co toczy się ta gra. Jeśli zawieziemy, jeżeli tamtym uda się ponownie uruchomić most kwantowy, narazimy na zagładę świat stworzony przez nas, Tytanów. Świat, z którego pochodzicie wy, pasażerowie lotu trzysta pięć. Musimy być gotowi poświęcić kilka istnień ludzkich, by ocalić miliardy.

Przypominam sobie, że to samo zrobiłem nad jeziorem. Poświęciłem życie niektórych, by ocalić innych. Ale nie mogę się oprzeć przeświadczeniu, że coś tu nie gra, nie potrafię jednak określić co.

Potężne uderzenie wstrząsa statkiem, niemal zwalając Nicholasa z nóg.

Ekran ukazuje rozgrywającą się na zewnątrz bitwę. Nasze dwa statki bombardują samotną jednostkę powracającą z Miasta Tytanów. Okraczamy ją i ostrzeliwujemy, aż dygocze i kołysze się; odpowiada ogniem w miarę swoich możliwości i próbuje się nam wymknąć.

Nicholas i Oliver nie spieszą się ze zniszczeniem wrogiej jednostki. Próbują przywabić drugi statek, ten, który wisi nad kapsułami ratunkowymi kolonistów, ale bez powodzenia. Znajduje się w jedynym bezpiecznym miejscu. Nie możemy go ostrzelać, dopóki unosi się nad lądownikami kolonistów, bo runąłby na nich – przecież ci ludzie są jedyną nadzieją na ponowne zasiedlenie Ziemi.

Na ekranie wrogi statek w końcu poddaje się zmasowanemu ostrzałowi. Zawisa w powietrzu, płonąc, po czym wpada w korkociąg, zanim runie w odmęty Atlantyku.

Nowa fala uderzeń wstrząsa naszą maszyną – z miasta rozpoczęto ostrzał. Podczas odprawy Nicholas poinformował nas, że zaporę i Miasto Tytanów zostały ufortyfikowane podczas wojny, a obrona przeciwlotnicza była na zbyt zaawansowanym poziomie, abyśmy mogli podjąć próbę wylądowania na tamie – możemy jedynie przeprowadzić atak spod wody. Miał rację. Nie mielibyśmy szans przy takim ostrzale.

– Włożyć sprzęt! – woła Nicholas, podchodząc do rzędów tornistrów wiszących na obu ścianach.

Wkładam plecak nurkowy i hełm i sięgam po broń. Materializuje się hologram wewnątrz hełmu; mam przed sobą twarz Nicholasa. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję, zupełnie jakbym mówił do siebie.

– Napęd w plecaku został zaprogramowany. Rozluźnij się i trzymaj mocno karabinek. Do zobaczenia po drugiej stronie.

Podłoga pod nami znika, ukazując morze skąpane w blasku księżyca. Kolejne wybuchy. Przytrzymuję się ściany, chwytając za siatkę ładunkową. Hełm ukazuje obraz z zewnątrz. Nasz drugi statek nas osłania, ustawiając się między nami a miastem i przyjmując na siebie ostrzał z lądu. Płonie jak pochodnia unosząca się w ciemnościach nocy. Zanim szczelina w podłodze rozszerzy się na tyle, abyśmy mogli przez nią wyskoczyć, statek, który nas osłania, eksploduje i spada do morza. Nasz pojazd dygocze pod wpływem kolejnych strzałów, połowa naszej grupy przewraca się na podłogę.

Nicholas rzuca się naprzód, prześlizguje się przez wąski otwór, a ja podążam za nim.

Spokój. Błogość. Nicość.

Spadanie.

Ogień nade mną. Blask księżyca na szklistym morzu pode mną. Słabe dudnienie w mojej piersi jest biciem serca albo falami uderzeniowymi bitwy toczącej się w powietrzu, trudno mi to stwierdzić.

Gdy zbliżam się nieubłaganie do tafli wody, mój upadek zostaje spowolniony. Jak to?

Najwyraźniej rotory plecaka pracują tak w wodzie, jak i w powietrzu. Spowalniają mnie i łagodnie uderzam w wodę, kombinezon przyjmuje tylko delikatny wstrząs. Hologram wewnątrz hełmu pokazuje mi spadające szczątki dwóch statków powietrznych i ponownie oblicza mój kurs. Trzymam się ostatniej instrukcji, jaką otrzymałem, i nie puszczam karabinka.

Ciemność. Głębia. Sekundy wydają się ciągnąć jak godziny. Zastanawiam się, jak będzie wyglądała walka w wieżach.

Nie mam nic przeciw temu, by mówić ludziom, co mają robić, by podejmować szybko decyzje. Tego już dowiedziałem się o sobie. Czy potrafiłbym odebrać komuś życie? Skąd mogę wiedzieć? Żadne szkolenie do tego nie przygotowuje.

Czuję zmianę kursu. Formujemy szyk. Nicholas na szpicy, a za nim ponad dwadzieścia tnących wodę kombinezonów bojowych kierujących się ku podstawie tamy.

Przed nami otwory tak wąskie, że nie precisnęłyby się przez nie ryby, a co dopiero ludzie. Wprowadzamy kod. Brama otwiera się, a więc kody dostępu Nicholasa są nadal aktywne. Płyniemy w dół przez ciemny tunel. Przed nami dziesięć turbin, ogromnych jak łodzie motorowe powiększone do rozmiarów trzypiętrowych budynków. Białe światła powyżej rzucają w głębinie wydłużone cienie.

Łopaty turbin są nieruchome. Zaczynam się uspokajać.

To była próba. Plan Nicholasa zakładał zdalne wyłączenie turbin, a gdyby to się nie udało, zniszczenie ich przy pomocy ładunków wybuchowych. Sonden, które wysłaliśmy przodem, potwierdzają nasze przypuszczenia – turbiny są wyłączone. Jesteśmy bezpieczni.

W moim hełmie pojawia się twarz Nicholasa, ale jego słowa mi uciekają. Nie, to ja uciekam. Coś mnie porywa. Woda zabiera mnie w głąb tunelu. Turbiny się włączyły. Ich ciąg jest silniejszy niż moc plecaka z napędem. Urządzenie wyje, walczy z ciągiem, bezskutecznie. Białe światła nad nami oślepiają i migoczą, gdy olbrzymie łopaty obracają się, nabierając coraz większej prędkości. Nie mamy żadnych szans.

## 37: Harper

Stojąc w laboratorium na drugim piętrze, patrzę, jak ekran, na którym pojawia się obraz skanowanego mózgu, rozdziela się. Widzę dwa osmolone statki podrywające się z lądowiska w Mieście Tytanów i kierujące się nad Atlantyk. Zatrzymują się nad trzema kapsułami ratunkowymi i zawisają w powietrzu.

– Koloniści – szepczę, wpatrując się w ekran. – Dlaczego?

– Aby nas chronić. Jeżeli zdołamy przewieźć ich do miasta, uniemożliwimy Nicholasowi i Oliverowi zniszczenie go wraz z urządzeniem kwantowym.

Nie dodaje: „I wraz z nami”, ale tak właśnie myśli.

Na ekranie rozgrywa się dramat, który obserwujemy we troje w milczeniu.

Jeden z naszych statków powietrznych przejmuje kolonistów z pierwszej kapsuły i przewozi na lądowisko u podstawy wież. Zawraca, ale pojawiają się dwie kolejne jednostki. Otwierają ogień do naszego pojazdu i niszczą go, zanim baterie w mieście zdążą namierzyć którykolwiek z nich. Z drugiego pojazdu sypią się do morza migoczące drobiny. Co to takiego? Już wiem: Tytani w kombinezonach. Nick. Miejmy nadzieję. Ale – jak powiedziała Sabrina – nie mogę być tego pewna. On może nie żyć, mógł zostać porzucony martwy na Heathrow albo... zastąpiony.

Yul podnosi się z białego stołu. Trochę doszedł do siebie, znów jest skupiony, ma charakterystyczny błysk w oczach.

Sabrina podwija lewy rękaw, przygotowuje przedramię i robi sobie zastrzyk, używając strzykawki leżącej na wysokim metalowym stole. Bez słowa wślizguje się na platformę, a ta zaczyna się wsuwać do środka.

Yul obsługuje panel kontrolny, gdy potężne urządzenie pochłania Sabrinę. Na rozdzielonym ekranie pojawia się nowy skan. Zalewają go fale barw.

– Procedura mapowania zajmuje około godziny – mówi Yul.

Podłoga dygocze pod nami, a druga połowa ekranu błyska na czerwono.

Alarm ryczy.

Yul łapie mnie za rękę i ciągnie w stronę szklanych wahadłowych drzwi, ale uwalniam się z jego chwytu.

– Dokąd idziemy?

– Musimy się ukryć, Harper.

Patrzę przez ramię na urządzenie, w którym leży Sabrina.

– Nie możemy jej zostawić...

– Musimy, Harper. Jemu chodzi o ciebie.

– Nie zostałam przeskanowana.

– To musi poczekać. Oni są teraz w elektrowni. Musimy się pospieszyć.

∞

Od początku mieli taki plan: zabawa w kotka i myszkę. Kiedy tylko Nicholas mnie dostanie, nie zawaha się zniszczyć całego miasta. Nie zamierza nikogo oszczędzić. Kiedy mnie schwyta, wysadzi tamę, urządzenie kwantowe i wszystkich, którzy w tym czasie będą się znajdowali w Mieście Tytanów.

Alarmy wyją wokół nas, gdy Yul prowadzi mnie do skrzydła mieszkalnego – małego palca, najmniejszej z pięciu wież w najdalej położonej części kompleksu, po lewej stronie. Zajrzałam wcześniej tylko do kilku mieszkań.

– Jakieś preferencje? – pyta Yul.

– Gdzie będzie najbezpieczniej?

– W przypadkowo wybranym miejscu. On na pewno zajrzy do mojego apartamentu, do mieszkania Sabriny i do twojego.

Przytakuję.

Gdy pokonujemy kolejne korytarze, wyłożone boazerią i miękkimi dywanami, Yul rozkłada na podłodze nieduże srebrne cylindry.

– Co to jest? – pytam.

– Miny.

– Po co?

– Nicholas wyśle nanodrony, by zrobiły skan w podczerwieni. To je zniszczy. Zyskamy na czasie.

Wciąż próbuje zyskać na czasie. Wchodzi do każdego mieszkania, które mijamy, i pod prysznicem do maksimum odkręca gorącą wodę. Para wypełnia łazienkę, wypływa do sypialni i na korytarze. Sprytne. Nie wiem, czy para i ciepło są w stanie oszukać czujniki Tytanów, ale wilgoć pokryje kombinezony, sprawiając, że staną się widoczne. Wracam myślami do miejsca katastrofy – w strugach deszczu Tytani wyglądali jak postacie ze szkła. W połowie wysokości wieży Yul przystaje przy łazience.

– To miejsce równie dobre jak każde inne.

– Okej.

– Jeszcze jedno, Harper. Tylko Sabrina i ja wiemy, gdzie znajduje się urządzenie kwantowe. – Przerywa. – Możliwe, że nikt z nas tutaj ani żaden z Tytanów nie przeżyje tej nocy. Ale ty przeżyjesz. Nicholas chce cię żywą. Myślę, że powinnaś wiedzieć, gdzie jest to urządzenie i jak je uruchomić. Gdyby stało się najgorsze, spróbuj do niego dotrzeć.

Mówi mi, gdzie jest urządzenie i jak ponownie aktywować most kwantowy. Słucham, kiwając głową, jakbym wstępowała do tajnego zakonu. I w pewnym sensie tak jest – Yul wprowadza mnie do ścisłego kręgu tajemnic znanych dotąd tylko jemu i Sabrinie.

Zbliża się do drzwi.

– Zaczekaj. Co chcesz...

– Zamierzam dokończyć swoje, a potem zobaczę, czy mogę pomóc przy obronie.

Jak na zawołanie w sąsiedniej wieży dochodzi do serii wybuchów, a podłogi wpadają w gwałtowne wibracje.

– Yul, jaki jest scenariusz optymistyczny?

Odwraca wzrok.

– Optymistyczny? Zakładam, że poradzimy sobie z obecnym zagrożeniem, a potem będziemy mieli czas na opracowanie formuł umożliwiających transfer wspomnień. Może zajmie to kilka lat, dekadę... A następnie wrócimy do dwa tysiące czternastego roku z pakietem wspomnień.

– Jakie są dzisiaj nasze szanse na zwycięstwo?

– Całkiem spore.

Kłamie, ale nie próbuję oponować. Para w dobrze oświetlonej łazience o marmurowych posadzkach pochłania nas, przesłania nasze twarze i sprawia, że kłamstwa przychodzą nam bez większego wysiłku.

– Przede wszystkim nas jest więcej – mówi bezosobowy głos we mgle. – Ale koloniści nie chwycą za broń. Ekipa Nicholasa i Olivera ma nad nami przewagę pod względem uzbrojenia i liczebności, rzędu dwóch do jednego, o ile ich ludzie wyszli cało z pułapki w elektrowni.

– Jakie mają rozkazy? Względem Nicka, jeżeli go zobaczą?

– Nicholas, Nick, nie sposób ich rozróżnić, Harper. Każdy z Tytanów wkraczających do miasta ma zostać zastrzelony bez ostrzeżenia.

A więc taką przyjęli strategię.

– Nie jest tak źle, Harper. Jeżeli nam się uda, zobaczysz Nicka w dwa tysiące czternastym roku.

I będzie dla mnie obcą osobą.

– Zostań tu. Niedługo wrócę. – Głos cichnie, gdy Yul opuszcza pomieszczenie.

Siadam na podłodze i prostuję nogi na chłodnym marmurze. Ciepła para jest przyjemna, stanowi kontrast dla chłodnej posadzki pod moimi stopami. Przesuwam dłońmi po łydce, dotykając miejsca, gdzie miałam ranę, w którą wdało się zakażenie. Zamykając oczy, opieram się potylicą o ścianę i staram się nie zwracać uwagi na sporadyczne wybuchy i drgania przenikające co kilka sekund ściany i podłogę.

∞

Głośny świst otwieranych podwójnych drzwi w korytarzu przywraca mnie do rzeczywistości. Nie przysnęłam. Ale nie przebywałam też w świecie jawy. Raczej pogrzyżłam się w dziwnym odrętwieniu, stanie rozkojarzenia, w którym miałam nadzieję przebywać, aż wszystko wokół mnie się poukłada.

Pośród szumu wody z prysznica słyszę kroki w sypialni, delikatne stąpanie po miękkiej wykładzinie.

Siedzę w bezruchu, mając nadzieję, że...

Kroki cichną. Ktoś, kto tam jest, zatrzymuje się. Wśród gęstej pary nie dostrzegam nikogo. Może ten ktoś i mnie nie zauważy.

Znow kroki. Oddalają się.

Robię przeciągły wydech.

Szelest rozsuwających się drzwi.

Para wypływa na zewnątrz, na balkon. Postać otwiera przesuwane szklane drzwi. Stąpa wśród obłoków pary, a przy każdym kolejnym kroku mogę dostrzec ją coraz wyraźniej.

Spodziewam się szklistego półprzezroczystego kombinezonu, ale jego zewnętrzna powłoka zniknęła. Brakuje połowy płytek i widać znajdującą się pod nią czarną gumowatą warstwę porozrywaną w kilkunastu miejscach; przez otwory przeziiera pokiereszowane, osmolone ciało.

Skupiam się wyłącznie na twarzy. Na twarzy Nicka. A może to Nicholas?

Czy to Nick, którego znam, który uratował tylu ludzi po katastrofie samolotu? Czy to Nicholas, człowiek, który spowodował śmierć tak wielu osób i przybył tu, by zgładzić jeszcze więcej istnień – tylko po to, żeby być ze mną?

## 38: Harper

– Harper. – Jego głos brzmi jak szept.

Chcę natychmiast przeprowadzić dochodzenie, ustalić, który Nick Stone stoi przede mną, ale nie mogę się pohamować. Zrywam się z zimnej marmurowej posadzki i podbiegam do niego, przyglądam się skaleczeniom i sińcom na całym jego ciele. Jest w kiepskim stanie. Krzywi się, gdy dotykam jego poczerwiałych odsłoniętych żeber.

– Nic mi nie jest. – Uśmiecha się z wyrazem bólu. – Harper, to może zabrzmieć jak obłąd, ale jest nas dwóch. Mój odpowiednik z tej linii czasowej wciąż żyje.

Brakuje mi pewnych umiejętności. Nie potrafię kłamać. Nawet nie umiem grać w pokera.

Ale w wypełnionej parą sypialni próbuję udawać zaskoczoną. W ostatnim tygodniu nabrałam w tym niejakiej wprawy. Nie wiem, czy go przekonałam, niemniej mówi dalej:

– Nicholas... ten drugi ja, powiedział mi, co się tu dzieje. Yul zbudował urządzenie, most kwantowy łączący nasze dwa światy. On i Sabrina zamierzają go użyć, żeby odesłać nas z powrotem do dwa tysiące czternastego roku. Będzie tak, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Nasz świat skończy się tak jak ten tutaj. Musimy zniszczyć to urządzenie, żeby nie zostało ponownie włączone. Tyle że już nie wrócimy do domu.

Kiwam głową. Mam w głowie mętlik, próbuję...

– Wiesz, gdzie ono jest?

Przez otwarty balkon wpada chłodny podmuch powietrza, który jeszcze bardziej rozwiewa obłoki pary. Księżyc świeci dziś jasno, ale ja nie odrywam wzroku od migoczących światełek statku powietrznego wiszącego nad Atlantykiem i czekającego, by sprowadzić do domu ostatnich kolonistów.

– Harper.

Lustruję każdy mikron jego twarzy pokrytej zakrzepłą krwią. Włosy są takie same. Rysy...

– Harper, nie mamy czasu.

– Tak, Yul powiedział mi, gdzie ono jest.

– Dzięki Bogu.

Rusza w stronę drzwi, wskazując mi drogę.

– Po katastrofie natknąłeś się na szklaną budowlę. Co było w środku? – pytam, próbując ukryć zdenerwowanie.

Odwraca się zaskoczony.

– Co?

– Odpowiedz, proszę – mówię półgłosem.

– Stonehenge.

– Zanim tam poszedłeś, pokłóciłeś się z Sabriną. O co poszło?

– Nie chciała ci podać antybiotyku. Byłaś bliska śmierci. Co się tu dzieje, do cholery?

– Nie możemy zniszczyć urządzenia.

– Co? Oszalałaś?

– Jeżeli to zrobimy, pasażerowie, którzy zginęli w katastrofie, i ci, którzy potem zmarli w wyniku zarażenia wirusem, na zawsze pozostaną martwi. Nigdy nie będzie im dane dorosnąć ani przeżyć resztę życia.

– Taka jest cena ocalenia naszego świata, Harper.

– Nie musi tak być. Yul i Sabrina mają inne rozwiązanie. Użyją kwantowego urządzenia Yula, by przesłać w przeszłość nasze wspomnienia. Samolot wróci do naszego czasu, a nasza czwórka będzie

pamiętać wszystko, co się tu wydarzyło.

– Dlaczego nie powiedzieli o tym Nicholasowi?

– Powiedzieli. Nicholas i Oliver ich zdradzili. Sprowadzenie tutaj lotu trzysta pięć nie miało na celu wypróbowania skuteczności szczepionki. Dla nich to była przykrywka.

– Przykrywka do czego?

– Do sprowadzenia tutaj Graysona i mnie. Bo to o mnie chodzi Nicholasowi.

Nick odwraca się ode mnie. Zraniony? Zaskoczony?

– Jest tu dla ciebie i dla urzędnika, tak? – mówi z wysiłkiem i nutą determinacji.

– Tak. Co chcesz zrobić?

– Zakończyć to.

∞

Para zdaje się przenikać każdy centymetr kwadratowy wieży hotelowej, ale Nick i ja schodzimy jak najszybciej na dół. Na parterze, na podeście, wokół sterty ciał rozlewa się kałuża krwi. Rozpoznaję twarz na samym spodzie. Yul.

Nick przestępuje nad nim i szarpnięciem otwiera drzwi klatki schodowej.

Schylam się, by sprawdzić puls Yula, i nawet gdy wyczuwam zimne ciało, nie od razu cofam rękę.

– Chodź, Harper!

Unoszę wzrok, ale wciąż nie mogę się poruszyć.

– Był już martwy, gdy tu dotarłem. Musimy iść.

Biegniemy przez ciemny korytarz, a z oddali przed nami dobiega kakofonia wybuchów i wystrzałów.

Pięć wież, palce tworzące Miasto Tytanów, spotyka się na wykwintnej promenadzie – centrum handlowym nazwanym, nie bez racji, palmą – ma kształt palmy, a ponadto palmy zdobią to miejsce zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Gdy widziałam palmę wcześniej, była nieskazitelna. Teraz jest zniszczona i skąpana we krwi. Strzępy palmowych liści i kory walają się po śnieżnobiałej dotąd marmurowej podłodze. Ściany pokryte są smugami sadzy. Brakuje połowy szyb w oknach wychodzących na promenadę; od strony doliny wpadają podmuchy chłodnej bryzy. Szum wodospadu jest przerywany odgłosami wystrzałów, krzykami i od czasu do czasu hukiem eksplodującego granatu. Od tego hałasu aż robi się niedobrze.

Zatrzymujemy się w ciemnym korytarzu, czekając na moment, gdy będzie można przemknąć. Znajdujemy się u podstawy małego palca. Urządzenie mieści się w palcu serdecznym, w wieży hotelowej przylegającej do apartamentów Tytanów, dlatego nie musimy iść daleko. To już coś. Ale wciąż cztery osoby stoją nam na drodze, wypełniając wejście do wieży hotelowej: dwóch kolonistów w prostych szarych uniformach i dwóch Tytanów wiernych Sabrinie i Yulowi. Tytani mają karabiny i obserwują rozwój walki z wyrazem bólu na twarzy, jakby opierali się pragnieniu dołączenia do Tytanów walczących poniżej po ich stronie, którzy jednak nieubłagani są wypierani przez grupę bojową Nicholasa, stopniowo zdobywającą coraz większy obszar promenady.

Zbliżamy się do końca korytarza, cienie ustępują światłu księżyca wpadającemu przez szklane ściany.

Palma obejmuje siedem pięter restauracji, sklepów i butików, które od dawna są opuszczone. Dwie wstęgi schodów z marmuru, stali i szkła w kształcie helisy DNA wznoszą się z dwóch stron nad otwartą przestrzenią, skąd rozciąga się widok na dolinę i wodospad.

Tytani w kombinezonach walczą, wspinając się po spiralnych schodach, strzelają i ściągają na siebie ogień obrońców zaczajonych w sklepikach i restauracjach na każdym piętrze. Przypomina to wyrefinowaną wersję paintballu, tyle że z postrzelonych ciał wypływa prawdziwa krew. Od czasu do czasu jakiś Tytan zostaje trafiony i spada do ogromnej fontanny na parterze.

– Trzymaj się za mną – mówi Nick.

Chcę zapytać, jaki ma plan, ale zdążyłam się już zorientować, że Nick Stone jest specjalistą od

improvizacji. Za nikim innym bym nie poszła. Musimy tylko dotrzeć do...

Wychodzi na promenadę, unosi karabin i strzela z bliskiej odległości do Tytanów strzegących wejścia do wieży hotelowej – Tytana po prawej powala zabójczym strzałem w głowę. Dwaj koloniści osłaniają drugiego Tytana własnymi ciałami, stając przed nim ramię w ramię, lecz Nick się nie waha. Dwa szybkie strzały. Koloniści padają. Dwa kolejne i Tytan przewraca się, wypuszczając z ręki karabin.

Przepęłnia mnie szok i strach. Ledwie czuję, że Nick ciągnie mnie za rękę, wlokąc w stronę wejścia do wieży hotelowej. Im dalej, w głąb korytarza, tym bardziej blask księżyca słabnie i zastępują go światła awaryjne. Znajdujemy się na parterze, blisko pokoju, w którym obudziłam się w białym ubraniu; wciąż je mam na sobie. To tu ukończyłam wstępną fabułę cyklu powieści o Alice Carter, dziewczynie, której decyzje przesądzą o losach jej świata.

Wciąż ciągnie mnie za sobą, robi to niemal na siłę.

– Harper, skup się.

Zbliża twarz do mojej.

– Który pokój?

Zamykam oczy. Przęłykam ślinę.

– To było tylko dwóch kolonistów, Harper. Mają ich jeszcze dość, by na nowo zaludnić tę planetę.

A teraz, gdzie to jest?

– Dwudzieste drugie piętro, pokój numer pięć – odpowiadam szybko w nadziei, że...

Uśmiecha się.

– Sprytnie.

Wbiegamy po schodach, aż bolą mnie nogi, ale nie zwalniam, próbuję dotrzymać mu kroku, wiem, co muszę zrobić. Schody prowadzą prosto na górę, niemniej wieża jest tak naprawdę zakrzywiona, palec przechyla się nieznacznie w stronę Morza Śródziemnego. Nie wiem, ile jest pięter na samą górę, ale wiem, że do dwudziestego piętra pokoje wychodzą na Atlantyk, tak jak pokój, w którym obudziłam się rano. Pokoje wyżej są skierowane na kotłnię, gdzie niegdyś rozciągało się Morze Śródziemne.

Na podeście dwudziestego drugiego piętra Nick zatrzymuje się zasapany, uśmiechając się do mnie.

– Pokój numer pięć?

Oddycham ciężko.

– Taaa.

Otwiera szarpnięciem drzwi na korytarz i lustruje go z karabinkiem w rękę.

– Czysto – oświadcza i wypada na korytarz.

Idę za nim powoli, patrząc, jak w ten sam sposób zagląda do wnętrza pokoju. Muszę odzyskać oddech. Potrzebuję wszystkich sił na to, co zamierzam zrobić.

Zanim docieram do drzwi, on już przeszukał cały pokój. Stoi pośrodku, między łóżkiem a biurkiem.

– Gdzie to jest?

– Na balkonie. – To słowo z trudem przechodzi mi przez gardło.

Ogląda się przez ramię, patrzy na szklane drzwi i ciemną kamienistą dolinę za nimi, po czym mruży lekko powieki i przenosi wzrok na mnie.

– Na balkonie?

– Aby mogli to zabrać ze statku powietrznego i wywieźć stąd w razie potrzeby.

Odwraca lekko głowę, jakby usłyszał jakiś hałas. A potem robi krok w stronę przesuwanych szklanych drzwi. Idę za nim, dostosowując rytm kroków do jego tempa. Tak. Wystarczy. Zatrzymuję się, nieznacznie uginając nogi w kolanach. Mam tylko jedną szansę.

Jeżeli mam rację, pasażerowie lotu 305 przeżyją. Jeżeli się pomyliłam... wszyscy jesteśmy zgubieni. Ale z całą pewnością wiem, że Nick Stone, którego znam, nigdy z zimną krwią nie zabiłby tych czterech ludzi, nie tak szybko, nie z taką łatwością.

Rozsuwa drzwi, a ja zaczynam biec przez całą długość pokoju, rozpędzam się.



Odwraca się i widzi, jak gnam wprost na niego. Dostrzegam zgrozę malującą się na jego twarzy.

Rozkłada szeroko ręce sekundę przed tym, gdy go dopadam i z impetem zderzam się z nim, obejmuje mnie mocno ramionami, po czym oboje wypadamy za poręcz balkonu.

Czas staje w miejscu.

Powietrze robi się chłodniejsze, a my lecimy w dół, ku dnu kotliny. Wieża hotelowa znajduje się na lewo od wieży środkowej i szerokiego wodospadu poniżej, który ominiemy. Runiemy na twarde kamieniste dno.

Odsuwa się nieznacznie, żeby na mnie spojrzeć. Szok mija. Na jego twarzy nie widać już zgrozy. Zastępuje ją smutny uśmiech. A potem obejmuje mnie jeszcze mocniej. Czuję, jak majstruje coś za moimi plecami, manipulując przy przedramieniu, ale wciąż trzyma mnie z całej siły.

Lecimy, ale jego plecak spowalnia opadanie.

Struga zimnej wody obryzguje mnie od stóp do głów. Wodospad. Prawie rozluźnia chwyt, ale plecak zaczyna terkotać i jego ramiona zaraz znów opasują mnie mocniej. Przyciąga mnie do siebie. Posępny uśmiech zmienia się w triumfalny uśmieszek.

Opadamy coraz wolniej.

Staram się uwolnić z jego chwytu...

## 39: Nick

Nazywają to miejsce palmą. Ja – piekłem.

Siedmiopiętrowe centrum handlowe z szeroką otwartą przestrzenią pośrodku, z okrągłą granitową fontanną na parterze. Posągi zdobiące fontannę przedstawiają uśmiechniętych Olivera i Nicholasa unoszących ręce, ich dłonie są złączone jak w dniu inauguracji Miasta Tytanów, gdy ujawnili, że są nieśmiertelni.

Posągi są częściowo zniszczone tam, gdzie spadły na nie ciała, zarówno te z pierwszego piętra, jak i drugiego, trzeciego, czwartego i piątego i kolejnych zajmowanych przez nas. Za każdy centymetr zapłaciliśmy potem i krwią, aż woda w fontannie zabarwiła się na czerwono.

Mike, Oliver, Grayson i ja docieramy na piąte piętro i wpadamy do opuszczonego butik. Na półkach stoją szklane bibeloty – miniaturowe kopie Tamy Gibraltarskiej i twarzy pierwszych stu Tytanów. To dziwne uczucie zobaczyć szklane repliki własnej twarzy, różnych wielkości, spoglądające na mnie. Na drugim piętrze dostałem w ramię, ale przytroczyłem rękę do ciała, żeby jej nie nadwyręzać, i poza tym nic mi nie jest.

Przez ostatnią godzinę prowadzimy zabójczą grę w chowanego. Wspinamy się po wielkich schodach w kształcie helisy, zajmujemy piętro, a potem wnikamy w głąb ciemnych sklepików z nadzieją, że tamci przyjdą za nami. Nękamy ich ogniem, aż się na to zdecydują albo uznamy, że wycofali się na kolejne piętro.

Mamy ich rozproszyć. Zyskać choć trochę na czasie. Kiedy turbiny elektrowni uruchomiły się, Nicholas uratował nas wszystkich dzięki umiejętności improwizacji i kilku dobrze rozmieszczonym ładunkom. Łopaty turbin zabiły trzech naszych, ale większa część oddziału wyszła z tego bez szwanku. Dolne poziomy elektrowni były zaminowane, założono tam wiele pułapek. Przechodząc przez ciasne korytarze, straciliśmy połowę ocalałego składu osobowego. Ale po drodze założyliśmy własne ładunki, zgodnie z planem awaryjnym. Zburzymy tę zaporę, jeśli to będzie konieczne, byle tylko zniszczyć urządzenie Yula i zapobiec ponownemu aktywowaniu mostu kwantowego przez drugą frakcję. Aby nie dopuścić do odesłania pasażerów lotu 305 do 2014 roku, co skazałoby na zagładę świat, z którego przybyliśmy, wskutek powtórzenia wszystkich błędów, które popełniono tutaj. Taka jest stawka.

Jednak Nicholas ma plan. Jeżeli mu się uda, nie będziemy potrzebowali ładunków podłożonych na dole.

U podstawy palmy zdradził nam ostatnie szczegóły misji; uważam, że zamysł jest genialny. Potem zabrał dwóch Tytanów, najlepszych ze swojej ekipy, i udał się z nimi do apartamentów Tytanów, gdzie, jak sądzi, powinno być ukryte urządzenie. Znają to miejsce jak własną kieszeń, a my możemy wywalczyć dla nich trochę czasu. I słono za to płacimy. Zostało nas tylko czterech, żaden nie jest w dobrym stanie.

Mam nadzieję, że Nicholas znajdzie wkrótce urządzenie i będziemy mogli opuścić to miejsce. Wyjdziemy tą samą drogą, którą tu dotarliśmy, przez elektrownię, ryzykując uaktywnienie kolejnych pułapek. Możemy też wspiąć się na samą górę, dotrzeć do promenady od strony Atlantyku i zanurkować, używając plecaków z napędem, by oddalić się na bezpieczną odległość od zapory. Kiedy Nicholas zdobędzie to, po co tu przyszliśmy, będziemy wolni. Wystarczy, że wytrzymamy na swoich stanowiskach, oczekując na sygnał od Nicholasa.

Na niższych poziomach zdjęliśmy hełmy, bo przestały działać. Nasze kombinezony są uszkodzone, obwody zupełnie się poprzepalały.

Oliver ma ręczny przyrząd wskazujący miejsce, gdzie przebywa Nicholas. Zerka na niego co kilka

minut i informuje nas o postępach. Nicholas pół godziny temu zakończył przeszukiwanie apartamentów, a teraz wspina się na wieżę hotelową. Oby udało mu się zlokalizować urządzenie.

Wślizguję się za ladę, opieram się o nią plecami i kładę karabinek na udach.

Grayson osuwa się obok mnie.

– Jak się trzymasz?

– Wyśmienicie. A ty?

– Bywało lepiej.

Odsuwa rękę od brzucha, odsłaniając głęboką ranę. Krew wypełnia jego dłoń w ciągu kilku sekund, gdy nie dociska nią rany na brzuchu.

Cholera.

Brzęk. Odgłos metalu odbijającego się od marmuru.

– Granat hukowy! – krzyczy Mike.

Oliver, Grayson i ja pochylamy głowy i zasłaniamy uszy. Mocno zaciskam powieki, ale huk jest rozdzierający, fala uderzeniowa dosięga mnie, pozbawiając wzroku i słuchu.

Jak przez mgłę wyczuwam, że Mike wyciąga rękę, opiera karabin o przeszkloną ladę i naciska spust, nie wychylając głowy ponad kontuar. Strzela bez końca, mając nadzieję, że zdoła zatrzymać napastników przed wdarciem się do środka po wrzuceniu granatu hukowo-błyskowego.

Cichy brzęk, jakby ktoś grał na małym pianinie na dnie głębokiej studni. To szkło z półek i wysokich paneli okiennych, które rozleciały się na kawałki, sypie się na marmurową posadzkę; morze odłamków sięga stąd aż do otwartej przestrzeni i schodów. Odzyskuję słuch. Słyszę odgłosy kolejnych wystrzałów. Mike wciąż strzela, a ja podnoszę się, nie zważając na ból promieniujący ze zranionego ramienia. Kładę karabinek obok jego broni i otwieram ogień. Nie przerywamy ostrzału, aż tamci odpuszczają, chociaż chyba nikogo nie udało się nam trafić. Karabinki wydają się mieć niewyczerpany zapas ładunków elektrycznych, o ile wiem, nie miotają pocisków ani nie potrzebują magazynka.

Opieramy się o ladę, ponownie pogrążeni w ciszy i ciemności, wszyscy oszczędzają siły i energię na szaleńczy bieg ku wolności, ku promenadzie.

Z tabletu dobiega cichy pulsujący sygnał alarmowy, Oliver wyciąga urządzenie i spogląda na ekran. Świetlny punkcik oznaczający umiejscowienie Nicholas'a wylatuje z wieży hotelowej od strony Morza Śródziemnego i opada w stronę osuszonego morskiego dna. Jak to? Przecież powinien być z drugiej strony. Włącza się jego plecak z napędem i kieruje go w stronę wodospadu, ale jest już za późno. Leci w dół z dużą prędkością. Nie ma mowy, by przeżył upadek. Na twarzy Olivera maluje się strach.

– Czy przesłał sygnał? – pytam. – Znalazł to?

– Nie. Nie wysłał sygnału – odpowiada Oliver, dotykając ekranu grubymi paluchami.

Pojawia się obraz spoza tamy. Z kamery drona. To było sprytne posunięcie.

Ani śladu Nicholas'a.

Oliver próbuje odtworzyć nagranie z drona. Mały punkcik, ciało... wzbija się w górę z ciemnego zbiornika u podnóża tamy, by znowu zniknąć w hotelu. Oliver włącza pauzę, robi zbliżenie i odtwarza nagranie we właściwej kolejności. Obraz wciąż jest za ciemny i potrzeba dłuższej chwili dostrajania, by go rozjaśnić. Jest ziarnisty, ale widzę postać Nicholas'a w hotelowym pokoju na górze. Światło księżycy wystarczy, by dało się dostrzec, jak przeszukuje pokój. Może znalazł urządzenie kwantowe i uznał, że wyskakując, najłatwiej będzie je zniszczyć.

Przypadkowy strzał dosięga piętra sklepowego, zasypując kontuar odłamkami szkła. Mike znów opiera karabin o ladę i oddaje trzy szybkie strzały.

Cisza.

Wszyscy oglądamy dalszy ciąg nagrania.

Rozgrywa się dość wolno.

Nicholas przystaje. Wygląda, jakby z kimś rozmawiał. Rozsuwa przeszklone drzwi i lustruje

wzrokiem pusty balkon. Wydaje się zakłopotany.

Odwraca się plecami do przelatującego drona i skupia się na czymś wewnątrz pokoju. Rozkłada ręce. Inna postać wybiega spomiędzy cieni.

Jasne włosy. Twarz... obawiałem się, że już nigdy jej nie zobaczę.

Nagranie przesuwa się naprzód.

Harper wpada na Nicholasa, spychając go na poręcz balkonu i strącając poza nią.

Oliver robi zbliżenie i podąża za obrazem dwóch splecionych spadających postaci. Skręcają w stronę wodospadu. Nicholas mocno ją obejmuje, manewrując przy panelu kontrolnym kombinezonu na przedramieniu. Harper sięga do jego rąk, gdy znajdują się pod wodospadem i wyłaniają się z drugiej strony. Harper mocuje się z nim. Próbuje go powstrzymać. Przed czym? Mózg mi się lasuje, gdy próbuję to rozwikłać.

Uderzają w wodę z zabójczą prędkością, znikając w czarnej otchłani.

Czuję suchość w ustach. Serce dudni mi w piersi.

Oliver upuszcza tablet na podłogę. Cień przesuwa się przez jego twarz i nagle jego rysy się wyostają. Podnosi tablet i gniewnie nim manipuluje, przywołując zdalny detonator ładunków wybuchowych, które podłożyliśmy w elektrowni, u podstawy zapory. Uaktywnia je, ustawiając opóźnienie czasowe na pięć minut, a w wypadku kilku ładunków dodatkowych na sześćdziesiąt sekund.

Na ekranie pojawiają się cyfry odmierzające czas do detonacji.

Boże.

– Co ty wyprawiasz, u licha? – wołam do niego.

– To koniec, Nick.

Wsuwa wąski tablet do rękawa kombinezonu i zaczyna nakładać rękawicę, ale chwytam go za przegub. Odpycha mnie, powalając na ziemię. Ból w zranionym ramieniu przenika mnie na wskroś. Oliver pociąga Graysona za sobą w stronę drzwi, mówiąc półgłosem:

– Kiedy ładunki eksplodują, wpadniemy na wyższy poziom i przestrelimy okna od strony Atlantyku. Potem trzeba będzie po prostu skoczyć, nie oglądając się za siebie.

Grayson spogląda na mnie przez ramię. Leżę przy kontuarze i mimo bólu próbuję poskładać to wszystko w całość.

Olivera nie obchodzi los tysięcy kolonistów ani kogokolwiek w Mieście Tytanów, w każdym razie teraz. Zależało mu tylko na Graysonie. Ta wszystko było zorganizowane tylko dla niego i dla Nicholasa. Ze względu na jego oddanie. Harper zabiła Nicholasa. Dlaczego? *To koniec, Nick*. Przypominam sobie wszystko, co powiedział mi Nicholas. O swoim poczuciu winy. Bo wspólnie z Oliverem podjąłem działania, które doprowadziły do tego, że zabiliśmy wszystkich naszych ukochanych ludzi. I wszystkich innych, jeżeli chodzi o ścisłość. Coś mi umknęło. Oliver ukradł formułę nieśmiertelności dla Graysona, syna marnotrawnego, któremu pragnął dać jeszcze jedną szansę. Zrobił to dla tego zagubionego chłopca w ciele trzydziestojednolatka, który teraz na mnie patrzy. Obejmuje go ramieniem ojciec, który w jego czasach nigdy nie okazał mu ani odrobiny miłości.

Ale dlaczego Nicholas miałby pomóc Oliverowi ukraść formułę? Jego słowa: *Poznałem kogoś, kto był bliski śmierci. Byłem przerażony, podobnie jak Oliver, nie chciałem nawet brać pod uwagę tego, że mógłbym żyć dalej bez tej osoby. Zgłosiłem jej kandydaturę, żeby ją ocalić, ale ona także została odrzucona. Oliver i ja byliśmy zdeterminowani, by uratować tych, na których nam najbardziej zależało...*

Przypominam sobie każdą chwilę spędzoną z Nicholasem. Znał mnie, trenował mnie. Manipulował mną. Potrzebował pasażerów, żeby wzięli udział w ataku. Po co tu przybył? Żeby zniszczyć most kwantowy? Byli gotowi tego dokonać za wszelką cenę – aby zatrzymać tu pasażerów. Kim się stał? Ta moc wynikająca z oglądania świata, który stworzył, ta arogancja. I smutek płynący z zagłady swojego największego dzieła i śmierci jedynej osoby, którą kochał.

Skup się. Pytanie, które muszę zadać, brzmi: dlaczego lot 305?

Znów słyszę w głowie słowa Nicholasa: *Nadarzyła się niebywała okazja: lot, w trakcie którego najważniejsze osoby związane z Fundacją Tytani i naszym kardynalnym błędem mogły zostać usunięte z waszej linii czasowej.* Ale przecież to oni nakazali Yulowi i Sabine wejść na pokład samolotu – w przeciwnym razie nigdy nie znaleźliby się wśród pasażerów tego lotu. W tej linii czasowej nie było ich w tamtej maszynie. Tylko Harper, Grayson i ja... Dla Olivera celem był Grayson. Druga szansa, aby zrobić coś z jego szczerym żalem. Dla Nicholasa... Harper. To o nią chodzi. Miłość jego życia. A ona go powstrzymała, zorientowała się, że to on. To dlatego próbował wyciągnąć ze mnie jak najwięcej informacji, dopytywał o każdą chwilę spędzoną w jej towarzystwie.

Musiała wiedzieć coś, o czym ja nie miałem pojęcia. Oddała życie, żeby powstrzymać Nicholasa, żeby urządzenie nie trafiło w jego ręce. Targnęła się na to, czego on najbardziej pragnął – na swoje życie.

– Stój! – wołam, siadając.

Grayson odwraca się do mnie, ale Oliver wciąż obejmuje syna ramieniem i coś do niego szepcze.

– On przybył tu po nią, prawda?

Oliver odwraca się z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

– Grayson, weź tablet! Przerwij odliczanie!

Podłoga dudni pod naszymi stopami. Wszystkie szklane figurynki i bibeloty grzechoczą, trzęsą się, a potem spadają, by roztrzaskać się w drobny mak. To przerażający dźwięk, któremu towarzyszy deszcz ostrych odłamków zmieszany z gruzem i pyłem z sufitu osypujących się na mnie, gdy kulę się za ladą.

Czuję, jak ramiona Mike'a obejmują mnie i wyciągają zza kontuaru. Potykamy się na kobiercu z potłuczonego szkła, zmierzając w stronę drzwi i schodów, gdzie Oliver praktycznie ciągnie za sobą syna.

– Pomóż nam, Grayson! – wołam.

Oliver odwraca się i strzela. Pocisk trafia mnie w ramię i odrzuca z powrotem do wnętrza sklepienia. Tracę równowagę na kruszonym szkłe. Odłamki wbijają mi się w plecy, gdy upadam; czuję milion bolesnych ukłuć w ciele rozcinanym na strzępy.

Mike podnosi się i strzela, ale Oliver wycelował prosto w jego głowę. Mike jest martwy, zanim osuwa się u moich stóp.

Grayson chwytając ojca za rękę i wrywa mu z dłoni karabin. Nasze spojrzenia spotykają się i dostrzegam w jego oczach ból, smutek i agonię bolesnej walki. Chwila zawahania sprawia, że ojciec chwytając go mocno za boki. Oliver mówi coś do Graysona, przekonuje, lecz ten uwalnia prawą rękę, wyszarpuje tablet z rękawa kombinezonu ojca, po czym ciska urządzenie na marmurową posadzkę. Ląduje ono w pół drogi między nami, Grayson rzuca się w jego stronę, ojciec jednak chwytając go i przytrzymuje, a potem z większą siłą, niż jest to konieczne, pociąga do tyłu.

Patrzę z przerażeniem, jak obaj przelatują przez szklaną poręcz. Sekundę później słyszę nieprzyjemny odgłos pękającego posągu Tytanów. Rozlega się plusk wody i ich krew miesza się z wodą w fontannie.

Ekran tabletu jest pęknięty, ale wciąż się świeci, pokazując odliczanie.

Próbuję usiąść, a później pełznąć. Każdy ruch sprawia, że odłamki szkła wbijają się głębiej w moje ciało – w łokcie i kolana – przez postrzępiony kombinezon.

Kroki. Tupot ciężkich buciorów na marmurze. Tytani i koloniści zbiegają po krętej helisie ogromnych schodów.

Sięgam dłonią w stronę tabletu.

– Stój!

Minimalizuję odliczanie.

– Stój, bo strzelam.

Moje palce pracują, wyszukując dostępu do sekwencji uaktywniającej ładunki wybuchowe. Nie ma żadnego kodu, tylko weryfikacja za pomocą odcisku palca jedynie dwóch osób na całym świecie: Olivera

Nortona Shawa i Nicholasa Stone'a.

Pocisk trafia w podłogę niecały metr ode mnie. Krzywię się, zamykam oczy i przykładam kciuk do ekranu.

## 40: Nick

Kiedy odliczanie w tablecie zostaje przerwane, ciskam urządzenie daleko i przetaczam się na bok. Krew sączy się z tysiąca ran na moim ciele. Spodziewam się, że w każdej chwili na białą marmurową posadzkę mogą wypłynąć moje wnętrzności jak zawartość piniaty rozbitej przez jakiegoś szczęśliwca.

Może tamci na to właśnie czekają – na łatwiejsze rozwiązanie.

Patrzę w lufy wycelowanych we mnie karabinów i przepełnione nienawiścią twarze trzymających je Tytanów. Okrążają mnie, popatrując na siebie, zapewne zastanawiają się, czy wszyscy mają zacząć strzelać równocześnie, żeby nie było wiadomo, kto zabił, czy może chcą przeprowadzić regularną egzekucję? A może po prostu zaczekają – bądź co bądź i tak niedługo umrę. Mój koniec jest bliski. Cokolwiek powiem, nie odwrócę tego.

Mam twarz Tytana. Kiedy tamci na mnie patrzą, widzą Nicholasa Stone'a, człowieka, który zniszczył ten świat i sprawił, że Tytani zwrócili się przeciwko sobie. Widzą łotra, który wielokrotnie zdradził ludzkość, zabijając swoich kompanów na Heathrow, a następnie zaplanował i przeprowadził ten ostateczny atak.

Kiedy czekam na koniec, mimowolnie zastanawiam się nad tym, kim stał się Nicholas, jak wszystkie jego nadzwyczajne osiągnięcia uczyniły go aroganckim, podczas gdy poczucie winy za popełnione błędy niszczyły w nim kompas moralny, sprawiając, że coraz bardziej zamykał się w sobie, stając się bezdusznym egoistą, w głębi duszy pragnącym choć raz jeszcze zaznać odrobiny szczęścia. Wydaje mi się, że tuż przed startem, zanim samolot wzbił się w powietrze, poczułem jego desperację, lęk, że nigdy już nie będę szczęśliwy ani spełniony. On był mną, on jest mną. Jestem zdolny do tego wszystkiego co on. Chyba w odpowiednich okolicznościach wszyscy jesteśmy w stanie czynić zło.

Ruch. Tytani zacieśniają krąg wokół mnie.

Za nimi rozbrzmiewa muzyka śmierci i zniszczenia. Czerwona od krwi woda bulgocze poniżej w zdemolowanej fontannie – posąg Nicholasa i Olivera, na który spadło z wieży tak wielu Tytanów, odłupując kolejne fragmenty kamienia, miażdży ich. Nieopodal za mną odłamki szkła z potłuczonych bibelotów sypią się na podłogę sklepienia jak wietrzne dzwonki poruszone przypadkiem w leniwy bezwietrzny dzień. Skupiam się na dźwięku każdego spadającego odłamka i zastanawiam, czy to kawałki mojej twarzy, czy jakiegoś innego Tytana. Wyobrażam je sobie walające się na podłodze, nierozpoznawalne w morzu szklanych drobin.

Od strony wielkiej helisy schodów dochodzą kroki. Tytani rozstępują się.

Sabrina.

– Cześć, Nick.

Nie spodziewałem się, że mogę się ucieszyć, słysząc jej głos – lub własne imię. Po prostu Nick. Nigdy nie będę się posługiwał imieniem Nicholas.

Nachyla się nade mną ze strzykawką w dłoni.

– Zaczekaj.

– Jesteś poważnie ranny – mówi Sabrina mechanicznym tonem; to najwspanialszy dźwięk, jaki mogę sobie wyobrazić. – Musimy...

– Skąd wiedziałaś?

– Harper.

– A skąd ona wiedziała?

Sabrina unosi brwi.

– To może na zawsze pozostać tajemnicą.

– Ona...

Sabrina kręci głową szczerze zasmucona. To coś nowego. Znów zbliża się do mnie ze strzykawką, ale ja unoszę rękę, chociaż ten ruch wyciska z moich ust jęk bólu.

– Masz jakiś plan? Wyślesz ostrzeżenie do dwa tysiące czternastego roku?

– Tak. Wspomnienia.

– Wspomnienia?

– Szczegółowy skan mózgu pozwala ustalić położenie każdego elektronu w każdym neuronie. Yul zajmował się tą kwestią naukową, wykorzystując kwantonet, by przesłać dane w przeszłość, ale nie zdołał dokończyć swojego dzieła.

A więc Yul także nie żyje.

Strzykawka wciąż czeka w gotowości, a Sabrina mówi dalej:

– Wierzę jednak, że koloniści są w stanie dokończyć jego pracę. Yul został przeskanowany, zanim umarł, tak więc mamy jego wspomnienia i możemy je przesłać.

– A co z Harper?

– Niestety, przykro mi, Nick.

– Przeskanujcie ją.

– Nie możemy...

– Widziałem, jak spadła. Czy jej ciało jest nienaruszone?

– Nie wiemy. Jest w wodzie.

– Wyciągnijcie ją. Macie jeszcze jeden statek powietrzny. Odnajdźcie ją i przeskanujcie jak najszybciej.

– Nick, nie mamy pewności...

– Zrób to, Sabrino. Jesteś nam to winna. Proszę.

∞

Nie wiem, jak długo już siedzę w laboratorium obok ciała Harper. Nie mogę opuścić tego miejsca. Tak wiele między nami pozostało niedopowiedziane. Jak przejść do porządku dziennego po przedwczesnej śmierci kogoś, kto był ci naprawdę bliski? Kogoś, kto miał jeszcze tyle życia przed sobą? Sądziłem, że gdy ją zobaczę... to mi pomoże. Ale nie pomogło. Może wrócić jutro. A może będzie gorzej.

Przechesuję palcami jej jasne włosy, całuję jej zimne ciało i wychodzę.

∞

Przez ostatnią godzinę Sabrina daje mi wykład o prawdopodobieństwie, że wspomnienia Harper nie zdołają wrócić do 2014 roku, i o szansie, że któremuś z nas to się uda. Mówi, że Harper była martwa przez blisko pół godziny, zanim jej mózg został przeskanowany, i że to najwyraźniej komplikuje całą sprawę. Kluczem do powodzenia jest to, że w obu liniach czasowych są obecne te same neurony. Sabrina uważa, że byłoby lepiej nie przysyłać z powrotem jej neuronów. Sabrina została przeskanowana podczas ataku na Miasto Tytanów, a Yul niedługo przed tym wydarzeniem.

Za godzinę ja również poddam się skanowaniu. Sabrina mówi, że nie będę pamiętał niczego, co wydarzy się później, że wspomnienia przesyłane w przeszłość – o ile to się uda – urwą się z chwilą, gdy znajdę się w urządzeniu skanującym.

Wylicza całą listę zagrożeń, począwszy od uszkodzenia mózgu przez udar po schizofrenię. Brzmi to jak ostrzeżenia na ulotce leków jakiejś znanej firmy farmaceutycznej, tyle że Sabrina mówi wolniej i zajmuje jej to sześćdziesiąt minut (kazano mi wstrzymać się z pytaniami, dopóki nie skończy).

Kiedy ona peroruje, ja zastanawiam się, co właściwie mam zrobić. Myślę o tym, czego pragnę: Harper, tej, którą poznałem. Ale to egoistyczny wybór, decyzja podjęta przez Nicholasa. I zastanawiam



się, co by wybrała Harper, gdyby siedziała tu zamiast mnie. Oto jest rozwiązanie: powinienem zignorować swoje pragnienia i skupić się na tym, czego ona by chciała. Kogo ja chcę oszukać? To przecież niemożliwe. Fakty. Co tak naprawdę wiem? Tu, w 2147 roku, Harper wielokrotnie ryzykowała życie, by ocalić innych. I na koniec, gdy wiedziała, że jest jedyną osobą, która może powstrzymać Nicholasa, oddała życie, by tego dokonać. Zawartość dziennika, który odnalazła w swoim mieszkaniu, bardzo ją zmieniła. Nie spodobały jej się wybory, jakich dokonała w tym świecie. Wiem, że pewne rzeczy chciałaby zrobić inaczej. Ale może nigdy nie mieć po temu okazji, jeśli ostrzeżenia Sabriny okażą się uzasadnione. Wszystko sprowadza się do jednego: trzeba pozostawić ją taką, jaka była w 2014 roku, co zagwarantuje, że będzie cała i zdrowa, albo przesłać jej wspomnienia w przeszłość wraz z naszymi i rzucić kości, stawiając na jej życie.

– Jakież pytania? – odzywa się w końcu Sabrina.

– Skąd pewność, że koloniści będą w stanie dokończyć dzieło Yula?

– Nie mamy jej. Umysł Yula dalece wybiegał poza jego czasy. Ale czas to jedyne, co mamy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czy koloniści rozwiążą problem kwantowy transferu wspomnień jutro czy za tysiąc lat, nie ma dla nas żadnego znaczenia. Jeśli wspomnienia powrócą do dwa tysiące czternastego roku, po skanowaniu niczego nie będziemy pamiętać. Upływ czasu w tej linii czasowej nie będzie miał żadnego znaczenia.

Przecieram oczy. Wciąż trudno mi to wszystko zrozumieć. Ton Sabiny łagodnieje.

– Mam pewną sugestię, Nick.

– Tak?

– Zdecyduj o losie Harper – czy chcesz spróbować przesłać jej wspomnienia, czy nie – gdy będziemy skanować ciebie.

Kiwam głową.

– Żebym nie pamiętał, jakiego dokonałem wyboru. Żebym nie miał wyrzutów sumienia.

– Otóż to.

Sabrina ma rację. Poczucie winy może być niebezpieczne. Nicholas jasno dał mi tego dowód.

I będę miał czas na podjęcie decyzji. Lata albo nawet dekady, jeśli to będzie konieczne z punktu widzenia nauki.

– W porządku.

– Jesteś gotowy?

– Tak.

∞

Wchodzimy w milczeniu do laboratorium, gdzie stoi wielka maszyna. Sabrina wyjaśnia mi szczegóły jej działania i mówi, że po całej procedurze mogę się czuć osłabiony i na wpół przytomny, ale prawie jej nie słyszę, bo bez reszty pochłania mnie decyzja.

Wreszcie wskakuję na zimny metalowy biały stół i czekam, aż maszyna zostaje uruchomiona; szum narasta z każdą sekundą.

Ku mojemu zdziwieniu, gdy leżę, Sabrina ujmuje moją dłoń i spogląda na mnie.

– Do zobaczenia w dwa tysiące czternastym roku, Nick.

## **Część III: Nieznajomi**

## 41: Harper

Skończyło się. Najwspanialsze siedem godzin i osiem minut podróży w moim trzydziestojednoletnim życiu na planecie Ziemia.

Koniec.

Z głośnika dobiega głos Jillian oznajmiającej zakończenie tego cudownego lotu (chlip, chlip). Jest pogodny, zdecydowany, rzeczowy. Stewardesa wita wszystkich pasażerów (zwłaszcza członków klubu wylatanych kilometrów) na londyńskim lotnisku Heathrow, ma nadzieję, że podróż minęła przyjemnie (jeszcze jak!) i że już wkrótce znów się spotkamy (jestem gotowa polecieć dokądkolwiek, byle tylko nie wstawać z tego fotela).

Nigdy nie zrozumieć pośpiechu, z jakim ludzie zmierzają do wyjścia z samolotu. Zupełnie jakby w części ogonowej maszyny wybuchła zabójcza epidemia spowodowana przez szalejące, pożerające ludzkie tkanki zabójcze bakterie i wszyscy na łeb na szyję rzucają się do wyjścia, by uniknąć zarażenia. Czy aż tyle osób spieszy się na przesiadkowy lot?

Tłoczą się w przejściach, wyszarpują torby ze schowków podsufitowych, pospiesznie chwytają tablety, czytniki i przekąski zachomikowane podczas lotu, chowają do podręcznego bagażu i nawet nie kwapią się, by go dobrze zapiąć.

Słychać kakofonię głosów: „Przepraszam... oj, sorry... To pana torba? Mógłby pan?”.

Wsiądę ostatnia. Boję się powrotu do domu. Bo muszę podjąć decyzję.

Boże, na samą myśl o tym psuje mi się nastrój.

– W porządku?

Facet z 2A. Krótkie ciemne włosy, twarz jak wyciosana z kamienia, amerykański akcent. Chyba.

– Tak – wykrztuszam, ale ledwie mnie słychać w tej niekończącej się grze w twistera w ciemnym przejściu.

– Może pomóc?

Dobrze by było.

Mruży oczy.

– Pomóc z torbą?

– Ee...

– Te, casanova, niektórym się trochę spieszy. – Grayson Shaw. Już nie podpity. Pijany.

– Właśnie. Może się przesuniesz? – ten z 2A nie ustępuje.

Grayson wyrzuca z siebie potok inwektyw, odwraca się i wychodzi przez klasę biznesową.

Ten z 2A otwiera klapę schowka nad fotelem i wyciąga torbę, która w jego rękach wydaje się lekka jak piórko. Aż się krzywię, gdy bez wysiłku stawia tę moją zniszczoną czarną torbę w przejściu. Torba lekko się pochyla, bo brak jej jednego kółka. Dostałam ją na Gwiazdkę jeszcze na studiach, a ponieważ rzadko podróżuję, nie miałam okazji, żeby wyłuskać kilka funtów na nową. Torba kolebie się jak jawny dowód na to, że nie zasługuję na miejsce w pierwszej klasie na pokładzie samolotu. W oczy rzucają się zwłaszcza pozostałości nieudolnie usuniętej białej nalepki, którą próbowałam zerwać, ale klej przypuszczalnie połączył się z płótnem na poziomie molekularnym. Nakleił ją mój podpity kumpel prawie dziesięć lat temu w Hiszpanii. Napis na niej brzmiał: „Kocham guacamole” albo „Viva la revolución”, już nie pamiętam.

– Dzięki – mówię ochryple.

Jadę linią Heathrow Express na dworzec Paddington, potem metrem, cały czas gapiąc się na telefon, wciąż wyłączony, i obawiając się tego, co mnie czeka.

W domu włączam komórkę.

Dwie wiadomości w poczcie głosowej. Jedna od mojego agenta, druga od mamy.

Głos agenta warczy mi wprost do ucha: „Cześć, Harp, mam nadzieję, że lot był udany. Zadzwoń, gdy wrócisz do domu. Naciskają na mnie, żebym przekazał im twoją decyzję. Jeżeli się nie zdecydujesz, wybiorą drugą kandydaturę. A nie chcą tego robić. Ja nie chcę, żeby to zrobili. Wykorzystaj okazję, Harp. Przemyśl to, dobrze?”.

Mama tylko się upewnia, że jej jedynaczka nie rozbiła się nad Atlantykiem ani gdzieś nad angielską prowincją. Jest późno, ale wiem, że się martwi, nie śpi, czeka na mój telefon.

Rozmowa jest jednostronna, głównie ona mówi. Siedzę na mojej zapadniętej kanapie z kremową narzutą, słuchając najświeższych nowinek o młodych i starych krewnych. Wiem, do czego mama zmierza, i przygotowuję się na to mentalnie. Ethan, mój kuzyn, wybiera się na Harrow, choć wujka i ciocię nie bardzo na to stać, a skoro o wujku mowa, Clive kupił konia, co zdaniem mamy jest przejawem kryzysu wieku średniego, choć to z pewnością lepsze niż romans... a skoro o randkach mowa...

Gdy się rozłączam, krążę niespokojnie po mieszkaniu, zastanawiając się nad decyzją. Wyjmuję spod materaca notatnik Alice Carter i kładę na stoliku do kawy, przyglądam mu się ze współczuciem, jak można by patrzeć na dziecko, zanim złamiesz mu serce. Wyjazd na letnie wakacje musi zostać odłożony na przyszły rok, kochanie. Mamusia musi pracować. I myślę, że do tego się to sprowadza. Ale potem będę mogła poświęcić się wyłącznie Alice, zapewnić jej tyle czasu, na ile zasługuje. To brzmi jak racjonalna, dojrzała decyzja.

Kogo ja próbuję oszukać? Wciąż jestem rozchwiana jak moja torba podróżna na trzech kółkach. Może z tych pieniędzy kupię nową.

Mogę zrobić tylko jedno, żeby ułatwić sobie podjęcie decyzji.

Nakładam płaszcz i w zamyśleniu zastanawiam się, schodząc po schodach: wódka czy wino?

Ponieważ od tej pory podejmuję tylko praktyczne, racjonalne, dojrzałe decyzje, wybieram wódkę. Daje większego kopa. I ma więcej czystej mocy pozwalającej ujrzeć prawdę i podjąć ostateczną decyzję. W dodatku ma mniej kalorii. Mniej kalorii to dobrze. Mama zawsze mi mówi, żebym na siebie uważała, bo nie chcę przecież zostać grubą starą panną jak kuzynka Dolly.

## 42: Nick

– Znałem twojego ojca, Nick.

Nie cierpię, gdy spotkanie zaczyna się od takich słów. Nigdy nie wiem, co powinienem powiedzieć. Niektórzy robią się sentymentalni (mój ojciec zmarł dwa lata temu), inni przypominają sobie wydarzenia, których nie pamiętam, bo byłem za mały (i właśnie o tym słucham z największą przyjemnością), a jeszcze inni, tacy jak siedzący przede mną Alastair Hughes, po prostu milkną, czekając na moją reakcję.

Przez chwilę spoglądam na panoramę Londynu, a w każdym razie na to, co widać wśród wszechobecnej mgły. Szary dzień odpowiada mojemu samopoczuciu. Może powinienem przeprowadzić się do Londynu. Byłaby to jakaś zmiana. I dobra inwestycja. Chociaż słyszałem, że zamierzają opodatkować domy, których właścicielami są cudzoziemcy. Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobili.

– Czy pan też był dyplomatą? – pytam w końcu.

Okazuje się, że tak. Mówi o kilku swoich placówkach, opowiada historyjkę o moim ojcu z 1985 roku, z Nikaragui, nie znałem jej. Dobra anegdota, świetnie opowiedziana. Lubię Alastaira Hughesa. I myślę, że to może być puentą. Założę się, że był doskonałym dyplomatą.

Kiedy ostatni wybuch śmiechu przechodzi w chichot, a potem zapada refleksyjna cisza, Alastair przechodzi do rzeczy.

– Chce pan wybudować tamę przez Cieśninę Gibraltarską? – pytam, gdy kończy.

Alastair wychyla się nieznacznie do przodu.

– My zbudujemy tamę w Cieśninie Gibraltarskiej.

Patrzę na trzech mężczyzn, zastanawiając się, co, u licha, może to mieć wspólnego ze mną. Przed spotkaniem powiedziałem im, że zazwyczaj sponsoruję firmy związane z internetem, na ogół na wczesnym etapie rozwoju. Wstępne inwestycje są niezbyt kosztowne; zakładając, że firma się przyjmie, przeważnie partycypuję w późniejszych umowach sponsorskich, odzyskując swoje środki z zysków. I to w dwójnasób. Rzadko wkładam w jedną firmę więcej niż dwadzieścia milionów, zanim upadnie albo zyska płynność finansową. Na to, o czym tu się rozmawia, potrzeba miliardów. Zresztą nawet gdyby mieli potrzebne fundusze, wątpię, by udało im się pokonać problemy natury praktycznej.

– Realizacja tego projektu zajmie wiele dekad, Nick. To będzie największa inwestycja budowlana w historii, wielonarodowy projekt, współpraca, która odmieni oblicze Ziemi. Cuda świata starożytnego, Wielka Piramida w Gizie, świątynia Artemidy w Efezie, posąg Zeusa w Olimpii, były w większości posągami lub świątyniami. Ta tama będzie czemuś służyć. Wytyczy nowe tory dla ludzkości, odmieni przyszłość światowej współpracy i powiększy sferę marzeń. Pokaże światu, że potrafimy rozwiązywać wszelkie problemy. Nie zbuduje się tego dzięki dolarom, funtom, euro ani nawet pracy godzinowej. Ta budowa będzie oparta na konsensusie.

Podsuwa w moją stronę plik projektów. Pośrodku tamy do błękitnego zbiornika, wpuszczonego w kamienistą brązową kotłnię, która nieco dalej staje się zielona, spływa wodospad. Na szczycie widać kilka prostych niewysokich budynków.

– Tak wielka budowa wymaga mocnego fundamentu. Nie mówimy teraz o fundamencie z betonu, stali ani nawet o pieniądzech. Tylko o ludziach. Każda udana inwestycja zaczyna się od właściwych ludzi. Jestem pewien, że zawsze od tego się zaczyna, czyż nie? Gdy dwie firmy opracowują tę samą technologię, wygrywa ta, która ma lepszą ekipę w swoich szeregach.

Przytakuję głową.

– Wybierasz raczkujące firmy, bo lubisz budować coś wielkiego od podstaw, coś, co może przynieść

ci naprawdę spektakularny sukces.

– Zapewne tak.

– Na nic bardziej spektakularnego nie możesz liczyć, Nick. A nasz projekt jest dopiero w fazie wstępnej.

– Tak, ale nie wiem, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, to naprawdę imponujące, ta wizja, ten potencjał. Ale...

– Masz wyjątkowe kwalifikacje, Nick. Ludzie, z którymi dorastałeś, z którymi chodziłeś do szkoły na całym świecie, w kolejnych dekadach zostaną senatorami, premierami i prezesami firm i to oni zadecydują, czy ta zaporą powstanie. Oni są dźwignią przyszłości.

– Być może, ale powiem tylko, że choć mogłem być nawet dość lubiany, moi przyjaciele z dzieciństwa raczej nie przepadają za mną na tyle, by pozwolić, żebym osuszył morze, nad którym żyją.

– Ci ludzie cię posłuchają, Nick. To wszystko, czego potrzebujemy. Nie zostałeś dyplomatą jak twój ojciec. Pragnąłeś czegoś innego. Nie chciałeś, żeby cię z nim porównywano. Wybrałeś własną drogę.

– Coś w tym rodzaju.

– Ale poszukujesz zmiany, czegoś wielkiego. Dlatego przyleciałeś do Londynu, chociaż wiedziałeś, że nie chodzi o rozkręcenie firmy IT. Prosimy tylko, żebyś to przemyślał. To wszystko. Oferujemy ci okazję stania się prekursorem międzynarodowego projektu, który odmieni bieg historii. Twój ojciec to uwielbiał. Tylko wtedy był naprawdę szczęśliwy. Ty też masz to w sobie.

Ostatnie minuty spotkania poświęcamy na rozmowę o szczegółach i zyskach z projektu. Mówi się o odnowieniu czap lodowych za pomocą parasoli słonecznych, technologii, która wciąż jeszcze jest w fazie koncepcji i projektów. O prądach morskich i zasoleniu. O losach Morza Czarnego. Ma to na celu przekonanie mnie, że nie chodzi tylko o mrzonki garstki podstarzałych dyplomatów. Próbują się do mnie zbliżyć, przekonać, że nie spędzę kolejnych trzydziestu lat na odwiedzaniu różnych zakątków Europy, by odbyć podobne spotkania dotyczące tamy, która nigdy nie zostanie wybudowana.

Tego właśnie się obawiałem na początku spotkania, ale gdy patrzę na projekty i plany przygotowane przez różnych artystów, ogarnia mnie dziwne uczucie, podniecenie, jakiego nie czułem od dawna. Jest słabe, jak wąty, chwiejący się na wietrze płomyk zapałki, ale dla mnie rozpala się jasno jak płomienie ogniska buzującego w zimną listopadową noc.

Jestem pewien, że ta tama powstanie.

Zatrzymuję rysunki i zapewniam ich, że wkrótce otrzymają moją odpowiedź.

∞

– Co to jest SKK?

Siwowłosa mężczyzna chrząka i patrzy na mnie przez okulary o grubych szklach, które sprawiają, że jego oczy wydają się nienaturalnie wielkie, jak z kreskówki.

– SKK – szybka kolej kapsułowa – to oferująca najszybszą i najbezpieczniejszą podróż sieć torowa, która połączy cały świat. Szybsza niż pociąg. Bezpieczniejsza niż samolot. SKK. Szybciej, taniej, bezpieczniej – mówi to ze swadą, ale widzę, że jest zdenerwowany.

Biedaczysko. Lubię naukowców. To moi ulubieńcy. Jak dotąd.

Podobnie jak wszyscy inni czuje się nieswojo poza swoim obszarem działań. Większość nie lubi udzielać się publicznie. Ten też.

Uczony siedzi obok faceta, którego znam jeszcze ze studiów, ale od tamtej pory widzieliśmy się zaledwie kilka razy. Urządzam spotkanie na jego życzenie, nie wiedząc, o co właściwie chodzi. Byłem w mieście, a samolot mam dopiero za kilka godzin. Pomyślałem więc, co mi tam.

Mój znajomy jest specem od marketingu. Powinien się nadać. Najwyraźniej przygotował uczonego. W tym właśnie problem: marketingowcy uczą naukowców odpowiednich tekstów, bo to oni później mają relacjonować wszystko inwestorom.

Wyobrażam sobie, jak to mogło wyglądać. „Mów o zyskach. Nie wdawaj się w szczegóły. Mów o zyskach”.

Z pewnością nie obyło się bez porównań. „Nie sprzedajesz miętówek ani odświeżacza do ust, ale nowy, atrakcyjny produkt, styl życia, to, jaki możesz być, gdy już skorzystasz z tych miętówek. Nie chodzi o szampon, ale o to, że lśniąca, świeża, seksowne włosy zwrócą uwagę tego przystojniaka, który mieszka na drugim końcu korytarza, on się odwróci, a potem zaprosi cię na randkę. Nie chodzi o szampon, ale o dom i wspaniałe dzieci, które możesz mieć z tym przystojniakiem, kiedy cię w końcu zauważy. A jakby tego było mało, wspomniany szampon zawiera niezliczone witaminy i minerały mające na celu wzmocnić suche lub zniszczone włosy. Dowód naukowy niesie ze sobą pewność. Podeprzyj się nauką, jeżeli możesz, ale zacznij od ewidentnych korzyści, niech wiedzą, że chcą tego, co masz im do zaoferowania”.

Ludzie z mojej branży potrafią jednak sami oszacować potencjalne zyski. Chcemy wiedzieć, czy produkt odniesie sukces i czy nie wciska się kitu. Solidny marketing jest w stanie na krótką metę wepchnąć ludziom gorszy produkt. Tylko mocny produkt może być sprzedawany długo.

– Jak SKK może połączyć cały świat?

Po dłuższej chwili niepewności, upewnieniu się, czy podpisałem dokument o nierozpowszechnianiu informacji, do których udziela mi się dostępu (to tyle, jeśli chodzi o zaufanie ze strony starego przyjaciela), otrzymuję wyjaśnienie: zakupiono za bezcen patenty brazylijskiej spółki węglowej. Dość rewolucyjna sprawa. Skomplikowany model biznesowy: sprzedają minerały, które wydobywają z podziemnych tuneli, wszystko, od rudy żelaza przez złoto, srebro i miedź, dzieląc zyski ze sprzedaży z rządami poszczególnych krajów w zamian za monopol na zakładane linie komunikacyjne. Kontrola nad nimi zostanie przekazana w ręce miejscowych operatorów, co ma zapewnić, że większość wpływów ze sprzedaży biletów zasili lokalną gospodarkę. To sprytne. Może pociągać za sobą pewne problemy, ale może okazać się globalną kopalnią złota, zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

To wykracza poza moje kompetencje. Zwykle podczas takich spotkań zastanawiam się nad aplikacjami, które w ciągu dwóch lat mogą przynieść miliardowe zyski albo okazać się nic niewarte, w zależności, czy znajdą uznanie wśród hipsterów i nastolatków.

Chcą zacząć w Anglii, która, zważywszy na gęstość zaludnienia i problemy lokalowe, zwłaszcza w Londynie, powinna okazać przychylność dla projektu.

Przyznaję, że to brzmi dość interesująco, ale zupełnie się na tym nie znam.

– Nie jest to coś, w co zwykle inwestuję – mówię. Ale dodaję, że pomogę, jeśli tylko będę mógł.

– W obecnej chwili, Nick, zależy nam na kontaktach. – Mój kolega ze studiów na chwilę milknie, po czym dodaje pospiesznie: – Ale też, oczywiście, na twoich radach.

Zaczynam w myślach przeglądać swój rolodeks.

– Pomyślę nad tym, kogo znam i kto mógłby być zainteresowany.

– Oczywiście otrzymasz honorarium jako współudziałowiec z tytułu każdej inwestycji, jaką dzięki tobie wdrożymy.

– W porządku. Za darmo mogę tylko służyć informacjami o potencjalnych klientach.

– To najlepsza kontroferta, jaką kiedykolwiek słyszałem! – Mój dawny kolega uderza otwartą dłonią w blat stołu i przenosi wzrok na uczonego, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem? Dlatego jestem wam potrzebny”.

Oto więc najbardziej aktualna historia SKK: uczonego pracował dla niedofinansowanej firmy z Brazylii, gdy kompania splajtowała, sięgnął po telefon w poszukiwaniu kogoś, kto pomógłby mu w wykupieniu patentów, bo rozpaczliwie pragnął kontynuować swoją pracę. Zapewne miał dom obłożony hipoteką i włożył w nią wszystkie oszczędności albo nawet oszczędności całej swojej rodziny. Mój kolega nie za bardzo zna się na interesach, ale chce się przekonać, czy ktoś z dużych graczy jest w stanie się dołożyć i urzeczywistnić tę wizję. To dość pospolity przypadek.

– Jedna rzecz.

Obaj mężczyźni czekają, unosząc brwi.

– Nie możesz nazwać tego SKK.

Zdziwienie.

– Kolej kojarzy mi się z czymś starym i powolnym. Z pociągiem.

– To zastąpi pociągi – mówi mój kolega ze studiów.

Tak, nazwa SKK jest z pewnością jego pomysłem. Uczony wodzi wzrokiem tam i z powrotem, jego oczy za grubymi szklami okularów wyglądają jak wielkie ryby w akwarium.

– Prawda. Zastąpi pociągi, ale to będzie nowsza, szybsza technologia. Poza tym nie używałbym skrótów. To źle się kojarzy. SKK brzmi jak skakanka. Bez sensu. Nazwa musi być konkretna i zdecydowana.

– A jaką nazwę byś wybrał? – W jego głosie słyszę gniewny ton.

– Nie wiem. Wymyśliłbym z dziesięć różnych nazw i przedstawiłbym je kilku różnym grupom testowym. Obecnie, w dobie mediów społecznościowych, jest to względnie tanie. Jeżeli projekt okaże się tak duży, jak myślisz, może warto pogłowić się nad odpowiednią nazwą, bo jest ona decydująca dla powodzenia inwestycji. Może kapsułowce. Wagony w tunelach będą przypominać kapsuły. A kapsuła kojarzy się z ratunkiem. Z bezpieczeństwem. Z komfortem. I nową technologią.

– Kapsułowce? Kabinowce? Odrzutowy transport kabinowy? – Kolega kiwa głową do uczonego, który jednak nie reaguje.

– Odrzutowce się rozbijają – wtrącam.

– Już nie. To znaczy rzadko się rozbijają.

– Ludzie rzadko myślą, że coś może im się stać. Metro się nie rozbija.

– Metrokapsuły?

– Brzmi jak nazwa kanału telewizyjnego.

– Kapsułopody.

– To brzmi jak nazwa części rośliny. – Kręcę głową.

– A może po prostu kabinowce?

– Czemu nie. Niech tak zostanie.

∞

Pokład samolotu to najgorsze miejsce, gdzie może ci się zrobić niedobrze. No może nie najgorsze, ale czuję się fatalnie, raz po raz odwiedzam toaletę, żeby puścić pawia. Opieram się o ścianę i czekam, aż ból i mdłości miną.

Wracam na swoje miejsce blady i wyczerpany.

– Coś ci zaszkodziło, kolego? – pyta facet z sąsiedniego rzędu.

– Chyba tak – odpowiadam niepewnie.

To nie zatrucie pokarmowe. W życiu nie miałem migreny. Nigdy nie czułem się taki chory. Coś jest ze mną nie tak. I to bardzo. Z Heathrow do San Francisco. Osiem godzin. Zastanawiam się, czy to przeżyję.



## 43: Harper

Ilość wódki wypitej ubiegłej nocy: 0,25 l

Liczba podjętych ważnych decyzji: 0

Obejrzone odcinki *Sherlocka*: 2

Budzi mnie telefon, na wyświetlaczu widzę numer mojego agenta.

Wczoraj wieczorem było zbyt późno, żebym oddzwoniła. Mój agent i ja nie jesteśmy ze sobą aż tak blisko. Jeśli teraz do niego nie zadzwonię, uzna, że go unikam. Zaczynam wymyślać historyjki, żeby się wytłumaczyć, i zastanawiam się, która z nich zabrzmiałaby najbardziej przekonująco.

*Złapałam jakiegoś paskudnego wirusa, Ron. Te cholerne samoloty, sam wiesz, muszę odespać...*

*Mama zachorowała...*

*Och, Ron, upuściłam telefon, wysiadając z samolotu, i rozbił się o płytę lotniska, rozsypał się w drobny mak. Potem jeszcze przejechała po nim bagażówka, cysterna i wyobraź sobie, że jej kierowca próbował ominąć mój telefon, ale zderzył się z inną ciężarówką. Wybuch był olbrzymi, a płonące szczątki samolotu runęły na moją komórkę. Ona wciąż gdzieś tam jest.*

Ostatnia wymówka jest chyba trochę za bardzo naciągana. Nic tak nie demaskuje kłamstwa, jak przesada.

Ale żadne z tych kłamstw się nie sprawdzi. To wada epoki cyfrowej: nikt tak naprawdę nie jest w stanie uciec. Nawet gdybym straciła komórkę czy ją zgubiła, rozchorowała się albo musiała pomóc mamie zrobić coś w domu, miałabym dostęp do internetu i mogłabym wysłać krótkie: „Tak”. To nieuprzejme z mojej strony, że nie oddzwoniłam po tym, ile trudu sobie zadał. Zasługuje na odpowiedź, podobnie jak mój wydawca i pan Shaw.

Włączając komórkę, wysłałam mejl, w którym dziękuję agentowi za to, że dał mi tę okazję, ale... nie podjęłam jeszcze decyzji.

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

„Dzięki, Harp. Zastanów się nad tym tak długo, jak potrzebujesz, ale chcę, byś wiedziała, że oni chcą jak najszybciej puścić ten projekt w ruch. Za godzinę muszę zadzwonić do wydawcy, to chyba coś pilnego. Będę cię informował na bieżąco”.

Wódka nie pomogła w podjęciu decyzji. Pora na inną taktykę.

∞

Przebiegnięte kilometry: 5

Poprawka, gwoli uczciwości:

Przebiegnięte kilometry: 2,5

Kilometry pokonane w marszu podczas rozważań nad życiem i ważnymi decyzjami: 2,5

Liczba podjętych decyzji: 0

Gdy wracam, czekają na mnie dwie wiadomości na poczcie głosowej. Obie od Rona. Odsłuchuję pierwszą:

„Właśnie wracam ze spotkania z wydawcą, Harp. Shaw bardzo cię polubił – to oczywiste. Wydawca chce zadzwonić do niego rano do Nowego Jorku i powiedzieć, że ruszamy z projektem. Poza tym podwoili twoją zaliczkę i procent od sprzedaży, nie pytając mnie nawet o zdanie. Może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej. Coś się kroi, dowiem się, w czym rzecz. A jak na razie potrzebuję twojej odpowiedzi jak najszybciej, Harp. To naprawdę wyjątkowa okazja”.

I następna wiadomość nagrana kwadrans później:

„Chyba wiem, co się szykuje, Harp. Doszły mnie słuchy, że syn Shawa, Grayson, próbuje opublikować swoje pamiętniki. Wydawcy z Nowego Jorku nie chcą się tym zająć, ale on ma tu agenta i wspólnie pukają do kolejnych oficyn. Zapowiada się ostra licytacja. Plotki głoszą, że ma do wyjawienia wiele pikantnych tajemnic. Może nawet oskarżenia o charakterze kryminalnym. Ujawnienie szczegółów z życia sławnych i bogatych. To będzie naprawdę nieprzyjemne. Oliver Norton Shaw potrzebuje kogoś, kto opowie jego historię, prawdziwą historię, zanim te kubły pomyj trafią na półki księgarskie. Niezależnie, kto to napisze, książki będą wzajemnie napędzać sprzedaż.

To naprawdę okazja jedyna w swoim rodzaju, Harp. Oddzwonź do mnie, gdy odsłuchasz tę wiadomość”.

Aaach, dziś podejmę decyzję. I wiem już jaką.

∞

Po wizycie u W.H. Smitha jestem uboższa o osiem i pół funta, ale stałam się dumną właścicielką mnóstwa notatników, przyborów do pisania i plansz, które walają się na podłodze w moim pokoju. Przenoszę się na kanapę, a krzesła i stoły przesuwam pod ścianę. Teraz to miejsce zmienia się w pracownię, świątynię poświęconą Alice Carter.

Zamierzam przeznaczyć na Alice cały dzień, wkładając całe serce w jej historię. Jeżeli wena przyjdzie, jeżeli poczuję, że ta historia domaga się tego, bym ją napisała, poświęcę Alice tyle uwagi, ile będzie trzeba. Jeśli okaże się, że to mordęga, harówka jak w ostatnich latach, odłożę ją na dalszy plan i podejmę racjonalną decyzję.

To logiczny wybór.

I tak właśnie zrobiłby każdy racjonalnie myślący dorosły człowiek. Od razu czuję się lepiej.

## 44: Nick

Gdy samolot ląduje w San Francisco, jestem już w lepszym stanie. Fizycznie. Bo przepełnia mnie dziwne przeświadczenie, że o czymś zapomniałem. Że nie robię czegoś ważnego, co powinienem. Niepokoi mnie to jak poczucie winy.

Ale przynajmniej coś czuję. To coś nowego.

Dzwonię do jedynej osoby, która, jak sądzę, może mi pomóc. Na szczęście ma dla mnie czas.

∞

– Jak ci minął tydzień?

– Jak zwykle.

– Wyjaśnij.

Doktor Gomez prostuje nogi i rzuca mi spojrzenie psychologa. Chyba wszyscy psycholodzy rodzą się z tą umiejętnością albo nabywają ją na studiach.

– Czuję się, jakbym oglądał swoje życie z perspektywy widza.

– Czyli?

– Nie czuję żadnych emocji, gdy powinienem coś poczuć. Nawet już się nie złościę. Przeważnie jest mi obojętne, co się wydarzy. Czuję się pusty, ale... przez ostatnie dwa dni miałem przemożne wrażenie, że zapomniałem o czymś ważnym. O czymś bardzo ważnym.

– Czy czujesz, że coś ci grozi?

– Co?

– Czy czujesz, że coś może grozić tobie albo komuś?

– Nie. Nie słucha mnie pan. Nie czuję zupełnie nic i nie zamierzam sobie czegoś zrobić. Nie mam depresji. Ani manii. Nie mam żadnych emocji. Zupełnie jakby przewody w moim mózgu zostały odłączone. Nie zamierzam ze sobą skończyć ani nikogo skrzywdzić. Ale śmiertelnie się boję, że najlepsze lata mojego życia miną, a ja będę się na nie gapił jak na rybki w akwarium.

∞

Pod wieloma względami inwestycje kapitałowe w firmy na wczesnym etapie rozwoju przypominają operę mydlaną.

Większość planów wygląda tak samo. Pojawiają się te same postacie, które po pewnym czasie wracają. Dochodzi do dramatycznych zwrotów akcji i spektakularnych sukcesów, potem na krótko ekran gaśnie, a postacie zaraz znów się pojawiają z następną ich zdaniem genialną propozycją.

Tajemnice są dochowywane. Plotki rozchodzą się lotem błyskawicy.

Firmy stają się sławne, pożądane, a inwestorzy robią się coraz bardziej nerwowi i podekscytowani. Właśnie to sprawia, że większość z nich wraca rok po roku, jeszcze długo po tym, gdy zarobią dość pieniędzy, by nie musieli pracować do końca życia: ryzyko, hazard, gra.

Zagadka tygodnia jest zawsze taka sama: czy ten założyciel jest geniuszem, czy może szaleńcem? Jeżeli dobrze obstawisz, wzbogacisz się. Jeżeli obstawisz błędnie, będą ci to wypominać już zawsze wszyscy, którzy nie zaryzykowali razem z tobą. Jeżeli podejmiesz zbyt wiele błędnych decyzji, nie zdołasz przekonać do sponsorowania swojego następnego projektu inwestorów z najwyższej półki, prawdziwe grube ryby, i nie zgromadzisz odpowiednich funduszy. A wtedy koniec gry.

Nie sposób rozpoznać, kto tu jest geniuszem, a kto szaleńcem. Cienka granica dzieli tych, którzy mają

dość pewności siebie, i tych, którzy mają jej za dużo. Zbyt duża pewność siebie pociąga za sobą ryzyko, podobnie zbyt mała.

W tym biznesie, jak i w innych, gdzie kalkuluje się poziom ryzyka, są liderzy i ci, którzy za nimi podążają. Niektórzy sponsorzy lubią inwestować na końcu, gdy ryzyko jest mniejsze (podobnie jak zwrot), inni wolą inwestować na początku, ale dopiero wtedy, gdy do gry wejdą naprawdę mocni gracze, znani z tego, że odnieśli wiele znaczących sukcesów. Tak jest bezpieczniej. Jeżeli ktoś taki decyduje się wyłożyć pieniądze na jakiś projekt, od razu wiadomo, że jest on wart zachodu.

Moja firma należy do liderów. W ostatnich dniach jestem zasypywany mejlami nalegającymi, żebym spotkał się z pewnym młodym człowiekiem, prawdziwym geniuszem, o którym mówi się w całym mieście. Ale mówi się szeptem: głośno zaczną mówić, gdy pojawią się pieniądze na inwestycję.

Nazywa się Yul Tan. Siedzimy w salce konferencyjnej w moim biurze, jego laptop leży na stole obok pliku papierów.

Nie wygląda na zdenerwowanego, nadmiernie pewnego siebie ani gadatliwego. Jest skupiony wyłącznie na swojej pracy. I to może być najbardziej interesująca praca, o jakiej miałem okazję słyszeć od dłuższego czasu.

– Nazywam to kwantonetem – mówi Yul, kładąc przede mną kartkę papieru. – To skrót od sieci kwantowej. Modemy będą działały z wykorzystaniem istniejących komputerów. Bezprzewodowo. Będą wykorzystywały splątanie kwantowe w celu przesyłania olbrzymich ilości danych z prędkością światła.

Wchodzi w szczegóły i chociaż są one dla mnie niejasne, nie próbuję go powstrzymywać. Szybki i tani internet, bez dodatkowych kosztów czy specjalnej infrastruktury. To postawi cały świat na głowie. Możliwości są praktycznie nieograniczone. Potencjał również.

– Zastrzegłem patenty dwa tygodnie temu.

Kiwam głową.

– Sprytnie. Zanim jeszcze zacząłeś odwiedzać inwestorów. Gdzie widzisz swoją firmę za pięć lat, Yul? Co chciałbyś z nami osiągnąć?

Jego odpowiedź pociąga za sobą problem, jaki mogliby mieć moi rodacy, i może właśnie dlatego ja miałem się z nim spotkać.

Yul Tan nie jest zainteresowany komercyjną stroną technologii ani pieniędzmi jako takimi. Chce rozdać swoje patenty za darmo twórcom, którzy zgodzą się partycypować w realizacji jego projektu. Chce tylko zająć się oprogramowaniem, żeby stało się efektywniejsze i żeby jego nowa sieć była należycie zabezpieczona przez hakerami i wszystkimi, którzy mogliby chcieć wykorzystywać ją do nieuczynnych celów. Innymi słowy jest wizjonerem, człowiekiem nieskazitelnym, do bólu wręcz uczciwym, który pragnie uczynić świat lepszym.

Dla inwestorów jest niebezpieczny. Oni nie przejmują się tym, że jakaś firma straci na początku swojej działalności albo że nie ma sprecyzowanych planów na osiągnięcie konkretnych zysków w najbliższej przyszłości – ludzie, którzy zajmują się tym biznesem, prędzej czy później chcą zarobić na tym, w co zainwestują.

Nie jestem pewien, czy Yul tego chce. Jestem jednak pewien, że uczynię, co w mojej mocy, by mu pomóc. Świat potrzebuje tego, co stworzył, i potrzebuje więcej umysłów takich jak on oraz więcej ludzi, którzy byliby gotowi wspierać jemu podobnych wizjonerów. Chcę być jednym z takich ludzi. Może właśnie w to zamierzam zainwestować. Tak czy owak, znów czuję płomień, który rozpala się jak płomyk zapałki trzepoczący na wietrze, ale...

Yul przystaje w progu mojego biura.

– Muszę spytać. Odnoszę dziwne wrażenie... Czy my się już gdzieś spotkaliśmy?

– Nie wydaje mi się.

Yula Tana na pewno bym zapamiętał.

Rozważamy możliwości: konferencje, moje wykłady, wspólnych znajomych. Yul nie próbuje się

wkupić w moje łaski, nie gra na uczuciach, rozważa problem w skupieniu, z pochyloną głową, jakby rozwiązywał złożone zadanie matematyczne.

Ale brak nam zmiennej.

Kiedy Yul wychodzi, jeszcze dłuższą chwilę siedzę w swoim gabinecie i zastanawiam się. W Yulu Tanie faktycznie jest coś znajomego.

Zjawia się moja sekretarka Julia i kładzie na biurku plik papierów.

– Bilety. Wiem, że nie cierpisz aplikacji na komórkę.

– Bilety, ale dokąd?

– Do Nowego Jorku.

– Co?

– Na spotkanie z Shawem. Zapomniałeś?

Rozmasowuję skronie. Kompletnie zapomniałem. Dlaczego wyznaczyłem termin spotkania na następny dzień po powrocie z Londynu? Uświadamiam sobie nagle, że nie to jest najistotniejszym problemem.

Po raz pierwszy w życiu boję się lecieć.

– Mam odwołać rezerwację? – pyta Julia, unosząc brwi.

– Nie, polecę.

Odwołanie rezerwacji i spotkania byłoby nieuprzejme. Ale... zastanawiam się, jakie są szanse, że dotrę na miejsce żywy.

## 45: Harper

Spodziewany wynik:

Żadne lub niewielkie postępy w sprawie Alice Carter.  
Decyzja podjęta. Napiszę tę cholerną biografię Shawa.  
Agent powiadomiony.  
Najprzyjemniej przespana noc w moim życiu.

Aktualny wynik:

Eksplozja historii o Alice Carter.  
Decyzja wciąż niepodjęta. Czuję się bardziej rozdarta niż kiedykolwiek.  
Agent rozdrażniony.  
Nie zmrużyłam oka.

To wylewa się ze mnie. Postacie. Pomysły. Fabuły. Szkic powieści za szkicem. Piszę, aż boli mnie ręka. Piszę jak opętana, bez najmniejszego wysiłku, jakbym już kiedyś napisała te książki albo przynajmniej miała w głowie zamysł całej serii.

Teraz będzie trudniej. Ale nie poddaję się. Siedzę na podłodze, wpatrując się w plansze i notatki.

*Alice Carter i tajemnice wieczności*

*Alice Carter i smoki jutra*

*Alice Carter i flota przeznaczenia*

*Alice Carter i bezkresna zima*

*Alice Carter i ruiny przeszłości*

*Alice Carter i grobowce wieczności*

*Alice Carter i rzeka czasu*

I co ja mam zrobić?

Na kuchennym kontuarze dzwoni moja komórka.

Podchodzę i biorę ją do ręki, ale trzymam na odległość wyprostowanego ramienia jak jadowitego węża, którego chcę cisnąć najdalej od siebie.

Kiedy przestaje dzwonić i włącza się sygnał poczty głosowej, wciskam przycisk i odsłuchuję wiadomość, zamykając oczy.

„Harper, jeżeli się nie decydujesz, oni wybiorą drugą kandydaturę. Ale nie chcą tego robić. Ja nie chcę, żeby to zrobili. Zadzwoń”.

Odkładam telefon na blat, wracam do pokoju i zalegam wśród moich zapisków.

Leżę, rozmyślając o innej historii, niezwiązanej z Alice Carter. To byłaby pojedyncza powieść. Sensacyjna. Albo raczej sensacyjno-fantastyczna.

Zastanawiam się, czy mój umysł rozpaczliwie usiłuje zachować tkwiące we mnie dziecko, czy to ostatni bastion mojej podświadomości, czy moja ostatnia szansa, by podążyć za rozumem i zacząć pisać beletrystykę. Sporządzam kolejne notatki, a potem rysuję na planszy: ziejący półokrąg, samolot rozerwany niemal na pół, jedna część tonie w jeziorze skąpanym w blasku księżyca wyglądającego jak rogalik.

To nie jest historia, jakie zazwyczaj czytam lub mogłabym napisać – niemniej podoba mi się. Jest inna. Ma w sobie napięcie, wartką akcję, wyścig z czasem, choć wszystko i tak sprowadza się do postaci i do tego, jak zmienia się ich życie. Chodzi o decyzje i o to, jak one kształtują przyszłość. Pomysły znów wylewają się ze mnie. Nawet nie pamiętam, kiedy zasypiam wyciągnięta na podłodze pokoju, wciąż trzymając w dłoni długopis.

## 46: Nick

Lekka migrena i mdłości w trakcie podróży do Nowego Jorku to mniej więcej jedna czwarta udreki, jakiej doświadczyłem podczas ostatniego lotu. Zwymiotowałem tylko dwa razy. Może dlatego, że lot był krótszy. Po raz pierwszy w życiu bałem się, że jestem chory. Zeszłej nocy prawie nie zmrzyłem oka, miałem mętlik w głowie, błąkały się w niej dziwne myśli.

Rozważam, co może być ze mną nie tak, tymczasem znajomy, kolejny inwestor, pochłania gotowane jajko, za które zdecydowanie przepłacił.

Po wymianie uprzejmości przechodzimy do konkretów dotyczących obiecującej kompanii, która będzie zarządzać nowym światem (to jego słowa).

– Kolonia orbitalna?

– Nie tylko. Mówimy tu o pracach wydobywczych na asteroidach, o ośrodkach rekreacyjno-wypoczynkowych – najdroższych nieruchomościach w historii ludzkości. – Nachyla się do mnie. – A możemy stworzyć ich tyle, ile zechcemy.

Przedstawia kilka kolejnych modeli biznesowych, haczyków na kapitalistów, po czym czeka, czy złapię jakąś przynętę.

Migrena wraca, tępe ćmienie, które z każdą chwilą przybiera na sile jak rozbrzmiewająca w mojej głowie symfonia bólu. Zamykam oczy i mówię niepewnie:

– To nie moja bajka.

– A podobno próbujesz rozszerzyć swoją działalność. – Znowu nachyla się do mnie. – To byłoby znacznym rozszerzeniem zasięgu.

Przywołuję kelnera i proszę o filiżankę kawy. Może mi przyniesie ulgę.

– To intrygujące – odpowiadam, starając się ukryć ból. – Ale ja szukam raczej... odmiany dla swoich obecnych firm. Chciałbym zrobić coś, co miałyby... szerszy wydźwięk społeczny.

– Och, na miłość boską, tylko nie ty, Nick. Nie mów, że ciebie też to dotknęło. Cały świat wariuje.

Zdaniem mojego towarzysza rozproszenie wielkich światowych fortun i epidemia niezaskuszonego syndromu bogactwa zrujnuje świat Zachodu.

– Szukasz czegoś, co wywoła oddźwięk społeczny, Nick? Zastanów się nad tym: na tej planecie jak dotąd doszło do pięciu zdarzeń o charakterze masowej zagłady. Nie mówimy o tym, czy, ale kiedy dojdzie do następnego. – Wkłada do ust kolejny kawałek jajka. – Musimy opuścić tę starą skałę. Co powiesz na przetrwanie rasy ludzkiej dla większego dobra?

∞

Jadę taksówką do domu Olivera Nortona Shawa, kiedy dzwoni moja komórka. Yul Tan. Tu jest 9.43, w San Francisco 6.43.

Telefony o tak wczesnej porze są rzadkością w moim świecie. Sponsorzy wstają późno i późno się kładą. Inwestorzy cały ranek czytają artykuły i wysyłają mejle albo jedzą śniadanie ze znajomymi o dość spacznym światopoglądzie.

– Nick Stone. – Odbieram.

– Panie Stone...

Już kilka razy powtarzałem Yulowi, by mówił mi Nick, ale podejrzewam, że w tej chwili to najmniejszy problem. W jego głosie słyhać niepokój, nerwowość, ożywienie, nie jest tak opanowany i skupiony jak podczas spotkania.

– Ee, myślałem, że to poczta głosowa...

– Mogę się rozłączyć, żebyś zadzwonił później, jeśli wolisz.

Nie reaguje śmiechem. Niezręczna cisza przedłuża się, a ja żałuję, że pozwoliłem sobie na ten żarcik.

– Myślałem o tobie. O tym, gdzie moglibyśmy się spotkać. Nie mogę przestać o tym myśleć. – Kaszle.

– Nie mogłem zasnąć.

Cisza. Zwykle w takim momencie rozłączam się i dzwonię do odpowiednich osób, które mogą załatwić zakaz zbliżania się do mnie albo sprawdzić, czy alarm w moim domu działa. Tymczasem sadowię się wygodniej na kanapie taksówki, odwracając głowę od kierowcy.

– Tak... ja też się nad tym zastanawiałem. Domyślasz się, co...

– Nie.

Czekam, ale on nic nie mówi, tylko pokasłuje. Chyba zadzwonił do mnie w przyływie desperacji.

– Mam straszne migreny... – mówię w końcu.

– Ja też, zupełnie jakby głowa miała mi eksplodować. Wciąż jest mi niedobrze.

– Kiedy to się zaczęło, Yul?

– Gdy cię poznałem.

∞

Siedząc w gabinecie Olivera Nortona Shawa, analizuję to, co wiem: podczas lotu z Londynu do San Francisco jest mi niedobrze. Poprawia mi się po wylądowaniu. Yul Tan zapada na podobne zaburzenie neurologiczne wkrótce po spotkaniu ze mną. Uzmysławiam sobie, że mamy do czynienia z czymś zaraźliwym. Patogenem, którego nabawiłem się w Londynie albo w samolocie. Po tym spotkaniu muszę odbyć kilka rozmów telefonicznych. Prawie boję się wrócić samolotem do domu. Teraz nic na to nie poradzę. Muszę przetrwać spotkanie. Próbuję skupić się na tym, co mnie otacza, na czymkolwiek, byle nie myśleć, że jestem chory.

Gabinet Shawa ozdabiają klasyczne motywy władcy wszechświata: mahoniowe panele, perskie dywany, piętrowe regały z tomami, po które zapewne nigdy nie sięgnął, wysokie od podłogi aż po sufit okna z widokiem na Central Park; apartamenty z takim widokiem można albo odziedziczyć, albo zdobyć, błyskawicznie wykładając gotówkę, gdy nieruchomości zostanie wystawiona na sprzedaż.

Mimo wystawności gabinetu sześćdziesięcioletni mężczyzna, który w nim rezyduje, sprawia miłe, przyjazne wrażenie jak sympatyczny, kochany przez wszystkich dziadek. To dla mnie spore zaskoczenie. Shaw ma zupełnie inną reputację: bezwzględnego, zimnego gracza, który nie zawaha się przed niczym, dopóki nie osiągnie upragnionego celu.

Wyciąga rękę, ale nie podaję mu swojej, przeprasząc, że jestem przeziębiony. To brzmi lepiej niż „złapałem jakieś tajemnicze choróbsko”.

Wspominamy nasze nieliczne wcześniejsze spotkania: kilka lat temu w Sun Valley i tu, w Nowym Jorku, możliwe, że była to stypa po pogrzebie przyjaciela mojego ojca. Wreszcie przechodzi do rzeczy.

– Cieszę się, że przyjechałeś, Nick. Chciałem się spotkać, bo zamierzam ostro wejść w kilka dopiero co rozpoczętych inwestycji. Wysokiego ryzyka. Ale również o bardzo szerokim wydźwięku.

– To wspaniale. Niestety nasze obecne inwestycje zostały zamknięte. Nowe rozpoczniemy, przypuszczam, za rok, może dwa lata.

Utrzymywanie dobrych stosunków z ludźmi takimi jak Oliver Norton Shaw jest częścią mojego biznesu. Zamożni niezrzeszeni ludzie stanowią trzon grupy naszych inwestorów i zwykle właśnie nimi najłatwiej jest sterować. Ale moje słowa brzmią nieprzekonująco i wcale nie mam pewności, czy za dwa lata zorganizuję następną zbiórkę funduszy. Możliwe, że zakończę ten etap mojego życia – i nie wiem, co będzie potem.

– Nie chodzi mi o tego rodzaju inwestycje. – Shaw powoli opowiada o projektach mających charakter globalny i siłę oddziaływania na każdego mieszkańca naszej planety, o przedsięwzięciu, które



może, ale nie musi, okazać się zyskowne. – Działania charytatywne mnie nie interesują, Nick.

– A co pana interesuje?

– Chcę odkryć coś, co poruszy, dźwignie ten świat. Szukam wynalazków, innowacji, które będą bramą do przyszłości całej rasy ludzkiej. Nie oczekuję zysków w dolarach i centach, pozytywniejszym oddźwięku prasy czy poklepywaniu po plecach podczas rautów. Wszyscy moi przyjaciele pozbywają się swoich fortun. Biję im brawo. Inwestycje w krajach Trzeciego Świata, działania na rzecz ubogich, budowanie bibliotek, darmowy internet, zwalczanie chorób. To wszystko jest bardzo ważne. Ale nie dla mnie. Ja jestem budowniczym. I chcę zbudować coś, co przetrwa całą wieczność i co będzie jak światło latarni morskiej wskazujące ludzkości drogę ku przyszłości i uczyni nas wszystkich lepszymi. Dlatego tu jesteś. Mam wizję tego, co chcę wybudować, ale potrzebuję ludzi. Właściwych ludzi. Potrzebuję dostępu do wynalazków i firm, które mogą odmienić bieg historii. W tym świecie jest dziura, Nick. Dziura ziejąca na styku kapitalizmu i rządów. Istnieją niezliczone wynalazki i organizacje czekające gdzieś tam, wśród cieni. Ich potencjał na rzecz poprawy bytu ludzkości jest nieograniczony, ale świat nigdy się o nich nie dowie. Dla rządów są zbyt niewygodne: o charakterze globalnym, za bardzo ryzykowne. Kapitalizm je ignoruje: z takich inwestycji zyski są niepewne. W niektórych wypadkach w ogóle nie można mówić o zyskach. Inne projekty mogą przynieść zyski dopiero po dziesięcioleciach, a nawet stuleciach. To kwestia kolejnych pokoleń. Pieniądz nie jest tak cierpliwy jak kiedyś. Chcę załatać tę dziurę. Chcę zbudować organizację, fundację, która zdoła sięgnąć dostatecznie głęboko i będzie działała dostatecznie długo, choćby i wieki, żeby wydobyć te innowacje na powierzchnię.

– To ciekawe.

– Wiesz, o jakiego rodzaju inwestycje mi chodzi? Może znasz jakieś?

– Słyszałem o kilku.

Opowiadam o Yulu Tanie, o kwantonocie i o uczonej, który nabył patenty wydobywcze, mając na względzie projekt kabinowców albo może szybkiej kolei kapsułowej, i o tym, jak te dwie technologie mogłyby połączyć świat – jedna wirtualnie, a druga fizycznie.

Długo rozmawiamy o tym, że obie firmy mogą zostać zrujnowane przez niewłaściwych inwestorów, nie wykorzystawszy w pełni swojego potencjału. I ile świat mógłby dzięki nim zyskać. Shaw pyta mnie o inne inwestycje, a ja nie mogę się oprzeć, by nie opowiedzieć mu o Projekcie Gibraltarskim. Ożywia się, młodnieje w oczach, sypie pomysłami, mówi o tym, jak dzięki swoim koneksjom i istniejącym firmom mógłby uruchomić tę inwestycję. Rozmawiamy o moim dzisiejszym spotkaniu, o kolonii orbitalnej. Shaw dostrzega prawdziwy potencjał tego projektu, w którym nie chodzi o nieruchomości, eksploatawanie bogactw mineralnych z asteroid ani inne tego typu rzeczy: tu chodzi o zainspirowanie ludzi do tego, by znów zaczęli marzyć, o stworzenie celu większego niż rasy albo narody, wielkiego celu, który zjednoczy całą ludzkość. Mnie też to urzekło i zafrapowało. Co prawda nie zajmuję się takimi projektami, ale ranga takiego celu odpowiadała moim aspiracjom. Ma ogromny potencjał. Zawsze miałem kłopot z podejściem do różnych spraw. Postrzegam świat tak jak Shaw. A on mówi, jakby czytał w moich myślach. Z każdym słowem ozywam coraz bardziej, idee mnie przepełniają, sycimy się nimi nawzajem. Stopniowo formy gramatyczne w rodzaju „mógłbyś” albo „chciałbym” zmieniają się w „powinniśmy” albo „musimy”.

Nie wiem jeszcze, co konkretnie stworzymy, ale rodzi się to powoli na naszych oczach w tym pokoju. Jest jak nowa inwestycja kapitałowa łącząca fundusze Shawa i moje (nikłe w porównaniu z jego) oraz nasze uzupełniające się know-how: moje obejmujące raczkujące, młode firmy i jego – organizacje na wielką skalę. Jesteśmy jak dwie strony tej samej monety – tak powiedział.

Kiedy wskazówki zegara zbliżają się do dwunastej, uświadamiam sobie, że nie chcę, by to spotkanie się skończyło. Nie jestem bowiem pewien, jak to się rozwinie, po czyjej stronie boiska jest piłka, kto kieruje tym wszystkim.

– Na jak długo przyjechałeś do miasta, Nick?

– Nie wiem – odpowiadam, a w mojej głowie znów pojawia się pytanie, dlaczego nagle zacząłem odczuwać strach przed lataniem i w samolocie mam okropne sensacje żołądkowe spowodowane przez tajemniczą chorobę.

– Będziemy potrzebowali silnego wsparcia, żeby zbudować to, co zamierzamy, Nick. Wizjonerów, uczonych. I pieniędzy. Fortun. Miliardów dolarów, może nawet więcej. Znasz się na zdobywaniu pieniędzy. To druga dziedzina, w której jesteś naprawdę dobry. Musimy się zastanowić, jak dobrze sprzedać to, co oferujemy.

– Racja.

– Moim zdaniem sprzedajemy coś, czego nie można kupić za pieniądze.

W moim umyśle pojawia się słowo „miłość”.

– Status – stwierdza Shaw. – Problem w tym, jak oszacować status. Mamy dwie wartości – nominalną i faktyczną. Jak inni oceniają status i czy będą szanować tych, którzy mogą się nim poszczycić? To wartość nominalna. A jaką wartość ma status dla ciebie osobiście, z pominięciem wszystkich wpływów i czynników zewnętrznych? To wartość faktyczna. Nazwałbym nasze... śmiałe przedsięwzięcie Fundacją Tytani. Jej członkowie będą Tytanami. To będzie najbardziej ekskluzywny klub na świecie. Jednakże ludzie, których zwerbujemy, będą przyzwyczajeni do odpowiedniego statusu i ekskluzywnych klubów. Potrzeba nam czegoś jeszcze. Mam się z kimś spotkać o trzeciej. Z kobietą, która pracuje nad podstawową kwestią mającą przekonać odpowiednich ludzi, żeby do nas dołączyli. To będzie coś, czemu nie zdołają się oprzeć. Ta kobieta nazywa się Sabrina Schroeder i nie mogę się doczekać, żeby ci ją przedstawić.

## 47: Nick

Kiedy wracam do domu Olivera, jego asystentka nie prowadzi mnie do wytwornego gabinetu, w którym spotkaliśmy się wcześniej. Zostawia mnie w znacznie mniejszym biurze, gdzie stoją tylko proste podniszczone biurko, dwa fotele i kanapa. Na regale nie ma kolekcjonerskich wydań książek ani przykuwających wzrok antyków z całego świata, lecz prywatne zdjęcia i popularne książki z dziedziny literatury faktu, głównie historyczne i naukowe, jakie mają miliony czytelników.

To prywatny gabinet Shawa, a jego prostota i skromność odzwierciedlają charakter człowieka, z którym się dziś spotkałem, stronę jego osobowości ukrytą przed opinią publiczną. Gospodarz siedzi na kanapie, a na stoliku do kawy przed nim leży klawiatura i panel dotykowy.

– Cześć – mówi, zapraszając gestem, żebym usiadł przy nim.

– Cześć. – Unoszę dłoń, dając znak, by nie wstawał.

Dziwne, poznałem go zaledwie dziś rano, a odnoszę wrażenie, jakbym znał Olivera Nortona Shawa od stu lat albo i dłużej.

Przenosi wzrok na ekran wiszący na przeciwległej ścianie, panel o wysokiej rozdzielczości, który musiał kosztować krocie. Jakież jest moje zdziwienie, gdy widzę, że Shaw odwiedza Facebooka: otworzył profil trzydziestoletniej dziewczyny. Jasne włosy. Iskierki w oczach, lekko szelmowski uśmieszek, jakby zdjęcie zrobiono, zanim się roześmiała, zrobiwszy znajomemu jakiegoś psikusa. Shaw wpatruje się z przejęciem w ekran, odczytując najświeższe wpisy.

– Nie sądziłem, że jesteś użytkownikiem Facebooka. – Przerывam i wzruszam ramionami. – Bez urazy.

– Nie ma sprawy. Nie jestem. To pomysł mojej asystentki. Najwyraźniej śledzenie ludzi w internecie stało się zjawiskiem powszechnie akceptowanym.

Siadam obok niego na kanapie.

– Tylko niegroźne śledzenie, co? Cieszę się, że to nie jest nic dziwnego.

Chichocze, pisząc na klawiaturze.

– Ta młoda dama zajmuje się pisaniem biografii i ma do tego spory talent. Poznałem ją niedawno. Chcę, aby napisała moją historię, ale nie potrafię jej skłonić, aby się zdeklarowała. Moja asystentka zaproponowała, żebym sprawdził, czy we wpisach umieściła coś, co mogłoby sugerować, jaką podejmie decyzję. Nowe pokolenie chlubi się informowaniem o wszystkim na prawo i lewo, włącznie z najgorszymi brudami. – Patrzy na mnie z ukosa. – Bez urazy.

– Nie ma sprawy – odpowiadam z uśmiechem.

Zerkam na profil. Harper Lane. Harper Lane. Nie znam nazwiska, ale... twarz, owszem. Już przypominam sobie, gdzie ją widziałem. W samolocie. Jej ujmujące spojrzenie odnajdujące mój wzrok. Samolot się trzęsie. Nie. To nie tak. Facet za mną, długie jasne włosy. Palant. Odwracam się do niego. A potem... Wyjmuję jej torbę ze schowka i stawiam w przejściu, przytrzymując chwilę rączkę, bo boję się, że się przewróci.

Oliver dostrzega wyraz mojej twarzy.

– Znasz ją, Nick?

– Chyba... lecieliśmy razem do Londynu.

– Ona tam mieszka. Pewnie wracała do domu po naszym spotkaniu. Odgrywa w tym wszystkim olbrzymią rolę. Przez wiele lat nie będziemy mieli nic do zaprezentowania, może nawet przez dziesięciolecia. Długo przyjdzie nam sprzedawać kota w worku, obietnice przyszłych wspaniałości.

Wiele można ludziom wpoić za pośrednictwem lektury, a biografia ujawni opinii publicznej moją wizję i moją drogę. Chcę, by była dla ludzi inspiracją i wyjaśnieniem. Chcę, by stanowiła rodzaj odezwy napisanej przez osobę z zewnątrz. A ona się do tego nadaje. Mam nadzieję, że przyjmie to zlecenie.

– I jak to wygląda?

– Nie najlepiej.

Pokazuje mi ostatni wpis Harper Lane.

Harper: Od dwóch dni nie mogę zasnąć. Kompletnie mi odbija. Decyzja. Decyzja mnie dobija :(

Ma ktoś pomysł, jak temu zaradzić?

Komentarze są pełne ciętych ripost od mężczyzn i użytecznych porad od kobiet – zakres jest szeroki, od wzięcia zolpidemu po zaparzenie herbaty z rumiankiem, z zaleceniami, żeby pochować wszystkie przekąski, jeśli sięgnie po leki.

A więc nie może się zdecydować. Nie potrafię oderwać od niej wzroku. Jest w niej coś, może...

– Ma pan gościa umówionego na piętnastą.

Asystentka Olivera wychodzi i zaraz wraca z kobietą mniej więcej w moim wieku, może nieco starszą; ma trzydzieści kilka, czterdzieści lat. Jest wysportowana, wzrok ma skupiony, nie mruga powiekami. Czarne włosy sięgają do ramion. Wchodzi zdecydowanym mechanicznym krokiem.

– Nicku Stonie, poznaj Sabrinę Schroeder.

Kobieta wyciąga rękę, ja również, to automatyczna reakcja.

Kiedy jej skóra dotyka mojej, gabinet znika i już nie stoję w pokoju, ale leżę na wznak na chłodnej metalowej płycie i oślepia mnie silne światło płynące z góry. Prawie jej nie widzę, jak stoi nade mną i trzyma moją rękę, ściskając moje palce, podczas gdy platforma, na której się znajduję, przesuwa się.

Jej dłoń wyslizguje się z mojej, światła gasną i znów stoję w gabinecie Shawa, trzymając ją za rękę, jakbyśmy w ogóle nie opuścili tego miejsca.

Otwieram usta, ale nie wiem, co powiedzieć. Co się ze mną dzieje?

Przez krótką chwilę odnoszę wrażenie, że Sabrina też to zobaczyła. Mruga, przygląda mi się, po czym z dziwnym zakłopotaniem patrzy na widoczny na ekranie facebookowy profil Harper Lane.

– Czy wy... się znacie? – pyta Oliver, popatrując na nas.

Pauza.

Jeżeli ona powie „tak”...

– Nie – odpowiada oschle Sabrina, puszcżając moją rękę.

Znów jest nieodgadnioną kobietą o zimnych oczach i nieprzeniknionym wyrazie twarzy. Siada naprzeciw mnie i Olivera na kanapie i zaczyna bez zbędnego wstępu:

– Pan Shaw zaprosił mnie, żebym opowiedziała o swoich badaniach nad progerią...

∞

Niewiarygodne. Kiedy Sabrina wychodzi, Oliver i ja ciągle siedzimy w jego prywatnym gabinecie i analizujemy ostatnie rozmowy; on popija herbatę, ja sączę wodę i od czasu do czasu krążę po pokoju.

Dopiero teraz dociera do mnie skala i geniusz jego planu. Kluczem jest nieśmiertelność, bo tylko ona może zapewnić, że to, co zbudujemy, nigdy nie zostanie zniszczone. Zostałem przekonany. Wchodzę w to. Bez reszty. Teraz już wiem. To jest zmiana przez duże Z. Coś, co muszę zrobić. Tego mi brakowało. Podniecenia. Energii. Znów czuję inspirację, ciekawość tego, co przyniesie jutro. Tyle jest do zrobienia.

Wyobrażam sobie naszą drużynę, sto osób maszerujących wspólnie przez czas, najświetlejsze, najtęższe umysły niosące pochodnię lepszego jutra.

Fundacja Tytani ma na celu nie tylko innowacje – jak kwantonet, kolej kabinowa, Orbital Dynamics czy Tama Gibraltarska – ale niekończący się napływ projektów tej samej skali w kolejnych pokoleniach. Niekończący się renesans ludzkości.

Nie mówimy o wykarmieniu przez rok jednej przymierającej głodem wioski, zapewnieniu wody

pitnej w spustoszonej wojnie kraju czy położeniu kresu zarazie szerzącej się w państwach Trzeciego Świata. Mówimy o zlikwidowaniu wszystkich problemów ludzkości, tych, które były, są i które mogą się pojawić w przyszłości. O grupie mającej nas poprowadzić i strzec świata. O stałości. Ciągłości. Mam wrażenie, że znalazłem się w punkcie zwrotnym historii ludzkości.

Dzwoni komórka Olivera. Przeprasza, ale musi odebrać. Wstaję, żeby wyjść, ale on gestem daje mi znak, bym został.

Odbiera i słucha w skupieniu, kręcąc głową co kilka sekund. Jest poruszony słowami swojego rozmówcy, coraz bardziej zrezygnowany, aż zapada się w brązowy skórzany fotel za biurkiem. W końcu zaczyna nerwowo zadawać pytania. Nie ulega wątpliwości, że to dla niego nietypowa sytuacja. Rozmawiają o brytyjskich procedurach sądowych, możliwościach zamknięcia komuś ust, o tym, czy można kogoś oskarżyć o spisek, zanim jeszcze tekst ukaże się drukiem. Kiedy się rozłącza, dłuższą chwilę wpatruje się w regał stojący obok biurka.

– Wszyscy musimy ponieść jakieś ofiary dla tej Fundacji, Nick.

Kiwam głową, czując, że zamierza powiedzieć coś więcej.

– Mojego syna bardzo zdenerwowała moja decyzja. Zareagował egoistycznie i irracjonalnie, wybuchem złości, jak dziecko, któremu ktoś wyrzucił ulubioną zabawkę. To moja wina. Jego matka zmarła na raka dwadzieścia lat temu, zdecydowanie za wcześnie. Miałem złamane serce. Nikogo oprócz niej nigdy nie kochałem, poza oczywiście moją firmą. Ta firma jest wszystkim, co mi pozostało, i gdyby żona nie zmarła, nie stałaby się tym, czym jest dzisiaj. Byłem fatalnym ojcem. Łożyłem na Graysona, hołubiłem go. Niczego mu nie odmawiałem. Najgorsze, co możesz zrobić, to dawać dziecku wszystko, czego chce. Ludzie powinni dorastać, zaznając nieco głodu i poznając, czym jest prawdziwy trud, żeby mieli cel, który pragną osiągnąć. Do czegoś dążyli. To buduje charakter. Walka ujawnia, kim naprawdę jesteś. Pokazuje, czego chcemy od świata. A Grayson chce tego, co zawsze miał podane na srebrnej tacy: moich pieniędzy.

– Co zamierzasz?

– Mówi, że jeśli teraz dam mu trochę pieniędzy, na tym sprawa się skończy. Jeżeli odmówię, grozi, że odbierze swoje dziedzictwo w inny sposób i będzie mnie to kosztowało znacznie więcej. Myśli, że mnie zna, że wybiorę mniejsze zło, że zapłacę, by zamknąć mu usta i zachować nieskazitelną reputację. Bo reputacja to podstawa do stworzenia tej fundacji.

Nie zazdrozczę Oliverowi sytuacji, w jakiej się znalazł. Podchodzi i przygląda się fotografii na ścianie: przedstawia młodego mężczyznę po dwudziestce, o długich prostych jasnych włosach, uśmiechającego się z nieco przesadną pewnością siebie. Widziałem już tę twarz, nieco starszą, ale uśmiešek był taki sam. W samolocie. I poza nim. On mnie popycha. Ja trafiam go pięścią w twarz.

Nie. To nie tak. Byliśmy w samolocie, mocowaliśmy się. On odszedł, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

Zupełnie, jakbym miał dwa różne wspomnienia.

Unoszę dłoń i przykładam do skroni. Migrena wróciła. Ból prawie mnie oślepia. Zamykam oczy z nadzieją, że minie.

Prawie nie słyszę słów Olivera:

– W biznesie nauczyłem się, że danie tyranowi tego, czego chce, nie rozwiąże problemu. Tylko go pogorszy. Mój syn musi kiedyś dorosnąć. Równie dobrze może się to stać właśnie teraz.

## 48: Nick

Migrena ustała, gdy wracałem taksówką do hotelu z domu Olivera, ale wciąż czuję, że czai się w mojej głowie, że tylko czeka, by zaatakować, niemal drażni się ze mną, a towarzyszący temu strach jest równie nieprzyjemny jak ból. Miałem szczęście. Przez całe życie byłem raczej zdrowy. Teraz zaczynam rozumieć znajomych cierpiących na przewlekłe choroby. Niepewność. Przyczajona groza. Świadomość, gdy kładziesz się spać, że jutro twój stan może się pogorszyć. Świadomość, że gdy będziesz w miejscu, gdzie ludzie będą oczekiwali, iż dasz z siebie wszystko, nie sprostasz temu wyzwaniu i, co gorsza, nic na to nie poradzisz. Ale i tak się starasz – bo trzeba mieć ikrę. Wiem to, bo jestem naprawdę przerażony. Boję się, że może to nie być epizod, wybój na drodze, który zostawiłem daleko za sobą. Boję się, że to się może powtarzać. I że ograniczy moje możliwości, nie pozwoli mi wykorzystać niezwyklej szansy, jaką daje mi Oliver. To coś nowego. Jeszcze wczoraj nie miałem ani takich nadziei, ani takich obaw. Uczucia. To już coś.

Potrzebuję pomocy. Jestem zdesperowany, by zaryzykować kolejny lot do San Francisco. Spotkam się z lekarzem, tam znam ludzi i nie będę się aż tak bał. Na pewno znajdę dobrego specjalistę.

W pokoju hotelowym o szóstej odruchowo włączam wiadomości – to mój rytuał po pracy – i wyjmuję laptop, żeby poszukać rozkładu lotów.

Przeglądając grafik ostatnich podróży, koncentruję się zwłaszcza na jednej:

Lot 305: Nowy Jork (JFK)–Londyn (Heathrow)

Ostrze bólu przeszywa moją czaszkę od potylicy do czoła. Ciśnienie napiera na gałki oczne jak strumień wody wytryskującej ze szlauchu. Ten nagły przypływ bólu zmienia się w ciekącą strużkę.

Wciąż mam zamknięte oczy. Wstaję i chwiejnie podchodzę do zlewu. Odnajduję szklanekę, nalewam wody z kranu i wypijam. Co mogłoby mi pomóc? Advil. Cokolwiek. Nie mam żadnych leków. Może w recepcji coś znajdą.

Sięgam po telefon, gdy moją uwagę zwraca pasek informacyjny.

„... około szesnastej czternaście utracono kontakt z samolotem. Jak na razie władze nie potwierdzają pogłosek o porwaniu. Zmobilizowano jednakże jednostki poszukiwawczo-ratunkowe...”.

Każde słowo uderza w moją czaszkę z siłą młota kowalskiego. Chwiejnie podchodzę do stołu, sięgam po pilota, z bólu prawie nic nie widzę. Raport o zaginionym samolocie kończy się, zanim zdążę przełączyć kanał, i ból znika.

Odzyskuję wzrok. Patrzę na papiery rozsypane na stole.

Szkice Tamy Gibraltarskiej. Nie są takie, jakie powinny być. Biorę do ręki jeden z nich. Budynki są za niskie. Wyglądają jak kikuty. Kikuty czego? Palców. Palców, które zostały odcięte. Dlaczego budynki miałyby przypominać palce? Bez sensu. Ale tak było. To właśnie pamiętam. Wertuję resztę papierów z ostatnich dwóch dni spotkań. To jedyny szkic tamy. Jest niedobry. To powinna być wielka dłoń wyłaniająca się z tamy... symbol.

Fala ciśnienia. Zaciskam mocno powieki. Po twarzy spływa mi łza.

To jest to. Punkt początkowy.

Wszystko zaczęło się po spotkaniu w sprawie Tamy Gibraltarskiej. A może po spotkaniu dotyczącym kabinowców? Podczas lotu?

Spoglądam na plik papierów. Na pierwszej stronie widnieje napis „Szybka kolej kapsułowa”. Znów nie tak. Nie powinno się tego nazywać koleją kapsułową. Skąd ja to wiem? Wagoniki też są nie takie. Za duże. Powinny być mniejsze.

Znów czuję pulsowanie pod czaszką, jakby wewnątrz niej pompowano balon nadymający się we wszystkie strony.

Opieram głowę o blat stołu.

Pierwszy atak nastąpił w samolocie, gdy wracałem z Londynu do San Francisco. A zatem musiałem coś złapać wcześniej.

Kiedy?

Co wiem?

Co było potem?

Yul Tan. Kwantonet. Spotkanie. Cały czas czułem ćmienie. Słyszałem echo głosów rozbrzmiewających pod czaszką. *To działa dzięki wykorzystaniu splątania kwantowego. Cząstki napotykać się wzajemnie i łączą ze sobą. Potem ich stan staje się zależny od nich nawzajem. Wykorzystują to zjawisko kwantowe, by przesyłać dane przez czas i przestrzeń.*

Jego badania stanowią klucz.

Klucz do czego?

Kwantonet.

Nie. To nie tak. Nie chodzi o kwantonet.

Co się ze mną dzieje? Przecieram oczy.

Znów głos Yula w mojej głowie. *W ostatnich dniach napotkałem pewną interferencję, jak zakłócenia w sieci. Trochę się zaniepokoiłem, ale to samo ustało.*

Samo ustało.

A jednak po tym spotkaniu coś się stało z Yulem. On również zachorował. Ogarnęło go przeświadczenie, że już wcześniej się spotkaliśmy. Męczyły go wspomnienia, do których nie sposób dotrzeć.

Następny atak bólu: lot do Nowego Jorku. Ale nie było aż tak źle.

Śniadanie. Kolonia orbitalna. Niewłaściwy kąt nachylenia.

Shaw wiedział, że coś jest nie tak. Sposób prezentacji. Ale sama idea była okej.

Cały czas z Shawem wszystko było w porządku.

Sabrina.

Kiedy dotknąłem jej ręki, odniosłem wrażenie, że jestem gdzie indziej, leżę na zimnym twardym stole i patrzę w górę. Światła. Ona tam była.

Wiedziała. Dostrzegłem to w jej oczach.

Dotknięcie było kluczem.

Kobieta z Facebooka. Autorka biografii. Wrażenie, jakie mnie ogarnęło, gdy ją zobaczyłem. Sabrina też na nią patrzyła. Znała ją.

Skupiam się na laptopie. Patrzę na otwartą stronę – lot 305 – i ponowna fala dojmującego bólu odrzuca mnie w tył.

To jest punkt zapalny. Lot 305. O co chodzi? O to, że lot z Londynu był prawdziwym koszmarem?

Zamykam oczy. Znajduję odpowiedni klawisz i naciskam go, minimalizując wszystkie strony. Potem otwieram nową i odnajduję profil Harper Lane na Facebooku.

Gdy tylko dostrzegam jej twarz, czuję lodowate ciarki, dreszcze przybierają na sile, aż całe moje ciało drętwieje.

Przypominam sobie chwilę naszego spotkania. W samolocie. W przejściu. Było ciemno i brakowało połowy maszyny.

Nie. To nie tak.

Nasz samolot był cały i wylądował na Heathrow.

Lotnisko Heathrow. Morze traw.

Kręcę głowę. To niemożliwe.

Przewrócone, rozerwane samoloty.

To nie tak.

Nasz był cały, stał przy rękawie do wysiadania. Ona też tam była, na fotelu w pierwszej klasie, czekała, żeby wysiąść. Pomogłem jej z torbą podróżną. Spojrzała na mnie swoimi pięknymi oczami.

Mrugam, a ona jest uwieczona na fotelu, zahaczyła o coś nogą.

Wokół niej wszędzie woda.

Boi się. Jest przerażona, nie może się uwolnić.

Nie. Niemożliwe. Zalany wodą samolot przy rękawie dla pasażerów?

Skup się.

Patrzę na ekran.

Dodała nowy wpis na swoim profilu.

Harper: Uzupełnienie w sprawie braku decyzji 2014. W końcu przespałam się kilka godzin i śniło mi się, że byłam w tonącym samolocie, który się rozbił. Wciągało mnie pod wodę i nie mogłam się wydostać :(

Ona też to widziała. Jak to możliwe?

Pot perli się na moim czole. Czuję odpływające wspomnienia, dwie wersje rzeczywistości znów się rozdzielają. Latawiec, który początkowo widzę wyraźnie, zostaje porwany przez wiatr i uniesiony wysoko, aż zmienia się w maleńki punkcik, a potem znika zupełnie, jakby go w ogóle nie było.

Sięgam po pilota, by włączyć telewizor, ale treść kolejnego wydarzenia z ostatniej chwili mrozi mi krew w żyłach. „Władze stwierdzają, że jeżeli samolot roztrzaskał się nad wodą, trudniej go będzie znaleźć i szanse na to, że ktoś z pasażerów ocalał, maleją coraz bardziej”.

Nowa fala spazmatycznych skurczów zdaje się rywalizować z ćmiącym bólem pod czaszką.

Zamykam oczy.

Samolot uderzył w wodę. Ale oni przeżyli. W każdym razie część z nich.

Próbowałem ich uratować.

Jak samolot mógł uderzyć w wodę i nie roztrzaskać się na kawałki? Przy prędkości ponad ośmiuset kilometrów na godzinę musiało to być jak uderzenie o beton.

Odpowiedzi są w mojej głowie, choć nie wiem jakim cudem.

Pojawiają się informacje, jakby w odpowiedzi na niezadane pytanie.

Po turbulencjach samolot gwałtownie zwolnił. Piloci wysunęli podwozie, żeby jeszcze bardziej zahamować spadanie. Samolot się przełamał. Część ogonowa przekoziołkowała i spadła między drzewa, których korony zamortyzowały uderzenie. Potem, obrócona tyłem do przodu, wpadła do wody. Coś – być może golenie kół albo może silniki – sprawiło, że ta część unosiła się nad wodą, kołysząc się jak huśtawka. Niemal to widzę.

Kręci mi się w głowie. Zaraz zwymiotuję. Przytrzymuję się stołu i wstaję. Chwiejnie podchodzę do zlewu, odkręcam kran i patrzę na wodę spływającą do otworu odpływowego. Wpływa tam, jakby wdzierając się do tonącego, rozerwanego na pół samolotu.

Przez chwilę nie widzę zlewu. Widzę przekrój samolotu – postrzępiony ciemny krąg.

Ale zaraz ten krąg znika.

Opryskuję twarz wodą. Jest zimna, ale... to pomaga. Pamiętam to uczucie. Zimna woda zalewająca mi twarz, powodująca odrętwienie, gdy płynę. Odkręcam zimną wodę do maksimum i wkładam dłonie pod strumień; trzymam je tak długo, aż drętwieją mi palce. Najpierw świerzbią, potem pieką, w końcu tracę w nich czucie. Z każdą sekundą boli coraz bardziej, ale ja czuję coraz mniej. Gdy mam wrażenie, że już prawie w całej ręce coś mnie pali, mój umysł się przejaśnia. Opryskuję twarz wodą i biorę głęboki oddech, dygocąc od stóp do głów.

Biegnę przez las. W ciemności przede mną kołyszą się świetlne punkciki. Robię wydech, a powietrze wypływające z moich ust zmienia się w biały obłoczek pary.



I znów jestem w hotelowym pokoju, przy zlewie, z którego płynie woda, a w tle słychać ciche dźwięki włączonego telewizora.

Wygłaszam mowę. W ciemnościach, na brzegu jeziora. *Nikt nie uratuje tych ludzi, jeśli my tego nie zrobimy. Ich życie jest w naszych rękach...*

Patrzę na ekran laptopa. Patrzę w jej oczy. Słyszę płynącą wodę. Jak wodospad.

Moja głowa eksploduje. Fale zlewają się w spazm bólu. Uderzenie jak młotem. Ból jest tak silny, że wywołuje odrętwienie.

Opryskuję twarz raz jeszcze, przemywając oczy, a gdy opuszczam ręce, stoję na błotnistym brzegu przed rozerwanym samolotem wystającym z jeziora. Każdy oddech zmienia się w mroźnym powietrzu w biały obłoczek i nie słychać żadnych innych dźwięków, nie mam już żadnych innych odczuć. Świat, poza moim oddechem, wydaje się zamarznęty.

Powoli, z wielkim wysiłkiem odwracam się w prawo, gdzie stoi kobieta z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– A ty?

– Tak... Ja też nieźle pływam.

Odwracam się do samolotu w jeziorze, ale już go nie ma. Jestem w pokoju hotelowym. Wiadomości się skończyły. Mam przed sobą świecący ekran komputera. Ta twarz. Kobiety z Facebooka. To była ona.

## 49: Nick

Odbija mi.

Dłonie mam wilgotne od potu. Z głośników płynie głośny komunikat: „Pasażerowie lotu trzysta czternaście do Londynu zgłoszą się do odprawy. To ostatnie wezwanie. Pasażerowie...”.

To ja jestem ostatnim pasażerem czekającym, by wejść na pokład. Siedzę, patrząc na kobietę za kontuarem. Trzyma w dłoni mikrofon na kręconym przewodzie i mówi, wciskając guzik, patrząc bezpośrednio na mnie.

Wie, że tylko jeden pasażer nie zgłosił się jeszcze do odprawy, tylko jeden pasażer nie wszedł na pokład. Domyśla się, że ja nim jestem.

To szaleństwo. Powinienem obrócić się na pięcie i pojechać do domu, przebadać się, bo ani chybi mam coś nie tak z głową.

Tymczasem wstaję, podchodzę i podaję jej kartę pokładową. Ona patrzy na moje pozlepiane w strąki włosy i bladą wilgotną skórę.

– Dobrze się pan czuje? – pyta.

– Doskonale... tyle że... ostatnio... podczas lotów za ocean miałem nieprzyjemne sensacje.

∞

Nie znam numeru Harper Lane. Szukałem go. Nie ma telefonu stacjonarnego. Nie wiem, jak znaleźć numer jej komórki. Nie znam jej mejla. Myślałem o tym, żeby napisać na Facebooku prośbę o dodanie mnie do jej znajomych, ale... byłoby to idiotyczne. Co miałbym powiedzieć? Pamiętasz mnie? Wyjąłem twoją torbę ze schowka, gdy lecieliśmy ostatnio samolotem. A pamiętasz, jak rozbiliśmy się na angielskiej prowincji? Bo ja tak i od tej pory wszystko wydaje mi się dziwne...

Wiem tylko – i to wszystko, co wiem – gdzie ona mieszka.

Byłem tam. W 2147 roku.

I teraz właśnie tam idę. W 2014. Zastanawiam się, co powiem policji, gdy mnie aresztują.

Kiedy podchodzę bliżej, starszy mężczyzna w swetrze z dzianiny i kaszkiecie przytrzymuje dla mnie drzwi do budynku, w którym ona mieszka.

Podbiegam, żeby zdążyć, i dziękuję mu za fatygę.

Szybko pokonuję schody.

Pierwsze piętro.

Drugie.

Na trzecim dostrzegam drzwi jej mieszkania.

To szaleństwo.

Pukam, każde uderzenie wywołuje coś w rodzaju wstrząsu jak po porażeniu prądem, który przenika mnie od koniuszków palców aż do żołądka. Mam ochotę zrezygnować i uciec, ale ją przewyciężam.

Za drzwi dochodzi mnie odgłos kroków stóp w skarpetkach, przesuwających się po drewnianej podłodze. Ocieram pot z czoła.

Okienko judasza ciemnieje.

Głuchy odgłos po drugiej stronie drzwi. Judasz znów jaśnieje. Zapewne pobiegła po telefon, żeby wezwać policję.

Cichy szcęk.

Drzwi otwierają się powoli i w końcu pojawia się w wąskim prześwicie.

– Cześć. – Mój głos brzmi jak szept.

Szczęka jej opada z wrażenia, robi się biała na twarzy. Wytrzeszcza oczy, przez co wydają się jeszcze większe, bardziej ujmujące, o jeszcze głębszym spojrzeniu.

– Cześć – odpowiada prawie niesłyszalnie.

Opuszcza dłoń do boku, a ciężkie drewniane drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, ukazując pokój. Panuje tam niezły bałagan. Pod ścianami walają się porozrzucane, zmięte w kule kartki papieru. Na środku podłogi leżą rozłożone warstwami arkusze brystolu, plansze i rozsypane flamastry. To wygląda jak przedszkole. Czyżby miała dzieci? A może to dzieci jej rodzeństwa?

Na kanapie i dwóch fotelach zalega siedem wielkich plansz jak płótna rozpięte na sztalugach. Bardziej przypominają tablice konferencyjne, są na nich jakieś zapiski i bazgroły, notatki i linie czasowe rozrysowane poniżej. Smoki. Statki. Piramidy. I mnóstwo notatek. A do tego strzałki i przypisy.

Alice Carter.

Wszystkie dotyczą Alice Carter. Kim, u licha, jest Alice Carter? Czy to jeszcze jedna pasażerka? Możliwe. Pamiętam tylko kilka nazwisk.

Gdy drzwi uchylają się do końca, dostrzegam ósmą planszę brystolu. Ostatni eksponat. Jest na nim napisane: „LOT 305”, wielkimi literami. A poniżej: „Pojedyncza powieść? Sensacyjno-fantastyczna? O podróży w czasie?”.

Uważa, że to wszystko jest w jej głowie. Że to jeszcze jedna z wymyślonych przez nią historii.

Poniżej podtytułu widnieje szkic: okrągły rozerwany kadłub samolotu wystający ponad powierzchnię spokojnego jeziora, a na niebie powyżej wisi jasno świecący księżyc.

Pod rysunkiem znajdują się nazwiska.

Nick Stone. Sabrina Schroeder. Yul Tan.

Literatura faktu?

Przepełnia mnie nadzieja, która dodaje mi odwagi, by wejść do mieszkania. Ona stoi nieruchomo, jakby wrosła w ziemię. Jedynie wodzi za mną wzrokiem.

Pora zaryzykować.

– Jak dużo pamiętasz?

Przełyka ślinę, mruga, ale głos ma wyraźny, zdecydowany.

– Wszystko.

Robię wydech. Po raz pierwszy dudnienie w mojej głowie słabnie, zanika z każdą upływającą sekundą.

Podchodzi bliżej i przygląda mi się, ogląda zwłaszcza moje czoło, na którym widniało rozcięcie po ataku Tytanów na obóz, rana, którą mi opatrzyła w opuszczonym kamiennym domu na farmie. Unosi rękę, dotyka miejsca na styku czoła i linii włosów tak, jak to zrobiła w kolejce, kiedy po raz pierwszy i jedyny byliśmy sami przez cały nasz pobyt w 2147 roku. Zaciskam palce na jej przegubie i tak jak wcześniej wsuwam kciuk w jej dłoń.

– Co chcesz wiedzieć? – pytam.

– Chcę dokończyć to, co zaczęliśmy w drodze do Londynu.

## 50: Harper

Leżymy w łóżku, gdzie znalazłam notatniki i czytałam je kilka dni temu – albo za sto trzydzieści trzy lata, zależy, jak na to spojrzeć. Tak czy owak, jest to miejsce, w którym zobaczyłam, czym stało się moje życie. Wtedy byłam przerażona i teraz też się boję. Boję się, ale jednocześnie jestem podekscytowana.

Wtedy, gdy znalazłam dzienniki, zjawił się Nick, usiadł na tym samym łóżku obok mnie i powiedział, że nie przesądzają one o mojej przyszłości, że wcale tak być nie musi, jak jest w nich napisane. Że mogę dokonać zupełnie innego wyboru.

Wydawało mi się to pustą obietnicą, życzliwymi słowami mającymi złagodzić mój ból i uspokoić umysł.

Ale to prawda. Oto jestem tu. Wróciłam do swojego czasu. Ze świadomością wszystkiego, co się wydarzyło.

Straszna przyszłość, której omal nie powtórzyłam, nigdy nie nastąpi.

A Nick Stone jest tu, w tym łóżku, ze mną. Z wszystkimi swoimi wspomnieniami. I bez ubrania.

Jest idealnie.

∞

Kiedy promienie słońca wpadające przez szerokie okno w mojej sypialni stają się zbyt jasne, by dało się je zignorować, Nick siada i wciąga bokserki, a potem wkłada spodnie.

Ogarnia mnie lekka panika.

Czy pod prysznicem jest czysto?

Nie tak czysto, jak mogłabym sobie tego życzyć.

No i śniadanie. Założę się, że nawet umierający z głodu włóczęga nie tknąłby tego, co zostało w lodówce.

Nick wkłada koszulę i patrzy na mnie.

– Idę po śniadanie. Na co masz ochotę?

Chciałabym z nim pójść, ale wpadam w lekki popłoch. Wczoraj w nocy prawie nie zmrużyłam oka, bo cały czas pracowałam. Teraz mogę wykorzystać każdą sekundę nieobecności Nicka, żeby trochę posprzątać. Zamawiam muffinkę i kawę, polecając kafejkę na rogu, i już po chwili go nie ma.

Przewracam się na łóżku, ukrywając twarz w dłoniach. Czemu tak cholernie się boję?

Nie chodzi o wspomnienia ani dręczące mnie decyzje. Wszystko sprowadza się do tego, że bardzo mi się podoba Nick Stone, ale nie mam pojęcia, co on myśli. Właściwie go nie znam.

Nieprawda. Znam go bardzo dobrze. Czuję, że znam jego duszę, wiem, jakim naprawdę jest człowiekiem. Wiedziałam to od pierwszej chwili, gdy się poznaliśmy, gdy ruszył na pomoc Jillian, zanim jeszcze samolot się rozbił, gdy powstrzymywał ogarnięty paniką tłum i uratował kobietę, której groziło zdeptanie, i później, w zimnych, pełnych napięcia momentach nad brzegiem jeziora, gdy przekonał wahających się ocalałych, by popłynęli do wraku. Gdy ocalił mi życie, narażając przy tym własne.

To mężczyzna, w którym się zakochałam.

Ale nie mam pojęcia, co on czuje do mnie. I to mnie przeraża. Nie wiem, co dla niego znaczy jedna wspólnie spędzona nieprzespana noc.

Dotąd nigdy nie robiłam czegoś takiego, dopóki kogoś dobrze nie poznałam. Zwykle długo to trwało. Dla mnie to naprawdę ważne i zastanawiam się, czy dla niego również. Może często tak robi. Może znaczy to dla niego tyle co nic.

Drzwi się otwierają i zrywam się z łóżka. Boże. Nic nie zrobiłam w mieszkaniu. Wciąż panuje tu straszny bałagan, a ja przeleżałam goluteńka.

Nick unosi w dłoni brązową torbę, a ja gestem wskazuję mu kuchnię. Wkładam koszulkę bez rękawów, spodnie od pizamy i wychodzę, starając się, by nie było po mnie widać, jak bardzo szalone myśli kłębią się w mojej głowie.

– Już minęła pora śniadania. Najwyraźniej jest po wpół do dwunastej.

Wykłada na stół cztery kanapki – nie wiedział, na co mogę mieć ochotę. Pojadamy je i rozmawiamy, ale najpierw o sprawach banalnych.

Stopniowo przechodzimy do poważniejszych tematów. Po pierwsze: wspomnienia. Nick stwierdza, że przerzucenie ich do naszych umysłów musiało stanowić nie lada problem. Może ludzka jaźń ma ograniczenia, jeśli chodzi o radzenie sobie ze sprzecznymi wspomnieniami, a może neurony w mózgu potrzebowały czasu, by zestroić się z nowymi wspomnieniami. Uważa, że zostało to wszystko uaktywnione przez naszą czwórkę – Yula, Sabrinę, jego i mnie. Ja byłam dla niego ostatnim elementem. Uśmiechnęłam się, gdy to powiedział, a on przerwał i też się uśmiechnął.

Nick nie jest pewien, czy Sabrina i Yul odzyskali już wszystkie swoje wspomnienia, ale ma kontakt z obojgiem.

– Najpierw jednak chciałbym gdzieś zadzwonić. – Włącza swoją komórkę. – Która jest godzina w Nowym Jorku? Prawie siódma. Może być.

Podchodzi do okna, staje przy krześle, na którym znajduje się plansza z napisem „LOT 305” u góry, i wybiera numer. Czeka na połączenie i patrzy przez okno na ludzi na ulicy spieszących na lunch.

– Oliverze, tu Nick Stone. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Krótką pauza.

– Nie, wszystko w porządku. Myślałem o Graysonie. Uważam, że powinniśmy go włączyć do działalności Fundacji Tytani. Wydaje mi się, że jeśli damy mu szansę, możliwość udziału w takim przedsięwzięciu i okazję uczestniczenia w wydawaniu fortuny Shawa... zechce w to wejść.

Znów czeka, wpatrując się w przestrzeń, a potem wodzi wzrokiem z boku na bok. Podoba mi się to, niemal widzę, jak obracają się trybiki w jego mózgu.

– Zgadzam się. Myślę, że należy mu to odpowiednio przedstawić. Wydaje mi się, że jeśli dostanie szansę, może nas zaskoczyć. Dajmy mu okazję, by postąpił właściwie. Zacznijmy od obdarzenia go zaufaniem, włączenia do ścisłego kierownictwa projektu i pozwolenia mu, by podjął decyzję.

Kolejna pauza i głos Nicka zmienia się, łagodnieje.

– Nie, nic z tych rzeczy. Może to zabrzmie dziwnie, ale mam przeczucie, że jeśli nie dasz mu ostatniej szansy, będziesz tego żałował do końca życia.

Rozłącza się i siedzimy, dopijając kawę przy małym drewnianym stole w kuchni; biała farba jest w kilku miejscach odłupana, co wygląda zbyt autentycznie, żeby można to nazwać celowym postarzeniem mebli.

Kiedy kończymy śniadanie i nasza rozmowa też dobiega końca, Nick podnosi się i idzie po płaszcz, który leży wśród sterty ciuchów zrzuconych przez nas dość pospiesznie ubiegłej nocy.

– Nie wiem, jakie masz plany na dzień. Ja muszę załatwić kilka spraw. Nie powinno mi to zająć dłużej niż parę godzin.

– Jasne. Będę tu. Nie mam żadnych planów. – Próbuję być opanowana. – Nick... – zaczynam, ale głos mi się zmienia, gdy on, usłyszawszy swoje imię, przenosi na mnie wzrok. Boże, zachowuję się jak kompletna wariatka, która po jednej nocy spędzonej z facetem wymusza na nim rozmowę. To się może skończyć tylko katastrofą. Staram się rzeczowo mówić normalnym tonem: – My, pisarze, rzadko gdzieś wychodzimy. – Wzruszam ramionami, by nie sprawiać wrażenia zdenerwowanej. – I rzadko z kimś się umawiamy. Już od dawna... z nikim się nie spotykam.

Przygląda mi się z poważną miną.

– To tak jak ja, Harper. Widzisz, od czasu studiów niemal zupełnie pochłaniała mnie praca. Nie miałem czasu na nic innego. Ani dla kogoś innego. – Przenosi wzrok w stronę sypialni, gdzie pościel wciąż jest skotłowana. – Dla mnie to też wiele znaczy. A ile konkretnie, pokażę ci wieczorem.

## 51: Harper

Poziom paniki: milion (w skali do dziesięciu).

Po słowach: *Dla mnie to też wiele znaczy. A ile konkretnie, pokażę ci wieczorem*, Nick pocałował mnie w czoło i wyszedł, zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć. Potrzebowałam kilku minut, by podnieść szczękę z podłogi.

Jestem przerażona. Jeszcze bardziej niż dziś rano, gdy bałam się, że on zerwie się z łóżka, cmoknie mnie w policzek i powie: „Miło było, Harp. Dzięki za wspomnienia”. Puści do mnie oko. „To na razie”.

Nie wiem, co jest lepsze, co gorsze.

Nie chcę, żeby Nick zniknął z mojego życia, lecz nie jestem gotowa na trwały związek. A już na pewno nie na małżeństwo. Ale jeśli musiałabym zdecydować: wyjść za niego albo stracić go na zawsze, co wtedy?

Przecież nie wybiera się na wojnę.

Trzeba się trochę ogarnąć. Skupić się. Pomyśleć.

Rozwiązanie. Kiedy Nick się zjawi, wyjaśnię mu, że muszę poukładać sobie w życiu pewne sprawy, stanąć na nogi, zanim będę gotowa na podjęcie poważniejszych decyzji. To akurat prawda. Po raz pierwszy w życiu wiem wreszcie, co naprawdę chcę robić.

Nie wiedziałabym tego, gdybym nie spędziła kilku dni w 2147 roku. No i nie poznałabym Nicka. Nie zamieniłabym tego doświadczenia na nic innego na świecie.

Wiem, czemu się poświęcę w swoim życiu zawodowym.

Alice Carter.

Bo kiedy jest się młodym, goni się za marzeniami. Będę miała resztę życia, by wybrać bezpieczną drogę. Jeżeli nie napiszę biografii Olivera Nortona Shawa, zrobi to ktoś inny. Może nawet lepiej niż ja. Albo trochę gorzej. Ale zrobi to. I biografia powstanie.

Natomiast nikt inny nie napisze historii Alice Carter. Mogę to zrobić tylko ja.

I na tym właśnie polega życie: na znalezieniu czegoś, czego nie jest w stanie zrobić nikt inny oprócz ciebie, i wtedy musisz naprawdę dać z siebie wszystko, włożyć w to całe serce. Chodzi o znalezienie kogoś, kogo pokochasz jak nikogo innego i kto pokocha ciebie jak nikt inny. Tym kimś może być Nick Stone. Ale nie znam go tak dobrze, jak znam Alice Carter. Jeszcze nie.

Muszę więc opracować plan, który pozwoli mi poznać ich oboje. To będzie dość ryzykowne.

∞

Mój agent siedzi w milczeniu, słucha, kiwa głową.

Kiedy kończę, rozgląda się po swoim gabinecie, jakby szukał właściwych słów.

Kulę się w sobie, mentalnie szykując się na chłostę, która obedrze moje ciało do kości: „Odrzucasz szansę na karierę, marnujesz okazję, a ja tak się dla ciebie starałem, żebyś ją otrzymała. To nieodpowiedzialna decyzja”.

Te słowa nie padają. Słyszę inne:

– Szanuję twoją decyzję, Harper. Uważam, że zasługujesz na to, by podążać za marzeniami. Zrobię, co tylko będę w stanie, żeby ci w tym pomóc.

Są jak spadochron, pod którym się kołyszę i który mnie asekuruje, gdy miękko ląduję na ziemi.

Jedna sprawa załatwiona.

∞

Mój ojciec zmarł osiem lat temu na atak serca. Bardzo mi go brakuje, mamie zresztą też. Pracował jako nauczyciel w moim rodzinnym miasteczku; lata po jego śmierci były dla mamy trudne emocjonalnie i finansowo. Zostawił jej dwie nieruchomości: nasz rodzinny dom i mieszkanie w Londynie odziedziczone po swoich rodzicach, którym kiedyś wiodło się nieźle.

Od kilku lat mama wynajmuje mieszkanie mnie. To dobry układ: upieram się, żeby płacić jej nieco więcej, niż mogłaby zyskać od przeciętnego najemcy, ale od czasu do czasu, gdy nie mam akurat zlecenia, trochę zalegam z czynszem; no cóż, o takiej właścicielce lokalu mogłaby marzyć każda dziewczyna wynajmująca mieszkanie.

Jeżeli miałabym się wyprowadzić, dokonać zmiany, którą rozważam, musiałabym coś zrobić z mieszkaniem. Chcę przedstawić mamie jasno sprecyzowany plan. Zasługuje na to, żeby oszczędzić jej kłopotliwego przyjazdu do Londynu i załatwiania tego wszystkiego. Poza tym podejmowanie decyzji przychodzi jej z jeszcze większym trudem niż mnie.

Siedzę więc w zagraconym biurze agenta nieruchomości i wysłuchuję, jak wylicza różne dane i zasypuje mnie liczbami – rozumiem tylko część z tego. Przez ostatni rok rynek nieruchomości w Londynie zaczął rosnać o tyle i tyle procent. Przeciętna cena wzrosła do... Szacowany procent od zysków oscyluje... ale oczekuje się, że wzrośnie jeszcze bardziej, zwłaszcza jeśli w przyszłym kwartale Bank of England wprowadzi pewne obostrzenia. Obecnie w ofercie mamy wiele nieruchomości z okolicy, w której znajduje się pani mieszkanie, i są one wyceniane przeciętnie na rynku...

Wreszcie unoszę rękę i próbuję zmusić agenta, żeby przeszedł do konkretów. Nie wiem, kiedy wróci Nick, a on nie ma klucza.

– To wszystko jest bardzo ciekawe, naprawdę, ale jak pan sądzi, ile konkretnie można by wziąć za moje mieszkanie?

Unosi brwi i odchyła się w fotelu, jakbym mu zadała niełatwe pytanie.

– Trudno powiedzieć. Ale mogę panią zapewnić, że – nachyla się do mnie i zniża głos niemal do szeptu, jakby nie chciał, żeby usłyszał go ktoś, kto mógł akurat przechodzić korytarzem – gdybyśmy wystawili je na rynku bezpośrednim, mielibyśmy szansę zgarnąć maksymalną stawkę.

Rzuca kilka kwot, które brzmią naprawdę zachęcająco. To więcej, niż się spodziewałam.

– Gdybyśmy, dajmy na to, zczekali do zimy, rynek miałby szansę się ustabilizować. Może już się stabilizuje. W gazetach ciągle piszą o gwałtownym wzroście cen nieruchomości, co wzbudza niepokój wśród potencjalnych nabywców. – Pospiesznie dodaje: – Ale ten wzrost raczej nie dotyczy takich mieszkań, jakie pani ma do zaoferowania. Na takie stale jest popyt... przynajmniej na razie.

Kiwam głową.

– A jeśli się zdecyduję na wynajem? Ile wtedy mogłabym się spodziewać?

Ten pomysł nie przypada mu do gustu. Musiałby przekazać tę ofertę agentowi ze swojego biura zajmującemu się wynajmem lokali; zapewnia mnie, że na wynajmie mogę jedynie stracić. Lokal przez okres wynajmu znacznie straci na wartości. Agent wymienia zagrożenia: od fatalnych najemców po niechęć ze strony ewentualnych późniejszych nabywców. Przypomina mi, że nieruchomość od pokoleń była w mojej rodzinie. To, że miała dotąd tylko jednego właściciela, stanowi znaczący atut przy sprzedaży.

– Dla właściwego nabywcy – dodaje.

Przypominam mu, że przez najbliższe lata raczej nie spodziewam się dochodów i wynajem to jedyny sposób, abym mogła zatrzymać to mieszkanie, co dla mojego ojca było zawsze ważne. Mówię, że zapewne on również wolałby wynająć niż sprzedać to mieszkanie, nawet gdyby po wyprowadzeniu się najemcy trzeba je było gruntownie odmalować.

Mimo wszystko agentowi się to nie podoba z oczywistych względów.

A więc ciągle zostaje mi do podjęcia ta jedna decyzja.



Konkluzja jest taka, że mogę doradzić mamie sprzedaż mieszkania lub wynajem komuś innemu. Tak czy inaczej przeniosę się do niej, dopóki nie sprzedam pierwszej powieści o Alice Carter.

∞

Nick nie czeka przed drzwiami, gdy wracam do domu, oddycham więc z ulgą. Dostrzegam natomiast moją sąsiadkę zza ściany. Ta kobieta uśmiecha się promiennie od rana do wieczora i zawsze jest zadowolona, jakby wygrała na loterii.

I poniekąd tak właśnie jest. Najwyraźniej w Londynie nie trzeba oficjalnie wystawiać mieszkania na sprzedaż. Kobieta przykłada dłoń do ust:

– Niespodziewana oferta, Harp. Zagraniczny nabywca. Płatność gotówką.

Choć nie chce wyjawiać ceny, mówi, że nie zastanawiała się długo.

Bez wątpienia agent nieruchomości zadzwoni jutro, by podzielić się ze mną tą nowiną i stwierdzić, że to tylko powoduje wzrost wartości mojego mieszkania, a nowi sąsiedzi mogą okazać się okropni. „Niech je pani sprzeda już teraz – powie – albo ryzykuje pani, że potem mieszkanie straci na wartości”.

Robię porządki, ale nie mogę się powstrzymać i co kilka minut wyglądam przez okno z nadzieją, że zobaczę wracającego Nicka.

## 52: Harper

Leżę na podłodze i piszę w notatniku Alice Carter, gdy drzwi się otwierają i do mieszkania wparowuje Nick z brązowymi torbami, z których unosi się smakowity aromat: kurczaka z tłuczonymi ziemniakami.

Jak on to robi? Jakim cudem udaje mu się pokonać frontowe drzwi?

– To najmielsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. – Uśmiecha się.

Oglądam się przez ramię i patrzę, jak przechodzi obok kominka i wielkich okien z widokiem na ulicę – ostatnie promienie zachodzącego słońca malują sklepiki i zabieganych przechodniów pomarańczową poświatą. Stawia torby na podniszczonym kuchennym stole, a moje nerwy znów dają o sobie znać, bo w myślach po raz ostatni powtarzam mowę, którą przygotowałam.

– Przyniosłem kolację – mówi.

– Świetnie, umieram z głodu.

Podnoszę się i dołączam do niego w maleńkiej kuchni.

Sięga do kieszeni, a wówczas serce zamiera mi w piersi. Szuka czegoś. A potem unosi wzrok i uśmiecha się. Wyjmuje z kieszeni... komórkę.

– Posłuchaj tego.

Kładzie telefon na stole i odtwarza nagranie z poczty głosowej.

„Nick, tu Oliver. Właśnie rozmawiałem z Graysonem. To było niesamowite. Jest naprawdę podekscytowany. To były najwspanialsze dwie godziny, jakie razem spędziłem. Pomówiliśmy trochę o fundacji – on ma mnóstwo pomysłów, tyle energii, którą chce w to włożyć. Rozmawialiśmy też o wszystkim innym, o jego matce, o sprawach, które powinniśmy byli omówić dawno, bardzo dawno temu. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że zadzwoniłeś do mnie dziś rano. Nie jestem osobą religijną. Nigdy nie byłem. Wierzę jednak, że nic nie dzieje się bez przyczyny, i odnoszę wrażenie, że ludzie pojawiają się w naszym życiu z konkretnych powodów. Śmiem twierdzić, że właśnie dlatego się spotkaliśmy, Nick. Co tu dużo mówić, robię się sentymentalny i na dodatek trochę wypilem”. – Shaw śmieje się. – „Ale może to skasuj. Zadzwoń, gdy tylko to zrobisz”.

Nick unosi wzrok i brwi.

– Fantastycznie – mówię. To doskonały komentarz. – Co za wspaniała wiadomość. I mam nadzieję, że pozwoli złagodzić cios, jakim będzie dla niego informacja, że jednak nie zdecyduję się napisać jego biografii.

– A więc podjęłaś decyzję.

Nick zaczyna wykladać jedzenie na stół.

– Tak. Alice Carter. Zdecydowałam się na nią. Podążę za swoim marzeniem.

Krażę przy stole, trzęsą mi się ręce. Wkładam je do kieszeni spodni od piżamy, żeby je ukryć, a może podświadomie próbuję odsunąć wszelkie skojarzenia z palcami obciążonymi drogimi ozdobami z metali szlachetnych, na dodatek wysadzanymi lśniąco kamieniami. Wyobrażam sobie, że wyglądam jak pacjentka wariatkowa, której pasami unieruchomiono ręce tuż przy ciele. Mimo to staram się, by mój głos brzmiał normalnie.

– Cały dzień załatwiam sprawy. Byłam na kilku spotkaniach. Próbuję poukładać różne rzeczy w moim życiu.

Nick unosi wzrok znad toreb.

– Naprawdę? Ja też.

O nie.

– Poza tym – mówi, wykładając pojemnik z tłuczonymi ziemniakami, a ja jestem tak zdenerwowana, że nawet nie czuję, jak pięknie pachną. – Rozmawiałem z Yulem. Przypomniał sobie jeszcze trochę. Powiedziałem mu, że chcę, byśmy się spotkali we czwórkę. Zobaczę się z nim, gdy wrócę do San Francisco, żeby spakować swoje rzeczy dla firmy przeprowadzkowej.

*Żeby spakować swoje rzeczy dla firmy przeprowadzkowej.*

– Ja też się przeprowadzam – mówię w przypiływie rozpaczy. Kiwam głową. – To mieszkanie należy do mojej mamy. Wynajmie je komuś, kogo będzie stać na płacenie czynszu. – Siłę się na słaby uśmiech. – Zanim skończę pierwszą powieść o Alice, będzie mi naprawdę ciężko. To trochę potrwa. Jestem w okresie przejściowym. U progu czegoś nowego. Muszę to dobrze rozegrać. Nie będzie lekko. Mam mnóstwo decyzji do podjęcia. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym podjąć jeszcze jedną, nie dałabym sobie rady z kolejną trudną decyzją. I tak już głowa mi od tego pęka.

Czekam.

Mijają kolejne sekundy. Jedzenie jest wyłożone na stół. Tłuczone ziemniaki, marchewka i kurczak.

– Chcesz zaczekać?

– Tak, myślę, że dobrze będzie trochę zaczekać. – Moje słowa brzmią szorstko, defensywnie. Próbuję złagodzić ton, żeby nie brzmiał zbyt oschle. – Z pewnymi sprawami... dobrze zaczekać na właściwy moment. To nie znaczy, że należy powiedzieć „nie”.

– Mam nadzieję.

– Ja tak nie mówię.

– Świetnie. – Rozgląda się wokoło. – Dobra, wstawię to do piekarnika.

Czy on oszalał?

– Ale po co?

– Żeby podgrzać.

Patrzę na niego.

Wzrusza ramionami.

– Nie jadam kurczaka na zimno.

– Och. – Kolacja. On mówi o czekaniu na kolację. Wyjmuję dłonie z kieszeni, uwalniając się, i próbuję nie wyglądać jak wariatka, chociaż tak właśnie się czuję. – Cóż... możemy teraz zjeść kolację. Nie mam nic przeciwko temu.

Zasiadamy, a on zaczyna pałaszować. Chyba nic dziś nie jadł. Ja grzebię w talerzu, bawiąc się marchewką i kurczakiem, ale nie jestem w stanie nic przełknąć.

Nick wskazuje ruchem głowy w stronę pokoju.

– Wygląda na to, że ostro zabrałaś się do pracy nad Alice. Jak sądzisz, ile ci zajmie napisanie pierwszej powieści?

– Trudno powiedzieć. Natchnienie ma swój własny grafik. Może rok. Może dłużej.

– Twoja mama jest właścicielką tego mieszkania?

– Tak. Spotkałam się dziś z agentem nieruchomości, chciałam przedstawić mamie do wyboru kilka możliwości. Agent twierdzi, że za mieszkanie powinien uzyskać sporą sumkę, która wystarczy jej na jakiś czas, może nawet do emerytury. Dobrym rozwiązaniem byłby też wynajem, ale musiałaby wnieść specjalną opłatę, a z tym wiąże się pewne ryzyko. Londyński rynek to prawdziwy dom wariatów. Sąsiednie mieszkanie właśnie zostało sprzedane i nawet nie wystawiono go oficjalnie na sprzedaż. Cholerni cudzoziemcy, wykupują cały Londyn na pniu. Słyszałam, że Norwegowie nabyli spory fragment Mayfair, łącznie z Savile Row. Wkrótce w Londynie nie będzie w ogóle londyńczyków.

– Wszyscy szukają alternatywnych inwestycji. To akurat mój temat dnia. Zastanawiałem się, co mam robić. Rozmyślałem nad Fundacją Tytani. A właściwie zadawałem sobie pytanie, czego się dowiedziałem o tym, co zobaczyłem w dwa tysiące sto czterdziestym siódmym roku.

To brzmi jak wstęp do...

– O naturze ludzkiej.

Odkładam widelec.

– O naturze ludzkiej?

– Tego im właśnie brakowało. Tytanom. Nicholas wspominał mi o tym kilkakrotnie. Wszystkie Cuda Tytanów, cała ich technologia przyspieszyła rozwój świata. Ale nie rozwiązali prawdziwego problemu: natury ludzkiej. Nie udało im się sprawić, żeby ludzkość była życzliwsza czy bardziej wyrozumiała. Nie staliśmy się bardziej ugodowi. Nie potrafiliśmy zmienić tego, co w nas tkwi. A to wielkie wyzwanie. Na tym właśnie powinni byli się skupić. Nie na technologii, innowacji czy projektach budowlanych. Myślę, że największym wyzwaniem jest zmiana sposobu, w jaki traktujemy siebie nawzajem. Właśnie tego brakowało w moim życiu, takiego wyzwania. I dlatego byłem nieszczęśliwy. – Patrzy mi prosto w oczy. – Przynajmniej połowicznie uświadomiłem to sobie w dwa tysiące sto czterdziestym siódmym roku. Zmiana ludzkiej natury. Tym chcę się zająć.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. Ale myślałem nad tym cały dzień.

Trochę się uspokajam, a przy okazji nie mogę się powstrzymać, żeby trochę z niego nie zażartować.

– Znam pewną technologię, która odwołuje się do ludzkiej natury, pogłębia zrozumienie, potęguje współczucie, a między innymi o tych kwestiach pan wspominał, panie Stone.

– Tak?

– To starożytna technologia.

– Starożytna?

– I niezwykle potężna. Ma zdolność natychmiastowego przenoszenia ludzi – masowo, licząc w milionach – do innych światów, gdzie mogą uczyć się od ludzi dziwnie przypominających ich samych. Tam doświadczają objawień, odkryć, z którymi mogą powrócić do swojego życia. Posiąść różne umiejętności. Zyskać inspirację do dokonania zmian na skalę globalną.

– A koszty? – pyta, na jego ustach zaś pojawia się cień uśmiechu.

– Minimalne. Nie potrzeba żadnej infrastruktury.

– To wydaje się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Mylisz się. To już tu jest.

Podchodzę do regału i zdejmuję jedną z książek.

– To książki.

– Książki?

– Właśnie tak.

– Masz rację – mówi, siadając wygodniej na krześle. – To całkiem interesujący pomysł: napisać książkę o tym, co nas spotkało w dwa tysiące sto czterdziestym siódmym roku, i opublikować ją, żeby dać ludziom do myślenia. Nie miałbym nic przeciwko zainwestowaniu w taki projekt.

– To... mogłoby być ciekawe.

– A ty zyskałabyś dzięki temu kapitał początkowy bez konieczności sprzedaży czy wynajmu tego przytulnego mieszkanka.

– Negocjujesz ze mną? – Unoszę brwi.

– Owszem, tak. – Wybucham śmiechem. – To może być moja najlepsza inwestycja od dłuższego czasu. Ale wiesz, będziemy musieli ją jeszcze przedyskutować. To będzie moja i twoja historia, pół na pół. Musiałabyś mi pomóc przy mojej części.

– Czemu nie.

– Skoro przyjdzie nam współpracować, dobrze byłoby, żebyśmy pozostawali blisko siebie. Powiedzmy, po sąsiedzku.

Szczęka mi opada.

– Nie mów, że to zrobiłeś?!

– Cholerni cudzoziemcy – naśladuje mnie.

Kręcę głową zakłopotana.

– Harper, mówiłem serio dziś rano. Naprawdę chcę zobaczyć, co z tego wyniknie i dokąd nas to zaprowadzi. Jeżeli nie jesteś gotowa, zostanę w San Francisco. Ale jeżeli jesteś gotowa, będę w mieszkaniu obok. Ta ściana nie musi zostać zaraz wyburzona. Ani nigdy, jeżeli tego nie zechcesz.

Kiwam głową. Chcę, aby ta ściana runęła. Aby ją wyburzono. Kiedyś. Któregoś dnia. Wiem, że w innym świecie tak się stało, więc tutaj też jest to możliwe.

Rozmawiamy o tym, o książce, którą wspólnie napiszemy, i o przyszłości. W pokoju pełnym porozrzucanych zapisków, plansz, arkuszy brystolu i podniszczonych notatników słysząc trzask buzującego ognia.

Przez wysokie okna widać pierwsze płatki śniegu zwiastującego nadejście zimy, ludzie okutani w ciepłe kurtki i płaszcze spieszą się do swoich domów skapani w żółtej poświacie latarni ulicznych.

Kiedy kończymy kolację i zostaje nam jeszcze mniej więcej po pół porcji, zawijamy resztki, wstawiamy do lodówki, żeby było na jutro. Dokładamy drew do kominka, by starczyło na całą noc, i idziemy do sypialni.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, ani trochę nie martwię się o przyszłość.

## Od autora

Dziękuję, że sięgnęliście po tę książkę. Mam nadzieję, że podobał wam się *Lot 305*.

Pisanie tej powieści było niekiedy sporym wyzwaniem, być może dlatego, że jest ona oparta na moich osobistych doświadczeniach – ale nie część z 2147 roku :) Podczas gdy w *The Atlantis Gene* chodziło o genezę rasy ludzkiej, *Lot 305* opowiada poniekąd o początkach mojej kariery pisarskiej albo przynajmniej o tym, dlaczego zdecydowałem się porzucić pracę internetową i zająłem się czymś, co sprawiało mi prawdziwą frajdę.

Można odnieść wrażenie, że świat wokół nas z każdym rokiem coraz bardziej przyspiesza. Brodzimy po kolana w nowych technologiach, ale ja wciąż zachodzę w głowę, czy dzięki temu uczynimy świat lepszym, czy po prostu tylko go rozpędzimy. Zapewne czas pokaże. Może wszyscy któregoś dnia staniemy się Tytanami. A może będziemy wystarczająco mądrzy, by uniknąć ich losu.

Dla mnie *Lot 305* jest właśnie o tym: o zbadaniu, dokąd może nas doprowadzić technologia, i o potencjalnych konsekwencjach. To rodzaj mentalnej łamigłówki w rodzaju „co by było, gdyby...”, jakie uwielbiam czytać i (zazwyczaj) pisać.

Dla mnie najlepsze opowieści to te, które czynią czytelników lepszymi. A najlepsze z nich odmieniają zarówno nasze umysły, jak i dusze. Nie wiem, czy mój warsztat pisarski okazał się wystarczająco dobry, by tak się stało, ale pracuję nad nim i cieszę się, że zechcieliście mi towarzyszyć w tej podróży.

Trzymajcie się,

Gerry

PS Jeżeli powieść wam się spodobała, napiszcie recenzję na Amazonie albo podzielcie się informacją o niej na Facebooku, żeby mogło do niej dotrzeć więcej czytelników.

# Podziękowania

Zaczynam dochodzić do wniosku, że do napisania powieści potrzeba całego miasteczka, nie tylko jednego autora. W tym roku miałem szczęście i mogłem na własne oczy zobaczyć, jak moje małe miasteczko rozrasta się w niesamowitym tempie.

Moja żona Anna dopilnowuje, żeby w gospodarstwie Riddle'ów pociągi zawsze przychodziły punktualnie (i tego, żebyśmy nigdy nie spóźnili się na samolot). Bez niej zapewne wciąż tkwiłbym na dworcu gdzieś w Europie, a wy nie moglibyście przeczytać tej książki. No i poza tym moje życie nie wyglądałoby już tak samo.

Mam niebywałą okazję współpracować z grupą niesamowicie utalentowanych osób, które dbają o to, by moje książki trafiły do rąk czytelników. Gray Tan z Agencji Grey Hawk dał mi szansę, gdy byłem początkującym, dobrze rokującym autorem. Milion egzemplarzy później wciąż sprzedaje prawa do moich książek w Azji i świetnie mu to wychodzi.

Danny Baror i Heather Baror-Shapiro reprezentują mnie w Europie i pozostałych częściach świata z pasją i szczerym oddaniem.

Te dwie agencje sprzedały cykl *The Origin Mystery* w dwudziestu krajach, a teraz kolejne zapowiadają wydanie moich książek. Jestem oszołomiony i przyznaję: to dla mnie prawdziwy zaszczyt, że reprezentują mnie ludzie tacy jak Gray, Danny i Heather.

Miranda Ottewell redagowała tę książkę i wykonała naprawdę olbrzymią robotę. Redagowała powieści wielu znanych autorów, w tym Daniela Silvy, Mitcha Alboma, Elizabeth Gilbert i Barbary Kingsolver, a teraz, niestety, musi jeszcze dodać do tej listy A.G. Riddle'a :) Jeżeli jesteś pisarzem szukającym znakomitej redaktorki, z całego serca polecam właśnie ją.

Moi czterej czytelnicy alfa znów mnie uratowali kilkoma nieocenionymi uwagami i podpowiedziami. Tak wiele się uczę przy każdej kolejnej książce i naprawdę doceniam czas, jaki mi poświęcają. Oto oni: Fran Mason, Carole Duebbert, Lisa Weinberg i Michael Hattig.

Moi czytelnicy beta byli dla mnie sporym źródłem zachęty i opinii zwrotnych, którymi podzielili się ze mną przed publikacją tej książki. Są nimi: Lee Ames, Sue Arnett, Ivan Arrington, Laura Avramidis, Jeff Baker, Joshua Baker, Paula Barrett, Eris Barzman, Jen Bengtson, Tracy Big Pond, Ben Bird, Casey Boatman, Steve Boesen, Paul Bowen, Jacob Bulicek, Michael Camenisch, Stephanie Campbell, Emily Chin, Lianne Christian, Markel Coleman, Robin Collins, Heather Comerford, Jacky Cook, Frank Cowan, Ken Cuddeback, Terry Daigle, Sue Davis, Sylvie Delézay, Joe Devous, Kathy Dickonson, Adam Dorrell, Debbie Dowdy, Michelle Duff, Matt Egan, Christopher Eix, Maisha Elonai, Amanda Flies, Skip Folden, Kay Forbes, Ben Forrest, Holly Fournier, NJ Fritz, Ben Fury, Matthew Fyfe, Brenda Gehrman, Zachary Gershman, Kathy Gianneschi, Vicky Gibbins, Christine Girtain, Julie Godnik, Carl Gray, Julia Greenawalt, Mike Gullion, Chet Hale, Miora Hanson, Dustin Hermon, Aimee Hess, Matthias Hüls, Ted Hust, Mary Jakobowski, Paul Jamieson, Sam Jarvie, Christopher Kazu Williams, Shawn Kerker, Jeannine Klos, Linda Koch, Karin Kostyzak, Matt Lacey, Kendall Lane, Daniel Lewis, Cameron Lewis, Marina Lobato, Dee Lopez, Peter Lynch, Kelly Mahoney, Jane Marconi, Angela Marx, Virginia McClain, Leanne McGiveron, Steven McKenney, James McMullen, Jake Meals, Saquib Mian, Kristen Miller, Brian Milller, Thomas Mitchum, Tera Montgomery, Kim Myers, Steven Nease, Kevin Nguyen, Jordan Nguyen, Amber O'Connor, Anne Plamer, Sara Patterson, Mike Pease, Cindy Prendergast, Nikita Puhalsky, Brandon Pulliam, Brian Puzzo, Rachel Qualls, Deborah and Cary Radunz, Akash Rajpal, Katie Regan, Terri Reilly, Dave Renison, Teodora Retegan, Lionel Riem, Timothy Rogers, Andy Royle, Mike Russell, Dennis Sable, John Scafidi, Stefano Scaglione, Scott Scheffler, Andreas Schild, John Schmiedt, Chere

Schoning, Cameron Schutza, Shane Schweitzer, Debbie Sembera, Anjulie Semenchuk, Keith Shurmer, Russell Simkins, Andrea Sinclair, Rhonda Sloan, Christine Smith, Duane Spellecacy, Linda Spotz, George Stalling, Elizabeth Steininger Wolf, Alex Stevens, Kady Stewart, Tiffany Tanner, Paula Thomas, Macy Tindel, Kevin Veneskey, Andrew Villamagna, Tom Vogel, Jimmy Von Riesen, Liz W., Lauren Wall, Louise Ward, Ron Watts, Chris Watts, Sylvia Webb, Scott Weiner, Dana Westphal, Charlie White, Linda Winton, Robert Wiseman, Samantha Woracek, John Woughter, Lew Wuest, Athena i TeResa.

Muszę także podziękować grupie osób, których dociekliwe umysły pobudzały moją kreatywność. Oto one: Jason Barroca, Bader Bouarki, Steve Brenckle, Lee Davis, Michael De Feo, Christopher Dunham, David Galli Carrera, eRin Hanson, Rob Hanus, Matt Isaacs, Josh Jacobs, Samuel Lynch, Kostas Mavraganis, Desiree Melkovitz, Jonathan Moore, Bryan Nelson, Jonathan Palmer, Sam Penry, Darin Powell, Zach Renshaw i Evan Roy.

Na koniec dziękuję też tobie, czytelniku – gdziekolwiek jesteś, niezależnie, jaka jest teraz pora dnia – za przeczytanie tej książki.

Do następnego razu.